

WIKTOR PIELEWIN

ŚWIĘTA KSIĘGA WILKOŁAKA

Священная книга оборотня

Przełożyła

Ewa Rojewska-Olejarczuk



Opinia ekspertów

Niniejszy tekst, znany również pod tytułem *A Huli*, to nieporadny falsyfikat, sporządzony przez nieznanego autora w pierwszej ćwierci XXI wieku. Zdaniem większości ekspertów, interesujący jest nie tyle sam tekst, ile sposób, w jaki się pojawił. Dokument tekstowy, zatytułowany *A Huli*, mieści się rzekomo na twardym dysku notebooka znalezionej „w dramatycznych okolicznościach” w jednym z moskiewskich parków. O tym, że akcja ta została wyreżyserowana, świadczy opisujący znalezisko protokół milicyjny, który daje, jak sądzimy, niezłe pojęcie o wirtuozerskich technologiach współczesnego piaru.

Protokół jest autentyczny, ma wszystkie wymagane pieczęcie i podpisy, choć dokładny czas jego powstania pozostaje nieznaną - górną część strony tytułowej z datą odcięto przy broszurowaniu i oprawianiu dokumentu przed odesłaniem go do archiwum po zakończeniu roku kalendarzowego, jak tego wymagają przepisy. Z protokołu wynika, że zainteresowanie milicji wywołały dziwne zjawiska przyrody w parku Bitcewskim, w południowym okręgu administracyjnym Moskwy. Okoliczni mieszkańcy zauważyli nad drzewami błękitną poświatę, pioruny kuliste i mnóstwo pięciobarwnych tęcz. Niektóre tęcze miały formę kul (według zeznań świadków, ich kolory jakby prześwitywały jedne przez drugie).

Epicentrum anomalii stanowił spory plac na skraju parku, gdzie znajduje się trampolina do skoków rowerowych. Obok trampoliny znaleziono stopioną ramę od roweru Canondale Jekyll 1000 i szczątki kół. Trawa w promieniu dziesięciu metrów dokoła była wypalona, przy czym wypalony obszar miał kształt regularnej pięcioramiennej gwiazdy, poza jej granicami zaś trawa pozostała nietknięta. W pobliżu ramy od roweru znaleziono części damskiej garderoby: dzinsy, parę adidasów, figi z napisem „Niedziela” i T-shirt z wyszytym na piersi słowem „скиф”.

Sądząc z załączonej do protokołu fotografii, trzecia litera tego słowa bardziej przypomina cyryliczne и niż łacińskie „u”. Można założyć, że mamy tu do czynienia nie z anagramem słowa *fuck*, jak twierdzi w swej monografii M. Lejbman, ale ze słowem *skif* (*Scyta*). Potwierdza to napis: „Tak, my - Azjaci!”¹ na plecach koszulki - niewątpliwa aluzja do wiersza A. Błoka *Scytowie*, którego M. Lejbman najwyraźniej nie zna.

¹ Przekład Mieczysława Jastruna.

Wśród garderoby znajduje się plecak z notebookiem wcześniej wspomnianym w protokóle. Żadna z tych rzeczy nie ucierpiała, nie znaleziono na nich śladów ognia, co wskazuje, że zostały podrzucone na miejsce zdarzenia już po tym, jak na trawie pojawiła się wypalona gwiazda. W powyższej sprawie nie wszczęto żadnego dochodzenia.

Los tekstu znajdującego się (rzekomo) na twardym dysku jest dobrze znany - początkowo tekst krążył w środowiskach okultystycznych, a następnie został wydany w formie książkowej. Jego oryginalny tytuł uznali za nieprzyzwoity nawet księgarze, toteż wydawcy przemianowali go na *Świętą księgę wilkołaka*. Wzmiankowany tekst nie zasługuje oczywiście na poważną analizę literaturoznawczą czy krytyczną. Warto wszakże wspomnieć, że stanowi tak gęstą plątaninę zapożyczeń, naśladownictw, odniesień i aluzji (nie mówiąc już o okropnym języku i wyjątkowym infantylizmie autora), iż nawet nie warto pytać poważnych specjalistów, czy jest autentyczny: może być interesujący jedynie jako symptom głębokiego duchowego upadku, przeżywanego przez nasze społeczeństwo. A pseudoorientalna metafizyka, której znajomością autor usiłuje epatować podobnych sobie smętnych nieudaczników, u poważnych ludzi może wywołać tylko uśmiech politowania. Pragniemy zapewnić moskwian i gości naszej stolicy, że czystość i porządek w parku Bitcewskim są utrzymywane na należytych poziomie, a moskiewska milicja dniem i nocą czuwa nad spokojem i bezpieczeństwem spacerowiczów. A najważniejsze, przyjaciele - to żeby w naszym życiu zawsze znalazło się miejsce dla radosnej pieśni!

mjr Tengiz Kokojew,
komendant posterunku milicji Bitca-centrum
dr Maja Maraczarska, dr Igor Koszkodawlenko, filolodzy
Peldis Szarm, prezenter programu telewizyjnego
„Karaoke o Najważniejszym”

*W czystym bezwietrze gwiazdnych przestworów
Wiele ma Pan nasz jasnych ubiorów.
Z nieznanego źródła*

*Kto jest bohaterem twym, Dolores Haze?
Superman niebieski czy jakiś barman?
Czarowne miraże w skwarze, palmowe plaże,
Bar i gwar, i wir par, moja Carmen!*

Humbert Humbert
(przekład Roberta Stillera)

Klient, którego namotał mi barman Serge, miał czekać w barze „Aleksandrowskim” hotelu „National” o dziewiętnastej trzydzieści. Była już dziewiętnasta czterdzieści, a taksówka wciąż się wlokła, przepychając się z jednego korka w drugi. Już nawet byłam gotowa uwierzyć, że mam duszę - tak mi było na niej ciężko.

- I want to be forever young² - po raz nie wiem który śpiewał w radiu Alphaville.

Chciałabym mieć twoje problemy, pomyślałam. I natychmiast przypomniałam sobie o własnych.

Tak w ogóle to rzadko o nich myślę. Wiem tylko, że kryją się gdzieś tam, w czarnej pustce, i w każdej chwili mogę do nich powrócić. I przekonać się kolejny raz, że nie sposób ich rozwiązać. Jeśli się nad tym zastanowić, można dojść do interesujących wniosków.

Powiedzmy, że je rozwiążę. Co wtedy? Po prostu znikną - to jest odpłyną na zawsze w ten sam niebyt, w którym i tak tkwią przez większość czasu. Jedynym praktycznym rezultatem będzie to, że mój umysł przestanie je wywlekać z czarnej pustki. A więc czyż moje nierozwiązywalne problemy nie polegają wyłącznie na tym, że o nich myślę, i czyż nie stwarzam ich na nowo w chwili, gdy sobie o nich przypominam?

Najśmieszniejszy z tych problemów stanowi moje nazwisko. Co prawda, stanowi ono problem tylko w Rosji, ponieważ jednak mieszkam właśnie tu, jest to problem bardzo realny.

Nazywam się A Huli.

Dawniej, kiedy obowiązywała stara ortografia, można było przynajmniej na piśmie uniknąć nieprzyzwoitych skojarzeń. Pisałam swoje nazwisko przez „i” z kropką. Na pieczęcie, którą podarował mi w trzynastym roku pewien petersburski adwokat, znający tajemnicę, zostało ono połączone w dwa znaki:

² Chcę być wiecznie młody (ang.).



To bardzo interesująca historia. Pierwsza pieczętka, którą dla mnie zamówił, była rżnięta w rubinie i wszystkie pięć liter łączyło się w jeden symbol:



Dał mi ten rubin, kiedyśmy płynęli jachtem po Zatoce Fińskiej, a ja, gdy tylko mu się przyjrzałam, wrzuciłam kamień do wody. Mecenas pobladł i zapytał, czemu go nienawidzę. Oczywiście nie dlatego, że naprawdę myślał, iż go nienawidzę. Po prostu w tamtej epoce modne były teatralne porywy duszy, które zresztą stały się przyczyną pierwszej wojny światowej i rosyjskiej rewolucji.

Wyjaśniłam, że można, co prawda, nałożyć wszystkie litery jedna na drugą i zmieścić na niedużym kamieniu, co wypadnie niedrogo, ale wtedy nie będzie wiadomo, która z tych liter jest pierwsza. Dwa dni później był gotowy drugi wariant pieczęci - na podłużnym opalu - „z tajemniczym i szalonym AH”, jak ujął to wytwornie mecenas w załączonym do prezentu wierszu.

Oto jacy ludzie byli kiedyś w Rosji. Nawiasem mówiąc, podejrzewam, że nie napisał tego wiersza sam, tylko zamówił go u poety Kuzmina, jako że po rewolucji kilka razy nachodzili mnie naćpani kokainą palanci z czezwyczajki w poszukiwaniu jakichś brylantów. Potem do mojego mieszkania na ulicy Italiańskiej dokwaterowano ślusarzy i praczki, a mnie samą pozbawiono resztek godności osobistej, usuwając z alfabetu literę „i”. Dlatego od samego początku nie lubiłam komunistów, nawet w czasach, kiedy wierzyło w nich wiele świątłych umysłów.

W rzeczywistości moje nazwisko jest bardzo piękne i nie ma nic wspólnego z jego rosyjskim znaczeniem. „A Huli” znaczy po chińsku „lisica A”. W rozumieniu rosyjskim „A” to moje imię, a „Huli” - nazwisko. Cóż mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie? Nazywano mnie tak już wówczas, gdy nie istniał w ogóle sam język rosyjski.

Kto by pomyślał w owych czasach, że moje szlachetne nazwisko stanie się kiedyś wulgaryzmem? Z imieniem też nie mam lekko, mimo że to tylko jedna litera. Idę na przykład ulicą, widzę kolejkę i aż podskakuję. A... co to za chujoza? Alfa-Bank Express. Chociaż już

Ludwig Wittgenstein twierdził przecież, że na świecie są tylko imiona. Więc nie ma się na kogo obrażać.

My, lisice, jesteśmy szczęśliwymi istotami, bo mamy krótką pamięć. Dokładnie pamiętamy tylko ostatnie dziesięć, dwanaście lat, a wszystko, co było dawniej, śpi w czarnej pustce, o której już mówiłam. Ale nie znika całkowicie. Przeszłość to dla nas coś jak ciemna pakamera, z której możemy w każdej chwili wyciągnąć dowolne wspomnienie, co osiągamy szczególnego rodzaju wysiłkiem woli, dość męczącym. To czyni nas interesującymi rozmówczyniami. Mamy wiele do powiedzenia prawie na każdy temat; poza tym znamy wszystkie główne języki świata - miałyśmy dużo czasu, by się ich nauczyć. Ale nie rozdrapujemy wrzodu pamięci bez potrzeby, i na co dzień strumień naszych myśli jest praktycznie taki sam jak u ludzi. Dotyczy to również przyjmowanej przez nas na co dzień postaci - czyni ona lisicę nie do odróżnienia od bezogoniastej małpy.

Wiele osób nie rozumie, jak to możliwe. Spróbuję wyjaśnić. W każdej kulturze zazwyczaj wiąże się wygląd zewnętrzny z określonymi cechami charakteru. Piękna księżniczka jest dobra i litościwa; zła czarownica - brzydka i ma na nosie ogromną brodawkę. Istnieją również subtelniejsze związki, które nie tak łatwo zdefiniować - właśnie na nich opiera się w malarstwie sztuka portretu. Związki te zmieniają się z biegiem czasu i dlatego piękności jednej epoki często wywołują w innej epoce zdumienie. A więc, mówiąc najprościej, osobowość lisicy to taki typ ludzki, z jakim jej wygląd kojarzy się przeciętnemu przedstawicielowi danej epoki.

Mniej więcej co pięćdziesiąt lat dobieramy do swych niezmiennych rysów nowy fantom duszy, który prezentujemy ludziom. Dzięki temu z ludzkiego punktu widzenia nasze wnętrze zawsze w stu procentach odpowiada wyglądowi zewnętrznemu. Inna sprawa, że nie jest identyczne z prawdziwym, ale któż to pojmie? U większości ludzi tego, co prawdziwe, w ogóle nie ma, istnieje tylko to, co zewnętrzne i wewnętrzne, dwie strony jednej monety, którą, jak człowiek szczerze wierzy, gdzieś rzeczywiście wplacono na jego rachunek.

Wiem, że to dziwnie brzmi, ale naprawdę tak jest: dla dogodzenia współczesnym dobieramy sobie do wyglądu nowe „ja”, zupełnie jak suknię uszytą według nowej mody. Poprzednie wędrują do lamusa, i niebawem same musimy się dobrze wysilać, by sobie przypomnieć, jakie byliśmy dawniej. I żyjemy wesołymi głupstewkami, ulotnymi chwilami zabawy. Myślę, że jest to swego rodzaju mechanizm ewolucyjny, który ma nam ułatwić sprawy związane z mimikrą i maskowaniem. Wszak mimikra jest najdoskonalsza wtedy, kiedy stajesz się podobny do innych nie tylko z twarzy, ale i z myśli. Z tym, że jest to mimikra tylko dla lisic. Dla człowieka to przeznaczenie.

Na oko można mi dać czternaście do siedemnastu lat. Raczej czternaście. Mój wygląd wywołuje u ludzi, zwłaszcza mężczyzn, silne i sprzeczne emocje, których nie chce mi się opisywać, a zresztą nie ma potrzeby - *Lolite* w naszych czasach czytały nawet lolity. Z tych właśnie emocji żyję. Można by zapewne powiedzieć, że żyję z oszustwa: w rzeczywistości bynajmniej nie jestem małodatą. Dla ułatwienia określam swój wiek na dwa tysiące lat - potrafię je sobie przypomnieć mniej więcej dokładnie. Można to zresztą uznać za kokieterię, naprawdę bowiem jestem o wiele starsza. Początki mojego życia sięgają zamierzchłych czasów, i przypomnieć je sobie tyleż trudno, co oświetlić latarką nocne niebo. My, lisice, nie urodziłyśmy się tak jak ludzie. Wywodzimy się od niebiańskiego kamienia i jesteśmy luźno spokrewnione z samym Sun Wu-kongiem, bohaterem *Podróży na zachód* (choć nie upieram się, że to prawda - nie pozostały mi żadne wspomnienia z tych baśniowych czasów). W owych dniach byliśmy inne. Oczywiście wewnątrz, a nie zewnątrz. Zewnątrz nie zmieniamy się z wiekiem - jeśli nie liczyć tego, że co osiem lat w ogonie pojawia nam się jeden srebrny włos.

Nie pozostawiłam w historii tak wyraźnego śladu jak inne przedstawicielki mojego rodu. Niemniej zostałam wymieniona w jednym z zabytków literatury światowej i można o mnie przeczytać nawet po rosyjsku. W tym celu należy pójść do księgarni akademickiej, kupić książkę Gan Bao *Zapiski o poszukiwaniach duchów* i znaleźć w niej opowieść o tym, jak w epoce Późniejszej Dynastii Han namiestnik Xihai szukał zbiegłego naczelnika straży. Namiestnikowi powiedziano, że człowieka tego uprowadziła siła nieczysta, i na poszukiwanie zaginionego wysłano oddział wojska. Dalej (noszę ze sobą tę kartkę jak talizman) do dziś nie mogę czytać bez wzruszenia:

...namiestnik z kilkoma dziesiątkami pieszych i konnych, wzięwszy ze sobą psy myśliwskie, jął szukać zbiega za murami miasta. I rzeczywiście znaleziono Xiao w pustym grobowcu. Demon zaś, słysząc głosy ludzi i psów, umknął. Ludzie wysłani przez Xiana przywieźli Xiao z powrotem. Z oblicza całkiem upodobił się był do lisicy, nie pozostało w nim prawie nic ludzkiego. Mamrotał jedynie: „A-cy!” („A-cy” to przezwisko lisicy.) Po jakichś dziesięciu dniach stopniowo zaczął odzyskiwać rozum i wtedy opowiedział:

- Kiedy lisica przysłała po raz pierwszy, w oddalonym kącie domu, między kurzymi grzędami, pojawiła się kobieta wielkiej urody. Powiedziała, że nazywa się A-cy, i jęła mnie wabić ku sobie. I tak było wiele razy, aż wreszcie, sam się tego nie spodziewając poszedłem na jej zew. Zaraz została moją żoną i tegoż wieczoru znaleźliśmy się u niej w domu... Spotkania z psami nie pamiętam, ale byłem rad jak nigdy dotąd.

- To był górski demon - uznał daoshi-wróżbita.

W Zapiskach o słynnych górach jest ustęp: „W zamierzchłych czasach lisica była rozwiązłą kobietą i miała imię A-cy. Potem zamieniła się w lisią”.

Oto dlaczego demony tego rodzaju przeważnie nazywają siebie A-cy.

Pamiętam tego człowieka. Miał głowę jak żółte jajo, a jego oczy wyglądały niczym dwa naklejone na to jajo papierki. Niezbyt dokładnie przytoczył historię naszego romansu, a i autor książki myli się, twierdząc, że nazywałam się A-cy. Dowódca straży nazywał mnie „A”, po imieniu, a „cy” był to dźwięk, który wymykał mu się niechcący, odkąd opuściły go siły żywotne: w czasie rozmowy ze świstem zasysał powietrze, jak gdyby usiłując przyciągnąć na miejsce obwisłą dolną szczękę. Nieprawdą jest poza tym, że kiedyś byłam rozwiązłą kobietą, a potem zamieniłam się w lisicę - o ile wiem, takie rzeczy w ogóle się nie zdarzają. Tak czy owak jednak, czytanie tego fragmentu starochińskiej prozy jest dla mnie równie wzruszające jak dla starej aktorki oglądanie najwcześniejszego z zachowanych fotosów.

Dlaczego nazywają mnie „A”? Pewien uczony konfucjanista ze skłonnością do chłopców, który wiedział, kim jestem, lecz mimo to korzystał z moich usług do samej śmierci, wymyślił interesujące wyjaśnienie. Otóż jest to najkrótszy dźwięk, jaki może wydać człowiek, kiedy odmawiają mu posłuszeństwa mięśnie gardła. Istotnie, niektórzy ludzie, na których zsyłam pomrocność, zdążają wymówić coś w rodzaju zdławionego „A-a...”. Ów konfucjanista wykaligrafował nawet dla mnie dedykację, zaczynającą się od słów: „A Huli - iwa nad nocną rzeką...”

Ktoś mógłby pomyśleć, że żyć w Rosji i nazywać się A Huli to dość smutny los. Mniej więcej tak jak żyć w Ameryce i nazywać się Whatze Phuck. Tak, imię przyobleka moje życie w posępne barwy i jakiś głos wewnętrzny wciąż usiłuje pytać - a kiego chuja spodziewałaś się od losu, A Huli? To jednak, jak już mówiłam, jest najmniejszy z moich kłopotów, ponieważ pracuję pod pseudonimem, w dodatku raczej humorystyczny - co prawda, z gatunku czarnego humoru.

Fakt, że pracuję jako prostytutka, też mi nie ciąży. Dunia, moja zmienniczka z „Bałczugu” (znana tam jako Adultera), kiedyś tak oto ujęła różnicę między prostytutką a porządną kobietą: „Prostytutka bierze od faceta sto dolarów za to, że zrobi mu dobrze, a porządna kobieta zabiera gościowi cały szmal za to, że wysysa z niego krew do ostatniej kropli”. Nie do końca podzielam tę radykalną opinię, ale jest w niej ziarno prawdy: obyczaj w dzisiejszej Moskwie są takie, że wyrażenie „z miłości” w przekładzie z języka

przesłodzonego na prawniczy znaczy „za sto tysięcy dolarów, nawet z hemoroidami”. Czy warto zatem liczyć się z opinią społeczeństwa rządzącego się takimi zasadami moralnymi?

Mam problemy znacznie poważniejsze. Na przykład sumienie. Ale o tym pomyślę w jakimś innym korku, a teraz już dojeżdżamy.

Cylinder to oznaka kasty, wskazująca na przynależność do elity, jakkolwiek byśmy się do niej odnosili. I jeżeli u wejścia do hotelu wita nas człowiek w cylindrze i z niskim ukłonem otwiera przed nami drzwi, znaczy to, iż zostaliśmy podniesieni na taki poziom socjalny, że nakłada to na nas poważne zobowiązania finansowe wobec ludzi, którym się tak w życiu powiodło.

Znajduje to odbicie również w menu. Usiadłszy przy stoliku, zagłębiłam się w *drink list*, próbując znaleźć swoją niszę wśród czterdziestodolarowych whisky i sześćdziesięciodolarowych koniaków (i to za marne czterdzieści gramów!). Nazwy long drinków brzmiały jak rozdziały sensacyjnej powieści:

Tequila Sunrise, Blue Lagoon, Sex on the Beach, Screwdriver, Bloody Mary, Malibu Sunset, Zombie³. Gotowy scenariusz filmu.

Ale ja zamówiłam koktajl pod nazwą Rusty Nail⁴ - nie na cześć przyszłej randki, jak mógłby pomyśleć ktoś ze skłonnością do psychoanalizy, tylko z powodu tajemniczego Drambuie, które wchodziło w jego skład obok scotcha. W życiu codziennie trzeba poznawać coś nowego. Poza tym menu było w dwóch językach, a po rosyjsku ten koktajl nazywał się „Rasti Nail”. Ot, taki sympatyczny Nail, rośnie sobie gdzieś w Żmerynce, snuje wielkie plany i nawet nie podejrzewa, że na emigracji czeka go tylko jedno - zostanie zardzewiałym gwoździem... Albo taki scenariusz: historia Ruso-Amerykanina, który wyjechał w pogoni za blaskiem wielkiego marzenia, a trafił w prozac⁵. I czemu ja nie działam w biznesie filmowym?

W barze siedziały dwie moje koleżanki po fachu - była modelka Karina i transseksualistka Nelly, która przeniosła się tu z hotelu „Moskwa” po jego zamknięciu. Mimo że Nelly niedawno stuknęła pięćdziesiątką, prosperuje wręcz bardzo dobrze. Teraz też bajerowała jakiegoś wytwornego Skandynawa, a Karina samotnie dopalała już nie pierwszego papierosa, o czym świadczyły poplamione szminką niedopałki w popielniczce. Do dziś nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak się dzieje - Nelly, pokraka z komsomolską przeszłością,

³ Tequilowy Brzask, Błękitna Laguna, Seks na Plaży, Śrubokręt, Krwawa Mary, Zachód Słońca w Malibu, Zombi (ang.).

⁴ Zardzewiały Gwóźdź (ang.).

⁵ Nieprzetłumaczalna gra słów: ros. *popast' wprosak* - wpaść, wdepnąć (przyp. tłum.).

następuje więcej szmalu niż młodzieńcze dziewczyny o aparycji modelek. Przyczyny mogą być różne:

1) człowiek Zachodu, który z mlekiem matki wyssał ideały równouprawnienia kobiet, nie jest w stanie odtrącić kobiety z powodu jej wieku czy niedoskonałości urody, ponieważ widzi w niej przede wszystkim człowieka;

2) zaspokajanie potrzeb seksualnych przy pomocy fotomodelki oznacza dla myślącego człowieka Zachodu podporządkowanie się ideologii społeczeństwa konsumpcyjnego, a to jest niskie i podłe;

3) człowiek Zachodu stawia instynkt społeczny o tyle wyżej od biologicznego, że nawet w sprawie tak intymnej jak seks troszczy się przede wszystkim o najmniej konkurencyjnych uczestników gospodarki rynkowej;

4) człowiek Zachodu uważa, że z brzydulą rzecz wypadnie znacznie taniej, i po chwilach wstydlivej rozrywki zostanie mu więcej pieniędzy na raty za jaguara.

Tak jak mi polecił barman Serge, nawet nie patrzyłam w jego stronę. U nich w „Nationalu” wszyscy kablują na wszystkich, więc trzeba się zachowywać ostrożnie. Poza tym Serge w tej chwili mało mnie obchodził, bardziej interesował mnie klient.

W barze było dwóch ewentualnych kandydatów: podobny do czekoladowego zajęcia sikh w granatowym turbanie i mężczyzna w średnim wieku w garniturze z kamizelką i złotych okularach. Obaj siedzieli samotnie - ten w okularach pił kawę, obserwując przez szybę czworokąt podwórza, a sikh czytał „Financial Timesa”, kołysząc noskiem lakierowanego pantofla w takt gry pianisty, który po mistrzowsku przerabiał kulturalną spuściznę dziewiętnastego wieku na dźwiękową tapetę. Leciło *Preludium deszczowe* Chopina, to, które gra czarny charakter w filmie *Moonraker* w chwili pojawienia się Bonda. Uwielbiam tę muzykę. Ach, nie bez kozery Zofia Andriejewna Tołstoj, pisząca w ostatnich latach życia polemikę z *Sonata Kreutzerowską*, zamierzała zatytułować swą pracę *Preludia Chopina...*

Lepszy byłby ten w okularach, pomyślałam. Wyraźnie nie oszczędza na jaguara, bo już go ma. Dla takich cała frajda polega na tym, by wydać forsz, transakcja podnieca ich bardziej niż wszystko inne, do czego zresztą może nawet nie dojść, jeśli się faceta porządnie upije. Natomiast sikh to trudny orzech do zgryzienia.

Uśmiechnęłam się do okularnika, on odpowiedział uśmiechem. No, świetnie, pomyślałam, a tu nagle sikh złożył swoją finansową gazetę, wstał i podszedł do mojego stolika.

- Lisa? - zapytał.

Tak brzmiał mój dzisiejszy pseudonim.

- *That's right* - odparłam radośnie.

Cóż było robić?

Usiadł naprzeciw mnie i natychmiast zaczął narzekać na miejscową kuchnię. Jego angielszczyzna była bardzo dobra, nie taka, jaką zwykle mówią przybysze z Indii - prawdziwa oksfordzka wymowa, która swą suchością przypomina nieco rosyjski akcent. Zamiast *fucking*, niby dobrze wychowany skaut, mówił *freaking*, co brzmiało bardzo śmiesznie, zwłaszcza że wstawiał to słowo w co drugie zdanie. Zapewne religia zabraniała mu używać wulgarnych słów, jest w sikhizmie taki zakaz. Z zawodu okazał się portfelowym inwestorem, i ledwie się powstrzymałam od pytania, gdzie ma portfel. Portfelowi inwestorzy nie lubią takich żartów. Wiem o tym, ponieważ co trzeci mój klient w „Nationalu” to właśnie portfelowy inwestor. Nie dlatego, że w „Nationalu” zatrzymuje się tak wielu portfelowych inwestorów, po prostu ja bardzo młodo wyglądam, a co drugi portfelowy inwestor jest pedofilem. Nie lubię ich, szczerze mówiąc. Taka niechęć zawodowa.

Zaczął od bardzo staroświeckich komplementów - że nie wierzy swojemu szczęściu i że jestem podobna do dziewczyny jego marzeń z błękitnych chłopięcych snów. Tak powiedział. I jeszcze coś w tym rodzaju. Potem zażyczył sobie obejrzeć mój paszport - by się przekonać, czy jestem pełnoletnia. Do takich próśb przywykłam. Paszport miałam - zagraniczny i naturalnie fałszywy, na nazwisko Alisa Li. Sama to wymyśliłam - z jednej strony, popularne koreańskie nazwisko, pasujące do mojej azjatyckiej buzi. A z drugiej - jakby aluzja: „Tyś li Alisa?” Sikh przekartkował dokument bardzo uważnie - widocznie obawiał się o swoje dobre imię. Według paszportu, miałam dziewiętnaście lat.

- Napije się pani czegoś? - zapytał.

- Już zamówiłam - odparłam. - Zaraz przyniosą. Proszę mi powiedzieć, czy wszystkim dziewczynom mówi pan to samo - o błękitnym chłopięcym śnie?

- Nie, tylko pani. Nie mówiłem tego wcześniej żadnej dziewczynie.

- Jasne. Wobec tego ja panu też powiem coś, czego nie mówiłam żadnemu mężczyźnie. Jest pan podobny do kapitana Nemo.

- *Z Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi?*

Oho, pomyślałam, jaki czytany portfelowy inwestor!

- Nie, z amerykańskiego filmu *Liga niezwykłych dżentelmenów*. Był tam podobny do pana wybitny dżentelmen. Brodaty podwodny karateka w granatowym turbanie.

- Czy to film według Jules'a Verne'a?

Podano mi koktajl. Okazał się malutki - tylko sześćdziesiąt gramów.

- Nie, zebrano w nim wszystkich supermanów dziewiętnastego wieku - kapitana Nemo, niewidzialnego człowieka, Dorianą Graya i tak dalej.

- Tak? Oryginalne.

- Wcale nieoryginalne. Gospodarka oparta na pośrednictwie rodzi kulturę, która woli sprzedawać obrazy stworzone przez innych zamiast tworzyć własne.

Usłyszałam to zdanie od pewnego lewicowego francuskiego krytyka filmowego, który naciął mnie na trzysta pięćdziesiąt euro. Nie chodzi o to, bym się z nim całkowicie zgadzała, po prostu za każdym razem, kiedy powtarzam te słowa w rozmowie z klientem, mam wrażenie, jakby krytyk odpracowywał kilka jednostek obrachunkowych. Ale sikha to przerosło.

- Przepraszam? - bąknął nachmurzony.

- Krótko mówiąc, ta postać, ten kapitan Nemo, był do pana niezwykle podobny. Wąsy, broda... I na swojej łodzi podwodnej modlił się do bogini Kali.

- A zatem raczej nie mam z nim nic wspólnego. - Sikh uśmiechnął się. - Ja nie czczę bogini Kali. Jestem sikhem.

- Bardzo szanuję sikhizm - powiedziałam. - Myślę, że to jedna z najdoskonalszych religii na świecie.

- Wie pani, co to takiego?

- Tak, oczywiście.

- Pewnie pani słyszała, że sikhowie to tacy brodacze w turbanach? - spytał ze śmiechem.

- Nie fascynują mnie zewnętrzne atrybuty sikhizmu. Zachwyca mnie jego strona duchowa, zwłaszcza śmiałe przejście od zawierzenia żywym nauczycielom do zawierzenia księdze.

- Ale tak jest przecież w wielu innych religiach - zaproponował. - Po prostu my zamiast Koranu czy Biblii mamy Guru Granth Sahib.

- Ale nigdzie indziej wierni nie zwracają się do księgi jak do żywego mistrza. Poza tym nigdzie nie ma tak rewolucyjnej koncepcji Boga. Najbardziej zdumiewają mnie dwie cechy, które radykalnie odróżniają sikhizm od wszystkich pozostałych religii.

- Jakież to cechy?

- Po pierwsze, uznanie faktu, że Bóg stworzył ten świat bynajmniej nie dla jakichś wzniosłych celów, ale wyłącznie dla własnej rozrywki. Na coś takiego przed sikhami nie odważył się nikt. I, po drugie, znajdowanie Boga. W odróżnieniu od innych systemów, gdzie jest tylko poszukiwanie Boga.

- A cóż to jest poszukiwanie Boga i znajdowanie Boga?

- Pamięta pan tę przypowieść o egzekucji na placu, często przytaczaną w komentarzach do świętych tekstów sikhijskich? Pochodzi chyba od guru Nanaku, ale nie jestem całkowicie pewna.

Sikh wybałuszył brązowe oczy i w jednej chwili stał się podobny do raka.

- Proszę sobie wyobrazić plac targowy - ciągnęłam. - Pośrodku stoi otoczony tłumem szafot, na którym ścinają głowę zbrodniarzowi. Obraz dość zwyczajny w średniowiecznych Indiach. I w Rosji też. No więc, poszukiwanie Boga - to kiedy najlepsi przedstawiciele narodu, przerażeni widokiem krwi na toporze, zaczynają poszukiwać Boga i w rezultacie po stu latach i sześćdziesięciu milionach trupów uzyskują niewielki wzrost stopy kredytowej.

- O tak - powiedział sikh. - To ogromne osiągnięcie waszego kraju. Mam na myśli wzrost stóp kredytowych. A co to jest znajdowanie Boga?

- Kiedy Boga znajduje się wprost na placu targowym, jak to zrobili nauczyciele sikhów.

- I gdzież on jest?

- Bóg w tej przypowieści jest katem i skazańcem, ale nie tylko. Jest tłumem wokół szafotu, samym szafotem, toporem, kroplami krwi na toporze, placem targowym, niebem nad placem targowym i pyłem pod stopami. I, oczywiście, jest tą przypowieścią, a także - przede wszystkim - tym, kto teraz jej słucha...

Właściwie wątpię, czy taki przykład można nazwać aporemą, jako że nie ma w nim nierozwikłanej sprzeczności - chociaż może polega ona właśnie na tym, że Boga znajduje się wśród krwi i przerażenia. Ale sikh nie zaprotestował przeciw temu terminowi. Wytrzeszczył jeszcze bardziej oczy i zrobił się podobny nie do raka jako takiego, ale do raka, który wreszcie się domyślił, dlaczego dokoła stoją te ogromne kufle piwa. Podczas gdy on rozmyślał nad moimi słowami, spokojnie dopiłam koktajl - nadal nie wiedząc, co to jest Drambuie. Trzeba przyznać, że sikh wyglądał malowniczo - jak gdyby balansował na granicy objawienia i jakby wystarczył drobny impuls, by chwiejna równowaga jego umysłu wróciła do normy.

Tak też się stało. Kiedy tylko moja szklanka dotknęła stołu, opamiętał się. Wyjął z portfela kartę Diners Club Platinum z holograficznym Che Guevarą i zastukał w stolik, wzywając kelnera. Potem położył rękę na mojej dłoni i szepnął:

- Może byśmy już poszli do pokoju?

Nazwa „National” sugeruje, że jest tu reprezentowany gust narodowy. W Rosji bywa on eklektyczny, co zresztą odzwierciedla wystrój hotelu: dywan w klasyczne królewskie lilie na schodach, witraże w oknach - *moderne*, a w doborze obrazów na ścianach w ogóle trudno się dopatrzeć jakiejś zasady. Cerkwie, bukiety kwiatów, leśne zarośla, stare wieśniaczki, scenki rodzajowe z Wersalu, na których od czasu do czasu miga Napoleon, podobny do niebieskiej papugi ze złotym ogonem...

W istocie obrazy nie mają ze sobą nic wspólnego wyłącznie na pierwszy rzut oka. Naprawdę bowiem łączy je jedna, najistotniejsza wspólna cecha - są na sprzedaż. Gdy tylko o tym pomyślisz, od razu dostrzegasz zdumiewającą stylistyczną jednolitość wnętrza. Co więcej, zaczynasz rozumieć, że nie istnieje żadne malarstwo abstrakcyjne, jest tylko realistyczne. Chciałam nawet zanotować tę głęboką myśl, ale przy kliencie nie wypadało.

Zatrzymaliśmy się przed oszklonymi drzwiami numeru trzysta dziewiętnaście i Sikh z lubieżnym uśmiechem wsunął kartę-klucz do zamka. Zajmował apartament dla VIP-ów - takie kosztują tu jakieś sześćdziesiąt dolarów za dobę. Za podwójnymi drzwiami był salon biznesowy: pasiasta kanapa z wysokim oparciem, dwa fotele, faks i drukarka, palma w donicy i serwantka z zabytkową porcelaną. Za oknem otwierała się panorama ulicy, z której widać Kreml. To kategoria B. Jest tu też kategoria C - tam z okna widać ulicę, z której widać drugą ulicę, z której widać Kreml.

- Gdzie łazienka? - spytałam.

Sikh zaczął rozwiązywać krawat.

- Tak nam się śpieszy? - rzucił zalotnie. - O, tam.

Otworzyłam wskazane drzwi i znalazłam się w sypialni. Prawie całą przestrzeń zajmowało olbrzymie dwuosobowe łóżko, w kącie zaś były malutkie drzwi do łazienki, które nawet nie od razu zauważyłam. Wszystko prawidłowo, rozmiary rzeczy powinny być proporcjonalne do miejsca, które zajmują one w życiu. Apartament był bliski ideału, jako że jego struktura dokładnie odpowiadała życiu VIP-a. Do pracy służył salon biznesowy - odebrałeś faks, wysłałeś faks, posiedziałeś na pasiastej kanapce, popatrzyłeś na palmę w donicy, obróciłeś głowę i już widzisz porcelaną w serwantce. Życie osobiste zapewniała sypialnia z łóżkiem na cały pokój: zażyłeś proszek nasenny i lulu. No, albo tak jak teraz.

W łazience odkręciłam prysznic i zaczęłam się szykować do roboty. To było łatwe - po prostu opuściłam trochę spodnie i uwolniłam ogon. Wodę puściłam dla niepoznaki.

Czuję, że dotarłam do punktu, w którym niezbędne są pewne wyjaśnienia, inaczej bowiem moja opowieść brzmiałaby dziwacznie. Muszę więc zrobić przerwę i powiedzieć kilka słów o sobie.

Lisice nie mają płci w dosłownym sensie, i jeżeli mówi się o nas „ona”, to tylko z uwagi na zewnętrzne podobieństwo do kobiet. W rzeczywistości jesteśmy podobne do aniołów, to znaczy, nie mamy systemu rozrodczego. Nie rozmnażamy się, ponieważ się nie starzejemy, i możemy żyć dopóty, dopóki nas ktoś nie zabije.

Co do wyglądu zewnętrznego, to ciało mamy szczupłe i zgrabne, bez grama tłuszczu, jak niektóre wysportowane nastolatki. Włosy ogniście rude, cienkie, jedwabiste i lśniące. Wzrostu jesteśmy wysokiego, co w dawnych czasach często nas zdradzało, ale teraz ludzie stali się wyżsi, więc ta cecha zupełnie nas spośród nich nie wyróżnia.

Chociaż nie mamy płci w sensie zdolności do reprodukcji, zachowałyśmy wszystkie jej cechy zewnętrzne - nikt by nie wziął lisicy za mężczyznę. Normalne kobiety na ogół uważają nas za lesbijki. Co myślą o nas lesbijki, też łatwo zgadnąć: *Ja soszła s uma, ja soszła s uma...* I nic dziwnego: nawet najpiękniejsze kobiety przy nas wyglądają na prymitywne półfabrykaty - jak ociosana z grubsza bryła kamienia obok gotowej rzeźby.

Piersi mamy niewielkie, o doskonałym kształcie, z maleńkimi ciemnobrązowymi sutkami. Tam gdzie u kobiety mieści się główna fabryka snów, my mamy coś zewnętrznie podobnego - organ-fantom, o którego znaczeniu opowiem później. W każdym razie nie służy on do rodzenia dzieci. Z tyłu zaś posiadamy ogon, puszystą, giętką antenę ogniście rudego koloru. Ogon może się robić większy i mniejszy: w stanie spoczynku przypomina *pony-tail* długości dziesięciu, piętnastu centymetrów, w stanie aktywności może osiągać długość nawet metra.

Kiedy ogon lisicy się wydłuża, pokrywające go rude włosy też stają się gęstsze i dłuższe. Przypomina to fontannę, której ciśnienie kilkakrotnie zwiększono (porównania z męską erekcją raczej bym nie przeprowadzała). Ogon odgrywa w naszym życiu szczególną rolę, i to nie tylko z racji jego niezwykłej piękności. Nie bez powodu nazwałam go anteną. Ogon jest organem, za którego pomocą stwarzamy iluzję.

Jak to robimy?

Powtórzę, za pomocą ogona. I nic więcej nie da się o tym powiedzieć. Nie chcę ukrywać prawdy, ale rzeczywiście trudno coś do tego dodać. Czyż człowiek, jeśli nie jest uczonym, potrafi wytłumaczyć, w jaki sposób widzi? Albo słyszy? Albo myśli? Widzi

oczami, słyszy uszami, myśli głową, i to wszystko. Tak samo my - sprowadzamy pomrocność ogonem. A wyjaśnić mechanizmu tego zjawiska, posługując się terminologią naukową, nie jestem w stanie.

Co się tyczy iluzji, to mogą one być rozmaitej natury. Tu wszystko zależy od indywidualnych właściwości lisicy, jej wyobraźni, siły duchowej i szczególnych cech charakteru. Nie bez znaczenia jest to, ilu ludzi jednocześnie ma doznać iluzji.

Kiedyś mogliśmy bardzo wiele. Mogliśmy sprowadzać iluzje czarodziejskich wysp, pokazywać tysięcznym rzeszom płasające po niebie smoki. Mogliśmy stwarzać wizje olbrzymiej armii, zbliżającej się do murów miasta, i wszyscy mieszkańcy widzieli tę armię jednakowo, aż do najdrobniejszych szczegółów ekwipunku i napisów na sztandarach. Ale to potrafiły wielkie, niezrównane lisice starożytności, które za swą cudotwórczą moc zapłaciły życiem. Niestety, od tej pory cały nasz ród bardzo podupadł - zapewne z powodu ciągłego obcowania z ludźmi.

Moja moc oczywiście nie jest taka jak moc wielkich lisic. Powiem tak: jednego człowieka mogę zmusić, żeby zobaczył wszystko, co zechcę. Dwóch? Prawie zawsze. Trzech? To już zależy od okoliczności. Nie ma tu określonych zasad, wszystko zależy od wyczucia: oceniam swoje możliwości mniej więcej tak jak alpinista stojący w górach nad rozpadliną. On wie, gdzie może przeskoczyć na drugą stronę, a gdzie nie. Jeżeli nie doskoczysz, runiesz w przepaść - to bardzo dokładna analogia z naszą magią.

Lepiej nie próbować przekraczać swoich ograniczeń, ponieważ iluzja o sile zbyt małej, by mogła całkowicie ovlądnać ludzką świadomością, natychmiast całkowicie nas zdradza. Mechanizm tego zjawiska jest skomplikowany, ale rezultat zawsze bywa jednakowy - kiedy człowiek wychodzi nagle z hipnotycznego transu (zrywa się z ogona, jak mawiamy), dostaje ataku o nieprzewidywalnych następstwach. Najczęściej usiłuje zabić lisicę, która w tym momencie jest absolutnie bezbronna.

Chodzi o to, że nasz sport ma pewną pikantną cechę szczególną. W stanie spoczynku ogonek lisicy jest malutki, toteż chowamy go między nogami. Aby antena zadziałała z pełną mocą, należy ją rozpostrzeć. W tym celu trzeba zdjąć spodnie (albo unieść spódniczkę) i rozwinąć ogon w ogniście rudy tren. Siła sugestii wzrasta przy tym kilkadziesiąt razy, i wszystkie poważne problemy rozwiązujemy właśnie tak.

Konieczność obnażenia się mogłaby stwarzać niezręczne i dwuznaczne sytuacje - ale, na szczęście dla lisic, jest tu pewna dogodna okoliczność. Jeśli lisica zdąży się obnażyć dostatecznie szybko, obiekt zapomni wszystko, co widział. Istnieje jakby strefa mroku, kilkadziesiąt wypadających z pamięci sekund, w czasie których powinniśmy zdążyć

zrealizować swój manewr. To samo zdarza się przy omdleniach - ocknąwszy się, człowiek nie pamięta tego, co bezpośrednio poprzedziło utratę przytomności.

No i ostatnia rzecz, którą powinnam powiedzieć. Żywimy się normalnym jedzeniem (dość zbliżonym do diety Atkinsa). Prócz tego jednak potrafimy przyswajać sobie bezpośrednio ludzką energię seksualną, która wydziela się w czasie aktu płciowego - realnego lub iluzorycznego. I o ile zwykle jedzenie po prostu utrzymuje równowagę chemiczną naszego ciała, o tyle energię seksualną można by porównać do najważniejszej witaminy, która czyni nas nieodpartymi i wiecznie młodymi. Wampiryzm? Nie powiedziałabym. My przecież tylko zbieramy to, czym szasta nierozumny człowiek. I jeżeli on tą rozrzutnością doprowadza się do śmierci, czyż można o to winić nas?

W niektórych książkach piszą, że lisice się nie myją i że właśnie dzięki temu się je rozpoznaje. To nie dlatego, że jesteśmy flejtuchami. Po prostu nadmiar energii seksualnej nasycza nas nieśmiertelnym pierwiastkiem pierwotnych źródeł, i nasze ciało oczyszcza się samo poprzez wdychanie porannej świeżości. A lekki zapach, który roztacza, jest niezwykle przyjemny i przypomina wodę kolońską Essenza di Zegna, tylko jest subtelniejszy, lżejszy i bez owego dusznego, zmysłowego mistralu w tle.

Mam nadzieję, że teraz moje działanie stanie się bardziej zrozumiałe. A więc odkręciłam wodę, żeby klient słyszał jej szum, potem rozpięłam spodnie i trochę je zsunęłam, uwalniając ogon. Następnie, starając się nie śpieszyć, policzyłam do trzystu (mniej więcej pięć minut) i otworzyłam drzwi.

W popularnych objaśnieniach teorii względności proponuje się często porównanie zdjęć z dwóch kamer - jednej w niezależnym układzie współrzędnych i drugiej, umieszczonej na głowie kosmonauty. W naszym wypadku należałoby raczej powiedzieć: „w głowie”. Co pokazałaby kamera w głowie sikh? Drzwi łazienki się otworzyły, na progu ukazała się dziewczyna jego marzeń z błękitnego chłopięcego snu, owinięta oślepiająco białym ręcznikiem.

Dziewczyna podeszła do łóżka, uniosła kołdrę i wsunęła się pod nią, lekko zarumieniona: wszystko wskazywało na to, że jest w tym biznesie od niedawna i jeszcze nie nauczyła się profesjonalnej bezpruderyjności. To zobaczył sikh.

Nie wiem, czy w pokojach „Nationalu” są zainstalowane kamery w niezależnym układzie współrzędnych. Personel twierdzi, że nie. Gdyby jednak były, pokazałyby, co następuje:

1) dziewczyna nie miała na sobie żadnego ręcznika. W ogóle się nie rozebrała, tylko zsunęła nieco spodnie, nad którymi sterczał ogon jak pióropusz;

2) dziewczyna nie weszła do pokoju, ale wczółgała się na czworakach, a jej ogon zakołysał się w powietrzu i znieruchomiał nad grzbietem, wygięty w rudy znak zapytania;

3) przypominała nie pannę młodą w bieli, ale raczej gotujące się do skoku zwierzę - złe zielone oczy patrzyły czujnie, na twarzy nie było nawet cienia uśmiechu;

4) ponieważ słowo „panna młoda” we współczesnym języku rosyjskim oznacza coś bardzo bliskiego określeniu „szykujące się do skoku zwierzę”, przeciwstawienie to tutaj nie pasuje.

Na mój widok sikh podniósł brwi i zachwiał się. Kiedy człowiek zostaje porażony hipnociosem, po twarzy przebiega mu jakby cień lekkiej odrazy, jak przy uderzeniu pocisku w czaszkę: ten, kto widział dokumentalne zdjęcia z egzekucji w Wietnamie, zrozumie, co mam na myśli. Tyle tylko, że po mojej kuli klient nie pada na ziemię.

Sikh uśmiechnął się i ruszył w stronę pustego łóżka, zdejmując po drodze marynarkę. Zaczekałam, aż ułoży się wygodnie, usiadłam obok i otworzyłam torebkę.

Zajmuję się moralnym samodoskonaleniem, toteż unikam patrzenia na klienta od chwili rozpoczęcia czasu płatnego. Wstydę się nawet opowiadać o tym, co się dzieje z człowiekiem w czasie schadzki z lisicą. Wstydę się przede wszystkim za człowieka, ponieważ wygląda okropnie. No i trochę mi wstyd za siebie, jako że to wszystko dzieje się z nim nie samo przez się.

Nie jestem prasą brukową, żeby się zagłębiać w sprośne szczegóły, dlatego powiem tylko, że człowiek zachowuje się wyjątkowo wstrętne, gdy zaczyna wprowadzać w życie swoje seksualne fantazje. A jego samotność na ringu podnosi tę nieprzyzwoitość do kwadratu. Jeśli zaś w dodatku ów człowiek ma na głowie granatowy turban i jest tak owłosiony, że jego broda zdaje się rosnąć na całym ciele, śmiało można mówić nie o kwadracie, lecz o sześciacie.

Podtrzymywać iluzję jest znacznie łatwiej niż ją stwarzać, wdzierając się do cudzego umysłu. O wszystkim decyduje pierwsza sekunda, dalej to już rutyna. Niemniej dopóki klient przebywa w świecie iluzji, nie należy się odeń oddalać, trzeba grać rolę pielęgniarki. Ponieważ jednak, jak już wspomniałam, przykro jest patrzeć na pacjenta, zazwyczaj zabieram ze sobą książkę. Tak było i tym razem - usiadłam obok łóżka i otwarłam *Krótką historię czasu* Stephena Hawkinga, zawierającą wiele ciekawych informacji o różnych układach współrzędnych. Kilka razy przeczytałam tę książkę od deski do deski, ale do dziś mi się nie

znudziła i za każdym razem śmieję się tak, jakbym ją czytała po raz pierwszy. Podejrzewam nawet, że jest to postmodernistyczny żart, zwykły kawał. Nawet samo nazwisko Stephen Hawking podejrzanie przypomina innego autora horrorów Stephen Kinga. Tylko horror jest tu odmiennego rodzaju.

Sikh okazał się stosunkowo spokojny - mamrotał coś w swoim ojczystym języku i podrygiwał na samym środku łóżka. Można się było nie obawiać, że spadnie na podłogę. Mimo wszystko jednak, jak wypada pielęgniarce, od czasu do czasu spoglądałam na chorego. Kiedy mu się znudziło obłapianie pustki z góry, zaczął się do niej przyciskać z boku. Potem znów wdrapał się na górę.

Trudno się przyzwyczaić do tego widoku. Człowiekiem wstrząsają skurcze mięśniowe i wówczas wygląda tak, jakby rzeczywiście leżał na niewidzialnym cieple. Opiera się całym ciężarem na niezgrabnie podwiniętych dłoniach, czasem na palcach. Żaden człowiek nie utrzymałby się w takiej pozie nawet przez kilka sekund, gdyby ją przyjął świadomie, a w transie może tak trwać całymi godzinami. Ale podobne fenomeny wielokrotnie opisano w literaturze poświęconej hipnozie i Nobla za to odkrycie nie dostanę. Zresztą nie potrzebuję ludzkiej sławy. W ogóle niczego od ludzi nie potrzebuję prócz miłości i pieniędzy.

Ten sposób podtrzymywania wiecznej młodości, który został mi odkryty na Przedwiecznej Drodze Rzeczy, zawsze uważałam za nieco wstydlivy, chociaż stanowczo odrzucam oskarżenia o wampiryzm. Kradzież cudzych sił żywotnych nigdy nie sprawiała mi i nie sprawia żadnej satysfakcji. Chcę powiedzieć: satysfakcji moralnej. Aspekt fizjologiczny jest tu bezsporny, nie podlega jednak ocenie moralnej: najwięksi miłośnicy zwierząt potrafią pożerać żarłocznie krwawe steki, i nie ma w tym żadnej sprzeczności. Poza tym, w odróżnieniu od ludzi, którzy zabijają zwierzęta, ja już od kilku stuleci nikogo nie pozbawiłam życia. W każdym razie świadomie. Zdarzają się nieszczęśliwe wypadki, ale noc spędzona ze mną jest mniej niebezpieczna niż lot rosyjskim śmigłowcem przy średniej widoczności. A ludzie przecież latają śmigłowcami przy średniej widoczności, prawda? Latają. No i ja jestem takim śmigłowcem.

Poza tym nie uważam, że odbieram energię komuś osobiście. Człowiek, który je jabłko, nie wchodzi z tym jabłkiem w osobisty kontakt, lecz po prostu postępuje według ustalonego porządku rzeczy. Swoją rolę w łańcuchu pokarmowym widzę analogicznie. Energia służąca do poczęcia życia nie należy do ludzi. Uczestnicząc w akcie miłosnym, człowiek staje się jej kanałem, przeistaczając się z zamkniętego naczynia w rurę, która na kilka sekund łączy się z niewyczerpanym źródłem sił żywotnych. Ja potrzebuję tylko dostępu do tego źródła, to wszystko.

- A teraz połóż się na brzuszku, kotku - powiedział sikh. - Zajmiemy się czymś poważniejszym.

Seks analny to ulubiony sport inwestorów portfelowych. Psychoanaliza ma na to bardzo proste wytłumaczenie - wystarczy porównać żargonowy więzienny zwrot „popychać gównem” z wyrażeniem „wkładać kapitał”, i wszystko staje się jasne. Seks analny oceniam pozytywnie. Przy takim akcie organizm mężczyzny wydziela szczególnie wiele sił żywotnych, i jest to najlepszy moment do poboru energii.

Odłożyłam książkę, zamknęłam oczy i dokonałam zwykłej wizualizacji - jin-jang, a wokół osiem płonących trygramów. Następnie wyobraziłam sobie siebie pod postacią czarnej połowy tego znaku, a sikhę - w postaci białej połowy. W środku czarnej połowy zapalił się biały punkt, a w środku białej pojawił się taki sam punkt, czarny. Biała połowa zaczęła ciemnieć, a czarna bieleć, aż wreszcie zamieniły się miejscami. Cała energia znalazła się teraz u mnie. Z punktu widzenia dyletanta był to najdogodniejszy moment do rozłączenia. Ja jednak działałam tylko według metody „narieczona zwraca kolczyk”, jak nazwano to poetycznie w Państwie Środka sześćset lat temu.

Jeżeli kradniecie cudze siły żywotne, musicie uważać, by nie rozgniewać nieba i duchów swoją chciwością. Dlatego pozwoliłam, by sytuacja przeszła w fazę ponownego rozwoju. Strumień energii zatrzymał się, po czym ruszył z powrotem. Moja wizualizacja zaczęła się szybko zmieniać: w środku jasnej połowy jin-jang pojawiła się czarna plamka, a w środku ciemnej jasna. I dopiero kiedy zrobiły się wyraźnie widoczne, przerwałam połączenie energetyczne i rozmyślałam wizualizację w pustce.

Po wysokiej wygranej w kasynie nie należy od razu wychodzić - lepiej jeszcze trochę pograć, żeby nie psuć ludziom krwi. Tak samo jest w naszym procederze. W starożytności wiele lisic poniosło śmierć wyłącznie z chciwości. Wtedy zrozumieliśmy, że należy się dzielić! Niebo nie chmurzy się tak bardzo, kiedy okazujemy współczucie i część energii oddajemy z powrotem. Może się to wydawać mało istotne, ale różnica jest tu taka jak między kradzieżą a aukcją z zastawem. Duchy z formalnego punktu widzenia nie mają za co karać. Sumienia jednak się nie oszuka, toteż lepiej o nim nie myśleć.

Sikh wstał z łóżka i powlókł się do łazienki. Po powrocie położył się na wznak, zapalił papierosa i rozluźniony zaczął opowiadać sąsiedniej poduszce jakąś historię ze swego życia. Mężczyźni po stosunku na jakieś pół godziny robią się gadatliwi i pełni życzliwości, co jest związane z wydzielaniem się w mózgu dopaminy w nagrodę za spełnienie obowiązku. Nie bardzo słuchałam. Chciałam doczytać do końca o tym, jak się zachowuje czarna dziura, kiedy

w rezultacie kollapsu grawitacyjnego jej średnica staje się mniejsza niż obszar czasoprzestrzeni.

W tych modelach astrofizycznych dostrzegałam podtekst erotyczny i zaczynałam podejrzewać, że Stephen Hawking pisze nie o fizyce, tylko o seksie - ale nie o żalostnej ludzkiej kopulacji, lecz o potężnym kosmicznym coitusie, który powołał do życia materię. Wszak nie bez powodu po angielsku „wielki wybuch” brzmi tak samo jak „wielkie pieprzenie” - Big Bang. Wszystko, co we wszechświecie najbardziej tajemnicze, skryte jest w mroku czarnych dziur, ale nie można tam zajrzeć, gdyż - tak jak z sypialni, gdzie zgaszono lampę - nie dochodzi stamtąd światło... Właściwie, rozmyślałam, fizycy są po prostu podglądaczami. Tylko że podglądaczom udaje się czasem zobaczyć przez szczelinę w zasłonach czyjś akt miłosny, a fizycy są tak dalece pokrzywdzeni przez los, że muszą wyobrażać sobie absolutnie wszystko, patrząc w atramentową ciemność...

Sikh dopalił papierosa, dokończył swą opowieść i znów wziął się do roboty - tym razem leżąc na boku. Miarowe skrzywienie sprężyn usypiało. I popełniłam najgłupsze przeoczenie, jakie może się przydarzyć lisicy w czasie pracy. Zasnęłam.

Właściwie zdrzemnęłam się tylko na chwilę i natychmiast się zbudziłam. Ale to wystarczyło. Poczułam, że nie mam kontaktu z sikhem. Podniósłszy wzrok, ujrzałam jego wytrzeszczone oczy. Widział mnie, widział mnie prawdziwą, jak siedzę na krześle ze spuszczonej spodniami i sterczącym zza pleców ogonem. A takiej nie powinien mnie widzieć nikt prócz luster i duchów.

W pierwszej chwili pomyślałam, że mam do czynienia z daoshi-zaklinaczem. Była to myśl kompletnie idiotyczna, ponieważ:

- 1) ostatni daoshi, który umiał polować na lisice, żył w osiemnastym wieku;
- 2) nawet gdyby któryś dociągnął do naszych czasów, wątpliwe, czy potrafiłby przybrać postać brodatego sikha z oksfordzkim akcentem - *too freaking much*;
- 3) ponieważ działam metodą „narzeczona zwraca kolczyk”, daoshi nie mają formalnego prawa do polowania na mnie;
- 4) daoshi nigdy nie szczytują trzy razy z rzędu.

Nasz genetyczny strach przed zaklinaczami siły nieczystej jest jednak na tyle silny, że w chwilach zagrożenia zawsze myślimy o nich. Kiedyś opowiem parę historii o tych typach, a wtedy moje uczucia staną się bardziej zrozumiałe.

Sekundę później dotarło do mnie, że to nie żaden daoshi, ale po prostu mój klient urwał się z ogona. Widok był straszny. Sikh otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na piasek. Potem, usiłując zapanować nad nieposłusznym ciałem, wyciągnął przed siebie ręce i zaczął zaciskać i prostować palce. Następnie wydał kilka ochrypłych jęków i nagle gwałtownie zerwał się na nogi.

W tym momencie ocknąłam się z odrętwienia i skoczyłam do łazienki. Sikh rzucił się za mną, ale zdążyłam zamknąć mu drzwi przed nosem. W chwilach zagrożenia mój umysł pracuje bardzo szybko. Od razu wiedziałam, co powinnam zrobić.

W każdej łazience „Nationalu” jest czerwono-biały sznurek, zwisający z dziurki w ścianie. Nie wiem, do czego jest podłączony, ale wystarczy za niego pociągnąć, by po dziesięciu sekundach w numerze zadzwonił telefon, a po kolejnych dziesięciu rozległo się pukanie do pokoju. Szarpnęłam sznurek i rzuciłam się z powrotem do drzwi.

Przeżyłam chwile dość denerwujące. Podskakując przy każdym uderzeniu, czekałam na ochroniarzy i liczyłam w duchu, starając się nie śpieszyć. Sikh walił w drzwi ze wszystkich sił, ale udawało mi się go powstrzymywać bez szczególnych trudności - był mężczyzną raczej drobnym.

Telefon zadzwonił w dwudziestej sekundzie. Sikh naturalnie nie odebrał. Kiedy po paru chwilach łomotanie ustało, zrozumiałam, że w pokoju są ludzie. Był już najwyższy czas - zawiasy zaczynały się wyginać. Dobiegł mnie łoskot przewracanych mebli, brzęk tłuczonego szkła i niewyraźny okrzyk, coś jak „Kali ma!” Krzyczał sikh. Potem nastąpiła cisza zakłócana tylko dalekimi klaksonami samochodów.

- No to chuj - powiedział męski głos. - Nie upilnowaliśmy.
- Dobrze, że sami się upilnowaliśmy - odparł drugi.
- Też prawda - mruknął pierwszy.

Wolałam sama dać o sobie znać, niż czekać, aż mnie znajdą. Zawołałam załośnie:

- Ratunku!

Drzwi się otwały.

Na progu stały dwa typy jak szafy - ciemne okulary, garnitury, kable cielistego koloru, zwisające zza uszu... Po prostu kult agenta Smitha, pomyślałam. A propos, byłaby to wspaniała religia dla służb bezpieczeństwa - przecież rzymscy legioniści czcili Mitrę.

Jeden z ochroniarzy zamamrotał coś pod nosem - rozróżniłam tylko „trzysta dziewiętnaście” i „wezwanie”. Nie mówił do mnie.

O ile wiem, mikrofon mają przypięty pod klapą marynarki i dlatego często sprawiają wrażenie, jakby mówili sami do siebie. Niekiedy wygląda to bardzo śmiesznie. Raz

widziałam, jak taki mięśniak rozglądał się po damskiej toalecie - otwierał drzwi kabin i mówił śpiewnie: „Tutaj nikogo... Tu też nikogo... Okno zasłania występ ściany...” Gdybym nie wiedziała, o co chodzi, mogłabym pomyśleć, że jego randka nie doszła do skutku, i facet przelewa swój smutek w poezję.

- Ty pociągnęłaś za sznurek? - zapytał drugi ochroniarz.

- Ja - odrzekłam. - A gdzie...

Ochroniarz wskazał otwarte okno z wybitą szybą.

- O tam.

- Czy on - zrobiłam okrągłe oczy - on...

- Tak - odparł ochroniarz. - Rzucił się jak szalony, kiedy nas zobaczył. Brałście narkotyki?

- Jakie narkotyki? Ja tu pracuję już od roku. Wszyscy mnie znają, nigdy nie było problemów.

- No to teraz są. Czego on od ciebie chciał?

- Nie bardzo wiem - bąknęłam. - Chciał, żebym mu zrobiła jakiś fisting. Powiedziałam, że nie potrafię, a wtedy on zaczął... No, w każdym razie schowałam się w łazience i pociągnęłam za sznurek. Resztę sami widzieliście.

- Dobra, dobra. Dokumenty masz?

Pokręciłam przecząco głową. Dasz takiemu paszport, to już go z powrotem nie zobaczysz.

- Może już sobie pójdę? Póki gliny nie przyjechały?

- Co znaczy - „pójdę”? Oszalałaś? Jesteś głównym świadkiem - powiedział ochroniarz.

- Zeznasz, coście tutaj robili.

Tego nie miałam w planach. Oceeniłam sytuację. Dopóki było ich tylko dwóch, istniała szansa zatuszowania całej sprawy. Ale ta szansa malała z każdą sekundą - wiedziałam, że wkrótce pojawi się tu kupa ludzi.

- Mogę do toalety?

Ochroniarz skinął głową; wróciłam do łazienki. Należało działać szybko, więc nie wahałam się ani sekundy. Spuściłam spodnie, uwolniłam ogon, nachyliłam się i otworzyłam drzwi na całą szerokość. Zrobiłam to gwałtownie, i ochroniarze natychmiast zwrócili się do mnie twarzami.

Uważam, że człowiek najbardziej się otwiera w chwili, kiedy już zauważył lisi ogon, ale jeszcze nie znalazł się pod wpływem sugestii. Klient zazwyczaj zdąża jeszcze okazać swoje nastawienie do tego, co ujrzał. To wystarczy, by zrozumieć, z kim ma się do czynienia.

Pospolici i ograniczeni nieudacznicy wykrzywiają się w grymasie ponurego niedowierzania. Natomiast na twarzach ludzi o pewnym potencjale intelektualnym maluje się coś w rodzaju radosnego zdumienia.

Jeden z ochroniarzy skrzywił się. Drugi wybałuszył oczy (było to widać nawet przez okulary) i otworzył usta jak dziecko na widok obiecanego przez fotografa ptaszka. Wyglądało to bardzo sympatycznie.

Oczywiście nie byłam w stanie całkowicie usunąć swego obrazu z ich pamięci - w tym celu trzeba by było posłać im kulkę w łeb. Mogłam jedynie zmienić kontekst wspomnienia - zasugerowałam im, że spotkali mnie na korytarzu po drodze do pokoju. Następnie skłoniłam ich, by weszli do łazienki. Gdy tylko drzwi się za nimi zamknęły, podniosłam z podłogi książkę Stephena Hawkinga, wrzuciłam ją do torby i wyskoczyłam na korytarz.

Na schodach stał jeszcze jeden ochroniarz. Zobaczył mnie i kiwnął, żebym podeszła. Kiedy się zbliżyłam, przeciągnął dłonią po moich pośladkach. Z całej siły zacisnęłam między nimi ogonek. W innej sytuacji boleśnie bym go za to uszczypnęła. Teraz jednak, nie wiedząc, czym się to wszystko skończy, poprzestałam tylko na trzepnięciu go po łapie. Pogroził mi palcem, po czym gest ten płynnie przeszedł w inny: jego kciuk i palec wskazujący złączyły się i potarły o siebie.

Zrozumiałam. Zazwyczaj dziewczęta mojej profesji płacą sto dolarów przy wyjściu, ale teraz, z uwagi na szczególne okoliczności, wypadało się rozliczyć na miejscu. Wyjęłam z portmonetki banknot z prezydentem Franklinem, który ochroniarz chwycił tymi samymi dwoma palcami. Oszczędność tego ruchu odznaczała się pewnym szczególnym pięknem: pogroził, przypomniał, wziął. Żadnego niepotrzebnego drgnięcia mięśni. Jak mawiał japoński szermierz Minamoto Musashi, poznać mistrza po postawie.

Zeszłam po ozdobionych liliami schodach i bez przeszkód wydostałam się na ulicę. Na prawo od wejścia zebrał się już tłum, w którym było kilku milicjantów - tam widocznie leżał biedny sikh. Ruszyłam w drugą stronę i po kilku krokach znalazłam się za rogiem. Teraz musiałam tylko złapać taksówkę. Jedna zatrzymała się prawie od razu.

- Bitca - powiedziałam. - Ośrodek jeździecki.

- Trzysta pięćdziesiąt - odparł kierowca.

Dziś był jego dobry dzień. Wskoczyłam na tylne siedzenie, zatrzasnęłam drzwi i taksówka powiozła mnie jak najdalej od nieszczęścia, które jeszcze pięć minut temu wydawało się nieuniknione.

Nie miałam sobie nic do wyrzucenia, ale humor mi się popsuł. Mało że zginął całkiem niewinny człowiek, na dodatek straciłam pracę w „Nationalu” - teraz przez dłuższy czas nie

będę się mogła tam pokazać. Z tego wynika, że muszę poszukać innych możliwości zarobku. I to od jutra - pieniądze mi się kończyły, a oddana ochroniarzowi stowa już oznaczała deficyt budżetowy.

Pewien mój znajomy mawiał, że zło w naszym życiu mogą pokonać tylko pieniądze. Interesujące spostrzeżenie, chociaż z punktu widzenia metafizyki nie bez wad: należałoby tu mówić nie o zwycięstwie nad złem, ale o możliwości wykupienia się odeń na jakiś czas. Przy braku pieniędzy jednak zło zwycięża w ciągu kilku dni, to rzecz sprawdzona.

Mogłabym się wzbogacić, gdybym była oszustką. Ale cnotliwa lisica musi zarabiać tylko prostytutką i w żadnym wypadku nie może wykorzystywać swego hipnotycznego daru w innych celach - to prawo niebios, którego nie wolno łamać. Oczywiście, niekiedy musi się to robić. Sama dopiero co zamydliłam oczy dwóm ochroniarzom. Ale tak się zachowywać wolno tylko wtedy, gdy w niebezpieczeństwie jest nasze życie lub wolność. Lisica nie powinna nawet myśleć o ufnych inkasentach lub spółkach z ograniczoną odpowiedzialnością. Jeśli zaś pokusa staje się zbyt silna, powinna się podbudować przykładami z historii. Jean Jacques Rousseau mógł się tarzać w forsie, a czym zarabiał przez całe życie? Przepisywaniem nut.

Ulokować się w innym hotelu nie było łatwo, i w najbliższej przyszłości widziałam tylko dwa wyjścia: ulica albo Internet. Internet wydawał mi się bardziej pociągający, bądź co bądź, to główny kierunek postępu, tak więc kupczenie sobą za jego pośrednictwem było perspektywistyczne i stylowe. Ciekawe, myślałam, wszyscy bez końca rozprawiają o postępie. A na czym on polega? Na tym, że najstarsze profesje obrastają elektronicznym interfejsem - i tyle. Natury rzeczy postęp nie zmienia.

Kierowca spostrzegł moje przygnębienie.

- Co, córeńko? - spytał. - Ktoś ci zrobił przykrość?

- Uhm - przytaknęłam.

Ostatni zrobił mi przykrość on sam, żądając za przejazd trzysta pięćdziesiąt rubli.

- Pluń na to - poradził kierowca. - Wiesz, ile razy dziennie ktoś robi mi przykrość?

Gdybym sobie to wszystko brał do głowy, to miałbym łeb jak balon z gównem. Pluń na to, mówię ci. Jutro już nie będziesz o tym pamiętać. A życie jest długie, sama wiesz.

- Wiem - powiedziałam. - Tylko jak to zrobić, jak plunąć?

- Po prostu pluń i już. Pomyśl o czymś przyjemnym.

- Tylko skąd to wziąć?

Taksówkarz zerknął na mnie w lusterko.

- Nie ma w twoim życiu nic przyjemnego?

- Nie - odrzekłam.
- Jak to?
- Ano tak.
- Co, same cierpienia?
- Tak. I w pana życiu też.
- No! - Taksjarsz zaśmiał się. - Co ty możesz o tym wiedzieć?
- Wiem. Inaczej by pan tu nie siedział.
- Dlaczego?
- Wyjaśniłabym to, ale nie wiem, czy pan zrozumie.
- Patrzcie ją! - parsknął kierowca. - Co, myślisz, że jestem głupszy od ciebie?

Zrozumiem na pewno, skoro ty rozumiałaś.

- Dobrze. Czy wie pan, że cierpienie to właśnie materia, z której został stworzony świat?

- Dlaczego?

- To można wytłumaczyć tylko na przykładzie.

- Wal.

- Zna pan historię o baronie Münchhausenie, który sam siebie wyciągnął za włosy z bagna?

- Znam - powiedział kierowca. - Widziałem nawet film.

- Realność tego świata opiera się na podobnych podstawach. Tylko trzeba sobie wyobrazić, że Münchhausen wisi w kompletnej pustce, z całej siły ściskając się za jaja, i krzyczy z nieznośnego bólu. Z jednej strony, jest nam go jakby żal. Z drugiej, pikanteria sytuacji polega na tym, że wystarczy, by puścił swoje jaja, a natychmiast zniknie, albowiem nie jest niczym więcej niż naczyniem bólu z siwym warkoczykiem, i jeżeli zniknie ból, zniknie i on sam.

- Nauczyci cię tego w szkole? - zapytał kierowca. - Czy w domu?

- Nie - odparłam. - Po drodze ze szkoły do domu. Miałam bardzo daleko, różnych rzeczy podczas jazdy się nasłuchałam i napatrzyłam. Zrozumiał pan wymowę przykładu?

- Zrozumiałem, zrozumiałem - zapewnił. - Nie jestem głupi. I co ten twój Münchhausen, boi się puścić swoje jaja?

- Mówię przecież, że wtedy zniknie.

- To może lepiej dla niego by było zniknąć? Po kiego komu takie życie?

- Trafna uwaga. Właśnie dlatego istnieje umowa społeczna.

- Umowa społeczna? Jaka umowa społeczna?

- Każdy konkretny, pojedynczy Münchhausen może się zdecydować puścić swoje jaja, ale...

Przypomniałam sobie racze oczy sikha i umilkłam. Któraś z moich siostrzyczek mówiła, że kiedy w czasie nieudanego seansu klient urywa się z ogona, przez kilka sekund widzi prawdę. I ta prawda jest dla człowieka tak nieznośna, że przede wszystkim chce zabić lisicę, przez którą prawda mu się ukazała, a potem - samego siebie... Inne lisice twierdzą, że człowiek w tym momencie pojmuję, iż fizyczne życie to głupia i wstydliva pomyłka. I w pierwszym porwywie pragnie podziękować lisicy, która otworzyła mu oczy. A dopiero potem naprawia błąd własnej egzystencji. Wszystko to oczywiście brednie. Ale łatwo zrozumieć, skąd się biorą takie pogłoski.

- Co „ale”? - zapytał kierowca.

Powróciłam do rzeczywistości.

- Ale kiedy sześć miliardów Münchhausenów nawzajem trzyma się za jaja, światu nic nie zagraża.

- Dlaczego?

- To bardzo proste. Jak pan słusznie zauważył, sam siebie Münchhausen może puścić. Ale im większy ból sprawia mu ktoś inny, tym boleśniej on ściska tych dwóch, których trzyma sam. I tak sześć miliardów razy. Rozumie pan?

- Tfu! - splunął taksówkarz. - Coś takiego może wymyślić tylko baba.

- I znów nie mogę się z panem zgodzić - powiedziałam. - Jest to czysto męski obraz wszechświata. Powiedziałabym nawet, że szowinistycznie męski. Dla kobiety po prostu nie ma w nim miejsca.

- Dlaczego?

- Dlatego, że kobieta nie ma jaj.

Dalej jechaliśmy już w milczeniu.

Czasem tak bywa, co tu ukrywać - zwalisz na człowieka jakiś ciężar, i lżej ci się robi na duszy. Czemu tak się dzieje? Przecież to niczego nie zmienia - ani w twoim życiu, ani w cudzym. Nie mam pojęcia. Ale to nic, niech się facet pozastanawia nad istotą rzeczy, to jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Następnego ranka sprawa sikha znalazła się w wiadomościach. Weszłam do Internetu wcale nie po to, ale jakiś wredny wirus wpisał mi na stronie startowej „plotki.ru” i ciągle nie mogłam się zebrać, żeby to zmienić. Zmusiłam się i doczytałam notatkę do końca:

INDYJSKI BIZNESMEN POPEŁNIŁ SAMOBÓJSTWO NA OCZACH SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA

Moskiewski hotel „National” stanie się niebawem w świadomości społecznej strefą podwyższonego ryzyka. W pamięci moskwian nie zatarł się jeszcze zamach terrorystyczny przy wejściu do hotelu, a już nastąpił nowy wypadek: czterdziestotrzyletni biznesmen z Pendżabu popełnił samobójstwo, rzucając się z okna piątego piętra. Tak w każdym razie twierdzą dwaj ochroniarze hotelowi, którzy znajdowali się przy nim w momencie tragedii. Zeznali, że gość z Indii wezwał ich, pociągając za sznur specjalnej sygnalizacji, a kiedy weszli do pokoju, bez żadnego wyraźnego powodu z rozpędu wyskoczył oknem. Zginął na miejscu, uderzając o asfalt. Ustalono, że na krótko przed tragedią biznesmena odwiedziła dziewczyna z półświatka. Śledztwo w toku.

Dlaczego piąte piętro, pomyślałam, przecież pokój miał numer trzysta dziewiętnaście. Chociaż tak, mają tam taką bajerancką europejską numerację - pierwsze dwa poziomy się nie liczą, więc trzysta dziewiętnaście wypada akurat na piątym piętrze...

Następnie przeskoczyłam w myślach do tajemniczego słowa „półświatek”. Ciekawe, dlaczego nie „ćwierćświatek”? Taka metoda słowotwórcza pozwoliłaby z matematyczną dokładnością określić głębię upadku kobiety. Z pewnością przez dwa tysiące lat doszłam do nie byle jakiego mianownika...

W tym momencie zrobiło mi się wreszcie wstyd za moją bezduszość. Stracił życie człowiek w jakimś sensie mi bliski - a ja liczę piętra i ułamki. Powiedzmy, że bliski w sensie umownie-chwilowo-halucynacyjnym. Tak czy owak wypadałoby się zdobyć na współczucie, choćby równie ulotne jak nasza bliskość. Ale nie czułam go wcale - serce za nic nie chciało go wydzielić. Jak mawiają moje prowincjonalne koleżanki po fachu, „suchy wstaniec”. Zamiast tego jeszcze raz zaczęłam się zastanawiać nad przyczynami wczorajszego incydentu.

1) powodem mogła być astralna aura hotelu „National”, gdzie w galerii fotograficznej „Znakomici goście” Isadora Duncan wisi obok Dzierżyńskiego;

2) zajście stanowiło karmiczne echo jakiegoś krwawego biznesowego rytuału, które tak lubią w Azji;

3) było pośrednim następstwem odejścia Indii od nauk Buddy, które nastąpiło w średniowieczu;

4) sikh był jednak skrytym wyznawcą bogini Kali - nie bez powodu, rzucając się z okna, krzyknął: „Kali ma!”

Muszę wyjaśnić, że miewam do pięciu głosów wewnętrznych, z których każdy prowadzi własny wewnętrzny dialog; poza tym głosy mogą spierać się między sobą na dowolny temat. Ja się do tych sporów nie mieszam, tylko słucham, czekając na jakąś odpowiedź. Głosy te nie posiadają imion. Pod tym względem prosta ze mnie istota - niektóre lisice mają takich głosów nawet po czterdzieści, o wielce skomplikowanych, pięknych imionach.

Stare lisice powiadają, że te głosy należały do dusz, które wchłonęliśmy w czasach pierwotnego chaosu; według legendy, dusze te zagnieździły się w naszej wewnętrznej przestrzeni, wchodząc w rodzaj symbiozy z naszym własnym jestestwem. To jednak należy raczej włożyć między bajki, ponieważ każdy z tych głosów jest mój, chociaż są różne. Rozumując jak tamte stare lisice, można by rzec, że ja sama jestem duszą, którą ktoś zjadł w zamierzchłej przeszłości. Wszystko to jest tylko przedstawianiem składników, a sumaryczna A Huli się przez to nie zmienia.

Z powodu tych głosów lisice myślą inaczej niż ludzie: różnica polega na tym, że zamiast jednego procesu myślowego w naszej świadomości toczy się ich kilka. Umysł kroczy jednocześnie różnymi drogami, wypatrując, na której z nich wcześniej zabłyśnie prawda. Dla zilustrowania tej szczególnej cechy mojej osobowości oznaczam poszczególne poziomy swego dialogu wewnętrznego cyframi 1), 2), 3) i tak dalej.

Owe procesy myślowe nigdy się ze sobą nie krzyżują - są całkowicie autonomiczne, ale moja świadomość uczestniczy w każdym z nich. Niektórzy cyrkowcy potrafią żonglować jednocześnie wielką liczbą różnych przedmiotów. To, co oni robią za pomocą ciała, ja robię za pomocą umysłu - ot, i wszystko. Z powodu tej cechy mam skłonność do sporządzania list i rozbijania wszystkiego na punkty i podpunkty - nawet tam, gdzie człowiek nie dopatrzyłby się takiej potrzeby. Z góry przepraszam, jeżeli takie podziały i wyliczenia wystąpią na tych stronicach. Właśnie tak odbywa się to w mojej głowie.

Najwyraźniej, jak mogłam, wyobraziłam sobie zmarłego sikha, trzykrotnie wyrecytowałam mantrę żałobną i zalogowałam się na „reuters.com”, żeby się dowiedzieć, co nowego na świecie. Na świecie wszystko było dokładnie tak samo jak przez ostatnie dziesięć tysięcy lat. Pośmiałam się chwilę z nagłówka „America Ponders Mad Cow Strategy”⁶ i przeniosłam się do swej poczty elektronicznej.

⁶ Ameryka obmyśla strategię szalonych krów (ang.). Chodzi o strategię działania, mającą powstrzymać epidemię choroby szalonych krów (przyp. tłum.).

Oprócz propozycji wydłużenia penisa i zazipowanego pliku, którego wołałam nie otwierać mimo kuszącego tematu („Britney Blowing a Horse”⁷), czekała mnie radosna niespodzianka - list od siostrzyczki I Huli, od której dawno nie miałam żadnych wiadomości.

Znałam siostrzyczkę I Huli od epoki Walczących Królestw. Była to wyjątkowa cwaniara. Wiele stuleci temu zasłynęła na całe Chiny jako cesarska nałożnica imieniem Śmigła Jaskółka. W rezultacie obserwacji jej lotów cesarz przeżył o dwadzieścia lat mniej, niżby mógł. I Huli została za to ukarana przez duchy-opiekunów i usunęła się w cień; zaczęła się specjalizować w bogatych arystokratkach, których w tajemnicy przed światem doiła w zaciszu podmiejskich rezydencji. Przez ostatnie kilkaset lat mieszkała w Anglii. List był bardzo krótki:

Cześć, ruda!

Co u Ciebie? Mam nadzieje, że wszystko dobrze. Przepraszam, że zawracam Ci głowę takim głupstwem, ale potrzebuje Twojej konsultacji. Podobno w Moskwie jest świątynia Chrystusa Zbawcy, którą najpierw zburzono, nie pozostawiając kamienia na kamieniu, a potem odbudowano w poprzednim kształcie. Czy to prawda? Co o tym wiesz? Odpowiedz szybko!

Kocham i pamiętam,

Twoja I

Dziwne, pomyślałam, o co jej nagle chodzi? Ale prosiła, żeby szybko odpowiedzieć. Kliknęłam na ikonę „odpowiedz”.

Cześć, rudzielcu!

U nas na północy bez zmian. Wkrótce napiszę bardziej szczegółowo, a na razie odpowiem tylko na Twoje pytanie. Tak, w Moskwie jest świątynia Chrystusa Zbawiciela (tak brzmi prawidłowa nazwa), którą wysadzono w powietrze po rewolucji i odbudowano pod koniec ubiegłego wieku. Rzeczywiście nie pozostał z niej kamień na kamieniu - na jej miejscu przez długie lata był basen. A teraz basen zasypano i znowu wzniesiono świątynię. Z kulturowego punktu widzenia jest to wydarzenie niejednoznaczne - na pewnej demonstracji widziałam taki transparent: „Żądamy odbudowania basenu «Moskwa», barbarzyńsko zniszczonego przez kleptokrację!” Co do mnie, to ani razu nie odwiedziłam żadnego z tych zakładów i nie mam własnego zdania na ten temat.

⁷ Britney Spears obciąża koniowi (ang.).

*Kocham i pamiętam,
Twoja A.*

Wysłałam list i weszłam na stronę „dziwki.ru”. Wyglądała malowniczo - nawet reklamowe *pop-ups* w większości były tematyczne:

*Zobaczyć Paryż i żyć!
Durex anal extra strong.*

Tu też pojawiły się nowe ogłoszenia. Rynek poszukiwał nowych dojsć i nisz: znajdowałam prezerwatywy Occam's Razor z portretem średniowiecznego scholastyka i hasłem „Bytów nie należy mnożyć bez konieczności”. Williama Occama znałam osobiście. Chyba w czternastym wieku powiedziałam mu przy spotkaniu, że od jego zasady-brzytwy jest tylko jeden krok do duchowej kastracji. Długo uganiał się za mną po swoim monachijskim domu, a dwa wieki później zaczęła się Reformacja. Nie miałam jednak czasu na wspomnienia - musiałam jak najszybciej ułożyć ogłoszenie, a w tym celu należało przejrzeć istniejące wzorce.

Na szczęście było ich całe mnóstwo. Zainteresowała mnie pewna osobliwość gatunku: wiele dziewcząt ozdabiało swoje ogłoszenia wierszowanymi wstawkami, niemającymi nic wspólnego z wachlarzem usług - taki słowny piercing, w którym ja też postanowiłam się poćwiczyć.

Po godzinie miałam gotowy tekst. Wymagający krytyk nazwałby go pewnie kompilacją, ale nie zamierzałam przecież wyrabiać sobie nazwiska w kręgach literackich. Moje ogłoszenie zaczynało się tak:

*Jestem sexy, chociaż mała,
I w tych rzeczach doskonała!*

*Buzia, talia, pupa, biust, wszystko jest, na każdy gust!
Seks klasyczny, seks analny, temperament tropikalny!*

Drugi dwuwiersz, oddzielony od pierwszego pustą linią, nie był z nim związany ani rymem, ani metrum - jak dwa różne kolczyki w jednym uchu. Wyglądało to bardzo

autentycznie, inne dziewczyny robiły tak samo. Po napisanych tłustym drukiem wierszykach szedł blok informacyjny:

Bajka z Twoim Końcem!

Małe piersi za duża kasę. Rudy kociaczek czeka na telefon od zamożnego pana. Seks klasyczny, głęboka i królewska mineta (deep throat), anal, petting bandage, chłosta (w ofercie Rosyjska Nahajka), foot-fetysze, strapon, gałązka sakury, miłość lesbijska, stymulacja oralna i analna, cunnilinctio, zamiana ról, złoty i srebrny deszcz, fisting piercing kateter, scat, piss, łagodna i głęboka dominacja, usługi Pani i Niewolnicy. Face control. Przyjazd na wezwanie. Możesz wiele. Prawie wszystko. Przeleć mnie i zapomnij! Jeśli potrafisz...

Niczego sobie kociaczek, pomyślałam, przeczytawszy gotowy tekst. Szczerze mówiąc, nie bardzo się orientowałam, co ma z tym wszystkim wspólnego bandage i gałązka sakury. Fisting też wyobrażałam sobie bardzo mgliście, ale ponieważ w innych ogłoszeniach reklamowano go jako już to oralny, już to waginalny, było to takie samo obrzydlistwo jak cała reszta. Fisting... może to od słowa *fist* - kiedy się wsadza piść? Czyli że może być *i per os*? A w jednym z ogłoszeń widziałam takie oto wyliczenie: „mineta, piar, cunnilinctio”. O co tu chodziło? Albo „ strapon”. Brzmi jak coś kosmicznego w stylu romantycznych lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Ale chyba nie o to chodzi. Na szczęście, ja nie muszę wiedzieć, co to jest strapon - najważniejsze, żeby wyobrażał to sobie klient.

Sądzę, że nikt poza lisicą nie zrozumie, jak mogę świadczyć usługę „ strapon”, nie wiedząc, co to jest. Trudno coś takiego wytłumaczyć, można tylko przywołać analogie. Odbieram świadomość klienta jako sprężystą ciepłą kulę, i aby wysłać biedaczynę do świata jego marzeń, muszę najpierw zrobić swoim ogonkiem wgniecenie w najgorętszym miejscu tej kuli, a potem sprawić, by wgniecenie się wygładziło i rozeszło falkami po całej powierzchni. I to będzie strapon. A jeśli skłoni się łagodnie owo wgniecenie, żeby się wywinęło na drugą stronę i zamieniło w maleńką cipkę, to będzie taki strapon, że klient, śliniąc się, będzie go wspominać dopóty, dopóki jego umysł nie pograży się w zimnym oceanie choroby Alzheimera.

To samo odnosi się do fistingu, łagodnej dominacji i tak dalej - nawet jeśli chcecie kijem bejsbolowym zatłuc na śmierć niemłodego transwestytę po wyższej szkole muzycznej i ze złotym zębem w ustach, to i w tym wątpliwym projekcie mogę wam służyć pomocą. Ale dla mnie samej lepiej jest nie wiedzieć do końca, co się dzieje w ludzkiej świadomości - w ten sposób łatwiej zachować czystość duszy.

Dlatego też nie miałam wątpliwości, że sobie poradzę z całym wachlarzem proponowanych usług, jakiegokolwiek by były. Mimo to w tekście czegoś mi brakowało. Po namyśle dodałam po słowach „rudy kociaczek czeka na telefon od zamożnego pana” następującą wstawkę:

Transseksualistka, uniwersalistka, penis 26x4. Zawsze przestrzegać zasad - to znaczy pozbawić się wszystkich przyjemności! Trzeba umieć popełniać głupstwa, których domaga się od nas nasza natura.

Ach, gdyby oni wiedzieli, czym jest nasza natura, westchnęłam i usunęłam transseksualistkę. Jak mawiał kucharz wielkiego księcia Michała Aleksandrowicza, kaszy masłem nie zepsujesz, ale łatwo zepsuć masło kaszą. Tu potrzebne było co innego... Po zastanowieniu postanowiłam zamienić „usługi Pani i Niewolnicy” na „usługi Pani, Niewolnicy i Pięknej Damy”. Nie pociągało to za sobą dodatkowego wysiłku fizycznego, choćby tylko wyobrażonego, ale otwierało szerokie pole fantazji.

A może zalakierować całość klasyką? Aleksandrem Błokiem?

„Szczęśliwości nieznane krainy te objęcia przede mną otwarły, i, spadając, maneł dzwoniły głośniejsz niżli w snach jego marnych...”

Albo tak:

„Szczęścia dziwne, nieznane krainy ujrzał w oczach zwięzonych, srogich, i, spadając, maneł dzwoniły głośniejsz niżli w snach jego ubogich...”

Sny, marzenia... Moja znajoma kurtyzana z czasów Późniejszej Dynastii Han często mawiała, że najsłabszym miejscem mężczyzny jest jego marzycielski umysł. Kiedy się zestarzała, oddano ją wodzowi koczowników w charakterze okupu, a ten ugotował nieszczęsną w kobyliim mleku, mając nadzieję przywrócić jej młodość. Tak oto słabość staje się niekiedy straszliwą siłą.

Nie, zdecydowałam, Błoka tu wstawiać nie należy - jego poezja oczyszcza duszę i budzi w niej wzniosłe emocje. A jeśli w kliencie zbudzą się wzniosłe emocje, my stracimy klienta, wie o tym każdy specjalista od marketingu. Wobec tego zamiast cytatu ze *Słowiczego sadu* dopisałam na końcu następujący dwuwiersz:

Kipię żądzą, więc zadzwoń, proszę,

Obiecuję zmysłowe rozkosze!

Doskonalić tekst można by w nieskończoność - wiadomo, że u prawdziwego poety proces ten trwa do momentu, kiedy wydawca przychodzi po rękopis. W tym wypadku musiałam odebrać rękopis sobie samej. Dlatego postanowiłam postawić kropkę.

Nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z witryną „dziwki.ru”. Procedura zamieszczenia informacji okazała się taka sama jak w innych podobnych witrynach, była jednak pewna nieprzyjemna różnica - ogłoszenie i zdjęcia opłacało się osobno. Umieszczenie gołego tekstu kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów, zdjęcia były po dwadzieścia za sztukę. Miałam trzy WMZ - karty, które honorowano w Internecie - na sto, pięćdziesiąt i dwadzieścia dolarów. Najwyraźniej wszystko było dostosowane do tych nominałów. Mogłam zamieścić tylko jedno zdjęcie - albo jechać na stację metra Pawlecka po nowy zapas pieniędzy internetowych. Postanowiłam poprzestać na jednym zdjęciu, ale wysłać je natychmiast, żeby jutro już znalazło się w sieci. Szybko tego zrobić jednak mi się nie udało - wybierałam fotografię prawie godzinę.

Wybór był trudny, bo każdy wariant ukazywał usługi z mojej listy w innym świetle, nadając straponowi i fistingowi nowe odcienie znaczeniowe. W końcu zdecydowałam się na stare, czarno-białe zdjęcie - na tle półek z książkami, z tomikiem Chodasiewicza w ręku. Była to *Ciężka lira*, a sama fotografia, zrobiona w latach czterdziestych, wyglądała dziwnie i zagadkowo - rzekłbyś, migotał na niej pożegnalny odbłask Srebrnego Wieku, co zresztą nawiązywało do ostatniej wymienionej usługi. Jak to dobrze, że zdążyłam poddać obróbce cyfrowej najcenniejsze negatywy i dagerotypy!

Pozostało mi tylko wybrać pseudonim twórczy. Odszukawszy przez „Google” odpowiedni wykaz, wzięłam z samego początku imię „Adela”. Piekielne skojarzenie...⁸

Zdjęcie było dobrej jakości i zajmowało ćwierć megabajta. Kliknęłam „wyślij”. Moja buzia uśmiechnęła się posłusznie, zanurkowała przewodami w ścianę, pomknęła przez kabel telefoniczny, przeskoczyła po elektrycznym kręgosłupie ulicy, przemieszała się z innymi imionami i twarzami, pędzącymi Bóg wie skąd i dokąd, i pognęła do dalekiej sieciowej śluzi, do ledwie widocznych na horyzoncie brył niebieskoszarych atlantyckich serwerów...

Telefon w związku z ogłoszeniem zadzwonił następnego rana, trochę po jedenastej. Klient nazywał się Paweł Iwanowicz. Zainteresował go ten fragment mojego ogłoszenia, w którym była mowa o Rosyjskiej Nahajce. Jak się okazało, Rosyjską Nahajkę miał własną, i to nie jedną, ale aż pięć - cztery na specjalnym rzeźbionym stojaku i jedną w torbie tenisowej.

⁸ *Ad* (ros.) - piekło.

Chcę się od razu zastrzec - z przyjemnością wyrzuciłabym ze swoich zapisków wszelkie wzmianki o Pawle Iwanowiczu, ale bez niego opowieść byłaby niepełna. Odegrał w moim życiu ważną rolę, tak jak może ją odegrać zaplute podziemne przejście, którym bohaterka przypadkowo przedostaje się na drugi brzeg przeznaczenia. Dlatego też muszę jednak o nim opowiedzieć i przepraszam za nieapetyczne szczegóły. W niektórych grach komputerowych jest klawisz „Tx2”, po którego naciśnięciu czas płynie dwa razy szybciej. Ja też tak zrobię - naciśnę taki klawisz i postaram się zawrzeć wszystko w jak najmniejszej objętości.

Chyba Diogenes Laertios opowiadał o filozofie, który trzy lata uczył się obojętności, ofiarowując monetę każdemu, kto go obraził. Po zakończeniu nauki filozof przestał rozdawać pieniądze, ale nauka nie poszła w las: pewnego razu obraził go jakiś gbur, a on, zamiast rzucić się na niego z pięściami, wybuchnął śmiechem. „Coś takiego - powiedział - dziś dostałem za darmo to, za co przez całe trzy lata płaciłem!”

Kiedy przeczytałam to po raz pierwszy, pozazdrościłam, że nie nabyłam w swoim życiu podobnych doświadczeń. Po poznaniu Pawła Iwanowicza zrozumiałam, że takie doświadczenie już mam.

Paweł Iwanowicz był niemłodym półinteligentem, przypominającym nadpaloną włochatą świecę różowego koloru. Dawniej prawicowy liberał (nie rozumiałam sensu tego dziwnego połączenia), po wiadomych wydarzeniach tak dalece się pokajał, że wziął na siebie osobistą odpowiedzialność za nieszczęścia ojczyzny. Dla ukojenia duszy musiał raz albo dwa razy w miesiącu przyjmować chłostę od Młodej Rosji, którą skazał na nędzę, zmuszając, by zamiast studiować na uniwersytecie, zarabiała na życie biczowaniem starych zbrojeńców. W ten sposób powstawał zamknięty krąg, nad którym może bym się serio zastanowiła, gdyby Paweł Iwanowicz nie masturbował się w czasie seansu. To rozwiąło całą tajemniczość.

Gdyby w roli Młodej Rosji występowała prawdziwa prostytutka skądś z Ukrainy, nigdy nie udałoby mu się umówić na godzinny seans za pięćdziesiąt dolarów. Chłosta to ciężka praca, nawet jeśli się ją jedynie sugeruje. Zaczęłam jednak jeździć do Pawła Iwanowicza nie tylko dla pieniędzy, ale także dlatego, że potwornie mnie drażnił, wywołując prawdziwe ataki furii. Musiałam mobilizować całą siłę woli, żeby się opanować. Ze względów praktycznych powinnam była się nastawić na bogatszych sponsorów. Ale charakter należy ćwiczyć właśnie w trudnych okresach życia, kiedy nie widzi się w tym sensu. Dopiero wówczas przynosi to korzyść.

Żeby dobrze zrozumiała własną rolę w całym tym akcie, Paweł Iwanowicz opowiedział mi szczegółowo o przyczynach swej pokuty. Chciałam zażądać za owo zrozumienie jeszcze pięćdziesięciu dolarów za godzinę i czekałam na moment, kiedy będzie można poruszyć sprawę taksy. Ale ten moment wciąż nie nadchodził: Paweł Iwanowicz mówił niezwykle długo. Za to z jego wyjaśnień zaczerpnęłam masę interesujących informacji.

- A więc, moja droga, w latach 1940-1946 wielkość produkcji przemysłowej w Rosji spadła o dwadzieścia pięć procent. Przy wszystkich okropnościach wojny. Natomiast w latach 1990-1999 - o ponad połowę... Bardziej niż po Czyngis-chanie i Hitlerze razem wziętych. I nie jest to gadanina komuchów, pisze o tym Joseph Stiglitz, główny ekonomista Banku Światowego i laureat Nagrody Nobla. Nie czytałaś *Globalization and its Discontents*? Straszna książka. A co się tyczy Ameryki, to ona w ogóle nie potrzebuje bomby atomowej, póki istnieje WTO i Międzynarodowy Fundusz Walutowy...

Z tego wszystkiego omal nie zapomniałam, po co siedzę w jego mieszkaniu, a przypomniała mi o tym skórzana nahajka, leżąca między nami na stole. Wkrótce wyjaśniło się też, że skrucha Pawła Iwanowicza jest totalna - obejmuje nie tylko aspekt ekonomiczny rosyjskich przemian, ale i historię kulturalną ostatnich dziesięcioleci.

- Czy ty wiesz - mówił, uważnie patrząc mi w oczy - że CIA w swoim czasie finansowała ruch beatników i rewolucję psychodeliczną? Celem było stworzenie kuszącego obrazu Zachodu w oczach młodzieży. Trzeba było udawać, że *America has fun* - bawi się. I udawaliśmy - nawet sami na chwilę uwierzyliśmy. Ale najśmieszniejsze jest to, że wszystkie te dzieci generałów LSD, które próbowały KGB i sumiennie naśladowały beatników, rzeczywiście szły na pasku CIA, to jest popełniały ten właśnie grzech, o który obwiniała je partia! A przecież była to przyszła inteligencja, system nerwowy narodu...

Mówiąc o winie inteligencji wobec narodu, ciągle używał dwóch terminów, które mnie wydawały się synonimami - „inteligent” i „intelektualista”. W końcu nie wytrzymałam i spytałam:

- Czym się różni inteligent od intelektualisty?

- Różnica jest bardzo istotna - odparł. - Mogę to wytłumaczyć tylko alegorycznie.

Rozumiesz, co to znaczy?

Kiwnęłam głową.

- Kiedy jeszcze byłaś malutka, żyło w tym mieście sto tysięcy ludzi, którzy otrzymywali pensję za to, że całowali w dupę ohydneho czerwonego smoka. Którego ty pewnie już w ogóle nie pamiętasz...

Pokręciłam przecząco głową. Kiedyś we wczesnej młodości naprawdę widziałam czerwonego smoka, ale już zapomniałam, jak wyglądał - pamiętam tylko swój strach. Paweł Iwanowicz jednak raczej nie miał na myśli tamtej sytuacji.

- Oczywiście te sto tysięcy nienawidziło smoka i marzyło o tym, by rządziła nimi zielona ropucha, która z nim walczyła. No i porozumieli się z ropuchą, otruli smoka szminką otrzymaną od CIA i rozpoczęli nowe życie...

- A co ma do tego intel...

- Cierpliwości. - Paweł Iwanowicz podniósł dłoń. - Najpierw myśleli, że pod rządami ropuchy będą robić kropka w kropkę to samo, tylko pieniędzy zaczną otrzymywać dziesięć razy więcej. Okazało się jednak, że zamiast stu tysięcy lizodupów potrzebni są teraz trzej profesjonaliści, którzy pracując po osiem godzin na dobę, będą robić ropusze permanentną głęboką minetę. A kto konkretnie spośród stu tysięcy znajdzie się w tej trójce, zadecyduje konkurs, na którym trzeba się będzie wykazać nie tylko wysokimi kwalifikacjami zawodowymi, ale także umiejętnością uśmiechania się optymistycznie kącikami ust podczas roboty...

- Przyznam się, że już straciłam wątek.

- Proszę, oto wątek. Te sto tysięcy nazywano inteligencją.

A tych trzech nazywa się intelektualistami.

Mam pewną trudną do wyjaśnienia cechę. Nie znoszę, kiedy się przy mnie wymawia słowo „mineta” - w każdym razie poza kontekstem zawodowym. Nie wiem czemu, ale doprowadza mnie to do szału. Poza tym metafora Pawła Iwanowicza wydała mi się tak chamską aluzją do mojej profesji, że aż zapomniałam o dopłacie, o którą chciałam poprosić.

- Mówi pan o głębokiej minecie, że bym mogła zrozumieć? Z uwagi na swoje doświadczenie życiowe?

- Ależ skąd, moja droga - odrzekł wyrozumiale Paweł Iwanowicz. - Używam takich terminów, bo sam zaczynam przy tym rozumieć, w czym rzecz. A rzecz nie w twoim doświadczeniu życiowym, tylko w moim...

Innym razem w czasie chłosty zaczął czytać jakiś magazyn. To było obraźliwe samo w sobie. Kiedy zaś jął pukać palcem w jakiś artykuł i mamrotać „zamknąłbyś się, gnoju”, zirytowałam się i przerwałam seans - to jest zasugerowałam przerwę.

- O co chodzi? - zapytał ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem, czy to ma być flagelacja, czy czytelnia?

- Przepraszam cię, moja droga - odrzekł. - Znalazłem tu oburzający wywiad. Po prostu skandal!

I przytknął palcami w magazyn.

- Nie mam nic przeciwko powieściom kryminalnym, ale nie mogę znieść, kiedy ich autorzy zaczynają pouczać, jak rządzić Rosją.

- Dlaczego?

- To tak, jak gdyby małolata, którą kierowca TIR-a podwozi za minetę, nagle oderwała głowę od miejsca pracy i zaczęła go pouczać, jak się przemywa gaźnik na mrozie.

Paweł Iwanowicz najwyraźniej nie miał pojęcia, jak obraźliwie to brzmi w rozmowie z przedstawicielką seksusług.

Zdażyłam jednak wyczuć falę gniewu, jeszcze zanim mnie ogarnęła, dzięki czemu w mojej duszy rozlał się radosny spokój.

- A cóż w tym dziwnego? - rzuciłam jakby nigdy nic. - Może obsłużyła tylu kierowców, że poznała wszelkie aspekty ich życia i teraz rzeczywiście wie, jak się przemywa gaźnik.

- A mnie, moja droga, żal kierowców, którzy potrzebują w charakterze konsultanta gadatliwej mineciary. Tacy daleko nie zajadą.

„Gadatliwa mineciara”, no tak. Ależ on jest jednak... Znów pochwyciłam wybuch wściekłości w momencie jego powstania, i gniew nie zdążył się ujawnić.

To było wspaniałe. Jakbym w czasie burzy skoczyła na deskę surfingową i mknęła na niej po falach zgubnych emocji, które nic nie mogą mi zrobić. Gdyby tak można było czynić zawsze, pomyślałam, iluż ludzi pozostałoby przy życiu... Nawet nie próbowałam przeczytać Pawłowi Iwanowiczowi. My, lisice kroczące ponadświatową drogą tao, nie powinniśmy mieć w takich kwestiach własnego zdania. Jasne było jedno - Paweł Iwanowicz okazał się nieocenionym trenerem ducha.

Niestety, za późno zrozumiałam, że to dla mnie zbyt ciężka waga. Kiedy po raz pierwszy utraciłam nad sobą kontrolę, obeszło się bez urazów. Wyprowadził mnie z równowagi jednym zdaniem o Nabokowie (nie mówiąc już o tym, że na jego biurku leżała kserokopia artykułiku pod tytułem *Objawienie się fryzjera kelnerom: fenomen Nabokowa w kulturze amerykańskiej*).

Polubiłam Nabokowa w latach trzydziestych, już wtedy, gdy otrzymywałam jego paryskie teksty przez wysoko postawionych klientów z NKWD. Ach, jakież świeży powiew roztaczały te kartki maszynopisu w koszmarnej stalinowskiej stolicy! Pamiętam, że szczególne wrażenie zrobił na mnie fragment z *Poematu paryskiego*, który dostałam już po wojnie:

*W owym życiu, tak kipiącym od wzorów
(Wiecznie nowym, bowiem z innych słów
Już inaczej, przez innych aktorów
Inny teatr wystawi je znów),
Miałbym sobie za coś cudownego
Ten kobierzec w taki złożyć zbiór,
Żeby przypadł wzór dnia dzisiejszego
Na ten dawny, miniony wzór...*

Władimir Władimirowicz napisał to o nas, lisicach. My rzeczywiście bez końca oglądamy przedstawienie w wykonaniu nerwowych aktorów-ludzi, przekonanych, że odgrywają je na ziemi pierwsi. Wymierają niewyobrażalnie szybko, zastępuje ich nowa obsada, która zaczyna grać te same role z tym samym patosem.

Co prawda, dekoracje są wciąż inne, do przesady. Ale sama sztuka nie zmienia się już od bardzo dawna. Ponieważ zaś my pamiętamy bardziej wzniosłe czasy, stale dręczy nas tęsknota za utraconym pięknem i sensem. I w ogóle te wiersze poruszyły we mnie wiele strun naraz... À propos strun - ten dywan z *Poematu paryskiego* został wywieszony w wierszu Humberta Humberta:

*Dokąd jedziesz, Dolores Haze?
Jakiej marki dywan latający dziś w modzie?
Kremowy kuguar? Gdzie parkujesz, hej,
Moje zwierzątko w samochodzie?*⁹

Ja wiem, jakiej marki. Został utkany w Paryżu, chyba w trzydziestym ósmym roku, w letni dzień, pod białymi gigantami obłoków zastygłych w lazurze, a potem, zwinięty w rulon, dojechał do Ameryki... Trzeba było wszystkich okropności drugiej wojny światowej, całej potworności podyktowanych przez nią wyborów, aby go powieszono w przedpokoju Humberta. A tutaj ten półinteligent wypłata takie brednie!

- Szczęście, moja droga, to sprzeczność sama w sobie.

Dostojewski zapytywał, czy jest ono do pomyślenia, jeśli zapłacono za nie łzą dziecka. A Nabokow, odwrotnie, zastanawiał się, czy szczęście jest możliwe bez niej.

⁹ Przekład Roberta Stillera.

Takiego plunięcia na grób pisarza nie wytrzymałam i cisnęłam nahajkę na podłogę. Chcę powiedzieć, że nie przestałam po prostu sugerować Pawłowi Iwanowiczowi biczowania, ale sprawiłam, że zobaczył, jak nahajka uderza o podłogę z taką siłą, że na parkiecie powstaje rysa. Musiałam ją potem własnoręcznie zacierać, kiedy on poszedł pod prysznic. Unikam dyskusji z ludźmi, ale tym razem mnie poniosło i przemówiłam z powagą, jakbym miała przed sobą inną lisicę:

- Obraża mnie, kiedy ktoś myli Nabokowa z jego bohaterem. Albo nazywa go ojcem chrzestnym amerykańskiej pedofilii. To całkowicie błędna opinia o pisarzu. Niech pan sobie zapamięta: Nabokow sypie się nie wtedy, kiedy opisuje zakazane wdzięki nimfetki. Nikt nie demaskuje się przez całe stronice, na całych stronicach się tworzy. Autor sypie się wówczas, kiedy wymyka mu się wzmianka o imponujących pieniądzach Humberta, które pozwalają mu na podróżowanie z Lolitą po całej Ameryce. O tym, co ma w sercu, zawsze wspomina ukradkiem...

Opamiętałam się i zamilkłam. Historię Lolity odbierałam bardzo osobiście i serio: Dolores Haze była dla mnie symbolem duszy wiecznie młodej i czystej, a Humbert - prezesem rady nadzorczej tego świata. Poza tym wystarczy w linijce wiersza, opisującej wiek Lolity („Wiek: pięć tysięcy trzysta dni”), zastąpić słowo „dni” słowem „lat”, a tekst będzie dokładnie o mnie. Naturalnie jednak nie podzieliłam się tą wiadomością z Pawłem Iwanowiczem.

- Dalej, dalej proszę - powiedział zdumiony.

- Pisarz marzył oczywiście nie o smarkatej amerykańskiej uczennicy, ale o skromnym dostatku, który pozwoliłby mu spokojnie łowić motyle na przykład gdzieś w Szwajcarii. W takim marzeniu nie widzę nic hańbiącego dla rosyjskiego szlachcica, który pojął, jak próżne są wszelkie ziemskie wysiłki. A wybór tematu książki, która miała zapewnić ów dostatek, daje wyobrażenie nie tyle o skrytych skłonnościach jego serca, ile o tym, co myślał pisarz o swych nowych współobywatelach, a także jak dalece obojętna mu była ich opinia na jego temat. To, że książka stała się arcydziełem, też nietrudno wyjaśnić - talentu nie sposób ukryć...

Kończąc tę tyradę, wymyślałam sobie w duchu najgorszymi słowami. I było za co.

Profesjonalnie jestem nastolatką o niewinnych oczach. Takie istoty nie wygłaszają długich przemów o twórczości pisarzy ubiegłego wieku. Mówią prymitywnie i prosto, głównie o tym, co materialne i widoczne. A tu...

- Ależ cię poniosło, no, no - wymamrotał ze zdziwieniem Paweł Iwanowicz. - A jak ci oczka błyszczą! Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś?

- Niechący - mruknęłam ponuro. - Jak robiłam jednemu filologowi fisting analny...

Obiecałam sobie uroczyście, że więcej nie będę się z nim wdawała w dyskusje o kulturze, tylko wykorzystam go, zgodnie z pierwotnym zamiarem, jako materiał do rozwijania siły ducha. Ale było już za późno.

We współczesnym społeczeństwie poddawanie się instynktom wpojonym w innej epoce, a w dodatku w bardzo odmiennej kulturze, to rzecz zgubna. To coś takiego jak żyroskopy ustawione na umarłej planecie: lepiej się nie zastanawiać, jaki kurs pokazują.

W starożytnych Chinach żyli ludzie szlachetnego ducha. Gdybym zademonstrowała pierwszemu lepszemu uczoneму podobną znajomość klasycznego kanonu, zadłużyłby się, byle tylko nagrodzić mnie podwójną opłatą, i jeszcze przysłałby mi do domu wierszowany list, przypięty do gałęzi śliwy. Może podświadomie liczyłam na coś podobnego, wdając się z Pawłem Iwanowiczem w rozmowę o Nabokowie. Ale rezultat okazał się całkiem inny.

Przy następnym spotkaniu Paweł Iwanowicz poprosił o seans na kredyt, ponieważ właśnie kupił sobie lodówkę. Wypowiedział swą prośbę tonem współpiskowca, dawnego wypróbowanego towarzysza pielgrzymek po bezdrożach ducha. Tak mógłby mówić poeta pożyczający od kolegi po piórze flaszki atramentu. Nie potrafiłam odmówić.

Nowa lodówka, zajmująca połowę jego kuchni, wyglądała jak występ góry lodowej, która przebiła burtę statku i wdarła się do ładowni. Mimo to kapitan był pijany i wesoły. Już dawno zauważyłam, że nic tak nie cieszy rosyjskiego półinteligenta (na intelektualistę Paweł Iwanowicz z pewnością nie wyglądał), jak nabycie nowego sprzętu gospodarstwa domowego.

Nie lubię pijanych, toteż zachowywałam się dość ponuro. Klient powiązał to chyba z faktem, że chłosta ma się odbyć na kredyt, i nie był szczególnie natrętny. Przeszliśmy do rzeczy w milczeniu, jak para zgranych estońskich żeglarzy: Paweł Iwanowicz wręczył mi wystrzępioną nahajkę, którą przechowywał w torbie tenisowej z autografem Borisa Beckera, rozebrał się, położył na tapczanie i otworzył najnowszy numer „Eksperta”.

Domyślałam się, że nie chodzi tu o lekceważące nastawienie do mojej sztuki i nawet nie umiłowanie słowa drukowanego. Najwyraźniej skrucha wobec Młodej Rosji sąsiadowała w jego duszy z niepojętymi dla mnie wibracjami, i wszystkich swoich sekretów mi nie zdradził. Nie zamierałam się jednak zagłębiać w jego świat wewnętrzny dalej niż do opłaconego poziomu, więc nie zadawałam żadnych pytań. Wszystko przebiegało jak zwykle - chłoszcząc go po tyłku wymaginowaną nahajką, rozmyślałam o swoich sprawach, a on mamrotał cicho, niekiedy pojękując, a niekiedy się śmiejąc. Było nudno i wydawało mi się, że

jestem odaliską w haremie, powolnymi ruchami wachlarza odganiającą muchy od cielska baszy. Nagle Paweł Iwanowicz powiedział:

- Coś podobnego, ależ ten adwokat ma nazwisko - Anton Wiertło. Musiał mieć z tym ciężkie życie... Pewnie mu w szkole dokuczali... Ludzie o takich nazwiskach mają potem odchylenia psychiczne, to fakt. Na przykład wszyscy Kozłowie potrzebują pomocy psychoterapeutów. Potwierdzi ci to każdy fachowiec.

Oczywiście nie powinnam była podtrzymywać rozmowy i pozwalać, by sytuacja wyszła poza ramy stosunków profesjonalnych. Ale nie wytrzymałam, bo imiona i nazwiska to mój konik.

- Nic podobnego - zaprzeczyłam. - Nazwiska mogą być najróżniejsze. Na przykład mam koleżankę o bardzo brzydko brzmiącym imieniu. Tak brzydko, że śmiałyby się pan, gdybym je powiedziała. Właściwie to prawie wulgaryzm. A ona sama jest piękną, mądrą i dobrą dziewczyną. Imię czy nazwisko - to jeszcze nie wyrok.

- Może słabo znasz swoją przyjaciółkę, moja droga. Jeżeli ma jako nazwisko wulgarnie słowo, to to słowo wylezie i w życiu. Zobaczysz, ona ci jeszcze pokaże. Od tego, jak się nazywamy, zależy wszystko. Istnieje taka hipoteza naukowa, że imię każdego człowieka jest pierwotnym rozkazem mentalnym, który w maksymalnie skondensowanej formie zawiera cały scenariusz jego życia. Rozumiesz, co to jest rozkaz mentalny? Masz pojęcie, co to jest sugestia?

- W ogólnych zarysach - odrzekłam i w myślach smagnęłam go mocniej.

- Uch... Według tej hipotezy, istnieje ograniczona liczba imion, jako że społeczeństwo potrzebuje określonej liczby ludzkich typów. Kilka modeli mrówek robotnic i wojowników, jeśli można się tak wyrazić. I psychika każdego człowieka zostaje zaprogramowana na poziomie bazowym przez pola skojarzeniowo-semantyczne, które uruchamia imię i nazwisko.

- Brednie - oświadczyłam zirytowana. - Nie ma na świecie dwóch identycznych osób, które nazywałyby się jednakowo.

- Tak jak nie ma dwóch identycznych mrówek. Ale tak czy inaczej, mrówki dzielą się na klasy w zależności od funkcji... Nie, imię to poważna sprawa. Zdarzają się imiona jak bomba z opóźnionym zapłonem.

- Co pan ma na myśli?

- Ano, opowiem ci historię prosto z życia. W Instytucie Archiwistyki pracował szekspirolog Szytman. Napisał pracę habilitacyjną *Ontologiczne aspekty „było nie było” jako „być albo nie być” w czasie przeszłym* czy coś w tym guście - i postanowił nauczyć się angielskiego, by móc czytać swego żywiciela w oryginale. A poza tym chciał pojechać do

Anglii, aby, jak mówił, „zobaczyć Londyn i umrzeć”. Zaczął się uczyć. I po kilku lekcjach dowiedział się, że *shit* po angielsku znaczy „gówno”. Wyobrażasz sobie? Gdyby, dajmy na to, wykladał chemię, nie byłoby to jeszcze takie straszne. Ale u humanistów wszystko się kręci dokoła słów, zauważył to jeszcze Jacques Derrida. Szekspiolog Shitman to to samo co puszkinolog Gowniszczera.

Trudno służyć pięknu z takim orderem w klapie. Zaczęło się facetowi wydawać, że krzywo na niego patrzą w British Council... Oni wtedy w ogóle nie mieli głowy do szekspiologów, przeżywali nalot policji podatkowej, a Szytman uznał, że dotyczy to osobiście jego. Rozumiesz chyba, moja droga, że kiedy człowiek szuka potwierdzenia swoich paranoidalnych pomysłów, to je zawsze znajdzie. Pominę smutne szczegóły i powiem krótko, że po miesiącu zwariował.

W tej chwili byłam już wściekła - zdawało mi się, że Paweł Iwanowicz usiłuje mnie obrazić, choć nie było do tego żadnych racjonalnych podstaw. Pamiętałam jednak, że najważniejsze to zachować zimną krew. Co mi się całkowicie udało.

- Naprawdę? - spytałam uprzejmie.

- Tak. W wariatkowie z nikim nie rozmawiał, tylko wrzeszczał na cały szpital. Czasem *Same shit different day!*, a czasem *Same shit different night!*¹⁰. Czyli jego nauka angielskiego nie poszła na marne - to i owo zapamiętał. W końcu wywieźli tego Szytmana samochodem z wojskową rejestracją; powiedzmy, że wzięli go do służb specjalnych. I nikt nie wie, co się z nim teraz dzieje, a ten, kto wie, nie powie. Taki sobie sen nocy letniej, moja droga. A ty mówisz, że od nazwiska nic nie zależy. Zależy, jeszcze jak. Jeżeli nazwisko czy imię twojej koleżanki przypomina ordynarne słowo, dziewczyna ma przed sobą jedną drogę. Prędkiej czy później wariatkowo. Właśnie, Szytman miał jeszcze szczęście, że wzięli go do służb specjalnych. Przecież na pewno słyszałaś, co się dzieje w naszych szpitalach psychiatrycznych. Tam robią ci minetę za jednego papierosa...

Trenowanie ducha przy użyciu człowieka-bodźca przypomina grę hazardową, w której stawia się wszystko na bank. Wygrana jest ogromna. Ale jeśli nie wytrzymasz i wybuchniesz, przegrywasz wszystko. Zniosłabym i pracę na kredyt, i puszkinologa Gowniszczera, i niewyparzony język klienta, gdyby nie dorzucił na szalę jeszcze tej minety za papierosa. Na to nie byłam przygotowana.

- Moja droga! - krzyknął Paweł Iwanowicz. - Skarbie, coś ty? Co ty wyprawiasz, zdziro? Milicja! Ludzie, ratunku!

¹⁰ To samo gówno różnego dnia! To samo gówno różnej nocy! Nawiązanie do filozoficznego pojęcia „różnicy” (*difference* i *différance*), stworzonego przez wymienionego wyżej filozofa francuskiego J. Derridę (przyp. tłum.).

Kiedy zaczął wołać milicję, opamiętałam się. Ale było już za późno - Paweł Iwanowicz zainkasował trzy takie uderzenia batogiem, jakich nie powstydziłby się Mel Gibson. I chociaż te trzy uderzenia były hipnotyczne, po plecach popłynęła mu prawdziwa krew. Oczywiście zaraz pożałowałam swego uczynku, ale to zawsze następuje o sekundę później, niż trzeba. Poza tym znowu oszukałam własne serce - wiedząc, że lada chwila ogarnie mnie skrucha, i już jakby przyjmując w duchu pozę pokutującej grzesznicy, na ostatek z mściwą rozkoszą wyszeptałam:

- A masz od Młodej Rosji, stary capie...

Przyglądając się teraz swemu życiu, widzę w nim dużo ciemnych plam. Ale tej chwili wstydzę się szczególnie.

Mnóstwo świątyń w Azji zaskakuje podróźnych kontrastem między ubóstwem pustych pomieszczeń a wielostopniowym przepychem dachów - z zagiętymi do góry narożnikami, drogocennymi rzeźbionymi smokami i szkarłatnymi dachówkami. Wymowa symboliczna tego faktu jest oczywista: skarby należy gromadzić nie na ziemi, ale na niebie. Ściany symbolizują ten świat, dach - świat następny. Sama budowla wygląda jak zwykła chałupina, lecz dach to istny pałac.

Kontrast między Pawłem Iwanowiczem a jego dachem¹¹ wydał mi się równie fascynujący, mimo że duchowego symbolizmu nie było tu wcale. Wiedziałam, że Paweł Iwanowicz to mała płotka. Natomiast jego dach... Ale po kolei.

Telefon zadzwonił w dwa dni po egzekucji, o ósmej trzydzieści rano, zbyt wcześnie nawet jak na klienta o dziwacznych wymaganiach. Numer, który ukazał się na wyświetlaczu, nic mi nie mówił. Wstałam o czwartej rano i do tego czasu zdążyłam zrobić masę rzeczy, ale na wszelki wypadek zamruczałam przeciągle zaspanym głosem:

- Halo...

- Adela? - upewnił się energiczny głos. - Dzwonię w związku z ogłoszeniem.

Zdjęłam już ogłoszenie z Internetu, ale ktoś mógł zapisać je sobie na przyszłość, klienci często tak robią.

- Dałby pan pospać dziewczynie, co?

- Jakie pospać, pakuj się i jazda!

- Jeszcze się nie obudziłam.

- Potrójna stawka za pośpiech. Jeżeli będziesz na miejscu za godzinę.

¹¹ Nieprzetłumaczalna gra słów - w rosyjskim żargonie przestępczym *krysha* (dach) oznacza ochronę lub zwierzchnika, szefa (przyp. tłum.).

Na obietnicę potrójnej stawki przestałam się certować i zapisałam sobie adres. Pewna moja latynoamerykańska siostrzyczka opowiadała, że panamski generał Noriega lubił popijać whisky przez całą noc, a rano wzywał na numerkę którąś z sześciu kobiet, jakie stale przy sobie trzymał - siostrzyczka o tym wiedziała, bo była jedną z nich. Ale to Panama - kokaina, gorąca krew. A w naszej szerokości geograficznej podobna ognistość o tak wczesnej porze wydała mi się dziwna. Nie wyczuwałam jednak niebezpieczeństwa.

Żeby było szybciej, pojechałam metrem i po jakichś pięćdziesięciu minutach znalazłam się na miejscu. Klient mieszkał w cichym zakątku centrum. Wszedłszy na podwórze wskazanego domu (wysokiej betonowej świecy z pretensjami do architektonicznego nowatorstwa), początkowo uznałam, że to pomyłka i że znalazłam się na zapleczu jakiegoś banku.

Przy żelaznej bramie w murze stali dwaj ochroniarze. Patrzyli na mnie z ponurym niedowierzaniem, więc podsunęłam im paperek z adresem. Wtedy jeden z nich wskazał mi brodą niepozorne drzwi z domofonem. Podeszłam tam.

- Adela? - zapytano z głośnika.

- We własnej osobie.

- Wejść na pierwsze piętro, ostatnie drzwi - powiedział domofon. - A dalej zobaczysz.

Drzwi się otwarły.

Nie bardzo to wyglądało na dom mieszkalny. Windy nie było; schodów właściwie też. To znaczy były, ale kończyły się na pierwszym piętrze przed czarnymi drzwiami bez wizjera i dzwonka, obok zaś błyszczała w ścianie maleńka soczewka kamery telewizyjnej: jakby ktoś wykupił wszystkie mieszkania w budynku, począwszy od pierwszego piętra, i zrobił do nich jedno wejście. Chociaż jest to prymitywne porównanie, wynikające z braku legitymistycznej kultury wielkich posiadłości. Dzwonić nie potrzebowałam - gdy tylko podeszłam, drzwi się otworzyły.

Na progu stał masywny facet pod pięćdziesiątkę, ubrany w stylu bandziorów z lat dziewięćdziesiątych. Miał na sobie dres marki Adidas, także buty i złoto - bransoletę i łańcuch.

- Wejść - zachęcił mnie, odwrócił się i ruszył korytarzem w głąb.

Miejsce wydawało się dziwne, przypominało wnętrze jakiejś instytucji. Jedne z drzwi w korytarzu były uchylone. Przez szparę dostrzegłam niklowaną metalową rurę, uchodzącą do okrągłej dziury w podłodze. Ale klient zatrzasnął mi drzwi przed nosem i nie zdążyłam się lepiej przyjrzeć.

- Proszę tutaj - powiedział i puścił mnie przodem.

Sypialnia na końcu korytarza wyglądała całkiem zwyczajnie, tylko nie spodobał mi się zapach - cuchnęło psem, przy czym jakoś bardzo konkretnie, niczym w psim domu schadzek. Oprócz szerokiego łóżka w pokoju znajdował się niski stolik z szufladą i dwa fotele. Na stoliku stała butelka szampana i kieliszki, obok - telefon z mnóstwem klawiszy. Leżała tam też niebieska kartonowa teczka na dokumenty.

- Gdzie jest prysznic? - spytałam.

Mężczyzna usiadł w fotelu i wskazał mi sąsiedni.

- Zaczekaj, jeszcze zdążysz. Najpierw lepiej się poznajmy.

Uśmiechał się po ojcowsku i uznałam, że trafił mi się klient z gatunku „uduchowionych”. Nazywam tak ludzi, którzy za swoją kasę chcą posiadać nie tylko ciało, ale i duszę. Tacy są szczególnie męczący. Żeby zniechęcić uduchowionego klienta, trzeba się zachowywać ponuro i nietowarzystwo. Niech dziaduga sobie myśli, że dziewczynka jest w trudnym wieku. W okresie kształtowania się osobowości nastolatki są zamknięte w sobie i opryskliwe, i każdy pedofil doskonale o tym wie. Taki sposób bycia szybko rozpustnika podnieca, co pozwala oszczędzić czas i wydebić wyższą opłatę za usługę. Ale w takim wypadku najważniejsze to we właściwym czasie zamknąć się w łazience.

Niektóre lisice, mieszkające w Ameryce i Europie, podchodzą do wykorzystania tego efektu w sposób naukowy. To znaczy myślą, że podchodzą naukowo, ponieważ czytają literaturę, która „odslania duszę współczesnego nastolatka”. Najbardziej cenią sobie piętnastoletnich autorów, którzy z rumieńcem zawstydzienia zdejmują przed czytelnikiem majtki z wewnętrznego świata swojego pokolenia. Jest to po prostu śmieszne. Nastolatki nie mają żadnego wspólnego wymiaru wewnętrznego - tak jak nie mają go ludzie w żadnym innym wieku. Każdy żyje we własnym wszechświecie i owo zgłębianie duszy nastolatka to po prostu rynkowa symulacja świeżości dla mieszczucha, który ma już po dziurki w nosie analnego seksu na wideo; to coś w rodzaju konwaliowego dezodorantu do toalet. Lisicy, która chce wiernie oddać zachowanie współczesnego nastolatka, takiej literatury czytać nie wolno: stanie się podobna nie do nastolatki, ale do starego aktora pedzia, grającego w parodii.

Właściwa technika jest zupełnie inna. I jak wszystko, co naprawdę działa, szalenie prosta:

1) przy rozmowie należy patrzeć w bok, najlepiej w jakiś punkt podłogi w odległości mniej więcej dwóch metrów;

2) w odpowiedzi rzucać najwyżej trzy słowa, nie licząc przyimków i spójników;

3) mniej więcej co dziesiąta replika powinna naruszać zasadę numer dwa i być lekko prowokacyjna, żeby klient nie nabrał przekonania, że ma do czynienia z debilną.

- Jak się nazywasz? - zapytał facet.

- Adela - odrzekłam, zezując w kąt.

- Ile masz lat?

- Siedemnaście.

- Nie łżesz?

Pokręciłam głową.

- Skąd jesteś, Adelo?

- Z Chabarowska.

- No i jak tam jest w Chabarowsku?

Wzruszyłam ramionami.

- Normalnie.

- To dlaczego tu przyjechałaś?

Znowu wzruszyłam ramionami.

- Tak sobie.

- Nie bardzo jesteś rozmowna.

- Może pójde do łazienki?

- Zaraz, chwileczkę. Musimy się przecież najpierw poznać. Nie jesteśmy zwierzętami.

- Dwieście dolarów za godzinę.

- Wezmę to pod uwagę - powiedział. - I nie brzydzisz się robić coś takiego, Adelo?

- Muszę coś jeść.

Wziął ze stolika teczkę, otworzył ją i przez jakiś czas patrzył do środka, jakby sprawdzał znajdującą się tam instrukcję. Potem zamknął teczkę i odłożył na miejsce.

- A gdzie mieszkasz? Wynajmujesz coś? - zapytał.

- No.

- I ile was jest w mieszkaniu oprócz mamuńci? Pięć? Dziesięć?

- Jak kiedy.

W tym momencie zwykły lubieżnik doszedłby już do stanu wrzenia. Wyglądało na to, że i mój klient zbliża się do tego punktu.

- Na pewno masz siedemnaście lat, dziecińo? - zapytał.

- Mam, tatuśku, mam - powiedziałam, podnosząc nań oczy. - Siedemnaście mgnień wiosny.

To była replika prowokacyjna. Facet zarżał. Teraz znów powinnam powrócić do krótkich, skąpych odpowiedzi. Okazało się jednak, że on też potrafi zachować się prowokacyjnie.

- No, dobra - powiedział. - My tu gadu-gadu, a ja zapomniałem się przedstawić.

Na stół przede mną upadła otwarta legitymacja. Przeczytałam uważnie, co tam napisano, potem porównałam jego twarz ze zdjęciem. Na zdjęciu był w mundurze z pagonami. Nazywał się Władimir Michajłowicz. Był pułkownikiem FSB.

- Mów mi Michałycz - zaproponował z uśmiechem. - Tak zwracają się do mnie bliscy. A mam nadzieję, że my też się zbliżymy.

- Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, Michałycz? - zapytałam.

- Poskarżył się na ciebie nasz konsultant. Podobno zrobiłaś mu krzywdę. No i teraz będziesz ją musiała odkupić. Czy wykupić. Nie wiesz, jak to będzie prawidłowo?

Miał stereotypowy wygląd: stanowczy podbródek, stalowe oczy, lniana grzywka. Ale jakaś trapezoidalność nieszlachetnych proporcji sprawiała, że twarz ta przypominała zachodnie wyobrażenia na temat stereotypowego wroga z okresu zimnej wojny. Filmowi bohaterowie tego rodzaju wypijali przeważnie szklanekę wódki, a następnie zakąszali szklanką, wyjaśniając przy akompaniamencie zgrzytu szkła, że to „starinny russki obychai”.

- Kurza twarz - wymamrotałam. - Co to ma być? Czyn społeczny?

- No, no - przerwał mi z urazą - nie myl FSB z glinami. Dostaniesz swoją forszę.

- Ilu was jest? - spytałam zmęczonym głosem.

- Jeden... No, góra dwóch.

- A ten drugi co za jeden?

- Zaraz zobaczysz. Ale nic się nie bój, nie oszukam cię.

Wysunął szufladę i wyjął z niej pudełko z drobnym sprzętem medycznym - ampułkami, watą i opakowaniem jednorazowych strzykawek. Jedna strzykawka była napełniona - z powodu czerwonej nasadki na igle wyglądała jak papieros, którym ktoś się zaciągał tak gwałtownie, że ogieniek rozszerzył się na całą jego długość.

- Nie będę sobie z panem dawała w kanał - powiedziałam. - Nawet za pięciokrotną takse.

- Głupia - odparł wesoło - a któż by ci proponował?

- I forsa z góry. Bo kto wie, jaki pan się zrobi za pół godziny.

- Masz, bierz - mruknął i rzucił mi kopertę.

Przedstawiciele rosyjskiej klasy średniej często wręczają dolary w kopercie - tak samo jak otrzymują. To wzruszające. Jakby uniesiono cię w górę do takiego społecznego punktu obserwacyjnego, z którego możesz zobaczyć najtajniejsze ogniwa mechanizmu gospodarczego Rosji... Otworzyłam kopertę i przeliczyłam pieniądze. Była tam obiecana potrójna stawka i dodatkowo pięćdziesiąt dolarów. Praktycznie poziom „Nationalu”. Takiego klienta należało sobie cenić - a w każdym razie należało udawać, że się go ceni. Uśmiechnęłam się czarująco.

- No dobrze, jak odkupić, to wykupić. Gdzie jest łazienka?

- Nie tak szybko - powstrzymał mnie Michałycz. - Zdażysz. Siedź na tyłku.

- Ale...

- Siedź - powtórzył i zaczął zakasywać rękaw.

- Mówił pan, że będzie jeszcze jakiś drugi. Gdzie on jest?

Michałycz ściągnął obnażony biceps gumą i kilka razy zacisnął i otworzył pięść.

- Co ładujemy w żyłę? - zainteresowałam się chmurnie.

Musiałam wiedzieć, do czego się przygotować.

- Pełny odjazd. - Co?

- Innymi słowy, dajemy sobie calypso - wyjaśnił.

Dopiero teraz zrozumiałam, że w strzykawce była ketamina, czyli calypsol, bardzo silny psychodelik, który wstrzykiwać sobie dożylnie mógł tylko psychopata albo samobójca.

- Co, dożylnie? - spytałam z niedowierzaniem.

Przytaknął. Ogarnął mnie strach. Nie cierpiałam nawet tych ketaminowych ćpunów, którzy kłuli się domięśniowo. Po tych zastrzykach działo się z nimi coś bardzo mrocznego. Stawali się podobni do mogiłnych trolli, przyłoczonych wieczną klątwą - niczym żołnierze widmowej armii z ostatniego *Władcy pierścieni*. A ten zamierzał wałnąć sobie zastrzyk dożylny. Nie wiedziałam nawet, że tak się robi. To znaczy akurat wiedziałam, że normalni ludzie tak nie robią. I wcale nie potrzebowałam drugiego umarlaka w niecały miesiąc. Najwyższy czas było się zmywać.

- To może oddam panu pieniądze - powiedziałam - i pożegnamy się.

- Co to ma znaczyć?

- Panu to dobrze, będzie pan trupem. A mnie zaczną ciągać po sądach. Lepiej już pójde.

- Powiedziałem, siedź na tyłku, czy nie?! - ryknął Michałycz.

Wstał, podszedł do drzwi, zamknął je na klucz, a klucz schował do kieszeni.

- Jeżeli się ruszysz z miejsca, pożałujesz. Zrozumiano?

Kiwnęłam głową. Michałycz wrócił do stolika, usiadł i wyjął ze swojego metalowego pudełka dziwne urządzenie, przypominające dziurkacz z czasów radzieckich. Urządzenie składało się z dwóch półokrągłych płytek, połączonych prymitywnym mechanizmem. Na dolnej płytce była duża przyssawka, a na górnej - wysztancowana gwiazdka i numer inwentarzowy, jak na pistolecie. Michałycz ścisnął płytki razem, starannie polizał przyssawkę i przycisnął urządzenie do przedramienia. Następnie umieścił strzykawkę w szczelinie, ostrożnie wprowadził igłę w żyłę i sprawdził - płyn w strzykawce zabarwił się na kolor ciemnoczerwony. Teraz nacisnął dźwigienkę na dziwnym urządzeniu, a to zaczęło głośno tykać. Michałycz skrzywił się jak przed skokiem do wody, rozstawił stopy, żeby pewniej trzymały się podłogi, i do oporu wcisnął tłok strzykawki.

Jego ciało prawie natychmiast osunęło się w fotelu. Nie wiem, czemu przyszło mi do głowy, że tak zegnali się z życiem bonzowie Trzeciej Rzeszy. Z trwogą słuchałam mechanicznego tykania - jakby to była bomba, gotowa lada moment wybuchnąć. Po kilku sekundach coś szczęknęło, dziurkacz razem ze strzykawką odskoczył od ręki Michałycza i upadł na podłogę przy fotelu. W zgięciu łokcia mężczyzny ukazała się mała kropla krwi. Sprytnie pomyślane, przemknęło mi przez głowę. I tu mnie powaliło.

Chcę wyjaśnić jedną rzecz. Nie potrafię czytać w myślach. Zresztą nikt nie potrafi, bo w niczyjej głowie nie ma nic podobnego do drukowanego tekstu. A owo nieustanne myślowe migotanie, które przebiega przez umysł, mało kto potrafi uchwycić nawet u siebie. Dlatego czytanie w czyichś myślach to to samo co odcyfrowywanie tego, co szaleniec napisał widłami na mętnej wodzie. Mam tu na myśli nie trudność techniczną, ale praktyczną wartość takiej czynności.

Jednakże dzięki ogonowi lisicom często przytrafia się swoisty rezonans z cudzą świadomością - zwłaszcza kiedy ta cudza świadomość dokonuje nieoczekiwanego skoku. Przypomina to reakcję widzenia obwodowego na nagły ruch w półmroku. Widzimy krótką halucynację, coś w rodzaju abstrakcyjnej komputerowej kreskówki. Korzyści z takiego kontaktu nie ma żadnej, i przez większość czasu nasz umysł po prostu odfiltruje ów efekt - inaczej nie mogłybyśmy jeździć metrem. Zazwyczaj jest on słaby, ale zażywane przez ludzi narkotyki go wzmagają, i właśnie dlatego tak nie znosimy narkomanów.

Po dożylnym zastrzyku ketaminy z pułkownikami FSB dzieją się dziwne rzeczy. „Pełny odjazd” nie był metaforą, lecz dość realistycznym opisem: chociaż bezwładne ciało Michałycza przypominało zwłoki, jego świadomość gnała przez jakiś pomarańczowy tunel, wypełniony widmowymi kształtami, które pułkownik zręcznie omijał. Tunel rozwidlał się ciągle w różne strony i Michałycz wybierał odnogę, w którą chciał skręcić. Przypominało to

bobslej - Michałycz korygował tor swojego wymagowanego lotu za pomocą lekkich, niedostrzegalnych gołym okiem ruchów stóp i dłoni; nie były to nawet ruchy, lecz minimalne napięcie odpowiednich mięśni.

Zrozumiałam, że te pomarańczowe tunele są nie tylko tworamii przestrzennymi, ale jednocześnie informacją i wolą. Cały świat przeobraził się w ogromny, samorealizujący się program w rodzaju komputerowego, ale taki, gdzie nie sposób rozdzielić hardware i software. Sam Michałycz też był elementem tego programu, miał jednak swobodę przemieszczania się względem innych jego bloków. I uwaga pułkownika podążała poprzez program do jego początku, do luku, za którym kryło się coś strasznego. Wpadłszy w ostatni pomarańczowy tunel, Michałycz zbliżył się do tego luku i energicznie go otworzył. I to coś strasznego, co za nim było, wyrwało się na wolność i pomknęło w górę - w światło dnia, do pokoju.

Spojrzałam na Michałycza. Zaczynał wracać do przytomności, ale dziwnie, w niedobry sposób. Kąciki ust mu drgały, wystąpiły na nich kropelki ni to śliny, ni to piany, a z gardła wydobywał się dźwięk przypominający warkot. Warkot stawał się coraz głośniejszy, następnie ciało Michałycza szarpnęło się, wygięło, i poczułam, że niepojęta straszna siła z dna jego duszy zaraz wyrwie się na swobodę. Nie miałam ani chwili do stracenia - chwyciłam butelkę szampana i z rozmachem walnęłam go w głowę.

Zewnątrz nie zaszło nic szczególnego - Michałycz znowu osunął się w fotelu, a butelka nawet się nie stłukła. Ale w jego wymiarze wewnętrznym, z którym nadal miałam kontakt, stało się coś zdumiewającego. Zgęstek złej siły, który parł z jego głębin na zewnątrz, zboczył z trasy i wpadł w skomplikowaną kombinację myślokształtów, zapełniając kolejny tunel. Zamigotały pulsujące gwiazdy i umykające w stronę horyzontu smugi ognia niby rozwijający się bez końca pas startowy. Było to olśniewająco piękne i przypomniało mi katastrofę trimaranu, którą oglądałam w wiadomościach w latach sześćdziesiątych: ślizgacz oderwał się od wody, powoli, jakby w zadumie, wykonał salto mortale i rozbił się o powierzchnię jeziora w drzazgi. Tu stało się prawie to samo, tylko zamiast ślizgacza w drzazgi rozpękło się jezioro: widmowe konstrukcje, wypełniające pomarańczowy tunel, rozpadły się na części i z melodyjnym brzękiem rozleciały na wszystkie strony, gasnąc, skręcając się i niknąc. A potem cały wszechświat pomarańczowych tuneli zgasł i przestał istnieć, jakby ktoś nagle wyłączył oświetlający go prąd. Pozostał tylko bezwładny facet w fotelu i melodyjny dźwięk, który powtarzał się i powtarzał, dopóki się nie zorientowałam, że to telefon.

Podniosłam słuchawkę.

- Michałycz? - zapytał męski głos.

- Michałycz nie może podejść - odparłam. - Jest bardzo zajęty.

- Kto mówi?

Nie znalazłam krótkiej i prostej odpowiedzi na to pytanie. Po kilku sekundach ciszy na drugim końcu linii odłożono słuchawkę.

Cóż to za głupi pomysł - żeby przemianować KGB. Zmarnować taki świetny brand! KGB było znane na całym świecie. A teraz wielu cudzoziemców nie ma pojęcia, co to jest FSB. Pewna amerykańska lesbijka, która wynajmowała mnie na weekendy, ciągle myliła FSB z FSD. FSD to *Female Sexual Dysfunction*, przypadłość, którą wymyśliły wielkie firmy farmaceutyczne, żeby uruchomić produkcję kobiecego odpowiednika viagry. Dysfunkcja seksualna u kobiety to oczywiście lipa: w seksualności kobiet istotne są nie tyle aspekty fizyczne, ile kontekst - świece, szampan, czułe słówka. A tak naprawdę w dzisiejszych czasach najważniejszym warunkiem orgazmu u kobiet jest wysoka stopa życiowa. Tego jednak nie załatwi się pigułką - *it's the economy, stupid*¹². Ale odbiegłam od tematu.

Chociaż KGB zmieniło nazwę, kadry pozostały te same - twarde i zahartowane. Normalny człowiek po takim ciosie butelką mógłby nawet odwalić kitę. A Michałycz dość szybko zaczął przychodzić do siebie. Może rzecz w tym, że został uderzony w stanie zaburzenia świadomości - kiedy fizyczne właściwości organizmu ulegają transformacji, co może potwierdzić każdy alkoholik.

Zorientowałam się, że jest przytomny, gdy próbowałam wyciągnąć mu z kieszeni spodni klucz od drzwi. Pochyliwszy się nad nim, zobaczyłam, że patrzy na mnie spod przymkniętych powiek. Natychmiast odskoczyłam. Byłam przerażona tym, co się z nim działo po zastrzyku - czegoś takiego nie widziałam jeszcze nigdy w życiu i nie chciałam ryzykować.

- Telefon - wyszeptał Michałycz.

- Co telefon?

- Kto... Kto...

- Kto dzwonił? - domyśliłam się. - Nie wiem. Jakiś mężczyzna.

Jęknął. Niesamowite. Normalnego człowieka po takim ciosie nurtowałyby problemy wieczności. A on myślał o telefonie. Jak pisał o takich ludziach Majakowski, „gdyby z nich gwoździe powykuwali, wszyscy na Rusi by balowali” (dopiero później poprawił to na „świat by nie widział twardszych hufnali”, a w brulionie było tak, sama widziałam).

- Niech pan da klucz - powiedziałam. - Muszę już iść.

¹² Tu chodzi o gospodarke, głupku (ang.) - hasło przedwyborcze Bilia Clintona (przyp. aut.).

- Zaczekaj - wydyszał Michałycz. - Rozmowa.

- Ja z ćpunami nie rozmawiam.

- Nie mądrzyj się...

Mówił z wysiłkiem, robiąc długie pauzy - jakby każde zdanie było wysoką górą, z której osuwał się kilka razy w czasie szturmu.

- Właśnie - odezwałam się urażonym tonem. - Nie mądrzyj się. Luśce też mówili, żeby się nie mądrzyła. A jak jej klient walnął w kalendarz przy gałązce sakury, to zaraz śledztwo. Adwokat twierdził, że to było zapalenie otrzewnej, nieszczęśliwy wypadek. A śledczy chciał jej przypuścić rozerwanie odbytnicy, nieumyślne zabójstwo. I musiała mu dać jeszcze trzy kawałki, żeby było nieumyślne, bo jak nie, toby poszła kiblować... Niech pan daje klucz, bo jeszcze raz panu przyłożę. I mam gdzieś, że pan jest z FSB. Nic mi nie zrobią, to samoobrona.

To mówiąc, znowu chwyciłam butelkę.

Michałycz wydał jakiś nieprzyjemny odgłos - jakby w rzecznych odmętach zaśmiał się wodnik. Potem spróbował coś powiedzieć, ale wykrztusił tylko:

- Siedź... Sie...

- Ostatni raz mówię po dobroci - powtórzyłam - niech pan mi da klucz!

- Suka - powiedział nadspodziewanie wyraźnie.

Ależ z tych oficerów chamy. Nie potrafi taki kulturalnie rozmawiać z dziewczyną. Zamierzyłam się butelką i wtedy otworzyły się drzwi za moimi plecami.

W progu stał wysoki młody człowiek w ciemnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Był nieogolony, ponury i bardzo przystojny - odnotowałam to bez żadnego osobistego zaangażowania, chłodnym okiem artystki.

Szpeciła go trochę jedynie gniewna i wyniosła zmarszczka w kąciku ust. Nie budziła jednak niechęci, tylko jak gdyby ustalała dystans. Zresztą nawet z tą zmarszczką wyglądał bardzo, bardzo pociągająco. Chyba był trochę podobny do młodego cara Aleksandra Pawłowicza - pamiętam, że tamten w pierwszych latach panowania też zawsze patrzył wilkiem.

Zafascynował mnie wyraz jego twarzy. Nie wiem, jak go opisać. Jak gdyby człowiek przez wiele lat żył z bólem zębów i już się przyzwyczaił nie zwracać nań uwagi, choć ból dokucza mu każdego dnia. Poza tym miał spojrzenie, którego nie sposób zapomnieć: jego szarozółte oczy odbijały się na cudzej siatkówce i zaglądały stamtąd w duszę jeszcze przez kilka sekund. Co zaś najciekawsze, miałam wrażenie, że jest to twarz z przeszłości. Podobnych twarzy pełno było dokoła w dawnych czasach, kiedy ludzie wierzyli w miłość i Boga, a potem taki typ prawie zanikł.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy.

- Chciałam go cucić szampanem - wyjaśniłam, odstawiając butelkę na stolik.

Gość przeniósł spojrzenie na Michałycza.

- Cóż to, przywiozłeś córeczkę? - zapytał.

- Nie - zachrypiał ze swego fotela Michałycz i nawet poruszył ręką (widać obecność nieznajomego pomogła mu wziąć się w garść). - Nie... To kurwa...

- Aha - powiedział gość i znowu popatrzył na mnie. - To jest właśnie ta... która uszkodziła naszego konsultanta?

- Tak.

- A tobie co się stało?

- Szefie - wymamlał w odpowiedzi Michałycz - ząb, szefie, ząb! Narkoza!

Młody człowiek wciągnął nosem powietrze i skrzywił się z naganą.

- Niby co, dali ci narkozę z ketaminy?

- Szefie, ja...

- A może wezwałeś weterynarza, żeby ci obciął uszy?

- Szefie...

- Znowu? Rozumiałbym jeszcze, że na obiekcie. Ale tutaj? Po co? Przecież o tym rozmawialiśmy.

Michałycz spuścił oczy. Młody człowiek popatrzył na mnie, jak mi się wydało, z zaciekawieniem.

- Szefie, ja to wyjaśnię - odezwał się Michałycz. - Słowo ho...

Wręcz fizycznie czułam, z jakim wysiłkiem przychodzi mu mówienie.

- Nie, Michałycz. Wyjaśniać będę ja - powiedział gość, wziął ze stolika butelkę szampana i z całej siły walnął nią Michałycza w głowę.

Tym razem butelka pękła i gejzer białej piany oblał pułkownika od stóp do głów. Nie miałam wątpliwości, że po takim ciosie facet już nigdy nie wstanie z fotela - znam się na ludzkiej anatomii. Ale, ku mojemu zdumieniu, Michałycz potrząsnął głową z boku na bok, jak pijak, którego oblano wiadrzem wody. Potem podniósł rękę i wytarł z twarzy bryzgi szampana. Cios, zamiast uśmiercić, doprowadził go do przytomności. Czegoś takiego nigdy dotąd nie widziałam.

- Więc tak - znów zabrał głos młody człowiek - weź prysznic, a potem wsiadaj w taksówkę i jedź do domu. Niech ci dadzą rosółu. Albo mocnej herbaty. A tak w ogóle, Michałycz, to przydałaby ci się relaszka.

Nie zrozumiałam, co miał na myśli.

- Tak jest - przytaknął Michałycz i jakoś udało mu się podnieść na nogi. Powłókł się do łazienki, pozostawiając za sobą ślad z kropel szampana. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, młody człowiek odwrócił się do mnie i uśmiechnął.

- Duszno tu - powiedział. - Pozwoli pani wyprowadzić się na świeże powietrze.

Spodobało mi się, że mówi do mnie per „pani”.

Wyszliśmy z mieszkania inną drogą. Jak się okazało, stalowa rura, którą widziałam w jednym z pomieszczeń, prowadziła na parter. Takie rury są w straży pożarnej albo w barach GoGo. Można po takiej rurze szybko zjechać na dół do czerwonego wozu strażackiego i otrzymać medal „Za odwagę przy gaszeniu pożaru”. A można też erotycznie pocierać się o nią brzuchem i piersiami i dostać od widzów kilka wilgotnych banknotów. Oto ile różnych dróg otwiera przed nami życie...

Na szczęście dziś nie musiałam robić żadnej z tych rzeczy. Obok rury znajdowały się wąskie spiralne schody - widocznie przewidziane na mniej pilne okazje. Po nich właśnie zeszliśmy na dół. Na dole był ciemnawy garaż, w którym stał wytworny czarny wóz - najprawdziwszy maybach. Takich aut było w Moskwie pewnie zaledwie parę.

Zatrzymawszy się obok samochodu, młody człowiek podniósł głowę, kierując na mnie nos, i mocno wciągnął powietrze. Wyglądało to dość dziwnie. Ale zaraz potem na jego twarzy odmalowała się błogość, wręcz uszczęśliwienie.

- Chciałbym panią przeprosić za to zajście - przemówił - i poprosić o przysługę.

- Jakiego rodzaju?

- Muszę wybrać prezent dla dziewczyny mniej więcej w pani wieku. Nie znam się na damskiej biżuterii i byłbym bardzo zobowiązany za radę.

Wahałam się przez sekundę. W ogóle w takich sytuacjach należy się zmywać przy pierwszej okazji - ale o dziwo, miałam ochotę kontynuować znajomość. A poza tym bardzo chciałam zobaczyć samochód w środku.

- Dobrze - zgodziłam się.

Gdy tylko jednak zajęłam miejsce na siedzeniu obok kierowcy, natychmiast zapomniałam o wnętrzu wozu - takie wrażenie zrobiła na mnie przepustka na przedniej szybie.

Już dawno zwróciłam uwagę na pewną kiczowatą tendencję rosyjskich władz: wiecznie usiłują się zespolić z majestatycznym cieniem imperialnej historii i kultury, jakby wypisać sobie szlachecką gramotę, potwierdzającą sławne korzenie - mimo że z dawną Rosją mają tyle wspólnego, co jacyś tam Longobardowie, pasający kozy w ruinach Rzymu, z

dynastią Flawiuszów. Przepustka na szybie maybacha stanowiła najnowszy przykład tego kiczu. Widniał na niej złoty dwugłowy orzeł, trzycyfrowy numer i napis:

*Wiesz przecież dobrze, że czarny wóz śmierci
Ma prawo zawsze i wszędzie przejeżdżać¹³.*

A. S. Puszkina

Co tu można powiedzieć? Tak, orzeł. Tak, Puszkina. Ale nie budziło to poczucia wspólnoty z losami imperium, na co liczyli kreatorzy federalnych służb. Przyczyną był zapewne zły wybór epoki. Należało sięgnąć nie do carskich orłów, ale do feudalnych latopisów. Tam łatwiej byłoby znaleźć symbole: Borys Wielkie Gniazdo, Włodzimierz Czerwona Skórka...

- Nad czym się pani tak zamyśliła?

- Co? Ja? - zreflektowałam się.

- Tak - powiedział. - Kiedy się pani zamyśla, uroczym marszczy pani nosek.

Wyjechaliśmy na ulicę.

- A właśnie, jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy - rzucił. - Jestem Aleksander. Albo po prostu Sasza. Słyszała pani o Saszy Białym? No, a ja jestem Sasza Szary.

- O Saszy Białym nigdy nie słyszałam. Ale znałam Andrieja Biełego.

- Andriej Bieły? - powtórzył Aleksander, jak mi się wydało, z pewnym zdziwieniem. -

A zresztą nieważne. Jak pani na imię?

- Adela.

- Adela? - zapytał, robiąc wielkie oczy. - Nie żartuje pani?

Pokręciłam głową przecząco.

- To niesamowite. Tyle rzeczy w moim życiu wiąże się z tym imieniem! Nawet pani sobie nie wyobraża. Nasze spotkanie to zrządzenie losu. Znalazła się pani w moim wozie wcale nie tak po prostu...

- Nie ma pan okien do oszklenia? - zapytałam.

- Okien? Jak to?

- Żeby zużyć ten kit, który mi pan wciska.

Roześmiał się.

- Pani mi nie wierzy? Co do Adeli?

- Ano nie - odparłam.

¹³ A. Puszkina, *Uczta podczas dżumy*, przekład Seweryna Pollaka (przyp. tłum.).

- Chętnie pani wyjaśnię, o co chodzi. Jeżeli to panią interesuje.

- Interesuje.

Rzeczywiście byłam zaintrygowana.

- Zna pani taką grę na „Playstation” - Final Fantasy 8?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Kiedyś przebrnąłem przez nią prawie do końca - a to długa gra. I pod sam koniec pojawia się w niej czarodziejka Adela. Piękna, sporo przewyższająca wzrostem człowieka. Bardzo widowiskowa animacja - ona się budzi, otwiera oczy, spowija ją wachlarz promieni, mniej więcej jak na logotypie studia Universal, i Adela leci w swoim sarkofagu na Ziemię.

- Skąd leci?

- Z Księżyca.

- Aha. I jak się to wszystko kończy?

- Nie wiem - odrzekł. - Właśnie w tym rzecz. Nie udało mi się jej pokonać. Wszystkich pozostałych załatwiłem, a jej za nic nie mogłem. I na tym się ta gra zakończyła...

- Czemu to panu tak utkwilo w pamięci? - zapytałam. - Przecież takich gier jest mnóstwo.

- Przedtem wszystko mi się w życiu udawało - odparł.

- Absolutnie wszystko?

Przytaknął.

- No tak - powiedziałam. - Jasne.

- Nie wierzy pani?

- Dlaczego? Wierzę. To widać po samochodzie.

Na kilka sekund zapadło milczenie. Spojrzałam w okno. Zbliżaliśmy się do wylotu bulwaru Twerskiego.

- Nowa knajpa - odezwałam się. - „Palazzo Ducale”. Był pan tam?

Kiwnął głową.

- I kto tam bywa?

- Tacy jak wszędzie.

- A o czym ludzie rozmawiają?

Zastanawiał się chwilę, a potem powiedział, parodiując kobiecy głos:

- Jak pan myśli, czy Żeczkow nie boi się mieszkać w willi narkoma Jeżowa?

I zaraz zareplikował równie karykaturalnym basem:

- Co pani, to narkom Jeżow sfajda się w grobie, jak się dowie, że w jego willi teraz mieszka Żeczkow...

- A kto to jest Żeczkw? - zapytałam.

Spojrzał na mnie podejrzliwie. Widocznie Żeczkw należało znać. Będę musiała sprawdzić w Internecie, pomyślałam.

- To był po prostu taki przykład - powiedział. - Tego, o czym się tam mówi.

Przypomniałam sobie, jak wyglądała willa Jeżowa w trzydziestych latach ubiegłego wieku. Podobały mi się strzegące wejścia gipsowe lwy z łapami opartymi na kulach - na pyskach zwierząt malowało się poczucie winy, jakby czuły, że nie zdołają ustrzec swego pana. Prawie taki sam lew stał tysiąc lat wcześniej przed świątynią sekty Hua-Jen - tylko że był zrobiony ze złota, a na boku miał napis, który do dziś znam na pamięć:

Przyczyna błędzenia istot żywych zasadza się na tym, iż sądzą one, że fałsz można odrzucić, a prawdę zgłębić. Wszelako kiedy zgłębiasz samego siebie, fałsz staje się prawdą, i nie ma żadnej innej prawdy, którą należałoby dalej zgłębiać

Jacyż ludzie mnie wówczas otaczali! A teraz - czy ktokolwiek byłby w stanie pojąć sens tych słów? Wszyscy, wszyscy odeszli do wyższych światów. Nawet ze współczucia nikt nie chce się więcej rodzić w tym piekielnym labiryncie, i błędę tu samotnie po ciemku...

Zahamowaliśmy przed skrzyżowaniem.

- A właściwie dokąd jedziemy, panie Aleksandrze? - zapytałam.

- Zna pani tu gdzieś w okolicy jakiś dobry sklep jubilerski? Ale naprawdę dobry?

Widząc w drogim butikiu dziewczynę z facetem, który kupuje jej broszkę wartości niedużego samolotu, za każdym razem utwierdzam się w przekonaniu, że ludzkie samice stwarzają miraż nie gorzej niż my. A może i lepiej. To nie byle co - podać zrobioną z mięsa maszynę do rozmnażania za cudowny wiosenny kwiat, godny drogocennej oprawy - i podtrzymywać tę iluzję nie przez minuty, jak my, ale przez całe lata i dziesięciolecia, i to bez użycia ogona. To naprawdę sztuka. Widocznie kobiety, tak jak telefony komórkowe, mają wbudowaną niewielką antenę.

Oto co mówią na ten temat moje wewnętrzne glosy:

1) skoro kobieta może przedstawić maszynę do rozmnażania jako cudowny wiosenny kwiat, natury kobiecej nie można sprowadzać jedynie do rodzenia dzieci: dochodzi do tego co najmniej jeszcze umiejętność prania mózgów;

2) cudowny wiosenny kwiat jest ze swej natury takim samym mechanizmem do rozmnażania i prania mózgów, tylko mięso ma w kolorze zielonym, a pranie mózgów robi pszczołom;

3) drogocennej oprawy tak czy owak nie potrzebuje nikt prócz kobiety, a zatem głupio byłoby się zastanawiać, czy ona na to zasługuje, czy nie;

4) komórka z wbudowaną anteną jest poręczna, ale źle odbiera, zwłaszcza w budynkach z żelazobetonu;

5) komórki składane mają antenę zewnętrzną, przez co są nieporęczne, a w budynkach z żelazobetonu odbierają jeszcze gorzej.

Kobieta to istota łagodna i wciska ciemnotę tylko własnemu mężowi, zostawiając w spokoju ptaszki i zwierzęta. Ponieważ czyni to w imię wyższych celów biologicznych, czyli aby przeżyć, jej oszustwo jest wybacalne i my, lisice, nie mamy prawa się wtrącać. Ale kiedy żonaty mężczyzna, pozostający stale w wywołanym przez towarzyszkę życia stanie snu z elementami koszmaru i powieściowej gotyckiej grozy, nagle po wypiciu kufla piwa oświadcza, że kobieta to tylko maszyna do rodzenia dzieci, to jest to bardzo śmieszne. Mężczyzna nawet nie przypuszcza, jak dalece wydaje się to komiczne. Nie jest to z mojej strony aluzja do hrabiego Tołstoja, którego wielbię, mówię tylko ogólnie.

Ale znów odbiegłam od tematu. Chciałam jedynie powiedzieć, że zdolności hipnotyczne kobiety są oczywiste, a jeśli ktoś ma co do tego wątpliwości, niech wstąpi do sklepu z drogimi błyskotkami.

Nie domyślałam się do ostatniej chwili, że Aleksander wybiera prezent dla mnie. Po prostu nie miałam podstaw do takich przypuszczeń. Myślałam, że chce kupić upominek jakiejś laluni, i z całą powagą udzielałam mu rad. Poczulałam się więc wyjątkowo głupio, kiedy w końcu wręczył mi torebkę z dwoma niedużymi pudełeczkami, za które właśnie zapłacił. Nie spodziewałam się tego. A lisice powinny przewidywać ludzkie działania - jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej te, które dotyczą ich osobiście. Od tego zależy nasze życie.

W dwóch jednakowych białych pudełeczkach spoczywały pierścionki za osiem i piętnaście tysięcy dolarów, platyna i brylanty. Duży kamień osiem karatów, mały zero pięćdziesiąt cztery. Tiffany. Coś takiego - dwadzieścia trzy tysiące dolarów! Ileż razy musiałabym za to wystawiać ogon, pomyślałam niemal z nienawiścią klasową. A co najciekawsze, on niczego ode mnie nie chciał. Oprócz telefonu. Powiedział, że leci na północ i zadzwoni po powrocie - za trzy dni.

Kupić te pierścionki nie było łatwo. Ekspedientka bała się sama zrealizować tak poważną transakcję. Kasjerka też.

- Bez menedżera nie mogę - powtarzała.

Słowo „menedżer” wymawiała jako „minedżar”, tak że wyraźnie można było usłyszeć „mineta” i „żar”. Nie znoszę słowa „mineta”, ale to brzmiało śmiesznie i całkiem w duchu ludowych etymologii: tak oto ojczyzna pakuje nasze brylanty w nienawiść klasową.

Dopiero znalazłszy się u siebie na Bitcy, poczułam, jaka jestem zmęczona - nie miałam nawet siły sprawdzić poczty elektronicznej. Spałam do połowy następnego dnia. Miałam niepokojące borgesjańskie sny o obronie twierdzy - coś jakby szturm miasta w czasie powstania Żółtych Turbanów. Znajdowałam się wśród obrońców i ciskałam z murów ciężkie dziuryty.

Nie potrzeba mi wyjaśniać symboliki, nie cierpię tego. W latach dwudziestych ubiegłego wieku sama zabawiałam się doprowadzaniem do oblędu romantycznych czerwonych freudystów, opowiadając im zmyślane sny: „A potem nasze ogony odpadły i powiedziano nam, że leżą w orzechu kokosowym, który wisi nad wodospadem”. Jeżeli rzucam we śnie dziurytami, to nie znaczy, że nie zdaję sobie sprawy z symbolicznego znaczenia tego, co się dzieje. Albo, tym bardziej, że sobie zdaję sprawę. Wszystkie te konkluzje dawno odłożyłam do lamusa, przynajmniej jest mniej kurzu.

Byłam wypoczęta, mój umysł pracował jasno i precyzyjnie, i pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałam, był aspekt finansowy wydarzeń. Oczami duszy ujrzałam piękny zielony kolor: dwa pierścionki kosztowały w sklepie dwadzieścia trzy tysiące, co znaczy, że mogłabym je sprzedać za jakieś piętnaście.

Ale żal mi było to zrobić - w ciągu ostatnich stu lat rzadko obdarowywano mnie takimi pięknymi drobiazgami. W Rosji Radzieckiej panowały pod tym względem ostre rygory. Nawet w późnej epoce breżniewowskiej wyglądało to tak: jeśli do sklepu jubilerskiego wchodził z ulicy facet z siatką na zakupy i kupował broszkę za trzydzieści tysięcy rubli, to przez cały tydzień w tonie potępiającym rozpisywała się o tym prasa centralna, zapytując, co na to kompetentne organy. Trzydzieści tysięcy rubli w czasach zastoju to rzeczywiście była horrendalna suma. Ale po co wobec tego wystawiać broszkę w witrynie? Jako przynętę? Cóż, zrozumiałe wydaje się przynajmniej niezadowolenie prasy - położyli przynętę, a ryba ją zjadła i odpłynęła.

Tak w każdym razie szeptał mi ze śmiechem do uszka kierownik delikatesów w dawnym sklepie Jelisiejewa, który mi tę broszkę podarował. Był człowiekiem ostrożnym, ale pod wpływem namiętności stał się romantykiem. Rozstrzelano biedaka, i naprawdę go

żałowałam, chociaż i tak nie mogłam się zmusić, żeby nosić broszkę. Był to unikatowy przykład radzieckiego kiczu: brylantowe kłosa wokół szmaragdowych ogórków i rubinowych buraczków. Wieczne przypomnienie o jedynej bitwie, jaką Rosja Radziecka przegrała - bitwie o plony...

Odłożyłam pierścionki i postanowiłam sprawdzić pocztę elektroniczną. W skrzynce odbiorczej był tylko jeden list, ale jakże przyjemny - od siostrzyczki E Huli, której nie widziałam już całą wieczność.

Cześć, ruda!

Co u Ciebie? Nadal zajmujesz się moralnym samodoskonaleniem? Szukasz wyjścia z labiryntu iluzorycznego świata? Tak bym chciała, żeby znalazł je ktoś z naszej pechowej rodziny.

A ja się w tych labiryntach kompletnie pogubiłam. Jestem nadal w Tajlandii, tylko wyjechałam wreszcie z Pattai. Wciążu ostatnich trzydziestu lat morze zrobiło się bardzo brudne. Poza tym istnieje taka konkurencja ze strony miejscowych kobiet, że coraz trudniej się utrzymać z lisiego rzemiosła. Wszystko jest tu postawione na głowie: jeśli w większości krajów ludzie się cieszą z narodzin chłopca, tu cieszą się z narodzin dziewczynki i mówią dosłownie tak „Jak to dobrze, że urodziła się nam dziewczynka, to znaczy, że nie będziemy na starość głodować!” Gdyby usłyszał to Konfucjusz, powiesiłby się na własnym warkoczku.

Wyspa Phuket, gdzie teraz mieszkam, na razie jest jeszcze czysta, ale za kilka lat będzie taka jak Pattaya. Zbyt wielu turystów. Znalazłam sobie lokum w zatoce Patong i pracuję w salonie masażu „Christine's”. Wszystkie masażystki siedzą na ławkach w specjalnym otwartym pomieszczeniu, wymalowane i podobne do złych duchów. Z ulicy zaglądną oblażący ze skóry różowi faranga (tak nazywamy turystów z Zachodu) i wybierają dziewczyny. Potem - osobny gabinet i sama wiesz co. Ja jestem uważana za wybitną specjalistkę od tajskiego masażu i dlatego takse mam wyższą niż inne, ale i tak muszę dorabiać wieczorami w barach na Bangla Road pięć minut drogi od mojego salonu. Po całym dniu w salonie jestem potwornie zmęczona, a tu muszę się jeszcze przebrać w kolorowe szmatki i wyjść na scenę. Zresztą to nawet nie scena, tylko zwykła lada, po której od rury do rury przesuwają się powoli dziewczęta z numerami na piersiach. A w barze na dole siedzą faranga, piją zimne piwo i wybierają, wybierają, wybierają. Jeżeli pracując w dwóch miejscach, odłożysz dziennie pięćdziesiąt dolarów, to jest to sukces.

Zasady życiowe uległy tu zupełnemu wypaczeniu. Tajskie dziewczęta są skromne i pracowite jak pszczoły. Ale pszczoły w naturalnym środowisku latają z kwiatka na kwiatek i

wytrwałą pracą pozyskują nektar. Jeśli natomiast obok ula rozleje się wiadro melasy, ruszą w tę stronę i żadna nie poleci do kwiatów. Właśnie w taki sposób Zachód niszczy nasz tropikalny ogród swoimi wydzielinami, wylewając nań z nadbrzeżnych hoteli strumienie dolarowej melasy. Nawiasem mówiąc, wasza Rosja jest dla nas takim samym seksualnym wyzyskiwaczem, a fakt, że stała się teraz po prostu dodatkowym źródłem surowców dla krajów rozwiniętych, bynajmniej nie uwalnia jej od odpowiedzialności moralnej. Chociaż Tajlandię także można w pewnym sensie uważać za dodatkowe źródło surowca... Nie myśl, że wpadam w dogmatyzm, po prostu miałam dzisiaj gorący dzień i jestem bardzo zmęczona.

À propos Rosji. Rozmawiałam niedawno z siostrą I, która przyjechała na Phuket ze swym nowym mężem lordem Cricketem (głuptasek, był bezgranicznie szczęśliwy). Dowiedziałam się od niej niesamowitej rzeczy. Pamiętasz przepowiednię o arcywilkołaku? Nasza siostra twierdzi, że miejsce, o którym mówi przepowiednia, to Moskwa. Jej argumenty są dość przekonujące. Otóż przepowiednia głosi, że arcywilkołak pojawi się w mieście, w którym zburzą Świątynię, a potem odbudują w poprzednim kształcie. Przez wiele stuleci uważano, że chodzi tu o Jerozolimę, a przepowiednia o przyjściu arcywilkołaka odnosi się do końca świata, jest czymś w rodzaju Apokalipsy. I Huli jednak jest przekonana, że daliśmy się zahipnotyzować judeochrześcijańskiej symbolice: skoro Świątynia, to koniecznie jerozolimską...

Tymczasem w prorocztwie nie ma nic, co by wskazywało na Jerozolimę. A w Moskwie niedawno odbudowano zburzoną na fali rewolucyjnych przemian świątynię Chrystusa Zbawcy (jeżeli siostrzyczka I nie przekręciła nazwy). Przy czym odbudowano dokładnie w tym kształcie, w jakim pierwotnie została wzniesiona - tu I powołuje się na informację otrzymaną od Ciebie. Myślę, że wkrótce możesz się spodziewać jej wizyty. Wybiera się razem z mężem, który jest całkowicie pochłonięty tymi mistycznymi dociekaniem.

Ten cały lord Cricket to nie tylko mistyk. Także znany w Londynie mecenas i kolekcjoner dzieł sztuki, współpracujący z wieloma galeriami. Poza tym jest jednym z liderów znany ci z pewnością Countryside Alliance - organizacji, która sprzeciwia się wprowadzeniu zakazu polowania na lisy. Wiem, jak trudno pozostawić przy życiu takiego typu. Ale proszę Cię, pamiętaj, że siostrzyczka I jeszcze nie zdecydowała, kto będzie następny. Dlatego trzymaj temperament w ryzach, jak to zrobiłam ja. Najlepiej po prostu spójrz na wszystko z dystansem i pośmiej się - lord szuka wilkołaków wszędzie, gdzie się da, poza własną sypialnią. Z ludźmi zawsze tak jest. Jednego tylko nie rozumiem, skąd u niego takie zainteresowanie sprawami nadprzyrodzonymi? Chociaż przedstawiciele klasy wyzyskiwaczy często sięgają do okultyzmu, by znaleźć w nim usprawiedliwienie dla własnej pasożytniczej natury.

Chcę Cię prosić o radę. Może powinnam przenieść się do Rosji? Podobają mi się rosyjscy turyści - są dobroduszni, dają duże napiwki i szybko zasypiają, bo sporo piją. U jednego widziałam na piersi bardzo ładny tatuaż - Lenin, Marks oraz sierp i młot, a gość był jeszcze całkiem młody. Szalenie mu się spodobałam. Sfilmował mnie kamerą wideo i radził, żebym przyjechała do Rosji. „Z twoją urodą zrobiłabyś w Rosji karierę - powiedział. - I to nie w jakimś tam salonie masażu. Pokręciłabyś się parę latek wokół naszej elity i zarobiłabyś forsę na całej tycie”. Mówił, że w Rosji jest teraz zupełnie inaczej, że reformy idą na całego i ludzie mają kupę kasy. Czy to prawda? I co to za elita, wokół której należy się kręcić? I czyby mi się to udało?

Poza tym, z tego, co mówił, wasze ruble w stosunku do dolara to praktycznie to samo, co nasze bahty, tak że nie przeżyłabym wielkiego szoku kulturowego. Napisz, jak jest w Moskwie i czy nie znajdzie się tam miejsce dla E Huli.

*Kocham i pamiętam,
Twoja E*

Siostrzyczka E... Uśmiechnęłam się na jej wspomnienie - takiej poważnej, chmurnej i bardzo szczerzej. Była chyba najlepsza z nas - i dlatego zawsze przypadało jej najcięższe brzemie. Przeszła całą wojnę wyzwolenczą u boku przewodniczącego Mao, miała odznaczenia Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, a kiedy w Chinach odrodził się kapitalizm, spaliła swoją legitymację partyjną na placu Tian'anmen i wyjechała do Tajlandii. Teraz ciągnie ją do Rosji - myśli, że nadal jest to ta sama ojczyzna Października... Biedna, muszę jej to wyperswadować. Bo jeszcze naprawdę przyleci i będzie przymierać z tęsknoty wśród śniegów. Albo się zwiąże z jakimiś nacjonalistami-bolszewikami. A kiedy nacjonałiści-bolszewicy podpiszą wreszcie kontrakt z firmą Diesel, ona uczciwie będzie trwać do końca, a potem odsiadywać wieloletni wyrok - ileż razy już tak z nią było...

Przez kilka sekund szukałam w myślach obrazu, który mógłby przemówić jej do wyobraźni. Wreszcie, jak mi się wydało, znalazłam. Położyłam dłonie na klawiszach.

Cześć, rudzielcu!

Nawet sobie nie wyobrażasz, jaką przyjemność sprawiła mi wieść od Ciebie na tym naszym zaśniewonym zadupiu. Mówisz, że znudziła Ci się Tajlandia? To pomyśl o tym, że w krajach złotego miliarda ludzie oszczędzają przez cały rok, żeby przyjechać na parę tygodni do tego kokosowego raju. Rozumiem, że życie w pięciogwiazdkowych hotelach mocno się

różni od Twojego. Ale przecież morze i niebo są takie same dla wszystkich, a oni właśnie po to przyjeżdżają ze swoich neonowych katakumb.

Mówisz, że zasady życiowe w Tajlandii uległy wypaczeniu, bo przyjezdni polewają niewinnych tubylców toksyczną dolarową breją, pozbawiając ich radości prostego trudu. Szanuję Twoje poglądy, ale spróbuj spojrzeć na rzeczy z innej strony: ci sami deprawatorzy przez cały rok przegryzają sobie nawzajem gardła w swoich biurach, żeby zebrać wystarczającą ilość tej dolarowej brei. To raczej ich życie jest wypaczone, bo inaczej po co przychodziliby do Twojego salonu, moja słodka? Niskie stawki - tak, z tym należy walczyć. Ale po cóż te powszechne uogólnienia, które za każdym razem kończą się śmiercią pięćdziesięciu milionów ludzi?

Pytasz, co tu słyhać. Aby rzecz ująć jak najkrócej, nadzieja na to, że otaczające nas ze wszystkich stron brązowe morze składa się z czekolady, topnieje nawet u najzagorzalszych optymistów. Przy czym, jak dowcipnie zauważa reklama, topnieje nie w rękach, ale w ustach.

W Moskwie buduje się wieżowce, zjada tony sushi i wszczyna śledztwa w sprawach o miliardy. Ale ten boom ma niewiele wspólnego z gospodarką. Po prostu pieniądze z całej Rosji spływają tutaj i nieco nawilżają tutejsze życie przed odejściem w pozaziemską hiperprzestrzeń. Pamiętam, jak mówiłaś, że główną sprzecznością współczesnej epoki jest sprzeczność między pieniędzmi a krwią. W Moskwie udaje się tę sprzeczność nieco złagodzić dzięki temu, że krew na razie jeszcze leje się daleko, a pieniądze zawsze ma kto inny. Ale to wszystko do czasu.

Życie tutaj jest tak swoiste i niepowtarzalne, że pojąć jego istotę mógłby jasnovidz w rodzaju Oswalda Spenglera. Zdaniem Spenglera, u podstaw każdej kultury leży pewna tajemnicza zasada, przejawiająca się w mnóstwie niepowiązanych ze sobą zjawisk. Na przykład istnieje głębokie wewnętrzne pokrewieństwo między okrągłym kształtem monety oraz murem, otaczającym antyczne miasto, i tak dalej. Myślę, że gdyby Spengler zajął się współczesną Rosją, przede wszystkim zainteresowałoby go to samo, co Ciebie - tutejsza elita.

Jest rzeczywiście jedyna w swoim rodzaju. Wprowadzono Cię w błąd: jeszcze nikomu nie przybyło pieniędzy od „kręcenia się” wokół tych typów. Od takiego „kręcenia się” pieniędzy może tylko ubyc, inaczej elita nie byłaby elitą. W starożytności w Podniebnej Krainie każdy urzędnik starał się przynieść korzyść na wspólnej drodze rzeczy. A tu każdy stawia na tej drodze własny szlaban, który podnosi tylko za pieniądze. I istota tutejszej umowy społecznej polega właśnie na takim podnoszeniu szlabanu przed sobą nawzajem.

Elita dzieli się tu na dwa odgałęzienia, zwane „chuj sosajtie” (zniekształcone high society) oraz „aparar” (zniekształcone upper tit). „Chuj sosajtie” to business community

lawirujące pośród władzy, która w każdej chwili może zamknąć każdy biznes, jako że biznes tutaj jest nierozzerwalnie związany z przestępczością, aparat zaś to władza, która żyje z tego, co odpala jej biznes. Z czego wynika, że pierwsi pozwalają drugim kraść za to, że drudzy pozwalają kraść pierwszym. Pomyśl tylko o ludziach, którym udało się włączyć do tego zaczarowanego kwadratu w szczerym polu. W dodatku nie ma wyraźnej granicy między dwoma odgałęzieniami władzy - jedno płynnie przechodzi w drugie, tworząc ogromnego, tłustego szczura, pochłoniętego chciwą samoobsługą. Naprawdę chciałabyś się kręcić wokół tego ciamkającego uroborosa?

Taką nazwę nosi symbol alchemiczny - wąż pożerający własny ogon - ale w naszym wypadku można się tu raczej dopatrzeć konotacji urologicznych.

Reformy, o których słyszałaś, to nic nowego. Odbywają się nieustannie, odkąd sięgnę pamięcią. Ich istota sprowadza się do tego, żeby ze wszystkich możliwych wariantów przyszłości z dużym opóźnieniem wybrać ten najgorszy. Za każdym razem reformy zaczynają się od oznajmienia, że ryba psuje się od głowy, następnie reformatorzy zjadają zdrowe mięso, a zgniła głowa płynie dalej. Dlatego wszystko, co było zgniłe za Iwana Groźnego, trwa do tej pory, a wszystko, co było zdrowe pięć lat temu, już zostało zeżarte. Tutejszy upper rat mógłby umieszczać na swych sztandarach nie niedźwiedzia, ale tę właśnie rybią głowę. Chociaż niedźwiedź też nie jest zły: to międzynarodowy symbol stagnacji gospodarczej, a poza tym istnieje wszak zwrot „brać w łapę”. Eskimosi mają trzydzieści słów opisujących różne rodzaje śniegu, a we współczesnej ruszczyźnie jest co najmniej tyle samo idiomów określających dawanie łapówki osobie na stanowisku.

Ale Rosjanie i tak kochają swój kraj, a ich pisarze i poeci tradycyjnie porównują te porządki do kuli u nogi bajecznego olbrzyma - że niby inaczej popędziłby zbyt szybko... Och, nie wiem. Już od dawna nie widać żadnego olbrzyma, tylko szyb naftowy i wiszącego na nim szczura, który robi sobie mistyczny autokefaliczny uroboros. Czasem mi się wydaje, że jedynym celem istnienia Rosji jest taszczyć tego szczura przez zaśnieżoną pustynię, próbując znaleźć w tym sens geopolityczny i natchnąć nim małe narody.

Po rozpatrzeniu jeszcze dwóch powiązanych ze sobą aspektów tutejszej kultury - surowo zabronionej leksyki, której na co dzień używają do porozumiewania się ze sobą ludzie, i prawa, w świetle którego powszechnie przyjęty sposób życia jest przestępstwem kryminalnym (co nakłada na twarze wszystkich mieszkańców niezatarte piętno grzechu) - otrzymasz krótki opis Gestaltu, który zamierzasz odwiedzić. A w ogóle to można by tę listę ciągnąć w nieskończoność: znajdują się na niej pancerne drzwi do mieszkań, metafizyczne

block-bustery, w których dobro pozwala się żywić złu za to, że zło pozwala się żywić dobru, i tak dalej. Ale dość o tym.

Lepiej podzielę się z Tobą swoimi obserwacjami na temat perspektyw tutejszej dziewczyny naszej profesji. Jest taka więzienna gra, którą inteligenci nazywają „Robinson”, a intelektualiści „Ultima Thule”. Oto jej zasady: mężczyzna siada w cebrze z wodą w ten sposób, że nad powierzchnię wystaje tylko główka jego penisa. Następnie wyjmuje z pudełka od zapalek wcześniej przygotowaną muchę z oderwanymi skrzydełkami i sadza ją na owej maleńkiej wysepce. Cały sens tej ponurej północnej rozrywki polega właśnie na obserwacji bezcelowych poruszeń nieszczęsnego owada po „krańcu świata” (stąd nazwa gry). Jest to medytacja nad beznadziejnością istnienia, samotnością i śmiercią. Katharsis osiąga się tu poprzez pobudzanie główki penisa przez muchę szybko przebierającą łapkami. Istnieje odmiana tej gry, którą inteligenci nazywają „Atlantyda”, a intelektualiści - „Kitieżem¹⁴ ducha”. Jej szczegółowe zasady są jednak tak ponure, że ich nie przytoczę, by Ci nie spędzać snu z powiek.

Uwierz mi, siostrzyczko, po przyjeździe tutaj będziesz się czuła jak bezskrzydła mucha, błędząca po wyspach archipelagu, o którym wszystko, co najważniejsze, powiedział już ludzkości Solżenicyn. Czyż warto zamieniać Twoje morze i słońce na te ciężką dolę? Tak, pieniędzy jest tu więcej. Ale wierz mi, tutejsi mieszkańcy wydają je wszystkie na to, by chociaż na niby, chociaż w heroinowo-alkoholowym odurzeniu, zbliżyć się do tego strumienia szczęścia i radości, w którym toczy się Twoje życie.

I ostatnia sprawa - skoro już zaczęliśmy mówić o arcywilkołaku. Jestem absolutnie przekonana, że wszystkie legendy o nim należy rozumieć jako metaforę. Arcywilkołak to coś, czym może się stać każdy z nas w wyniku moralnego samodoskonalenia i maksymalnego rozwinięcia swoich zdolności. Ty potencjalnie już nim jesteś. Dlatego szukanie go gdzieś na zewnątrz to błąd. Przekonywanie o tym I Huli czy jej męża (którego chętnie bym sobie obejrzała, póki jeszcze można) to strata czasu. Ale Ty, siostrzyczko, z Twoim jasnym umysłem i szczerym serum, powinnaś to rozumieć.

Kocham i pamiętam

Twoja A

Była taka chińska komedia z siedemnastego wieku - *Dwie lisice w jednym mieście*. Moskwa to bardzo wielkie miasto. A to znaczy, że tu mogłyby być również bardzo wielkie problemy. Ale tego rodzaju obawy ani trochę mnie nie nurtowały - słowo honoru, że

¹⁴ Legendarne miasto w Rosji, w Kraju Niżegorodzkim, zwane małą rosyjską Atlantyda (przyp. tłum.).

myślałam tylko o szczęściu mojej siostry. Jeśli w swoim liście nieco przesadziłam, to jedynie z troski o nią - niech jak najdłużej wygrzewa się na słończku, pieniądze szczęścia nie dają. A o arcywilkołaku napisałam najczystsza prawdę, tego jestem całkowicie pewna. Następnym razem będę musiała jej przypomnieć, żeby pracowała tylko metodą „narzeczona zwraca kolczyk”.

Kolczyk... Nagle przyszedł mi do głowy cudowny pomysł i rzuciłam się do metalowej szkatułki, w której przechowywałam biżuterię i różne cenne drobiazgi. To, czego szukałam, znalazło się od razu - para srebrnych kolczyków leżała na samym wierzchu.

Otworzyłam swój stareńki przybornik z maleńkimi cążkami (jeden z pierwszych modeli, teraz już takich nie robią), starannie odczepiłam przywieszki od haczyków i wkrótce na mojej dłoni leżało coś wspaniałego. Były to kolczyki w formie kółek na srebrnych haczykach, które kolorem praktycznie zlewały się z platyną. Jeden kolczyk był z większym brylantem, drugi z mniejszym. Na coś takiego jeszcze nikt nie wpadł. Jak zobaczą, to ukradną mi projekt, pomyślałam. Ale co na to poradzić...

Włożyłam kolczyki i przejrzałam się w lustrze. Wyglądało to super. Było jasne już na pierwszy rzut oka, że mam w uszach nie kolczyki, ale właśnie pierścionki, przywieszzone zamiast kolczyków. Poza tym było widać, że pierścionki są drogie - brylanty mieniły się cudownie w pełnym kurzu promieniu słońca, oświetlającym moje mieszkanie. Najwyższa finezja - droga rzecz w oprawie z demonstracyjnego lekceważenia kosztowności, połączenie ideałów burżuazji finansowej i wartości sześćdziesiątego ósmego roku w jednym estetycznie jednolitym przedmiocie, który obiecuje, że jego właścicielka da nie tylko Abramowiczowi, ale i Che Guevarze, a nawet mgliście sugeruje, że Abramowiczowi dziewczyna zamierza dawać tylko na razie, póki Che Guevara się nie podciągnie. (Che Guevara nie ma tu naturalnie nic do rzeczy, i nikt nie zamierza mu dawać - po prostu dziewczyna zakłada, że na taką przynętę Abramowicz szybciej się złapie.) Jak to się mówi, robić to, co doktor kazał.

Notabene, chętnie zobaczyłabym tego doktora na marach. Napatrzyłam się na takich doktorów przez dwa tysiące lat i wiem - wszyscy oni coś zapisują, a ludzka dusza za każdym razem wierzy w jedno i to samo oszustwo, pędzi na skały świata i rozbija się o nie na śmierć. I znowu pędzi, pędzi - jak za pierwszym razem. Żyjesz na brzegu tego morza, słuchasz szumu jego fal i myślisz - jakie to szczęście, że każda fala wie tylko o sobie i nie zna przeszłości.

Dostaję w prezencie takie pierścionki i broszki bynajmniej nie za doskonałość mojej duszy, której ludzie współcześni nie są w stanie pojąć. Oni cenią wyłącznie moją piękność fizyczną - bolesną, dwuznaczną i niszczycielską. Dobrze znam jej siłę - zgłębiałam ją przez

wiele setek lat. Ale po spotkaniu z Aleksandrem nie wiem czemu straciłam zwykłą pewność siebie. Nie pamiętam, żeby kiedyś czas tak mi się dłużył - dwa dni czekania na jego telefon wydawały się wiecznością. Minuty w ślimaczym tempie przepływały z przyszłości w przeszłość, a ja siedziałam przed lustrem, wpatrywałam się w swoje odbicie i rozmyślałam o pięknie.

Mężczyźni często myślą: oto spaceruje po wiosennych ulicach dziewczyna-kwiat, uśmiecha się do wszystkich i nawet nie wie, jak jest piękna. Taka myśl w naturalny sposób przeobraża się w chęć, by zdobyć tę nieświadomą sobie piękność znacznie poniżej jej rynkowej wartości.

Nic bardziej naiwnego. Zatem mężczyzna jest tego świadom, a dziewczyna-kwiat nie? To tak jakby kołchoźnik z Nikołajewa, który sprzedał krowę i przyjechał do Moskwy kupić, stare żiguli, przechodząc obok salonu Porsche i widząc za szybą młodzieńkiego sprzedawcę, pomyślał: „Jest taki młody i zielony... A nuż uwierzy, że ten pomarańczowy boxter jest tańszy od żiguli, jako że ma tylko dwoje drzwi? Warto spróbować z nim pogadać, póki nikogo nie ma w salonie...”

Taki mężczyzna jest po prostu śmieszny i nie ma żadnych szans. Ale nie wszystko bywa tak ponure. Dla kołchoźnika z Nikołajewa mam dwie wiadomości, dobrą i złą:

1) wiadomość zła - nie uda mu się kupić nic poniżej wartości rynkowej. Policzono, zważono, rozdzielono. Ty, który tutaj wchodzisz, żegnaj się z nadzieją;

2) wiadomość dobra - ta wartość rynkowa jest znacznie niższa, niż mu się wydaje pośród burzy hormonów, pomnożonej przez niską samoocenę i niewiarę w sukces.

Na nowego pomarańczowego boxtera oczywiście nie ma szans - kupi go podstarzały poczcziwiec z ministerstwa spraw socjalnych. Ale na stare audi z pewnością wieśniaka stać. Tylko że audi nie jest mu potrzebne, potrzebny mu jest traktor. Tragedia tego kołchoźnika, jak i wszystkich innych mężczyzn, polega na tym, że uganiają się za naszą urodą, nie rozumiejąc jej natury. A tyle o niej powiedziano - że to rzecz straszna i groźna, która jednocześnie ratuje świat, i tak dalej. Ale sprawa nie staje się przez to ani trochę bardziej zrozumiała.

Lisice łączy z pięknymi kobietami to, że i my, i one, żyjemy kosztem uczuć, jakie budzimy. Ale kobieta kieruje się instynktem, a lisica rozumem, i tam gdzie kobieta porusza się w ciemności i po omacku, lisica dumnie kroczy naprzód w jasnym świetle dnia.

Należy jednak przyznać, że niektóre kobiety radzą sobie z tą rolą nieźle. Ale mimo najlepszych chęci nie potrafią odsłonić swoich profesjonalnych sekretów, jako że same ich nie rozumieją na poziomie racjonalnym. A my, lisice, uświadamiamy sobie te sekrety całkiem wyraźnie - i teraz opowiem o jednym z nich, najprostszym i najważniejszym.

Ten, kto chce zrozumieć naturę piękna, powinien przede wszystkim zadać sobie pytanie: gdzie ono jest? Czy można uznać, że znajduje się gdzieś w kobiecie, która wydaje się piękna? Czy można powiedzieć, że piękno tkwi na przykład w rysach jej twarzy? Albo w figurze?

Jak twierdzi nauka, mózg otrzymuje strumień informacji od zmysłów, w tym wypadku wzroku, i bez interpretacji, których dokonują ośrodki podkorowe, jest to po prostu chaotyczny ciąg barwnych plam, przełożony przez drogę wzrokową na impulsy nerwowe. Każdy głupi rozumie, że żadnego piękna tam nie ma i że nie przenika ono w człowieka przez oczy. Mówiąc językiem technicznym, to interpretacja, która powstaje w świadomości pacjenta. Najprawdziwsze *in the eye of the beholder*¹⁵.

Piękność nie należy do kobiety ani nie jest jej cechą integralną - po prostu w pewnym okresie życia kobieca twarz odbija piękno, tak jak szyba okienna odbija niewidoczne za dachami domów słońce. Dlatego nie można mówić, że uroda z czasem więdnie - po prostu słońce przesuwa się dalej i zaczynają je odbijać okna innych domów. Ale słońce, jak wiadomo, nie znajduje się w szybach, na które patrzymy. Znajduje się w nas.

Co to za słońce? Przepraszam, ale jest to druga tajemnica, a dziś zamierzam odkryć tylko jedną. Poza tym, z punktu widzenia praktycznej magii, natura słońca w ogóle nie jest ważna. Ważne są manipulacje, jakich dokonujemy z jego światłem, i tu pomiędzy lisicami a kobietami zachodzi istotna różnica. Ale tak jak poprzednio, wyjaśnić ją mogę tylko za pomocą analogii.

Są takie latarki, które nosi się na czole na specjalnej opasce, popularne wśród rowerzystów i speleologów. To bardzo wygodne - tam, dokąd zwraca się głowa, kieruje się również strumień światła. Sama jeżdżę z taką latarką nocami po parku Bitcewskim - ma trzy maleńkie, silne żarówki, które rzucają na asfalt ścieżki plamę niebieskobiałego światła. Tak więc piękno to efekt, jaki powstaje w świadomości patrzącego, kiedy światło latarki na jego czole odbija się od czegoś i trafia mu w oczy.

Każda kobieta ma w sobie lustro od urodzenia ustawione pod określonym kątem, i cokolwiek łąłby na ten temat przemysł kosmetyczny, zmienić tego kąta nie sposób. Natomiast my, lisice, możemy regulować kąt nachylenia swojego lustra w bardzo szerokim

¹⁵ W oczach patrzącego (ang.).

zakresie. Możemy się nastawić praktycznie na każdego rowerzystę. Tutaj sugestia działa pół na pół z kokieterią: ogon pozostaje pod ubraniem, i wspomagamy się nim tylko odrobinę. Ale każda lisica wie, że cała rzecz właśnie w owej „odrobinie”.

Specjalnie do tych zapisków przetłumaczyłam fragment wspomnień pewnego hrabiego, znanego osiemnastowiecznego awanturnika, w których uwiecznił dla potomności siostrzyczkę I Huli. Spotkał ją w Londynie, gdzie się schronił przed okropnościami rewolucji. Nawiązali romans, ale ten romans zakończył się źle - hrabia w niejasnych okolicznościach zmarł na zawał serca. Oto jak opisuje on chwilę, w której lisica obraca swoje lustro, kierując promień odbitego światła prosto w oczy ofiary:

Nie mogę powiedzieć, by była szczególnie urodziwa. Kiedy spoglądałem na nią po dłuższej rozłące, zdumiewałem się, jak też to małe, chude stworzonko o złych oczach mogło stać się dla mnie wszystkim - miłością, życiem, śmiercią, zbawieniem duszy. Ale wystarczyło, by pochwyciła moje spojrzenie, i wszystko się zmieniło. Najpierw w jej zielonych oczach pojawiała się jakby pełna niepokoju wątpliwość, czy jest kochana. To, że nie ma jej za co kochać, było w owej chwili oczywiste, i za każdym razem przenikała mnie fala współczucia przechodzącego w tliwość. A ona wchłaniała te uczucia jak gąbka wino i natychmiast rozkwitała bolesną, doprowadzającą do szaleństwa urodą. Krótka wymiana spojrzeń przekształcała wszystko. Chwilę wcześniej nie rozumiałem, w jaki sposób ta właściwie nieładna kobieta zdołała mnie zauroczyć a chwilę później - zachodziłem w głowę, jak mogłem choć na moment zwątpić w magiczną siłę jej rysów. I im dłużej patrzyłem jej w oczy, tym silniejsze stawało się owo uczucie, doprowadzając mnie do ośpienia, do fizycznego bólu - jak gdyby ona wsuwała sztylet w szczelinę ściany, za którą chciałem się ukryć i kilkoma poruszeniami ostrza sprawiała, że mur obracał się w ruinę, a ja znów stałem przed nią nagi i bezbronny niby dziecko. Poznałem doskonale tę metamorfozę, ale i tak nie pojąłem natury ognia, który spalił do cna moją duszę.

Niestety, to prawda: uroda podobna jest do ognia, spala, doprowadza do obłądzenia swoim żarem, obiecując, że tam, dokąd zapędza ofiarę, jest ukojenie, chłód i nowe życie - a to oszustwo. A raczej wszystko jest właśnie tak, ale nie dla ofiary, tylko dla nowego życia, które przyjdzie ofiarę zastąpić, a potem też zostanie pożarte przez owego bezlitosnego demona.

Kto jak kto, ale ja wiem, o czym mówię. Służy mi ów demon ponad dwa tysiące lat, i chociaż łączą mnie z nim dawne stosunki służbowe, trochę się go boję. Demon piękna to najsilniejszy ze wszystkich demonów umysłu. Jest podobny do śmierci, ale służy życiu. I nie

żyje we mnie - ja tylko wypuszczam go z lampy na czole patrzącego, jak Aladyn dzina, a potem, kiedy dzin wraca do swego więzienia, zeruję na polu bitwy. To ciężka dola, i nie wiem, czy Budda Zachodniego Raju pochwali moje uczynki. Ale cóż robić? Taki już los lisic.

I nie tylko lisic. Taki sam jest los naszej młodszej siostrzycy, ludzkiej kobiety. Ale wyrzucać jej to mógłby tylko nieczuły i tępy samiec szowinista. Przecież kobieta wcale nie została stworzona z żebra Adama, to pomyłka skryby znużonego upałem. Kobieta została stworzona z rany, przez którą wyjęto Adamowi żebro. Wszystkie kobiety o tym wiedzą, ale za mojej pamięci głośno się do tego przyznały tylko dwie - Marina Cwietajewa („oto tajemnica Ewy: jestem niczym więcej jak tylko zwierzęciem, zranionym przez kogoś w brzuch”) i cesarzowa Cy-si, którą potwornie drażniła własna przynależność do słabej płci (nie przytoczę jej wypowiedzi, bo, po pierwsze, jest nieprzyzwoita, a po drugie, całkowicie idiomatyczna i nieprzetłumaczalna). A żebro Adamowi wyjęto, on zaś od tej pory wciąż próbuje wsunąć je z powrotem w ranę, w nadziei, że wszystko się zrośnie i zagoi. Nic z tego. Ta rana nie zagoi się nigdy.

Metafora hrabiego o ostrzu i murze jest bardzo trafna, obrazowa. My, lisice, istotnie robimy coś w tym rodzaju - wymacujemy ukryte struny człowieka, a potem, kiedy je znajdziemy, naszym celem jest zagrać na nich *Lot Walkirii*, od którego runie cały gmach osobowości. Chociaż teraz nie jest to takie straszne. Gmach współczesnej osobowości bardziej przypomina ziemiankę - nie ma co w niej runąć i nie trzeba prawie żadnych starań, by nią zawładnąć.

No i zdobycz jest marna - uczucia dzisiejszych m r u g a c z y o c z a m i są niezbyt głębokie, a organki ich dusz grają tylko psiego walca. Wywołujesz w takim człowieku najpotężniejszy huragan, jaki jest zdolny pomieścić, a huraganu wystarcza tylko na to, by ten ktoś przyniósł ci kilka pomiętych studolarowych papierków. I jeszcze musisz pilnować, żeby nie były pomazane, podarte albo, nie daj Boże, wyemitowane przed osiemdziesiątym rokiem. Tak to jest.

Aleksander zadzwonił po dwóch dniach, tak jak obiecał. Podniosłam słuchawkę, jeszcze śpiąc, absolutnie pewna, że to on.

- Halo.

- Ada - odezwał się - to ty?

- Ada?

- Będę cię nazywał Ada - powiedział. - Można to chyba uznać za zdrobnienie od Adeli?

W imieniu mogą się kryć dwa przeciwstawne znaczenia - „ad A” i „A da”¹⁶. To było podniecające. A najdziwniejsze, że wcześniej nigdy mi to nie przyszło do głowy.

- Dobrze - powiedziałam - nazywaj mnie, jak chcesz.

Najlepiej przechodzić na „ty” niepostrzeżenie, bez zwracania na to uwagi, jako że w różnych kulturach rytuały są bardzo różne, a nie sposób wszystkich zapamiętać. Sformułowałam tę zasadę około półtora tysiąca lat temu i ani razu mnie nie zawiodła.

- Chcę cię zobaczyć - oznajmił Aleksander.

- Kiedy?

- Zaraz.

- E...

- Czeka na ciebie mój samochód.

- Gdzie?

- Koło trybun.

- Koło trybun? A jak się dowiedziałeś, gdzie ja...

- To nic trudnego - rzekł z uśmiechem. - Michałycz cię przywiezie.

Do drzwi głośno zapukano.

- O - powiedział Aleksander w słuchawce - to właśnie on. Czekam na ciebie, mój kwiatuszku.

Rozłączył się. Mój kwiatuszku, pomyślałam, no, no. Uważa mnie za roślinę. Do drzwi znów zapukano, bardziej natarczywie. Tego rodzaju uprzejmość graniczyła z bezczelnością.

- Adela - odezwał się za drzwiami znajomy głos. - Jesteś tam? Widzę na przyrządach, że tak. Hej!

Zastukał jeszcze raz.

- Wisi tu u ciebie tabliczka „Wejście grozi śmiercią”. Może wlaźłaś i cię zabiło? Żyjesz? Odezwij się! Bo wyłamię drzwi!

Idiota, pomyślałam, zaraz by się ludzie zlecieli. Chociaż nie, jest jeszcze za wcześnie... Tak czy owak jednak lepiej było nie ryzykować. Podeszłam do drzwi i powiedziałam:

- Ciszej, Władimirze Michajłowiczu! Zaraz otworzę, tylko się ubiorę.

- Czekam.

Ubrałam się szybko i rozejrzałam po swoim lokum - chyba nic kompromitującego na widoku nie było. Ale jak on tu trafił? Śledził mnie czy co?

- Otwieram...

¹⁶ Ad (ros.) - piekło, da (ros.) - tak.

Michałycz wszedł i przez chwilę mrugał oczami, przywykając do półmroku. Potem rozejrzał się na wszystkie strony.

- Co, naprawdę tu mieszkasz?

- Tak.

- We wpuście gazu?

- To nie jest wpuść gazu. Tylko taka tabliczka na drzwiach, żeby ludzie nie włązili.

- A co to w ogóle jest? - zapytał Michałycz.

- W jakim sensie?

- No, każde miejsce ma swoje przeznaczenie. Co to za pomieszczenie?

- Nie lubię pomieszczeń - powiedziałam. - Nie lubię, kiedy mnie gdzieś umieszczają. To jest puste miejsce pod trybunami. Najpierw był tu magazyn. Potem go przedzielili, za przepierzeniem zrobili podstację transformatorową, a o tej części zapomnieli. No, nie tak po prostu. Musiałam się trochę postarać...

Wymownie potarłam o siebie dwa palce. Oczywiście ruszać musiałam wtedy ogonem, nie palcami, ale nie miałam zamiaru wtajemniczać Michałycza we wszystkie szczegóły mojej ciężkiej doli.

- A masz tu przynajmniej ogrzewanie? - zapytał. - Aha, widzę, grzejniki. A gdzie toaleta?

- Co, zachciało się panu?

- Nie, po prostu jestem ciekaw.

- Tam dalej w korytarzu. I jest też prysznic.

- Naprawdę mieszkasz w tej norze?

- Dlaczego w norze? - odparłam. - To przypomina raczej mansardę, jak u jakiegoś adwokata albo technologa politycznego. Loft, to teraz modne. Sufit jest ukośny, bo nad nim są trybuny. Bardzo romantyczne.

- A jak sobie tu radzisz bez światła?

- Widzi pan tę szybkę pod sufitem? To okno. Kiedy wschodzi słońce, wpada tutaj bardzo ładny promień. A w ogóle to nieźle widzę po ciemku.

Jeszcze raz się rozejrzał.

- W tych workach trzymasz swój dobytek?

- Powiedzmy, że tak.

- Rower też jest twój?

- Tak - powiedziałam. - Notabene bardzo dobry - hamulce tarczowe, widelec z włókna węglowego.

- Komputer też z włókna węglowego? - parsknął.

- Jakby pan zgadł. To rzadki model Vaio, Sony robi je tylko dla Japonii. Najlepszy notebook na świecie.

- Jasne. Dlatego stoi na kartonowym pudle, tak? Zamiast na biurku. Nie wstyd ci przed gośćmi?

Jego ton zaczął mnie irytować.

- Coś panu powiem, Władimirze Michajłowiczu - odrzekłam. - Szczerze mówiąc, nie wiem, co mi jest bardziej obojętne - wygląd otaczających mnie przedmiotów czy opinia otaczających mnie ludzi. I jedno, i drugie zbyt szybko odchodzi w przeszłość, żebym się miała przejmować.

- Jednym słowem, melina bezdomnej - podsumował Michałycz. - Dzielnicowy wie o tej chawirze?

- Chce pan zakablować?

- Zależy, jak się będziesz zachowywać. No, chodźmy.

Do samochodu szliśmy w milczeniu, tylko Michałycz dwa razy zaklął - raz, kiedy musiał się przecisnąć między dwiema płytami ze sklejki, a drugi raz - kiedy trzeba było zanurkować pod barierką.

- Proszę, żeby pan nie klął - powiedziałam.

- Rozdarłem sobie rękaw. Jak ty przeciskasz tędy swój rower?

- To proste. Latem zostawiam go na zewnątrz. Kto by się tu pchał?

- Tak - przyznał. - To fakt.

Samochód stał za bramą stadionu. A więc była szansa, że wizyta Michałycza przejdzie niezauważona. Chociaż co za różnica? Miejscowi mogą niczego nie zauważać jeszcze przez sto lat, ale przecież Michałycz i jego firma teraz wiedzą wszystko. Trzeba będzie poszukać nowego schronienia, pomyślałam, i który to już raz...

Kiedy oddaliliśmy się od stadionu, Michałycz nagle wręczył mi szkarłatną różę na długiej łądźce. Było to tak nieoczekiwane, że nawet nie zauważyłam, skąd ją wyciągnął. Róża była świeżo rozwinięta, błyszcząły na niej jeszcze kropelki rosy.

- Dzięki - powiedziałam, biorąc kwiat. - Jestem wzruszona. Ale od razu chciałabym uprzedzić, że między nami raczej nic...

- To nie ode mnie - przerwał mi. - Szef prosił, żeby ci dać. Chciał, żebyś się po drodze zastanowiła, co to znaczy.

- Dobrze - odparłam. - Zastanowię się. A przez jaki przyrząd pan mnie widział?

Wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyjął małe urządzenie wielkości papierośnicy, z ekranikiem jak w kamerze cyfrowej. Na papierośnicy było kilka guziczków, ale całość wyglądała niepozornie.

- To pelengator.

- I co łapie?

- Sygnały - odparł Michałycz. - Daj mi swoją torebkę.

Spełniłam polecenie. Na najbliższych światłach odwinął pasek na drugą stronę i pokazał mi malutki krążek ciemnej folii, rozmiarów monety jednokopiejkowej. Był cieniutki i trzymał się na warstwie kleju. Nigdy bym go nie spostrzegła - albo bym pomyślała, że to jakaś metka.

- Kiedy mi go pan przykleił?

- Jak szliśmy do pokoju na szampana - odparł z uśmiechem.

- Po co? Ma pan do mnie jakieś poważne pytania?

- W ogóle to tak - przyznał - ale teraz już nie ja. No nic, szef wyjaśni, coś ty za jedna... Nie takich rozgryzał. A właśnie, powiedziałem mu, czym się zajmujesz.

Wszystko to zupełnie przestało mi się podobać, ale na ucieczkę było już za późno: zbliżyliśmy się do znajomego budynku. Wóz minął dziedziniec i wjechał w metalową bramę garażu, która natychmiast się zamknęła, odcinając nas od świata.

- Jesteśmy na miejscu, wysiadaj.

Gdy tylko Michałycz wyskoczył z auta, położyłam różę na jego fotelu - długa kolczasta łądyga prawie zlewała się kolorem z tapicerką i była spora szansa, że Michałycz klapnie na nią z rozmachem swym nabitym zadkiem.

- Zdejmuj buty - polecił, kiedy wysiadłam w ślad za nim.

- A co, prowadzisz mnie na rozstrzelanie?

- To zależy - parsknął. - Masz tam kaptcie przy windzie. Rozejrzałam się. Okrągła dziura w suficie, stalowa rura, kręcone schody - byliśmy w pamiętnym miejscu. Teraz jednak w garażu paliło się światło i zauważyłam drzwi windy, na które poprzednim razem nie zwróciłam uwagi. Przed nimi na podłodze stało kilka par rozmaitych fasonów obuwia na zmianę. Wybrałam niebieskie klapki z pomponami - wyglądały tak wzruszająco bezbronne, że skrzywdzić obutą w nie dziewczynę mógłby tylko jakiś potwór.

Drzwi windy otworzyły się i Michałycz gestem zaprosił mnie do środka. Na panelu były dwa duże trójkątne przyciski, tworzące romb. Michałycz wcisnął dolny trójkąt i winda potężnym szarpnięciem oderwała nas od ziemi.

Kiedy po kilku sekundach drzwi się otworzyły, oślepiło mnie padające ze wszystkich stron światło. W promieniach i tęczowych wirach tego światła stał Aleksander. Był w mundurze wojskowym i masce z gazy zakrywającej twarz.

- Witaj, Ado - przemówił. - Wejdz, proszę. Nie, Michałycz, wybacz - ciebie nie zapraszam. Dzisiaj byłbyś intruzem...

Zwróciłam uwagę na penthouse już za pierwszą wizytą tutaj. Nie domyśliłam się tylko, że to właśnie penthouse - z dołu przypominał ciemną kulkę na końcu olbrzymiego betonowego ołówka. Można go było wziąć za nadbudówkę z maszynownią wind, jakieś pomieszczenie techniczne czy grzewcze. Ale te turkusowe ściany okazały się przezroczyste od wewnątrz.

Nie zdążyłam sobie tego uświadomić, kiedy zaczęły ciemnieć, aż przybrały kolor butelkowy. Dopiero co mrużyłam oczy od słońca, i nagle w ciągu kilku sekund otoczył mnie cały dom, który przedtem był niewidoczny z powodu słonecznego blasku, odbitego od mnóstwa lustrzanych płaszczyzn.

Później dowiedziałam się, że była to kosztowna nowinka techniczna - przezroczystość ścian regulowano za pomocą specjalnych ciekłokrystalicznych ekranów, sterowanych komputerowo. Wtedy jednak zjawisko to wydało mi się cudem. A cuda od najdawniejszych czasów wprawiają mnie w nastrój ironiczny, by nie rzec pogardliwy.

- Cześć, Szurik - powiedziałam. - Co to za cyrk? Nie masz kasy na normalne zasłony? Zatkąło go. Po sekundzie jednak przyszedł do siebie i roześmiał się.

- Szurik - powtórzył. - Podoba mi się. No tak. Skoro ty teraz jesteś Ada, ja mogę być Szurik.

Jego jasnoszara kurtka mundurowa z pagonami generała-lejtnanta i granatowe spodnie z czerwonymi lampasami wyglądały nieco teatralnie. Podeszedł do mnie, zdjął z twarzy maskę, zmrużył oczy i wciągnął nosem powietrze. Chciałam zapytać, czemu stale tak robi, ale się nie odważyłam. Otworzył oczy i jego spojrzenie padło na moje kolczyki.

- Świetnie to wymyśliłaś - powiedział.

- Fajne, prawda? Najbardziej mi się podoba, że kamienie są różne. A tobie?

- Nieźle. Michałycz przekazał ci kwiat?

- Tak - odparłam. - I dodał, żebym się zastanowiła nad sensem tego posłania. Ale nie wymyśliłam. Może sam mi powiesz?

Podrapał się po głowie. Wyglądał na zmieszanego moim pytaniem.

- Znasz bajkę o czerwonym kwiatuszku?

- Którą? - spytałam.

- Moim zdaniem, jest tylko jedna.

Wskazał biurko, na którym stały komputer i srebrna statuetka. Obok statuetki leżała książka z zakładkami w paru miejscach. Na okładce widniał wytarty czerwony napis: *Baśnie rosyjskie*.

- Tę baśń spisał Siergiej Aksakow - powiedział. - Na podstawie opowieści swojej klucznicy Pelagii.

- O czym jest ta baśń?

- O pięknej i bestii.

- A co ma do tego kwiatuszek?

- Od niego wszystko się zaczęło. Naprawdę nie znasz tej baśni?

- Naprawdę.

- Jest długa, ale postaram się streszczać: piękna dziewczyna poprosiła ojca, żeby jej przywiózł czerwony kwiatuszek. Ojciec znalazł go w dalekim zaklętym ogrodzie i zerwał. A ogrodu strzegł straszliwy potwór, który pochwycił ojca dziewczyny. I dziewczyna musiała oddać się potworowi w niewolę, żeby ten uwolnił jej ojca. Potwór był odrażający, ale dobry. I dziewczyna go pokochała, najpierw za dobroć, a potem w ogóle. No i kiedy się pocałowali, czar prysł i potwór zamienił się w księcia.

- Aha - powiedziałam. - A czy ty przynajmniej rozumiesz, o czym to jest?

- Oczywiście.

- Tak? No więc o czym?

- O tym, że miłość wszystko zwycięża.

Roześmiałam się. Jakież on jednak zabawny. Pewnie załatwił paru bandziorków, kazał wykończyć jakiegoś bankiera, a teraz z właściwym ludzom zarozumiałstwem uważa się za potwora. I myśli, że miłość go ocali.

Wziął mnie pod rękę i poprowadził do supernowoczesnej kanapy, ustawionej pomiędzy dwoma zagajnikami karłowatych drzewek bonsai, z miniaturowymi altankami, mostkami i nawet wodospadami.

- Czemu się śmiejesz? - zapytał.

- Chętnie ci wytłumaczę - odparłam, siadając na kanapie i podwijając nogi.

- No to słucham.

Usiadł na drugim końcu kanapy i założył nogę na nogę. Spostrzegłam wystający spod frencza skraj kabury.

- To jedna z tych opowieści, które ukazują strach i ból pierwszego doświadczenia seksualnego kobiety - powiedziałam. - Takich historii jest wiele, a ta, którą mi streściłeś, stanowi wręcz klasyczny przykład. To metafora tego, jak kobieta odkrywa zwierzęcą istotę mężczyzny i uświadamia sobie swoją władzę nad tym stworzeniem. A czerwony kwiatusek, który zrywa ojciec, to przecież bardzo czytelny motyw defloracji, w dodatku z domieszką kazirodztwa, tak że trudno mi uwierzyć, by to była opowieść klucznicy. Prędzej wymyślił ją jakiś ubiegłowieczny wiedeński doktorant dla zilustrowania swojej dysertacji. Wymyślił i baśń, i klucznicę Pelagię, i pisarza Aksakowa. Kto to jest klucznica? Kobieta ściskająca w rękę klucz... A raczej nie po prostu klucz, tylko kółko, na którym wiszą klucze. Czy muszę tłumaczyć dalej?

W miarę jak mówiłam, Aleksander posepniał coraz bardziej.

- Gdzie się tego nauczyłaś? - zapytał.

- To przecież truizmy. Znane wszystkim.

- I ty w to wierzysz?

- W co?

- W to, że ta bajka nie jest o tym, jak miłość zwycięża wszystko na świecie, tylko o tym, jak defekacja uświadamia sobie swoją władzę nad kazirodztwem?

- Defloracja - poprawiłam.

- Nieważne. Naprawdę tak uważasz?

Zamyśliłam się.

- Ja... Ja w ogóle nic nie uważam. Po prostu taki jest współczesny dyskurs baśni.

- I co, kiedy ktoś ci daje czerwony kwiatusek, ty z powodu tego dyskursu uważasz go za symbol defekacji i kazirodztwa?

- Nie mów tak - zaprotestowałam nieco zmieszana. - Kiedy dostaję czerwony kwiatusek, jest mi... Jest mi po prostu przyjemnie.

- Chwała Bogu - rzekł z ulgą Aleksander. - A co do współczesnego dyskursu, to najwyższy czas wbić go osinowym kołkiem z powrotem w ten kokainowo-amfetaminowy tyłek, który go zrodził.

Tak kategorycznego uogólnienia zupełnie się nie spodziewałam.

- Dlaczego?

- Żeby nie plugawił naszego czerwonego kwiatuszka.

- Tak - powiedziałam. - Co do kokainy, rozumiem. Masz na myśli doktora Freuda. To prawda, miał taki grzeszek na sumieniu. Ale co tu ma do rzeczy amfetamina?

- Chętnie ci wytłumaczę - odrzekł i podwinął pod siebie nogi, naśladując moją pozę.

- No to wytłumacz.

- Wszystkie te francuskie papugi, które wynalazły dyskurs, ćpają amfę. Wieczorem żrą barbiturany, żeby zasnąć, a dzień zaczynają od amfetaminy, żeby się przedrzeć przez barbiturany. A potem ćpają amfetaminę, żeby zdążyć wymyślić jak najwięcej dyskursu, zanim zaczną znów łykać barbiturany po to, żeby zasnąć. I to cały dyskurs. Nie wiedziałaś?

- Skąd masz takie wiadomości?

- W Akademii FSB mieliśmy kurs na temat współczesnej kultury psychodelicznej. Kontrpranie mózgow. A, zapomniałem powiedzieć - w dodatku wszyscy oni byli pedziami. To na wypadek, gdybyś zapytała, co ma z tym wspólnego tyłek.

Rozmowa zmierzała w niepożądanym kierunku, i był najwyższy czas zmienić temat. A ja lubię robić to ostro.

- Aleksandrze - powiedziałam - wytłumacz mi, ale tak, żebym zrozumiała, co ja tu robię. Chcesz mnie przelecieć czy indoktrynować?

Drgnął, jakbym powiedziała coś strasznego, zerwał się z kanapy i zaczął spacerować tam i z powrotem przed oknem - a raczej nie oknem, tylko prostokątem w ścianie, który pozostał przezroczysty.

- Próbujesz mnie zaszokować? - zapytał. - Nic z tego. Wiem, że pod twoim udawanym cynizmem kryje się czysta, podatna na zranienie dusza.

- Udawany cynizm? U mnie?

- Nawet nie cynizm - poprawił się, przystając. - Lekkomysłność. Niezrozumienie poważnych spraw, z którymi igrasz jak małe dziecko z granatem. Porozmawiajmy poważnie, rzeczowo.

- No, wal.

- Powiedziałas - zwierzęca istota mężczyzny, koszmar pierwszego zbliżenia... Przecież to straszne, ponure sprawy. Jeśli chcesz wiedzieć, ja sam boję się zaglądać w te otchłanie...

„Ja sam”. No nie, on naprawdę jest śmieszny.

- A ty mówisz o tym - ciągnął - jakby to był mały pikuś. Co, nie odczuwasz strachu przed zwierzęcym pierwiastkiem w mężczyźnie? Przed męskim pierwiastkiem w zwierzęciu?

- Ani trochę - odparłam. - Przecież Michałycz ci powiedział, kim jestem. Powiedział? Skinął głową.

- No właśnie. Gdybym miała takie problemy, nie mogłabym pracować.

- Nie przeraża cię bliskość cudzego ciała - ogromnego, brzydkiego, żyjącego wedle własnych praw?

- Ja to po prostu uwielbiam - odparłam z uśmiechem.

Popatrzył na mnie i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Miałem na myśli bliskość fizyczną. W najprymitywniejszym sensie tego słowa.

- Za bliskość duchową doliczam pięćdziesiąt procent. Jak długo mam ci tłumaczyć jedno i to samo? Co, za każdym razem przed bara-bara musisz tyle gadać?

Skrzywił się.

- Tylko nie rozmawiaj ze mną jak z jakimś bandziorem. To przez tę kurtkę mundurową, tak?

- Może. Spróbuj ją zdjąć. I spodnie też.

- Czemu jesteś taka...

- Nie podobam ci się?

Pochyliłam głowę i z urazą zerknęłam na niego spod rzęs, lekko przymrużonymi oczami, wydymając wargi. Ćwiczyłam to spojrzenie ponad tysiąc lat i nie ma sensu go opisywać. To moja firmowa prowokacja, wyuzdanie i niewinność w jednym przeciwpancernym flakonie, które przeszywają klienta na wylot, a potem jeszcze dobijają rykoszetem. Jedyne znany mi sposób obrony przed takim spojrzeniem to patrzeć w inną stronę. Aleksander patrzył na mnie.

- Podobasz mi się - rzekł i nerwowo szarpnął głową. - Jeszcze jak.

Zrozumiałam, że nadeszła chwila krytyczna. Kiedy klient tak szarpie głową, ośrodki kontrolne w jego mózgu odmawiają posłuszeństwa, i w każdej chwili może się na ciebie rzucić.

- Muszę do łazienki - powiedziałam, wstając. - Gdzie tu jest łazienka?

Wskazał mi okrągłą ścianę z błękitnego, półprzezroczystego szkła. Drzwi nie było - do środka prowadziło spiralne przejście.

- Zaraz wracam.

Odetchnęłam z ulgą dopiero w środku.

Było tam bardzo ładnie. Złote gwiazdy na granatowym tle i wykładana masą perłową wanna przypominały pompejańskie termy - możliwe, że dekorator świadomie wykorzystał ten motyw. Ale właściciel chyba raczej nie miał o tym pojęcia.

To ryzykowne doprowadzać klienta do takiego stanu, pomyślałam, kiedyś źle się to skończy. A może Aleksander też coś sobie wstrzykuje, jak Michałycz? Albo coś łyka? Przecież nie bez powodu ciągle tak węszy...

Zdjęłam dzinsy, położyłam je na podłodze, napuszyłam ogon i przejrzałam się w lustrze. Moja duma przypominała japoński wachlarz, pomalowany w czerwone wzory. Było to piękne. A na granatowo-gwiazdzistym tle wyglądało wprost bajecznie. Czulałam się jak

nigdy pewna siebie - energia wręcz mnie rozpieierała, jeszcze chwila, a z włosków mojego ogona wystrzeliłyby maleńkie pioruny kuliste. Przypomniało mi się śmieszne rosyjskie wyrażenie: „trzymać ogon jak pistolet” - to znaczy nie upadać na duchu. Nie wiem, skąd się wzięło, ale na pewno miały z tym coś wspólnego lisice. No cóż, pomyślałam, lanca do boju...

Podeszłam do wyjścia i przygotowałam się do startu. Zrobiwszy kilka głębokich wdechów, uchwyciłam tę jedyną sekundę, kiedy wszystkie komórki ciała mówią ci: „Teraz!”, i jak trąba powietrzna wypadłam z łazienki.

Dalej nie było czasu na zastanowienie. Zahamowałam, odwróciłam się tyłem do mego celu, mocno wparłam w podłogę ręce i nogi i wygięłam ogon nad głową. W jednej z lustrzanych płaszczyzn mignęło moje odbicie - przypominałam szykującego się do walki groźnego rudego skorpiona... Aleksander podniósł na mnie wzrok, ale zanim zdążył mrugnąć, mój ogon posłał w sam środek jego mózgu dokładnie wymierzony, celny cios.

Zasłonił oczy dłonią, jak przed oślepiającym światłem. Następnie opuścił rękę i nasze oczy się spotkały. Coś było nie tak. Mój ogon w żaden sposób nie potrafił go dosięgnąć - a on stał z taką miną, jakby nie był w stanie uwierzyć, że na świecie może istnieć coś tak pięknego.

- Adelo - wyszeptał - ukochana...

A dalej nastąpił istny koszmar.

Aleksander zatoczył się, wydał potworny odgłos, przypominający wycie, i dosłownie wypadł na zewnątrz z własnego ciała - jak gdyby było ono pękiem, który w kilka sekund rozwinął się w ohydny kosmaty kwiat. Okazało się, że człowiek imieniem Aleksander był po prostu rysunkiem na drzwiach prowadzących w zaświaty. Teraz te drzwi stały otworem i wyskoczył z nich ktoś, kto już od dłuższego czasu obserwował mnie przez dziurkę od klucza.

Przede mną stał potwór, coś pośredniego między człowiekiem a wilkiem, z wyszczerzonymi zębiskami i świdrującymi żółtymi ślepiami. Najpierw pomyślałam, że ubranie Aleksandra znikło. Potem zrozumiałam, że jego frencz i spodnie przeobraziły się wraz z nim: tors pokrywała popielatoszara sierść, a tylne łapy były ciemniejsze i można było na nich dostrzec nierówny ślad lamпасów. Na piersi zwierza widniała podłużna lata, przypominająca kształtem skręcony w bok krawat. Skierowałam wzrok niżej i ogarnęła mnie groza. Nigdy jeszcze nie widziałam, jak to miejsce wygląda u podnieconego wilka. A wyglądało, moim zdaniem, bardziej przerażająco niż jakakolwiek rozwartą paszczęka.

I tu się połapałam, że wciąż stoję na czworakach z zadartym ogonem i wypiętą w kierunku potwora bezbronną pupą. Bezbronną, bo moja antena nie działała i nie miałam go jak powstrzymać. Domyślałam się, jak on może rozumieć moją pozę, ale mnie sparaliżowało - zamiast się rzucić do ucieczki, wciąż patrzyłam na niego przez ramię. Tak się zdarza w

niektórych snach - musisz szybko uciekać, a tymczasem stoisz w miejscu i za nic nie możesz oderwać od ziemi ciężkich jak ołów nóg. Ja nie mogłam nawet zetrzeć z twarzy idiotycznego uśmiešku - niczym złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

- R-r-rarra - powiedział. - R-rrrau-u...

- Ziomal - wybełkotałam - zaczekaj. Ja ci wszystko wytłumaczę...

Zawarczał i ruszył ku mnie.

- Nawet o tym nie myśl, rozumiesz? Mówię poważnie, szary, przyhamuj...

Opadł miękko na przednie łapy-ręce i zrobił jeszcze jeden krok w moją stronę. Potrzebowałam zupełnie innych słów, i to szybko. Ale skąd miałam je wziąć?

- Posłuchaj... Porozmawiajmy spokojnie, dobra?

Wyszczrzył zęby i podniósł swój szary ogon, prawie kopiując moją roboczą pozę.

- Zaczekaj, szarusiu - wyszeptalam - nie rób tego...

Skoczył i przez sekundę wydawało mi się, że światło zakryła niska i czarna burzowa chmura. A w następnej sekundzie ta chmura na mnie runęła.

Leżąc na kanapie przykrytej czymś w rodzaju skóry mamuta albinosa, łkałam w poduszkę i sama nie wiedziałam, skąd we mnie tyle łez - poduszka była już mokra z obu stron.

- Ada - odezwał się Aleksander i dotknął mojego ramienia.

- Odejdź, potworze - chlipnęłam i strząsnęłam jego rękę.

- Przepraszam - mruknął nieśmiało - ja nie chciałem...

- Powiedziałam, wynoś się, draniu.

Znów zalałam się łzami. Po paru minutach Aleksander jeszcze raz spróbował dotknąć mego ramienia.

- Pytałem cię przecież trzy razy... - zaczął.

- Jeszcze żarty sobie stroisz?

- Jakie żarty? Przecież ci mówiłem. O zwierzęcym ciele, o fizycznym zbliżeniu. Może nie?

- A jak się miałam domyślić?

Wzruszył ramionami.

- No, choćby po zapachu.

- Lisice nie czują zapachów.

- A ja ciebie od razu rozpoznałem - powiedział i niezgrabnie pogładził mnie po ręce. -

Po pierwsze, ludzie tak nie pachną. A po drugie, Michałycz ciągle mi trąbił za uszami:

„Towarzyszu generale, oglądałem nagranie - seryjnie, coś trzeba zrobić z tą babą. Stoi tam na czworakach, oczyska złe, straszne, w życiu takich nie widziałem, a na grzbiecie ogromna ruda soczewka. I ona tą soczewką naszemu konsultantowi mózg przepala! Nakierowała promień, a ten aż dęba stanął...” Najpierw pomyślałem, że całkiem ześwirował od ketaminy. A potem obejrzałem nagranie - rzeczywiście... Wziął twój ogon za soczewkę...

- Jakie nagranie?

- Twój klient, którego wychłostałaś do krwi, kręcił sobie domowe porno. Ukrytą kamerą.

- Co? Kiedy pracowałam na krechę?

- Ja tam nie wiem, to już wasze sprawy. Jak tylko przyszedł do siebie, przyniósł nam taśmę.

- Inteligent, taka jego mać - nie wytrzymałam.

- Tak - zgodził się Aleksander. - To nie było eleganckie. Ale tacy są ludzie. A co, Michałycz nie pokazywał ci fotek? Miał całą teczkę, wydrukowali je specjalnie przed rozmową.

- Nie zdążył... Czy to znaczy, że wszystkie te świństwa, które teraz ze mną robiłeś, Michałycz będzie później oglądał?

- Nie ma tu żadnej kamery, uspokój się, kochanie.

- Nie mów do mnie kochanie, wstrętne wilczysko - chlipnęłam. - Obrzydliwy lubieżny samiec! Nic takiego w ciągu ostatnich... - Nagle, nie wiem czemu, postanowiłam nie wymieniać żadnych dat. - W życiu nikt mi nic takiego nie zrobił. To podłość!

Skulił się, jakby go ktoś trzepnął mokrą ścierką. Ciekawe - zupełnie nie działał na niego mój ogon, ale za to silnie działały moje słowa. Postanowiłam sprawdzić tę obserwację.

- Mam tam wszystko takie delikatne, wrażliwe - powiedziałam żałośnie. - A tyś mnie całą rozorał tym swoim ogromnym członkiem. Teraz pewnie od tego umrę...

Poblądł, rozpiął frencz i wyciągnął z kabury wielki niklowany pistolet. Przestraszyłam się, że zaraz do mnie strzeli, jak Robert De Niro do upierdliwej rozmówczynie u Tarantina - ale na szczęście się pomyliłam.

- Jeżeli coś ci się stanie - oznajmił z powagą - palnę sobie w łeb.

- Zabierz to. Powiedziałam, precz z tym... Załóżmy, że palniesz sobie w ten dumny łeb. I co, myślisz, że mi to ulży? A prosiłam cię - nie rób tego!

- Myślałem - powiedział cicho - że mnie kokietujesz.

- Kokietuję? Przecież twój fiut jest trzy razy większy od pistoletu, wilczysko! To nie była kokieteria, tylko walka o życie! Teraz nawet dzieci w szkole są uczone, że jeśli

dziewczyna mówi „nie”, to znaczy dokładnie „nie”, a nie „tak” czy „ach, sama nie wiem”. Na Zachodzie wszystkie sprawy o gwałt opierają się właśnie na tym. Nie uczyli was tego w Akademii FSB?

Smętnie pokręcił głową. Żał było na niego patrzeć. Poczułam, że najwyższy czas przestać. Mogłam przegiąć pałkę, nie bez powodu przypomniał mi się Tarantino.

- Masz środki opatrunkowe i jodynę? - zapytałam słabym głosem.

- Zaraz poślę Michałycz - powiedział i zerwał się z kanapy.

- Nie chcę żadnego Michałycz! Tylko tego brakowało, żeby twój Michałycz się ze mnie natrząsał... Nie możesz sam pójść do apteki?

- Mogę.

- I niech twój Michałycz tu nie wchodzi, póki cię nie będzie. Nie chcę, żeby mnie ktoś widział w takim stanie. Był już przy windzie.

- Zaraz wracam. Wytrzymaj.

Drzwi zamknęły się za nim i wreszcie odetchnęłam.

Wspominałam już, że my, lisice, nie mamy narządów płciowych w ludzkim sensie. Mamy jednak pod ogonem rudymenarne zagłębienie, elastyczny skórny woreczek, niepołączony z żadnymi innymi organami. Zazwyczaj jest zaciśnięty w maleńką szparkę jak dętka piłki po wypuszczeniu powietrza, ale kiedy ogarnia nas strach, rozszerza się i robi lekko wilgotny. Odgrywa w naszej anatomii taką rolę, jak pusty plastikowy cylinder w ekwipunku pracowników małpiarni.

Chodzi o to, że duże małpy stosują tę samą technologię kontroli co środowiska przestępcze albo polityczne: stojące na czele stada samce rytualnie kastrują tych, którzy, ich zdaniem, pretendują bezzasadnie do wyższego statusu. Czasem w tej roli występują osoby postronne - elektrycy, laboranci i tak dalej (mam na myśli małpiarnię). Żeby się zabezpieczyć przed takim obrotem sprawy, noszą oni między nogami umocowany na rzemykach cylindryczny plastikowy pojemnik, który nazywają dziwnym słowem „wyrwichuj”. To jest ich gwarancja bezpieczeństwa: jeśli rzuca się na nich wielki samiec, ogarnięty poczuciem sprawiedliwości społecznej, muszą się tylko pochylić i kilka minut odczekać - małpa wyładuje swoją wściekłość na tym cylindrze. A potem mogą iść dalej.

I ja tak samo - mogłam iść dalej.

Poszłam więc do łazienki, gdzie przede wszystkim dokonałam oględzin swego ciała. Jeśli nie liczyć tego, że rudymenarne zagłębienie pod ogonem było obtarte i zaczerwienione, jakoś uszłam cało. Co prawda, cała tylna część mnie bolała, jakbym przez godzinę jeździła na rozszalałym koniu (był to dość dokładny opis tego, co zaszło), ale nie odniosłam żadnego

poważnego urazu. Najwyraźniej natura przygotowała nas na spotkanie z wilkami-wilkołakami.

Przeczuwałam, że będę się musiała wykapać w jego wannie z masy perłowej - i przeczucie mnie nie myliło. Cały ogon, plecy, brzuch i nogi miałam wypačkane tym wilczym obrzydlistwem, które starannie zmyłam szamponem. Potem szybko wysuszyłam ogon suszarką i ubrałam się. Przyszło mi do głowy, że niegłupio byłoby przeszukać pomieszczenie.

Ale w tym luksusowym pustym hangarze nie było właściwie czego przeszukiwać - żadnych szaf, żadnych komód, żadnych szuflad. Drzwi prowadzące do innych pokoi były zamknięte. Niemniej jednak rezultaty okazały się interesujące.

Na biurku obok eleganckiego komputera stał masywny srebrny przedmiot, który na pierwszy rzut oka wzięłam za statuetkę. Przy wnikliwszych oględzinach okazało się, że to obcinacz do cygar. Przedstawiał leżącą na boku Monikę Lewinsky z zadartą do góry nogą dźwigenką, po której naciśnięciu (nie mogłam się powstrzymać) nie tylko uruchamiała się gilotynka w pierścieniu między udami, ale w otwartych ustach ukazywał się błękitny języczek płomienia. Naprawdę ekstragadżet, tylko amerykańska flaga, którą Monika trzymała w ręku, wydała mi się przesadą: czasem maleńki ciężarek potrafi zakłócić równowagę i erotyka zamienia się w kiczowaty agitprop¹⁷.

Srebrna Monika przyciskała do biurka duży skoroszyt. W środku był stos papierów najróżniejszego rodzaju.

Na samym wierzchu leżała glansowana karta z jakiegoś albumu o sztuce. Spoglądał z niej na mnie żółtooki wilk z przypominającym literę F znakiem runicznym na piersi - zdjęcie rzeźby, wykonanej z drewna i bursztynu (bursztynowe były oczy). Podpis głosił:

FENRIR

Syn Loki, olbrzymi wilk, ścigający po niebie słońce. Kiedy Fenrir dogoni je i pożre - nastąpi Ragnarök. Przed Ragnarökiem Fenrir jest związany. W czasie Ragnaröku zabije Odyna, a sam zostanie zabity przez Vidara.

Podpis nie wyjaśniał, w jaki sposób Fenrir dogoni słońce i pożre je, skoro przed Ragnarökiem jest związany, a Ragnarök nastąpi wtedy, kiedy on dogoni i pożre słońce. Całkiem jednak możliwe, że nasz świat istnieje do tej pory właśnie dzięki podobnym niekonsekwencjom: strach pomyśleć, ilu umierających bogów go przekleło.

¹⁷ Skrót od „agitacja i propaganda” (przyp. tłum.).

Pamiętałam, kim jest Fenrir. To najstraszniejszy zwierz nordyckiego bestiarium, główny bohater islandzkiej eschatologii: wilk, który miał pożreć bogów po zakończeniu projektu północnego. Miałam nadzieję, że Aleksander nie utożsamia się zbytnio z tą istotą, i żółtooki potwór jest dla niego po prostu niedoścignionym ideałem estetycznym, czymś w rodzaju fotografii Schwarzeneggera, wiszącej na ścianie u początkującego kulturysty.

Pod spodem leżała kartka z książki z miniaturą Borgesa *Ragnarök*. Znałam to opowiadanie, które poraziło mnie swą somnambuliczną zbieżnością z czymś głębokim i strasznym. Bohater i jego znajomy stają się świadkami dziwnego pochodu bogów, wracających z wielowiekowego wygnania. Fala ludzkiego uwielbienia wynosi ich na scenę wielkiej sali. Wyglądają dziwnie:

Jeden trzymał gałązkę, coś z naiwnej flory marzeń sennych; drugi szerokim gestem wyrzucił przed siebie rękę ze szponami; oblicze Janusa bez lęku spoglądało na zakrzywiony dziób Totha.

Odbite w snach echo faszyzmu. Ale dalej dzieje się coś bardzo interesującego:

Najwyraźniej któryś z nich, podniecony owacjami - teraz już nie pamiętam, który - nagle wybuchnął zwycięskim klekotem, nieznośnie ostrym, jakby gwizdał albo przepłukiwał gardło. Od tego momentu wszystko się zmieniło.

Dalej tekst był gęsto zapisany uwagami. Słowa były podkreślone, obramowane wykrzyknikami i nawet otoczone kartuszami - widać dla przekazania stopnia emocji:

Zaczęło się od podejrzenia (chyba wyolbrzymionego), że Bogowie nie umieją mówić. Stulecia dzikiego koczowniczego życia zniszczyły w nich wszystko, co ludzkie: islamski półksiężyc i rzymski krzyż nie znały litości dla prześladowanych. Cofnięte czoła, żółte zęby, rzadkie wąsy Mulatów czy Chińczyków i wywinięte zwierzęce wargi świadczyły o degeneracji olimpijskiej rasy. Ich ubiory nie wiązały się ze skromnym i uczciwym ubóstwem i nasuwały na myśl ponury szyk domów gry i burdeli Bajo. Butonierka broczyła goździkiem, pod obcisłą marynarka rysowała się rękojeść noża. I tu zrozumieliśmy, że !zagrali swoją ostatnią kartą!, że są !chytrzy, ślepi i okrutni, jak dzikie zwierzęta w obławie!, i - !JEŚLI OKAŻEMY STRACH ALBO WSPÓŁCZUCIE - ONI NAS UNICESTWIĄ!

I wtedy wyciągnęliśmy ciężkie rewolwery (nie wiadomo skąd we śnie wzięły się rewolwery) I Z ROZKOSZĄ POWYSTRZELALIŚMY BOGÓW.

Dalej szły dwie stroniczki z *Eddy* starszej - chyba z proroctwa *Velvy*. Zostały wydarte z jakiegoś porządnego wydania: duży czerwony druk na kredowym papierze, bardzo rozrzutnie:

*Wicher wzdyma
do nieba fale,
na ląd je ciska,
niebo ciemnieje;
nadciga burza,
szaleją wichry;
oto zapowiedź
zmerzchu bogów.*

„Zmerzch bogów” w ostatniej linijce został podkreślony paznokciem. Tekst na odwrocie był równie posepny i wieloznaczny:

*Lecz pojawi się
najsilniejszy,
imienia jego
nie śmiem powiedzieć;
mało kto wie,
co się dokona
wkrótce po bitwie
Odyna z Wilkiem.*

Cała reszta była w tym samym duchu. Większość papierów w teczce w taki czy inny sposób nawiązywała do północnego mitu. Najmroczniejsze wrażenie wywarła na mnie czarno-biała fotografia niemieckiej łodzi podwodnej „*Nagelfahr*” - tak w mitologii skandynawskiej nazywał się statek boga *Loki*, zrobiony z paznokci trupów. Nazwa ta świetnie pasowała do łodzi podwodnej z czasów drugiej wojny światowej. Nieogoleni, kościści marynarze, uśmiechający się na mostku, byli z wyglądu całkiem sympatyczni i przypominali pododdział współczesnych „zielonych”.

Im bliżej końca zawartości teczki, tym mniej było uwag na kartkach: jakby ten, co je przeglądał, rozmyślając nad zebrany materiałem, szybko tracił zainteresowanie albo - tak to określił w innym opowiadaniu Borges - jakby „pewne szlachetne zniecierpliwienie” przeszkadzało mu przewertować papiery do końca. Ale wiedzę miał sporą, szczególnie jak na standardy naszej merkantylnej epoki („wiek mieczy i toporów”, określano ją w jednym ze znajdujących się tu fragmentów, „czasy przekłętę bogactwa i wielkiej rozpusty”).

Na samym końcu skoroszytu znajdowała się wyrwana z zeszytu kartka w jedną linię, wsunięta w plastikową koszulkę. Na kartce było coś w rodzaju dedykacji:

Sosze na pamiątkę.

Przeobrażaj się!

WOLF-FLOW!

Pułkownik Lebedienko.

Zamknąwszy skoroszyt, odłożyłam go z powrotem pod Monikę i podjęłam przeszukanie. Nie zdziwiłam się już, kiedy obok odtwarzacza znalazłam kilka płyt kompaktowych z różnymi wykonaniami jednej i tej samej opery:

RICHARD WAGNER
DER RING DES NIBELUNGEN
Götterdämmerung

Kolejną ciekawą rzeczą, jaka wpadła mi w oko, był gruby szary zeszyt. Leżał na podłodze za kanapą - jakby ktoś przeglądał go przed snem, zasnął i upuścił. Na okładce widniał napis:

Ścisłe tajne

egz. nr 9

Projekt „Shitman ”

Nie wynosić z budynku.

W tym momencie absolutnie nie skojarzyłam sobie owej dziwnej nazwy z historią oszalałego szekspirologa, którą opowiedział mi Paweł Iwanowicz. Moje myśli ruszyły innym torem - uznałam, że jest to kolejny dowód potęgi amerykańskiej kultury i jej wpływu.

Superman, Batman, jeszcze parę podobnych filmów, i umysł sam zaczyna tworzyć klisze rzeczywistości na ich podobieństwo. Ale, pomyślałam, co temu przeciwstawić? Projekt „Gnojak”? Zresztą kto by chciał ślęczeć nad nim po nocach za marną pensyjkę? Właśnie przez tego gnojaka w tanim garniturku zginęło imperium radzieckie. Dusza ludzka potrzebuje ładnego opakowania, a rosyjska kultura go nie przewiduje, nazywając taki stan rzeczy uduchowieniem. I stąd wszystkie nieszczęścia...

Samej teczki nie próbowałam nawet otwierać. Tajne dokumenty napawały mnie odrazą jeszcze od czasów radzieckich: pożytku żadnego, a kłopotów może być pod sam dach, nawet jeśli to dach efesbeka.

Moją uwagę zwróciło kilka grafik, wiszących na ścianach - runy, nakreślone ni to szerokim pędzlem, ni to łapą. Czymś przypominały kaligrafię chińską - jej najprostsze i najbardziej wyraziste przykłady. Między dwiema takimi grafikami wisiała gałązka jemioli, o czym świadczył podpis, bo na oko wyglądała po prostu jak suchy, zaostzony patyk.

Interesujący był motyw na dywanie, przedstawiający bitwę lwów z wilkami - chyba kopia rzymskiej mozaiki. Na jedynej półce na książki stały głównie masywne albumy (*The Splendour of Rome*, *The New Revised History of the Russian Soul*, *Origination of Species and Homosexuality*¹⁸ oraz skromniejsze, o samochodach i broni). Wiedziałam skądinąd, że książki na takich półkach bynajmniej nie odzwierciedlają gustów właścicieli, ponieważ zostały wybrane przez dekoratorów wnętrz.

Podeszłam do oszklonych drzwi na dach. Otwierał się stąd piękny widok. Na dole ciemniały dziury przedrewolucyjnych podwórek, uszlachetnionych rewaloryzacją. Nad nimi sterczało kilka gmachów architektury fallicznej - usiłowano je wprowadzić w historyczny krajobraz miękko i płynnie, i w rezultacie wyglądały jak nasmarowane wazeliną. Dalej był Kreml, który butnie wznosił ku obłokom swoje stareńkie fiuty, zwieńczone złotymi kulami.

Przeklęta profesja, jakże ona spaczyła moją percepcję, pomyślałam. Chociaż czy naprawdę aż tak spaczyła? Nam, lisicom, jest wszystko jedno - idziemy przez życie bokiem, jak azjatycki deszczyk. Ale człowiekiem trudno tu być. Krok w bok od tajnego narodowego Gestaltu, i ten kraj przestanie być twoim. Twierdzenie, które udowadnia każdy prześlędzony do końca los, żeby nie wiem ile pięknych zasłon zarzucono na codzienne święto życia. Dobrze o tym wiem, napatrzyłam się. Dlaczego? Mam pewną teorię, ale nie chcę poruszać tego tematu. Z pewnością ludzie rodzą się tutaj nie tak po prostu, oj, nie... I nikt nikomu nie

¹⁸ *Wielkość Rzymu, Nowa poprawiona historia rosyjskiej duszy, Homoseksualizm a pochodzenie gatunków* (ang.).

jest w stanie pomóc. Czy nie dlatego moskiewskie zachody słońca budzą we mnie taki smutek?

- Widok jest stąd super, no nie?

Odwróciłam się. Stał przy drzwiach windy z mocno wypchaną reklamówką w ręku. Na reklamówce był zielony wąż, owinięty wokół medycznej czary.

- Jodyny nie było - powiedział zatroskany Aleksander. Dali mi fuksydyne. Powiedzieli, że to to samo, tylko ma kolor pomarańczowy. Myślę, że dla nas to nawet lepiej - nie będzie się tak rzucać w oczy przy ogonie...

Zachciało mi się śmiać i odwróciłam się do okna. Podeszedł i stanął przy mnie. Przez jakiś czas w milczeniu patrzyliśmy na miasto.

- Latem jest tu bardzo ładnie - odezwał się. - Nastawisz sobie Zemfire, patrzysz i słuchasz: „Do widzenia, ukochane miasto... do annałów twoich wejść najwyższy czas...” Annałowie to kto - pedzie, tak?

- Nie zagaduj mnie.

- Chyba trochę lepiej się czujesz?

- Chcę do domu - powiedziałam.

- A... - Wskazał na reklamówkę.

- Nie potrzeba, dziękuję. Jak ci przyniosą rannego Szczorsa¹⁹, to będziesz mógł go opatrzeć. Idę.

- Michałycz cię odwiezie.

- Nie potrzebuję twojego Michałyca, dam sobie radę.

Byłam już przy windzie.

- Kiedy będę cię mógł zobaczyć? - zapytał.

- Nie wiem - odparłam. - Jeżeli nie umrę, zadzwoń za trzy dni.

Po kopulacji każde zwierzę jest smutne, mawiali starożytni Rzymianie. Ja bym dodała, że oprócz lisic. I oprócz kobiet. Teraz wiedziałam to na pewno.

Nie chcę przez to powiedzieć, że kobieta jest zwierzęciem. Wręcz przeciwnie - mężczyzna jest o wiele bliższy zwierzętom we wszystkich aspektach: wydawanych odgłosach i zapachach, typie cielesności i metodach walki o własne szczęście (nie mówiąc już o tym, co konkretnie uważa za owo szczęście). Ale starożytny Rzymianin, który metaforycznie opisał swój nastrój po akcie miłosnym, był zapewne tak zdeklarowanym szowinistą seksualnym, że

¹⁹ Nikołaj Szczors - radziecki dowódca wojskowy, bohater wojny domowej; zginął w roku 1919 w walce z ukraińskimi białymi wojskami (przyp. tłum.).

po prostu nie brał kobiety pod uwagę, a to skłania mnie do wystąpienia w imię sprawiedliwości.

Ten aforyzm ma co najmniej cztery interpretacje:

1) Rzymianie nie uważali kobiety *n a w e t* za zwierzę;

2) Rzymianie uważali kobietę za zwierzę, ale spółkowali z nią w taki sposób, że rzeczywiście stawała się smutna (Swetoniusz na przykład opowiada, że ponieważ prawo zabraniało karać dziewice śmiercią przez uduszenie, kat gwałcił je przed straceniem - jak tu nie być smutną?);

3) Rzymianie nie uważali kobiety za zwierzę, zakładając, że jest nim tylko mężczyzna; za tak szlachetny pogląd Rzymianom można by wiele wybaczyć - oczywiście oprócz tego dziwactwa z dziewicami i duszeniem;

4) Rzymianie nie mieli skłonności ani do kobiet, ani do metafor, żywili ją za to do bydła domowego i drobiu, które nie podzielały tego pociągu i nie umiały ukrywać swoich uczuć.

W każdym z tych wyjaśnień mogło być ziarno prawdy - w ciągu kilku stuleci imperium zdarzały się z pewnością różne rzeczy. Ale ja byłam szczęśliwym zwierzęciem.

Przez ostatnie półtora tysiąca lat miałam kompleks starej panny - oczywiście nie w stosunku do ludzi, których opinia jest mi całkowicie obojętna, ale w naszej niewielkiej lisiej *community*. Czasem zdawało mi się, że inne lisice po cichu się ze mnie śmieją. I nie bez podstaw - wszystkie moje siostrzyczki straciły dziewictwo jeszcze w czasach starożytnych, w najróżniejszych okolicznościach. Najciekawsza historia przydarzyła się siostrzyczce I - wbił ją na pal wódz koczowników, i przez trzy doby uczciwie udawała agonię. Dopiero kiedy koczownicy się popili, udało jej się uciec w step. Przypuszczam, że to właśnie jest powodem niezaspokojonej nienawiści I do arystokratów, która od tyłu już wieków znajdowała wyraz w najdziwaczniejszych postępach...

A jednak było mi trochę smutno. Jak mawiała w dziewiętnastym wieku moja koleżanka po fachu, gimnazjalistka Masza z Nikołajewa, w jedną i tę samą „rake” nie da się wejść dwa razy. O wstydzie, długo nie wiedziałam, że chodziło jej nie o pozycję „na raka”, lecz o cerkiewną oprawę do przechowywania relikwii²⁰: przenośnia Maszeńki odnosiła się do anioła stróża, który bezpowrotnie opuszcza nas przy utracie dziewictwa. Ale był to smutek pogodny, i w ogóle nastroj miałam wspaniały.

²⁰ *Raka* (ros.) - miniaturowa trumna na relikwie (przyp. tłum.).

Co prawda, zakłócało go pewne podejrzenie. Zdawało mi się, że zrobiono mi to samo, co ja przez całe życie robiłam innym. Może wszystko to po prostu mi zasugerowano? To była czysta paranoja - my, lisice, nie poddajemy się hipnozie. Ale w sercu miałam jakiś dziwny niepokój.

Nie rozumiałam przeobrażenia, jakiemu uległ Aleksander. Lisicom także zdarza się suprafizyczna transformacja, o której opowiem później. Ale nigdy nie zachodzi to tak daleko - to, co zrobił Aleksander, było oszałamiające. Była w tym odwieczna tajemnica, którą lisice już zapomniały, i wiedziałam, że długo jeszcze będę do niej powracać myślami.

A poza tym bałam się, że utrata dziewictwa odbije się na moich zdolnościach hipnotycznych. Nie miałam podstaw do takich obaw, ale irracjonalny strach to coś, czego najtrudniej się wyzbyć. Wiedziałam, że się nie uspokoję, póki nie sprawdzę swej mocy. Dlatego kiedy zadzwonił telefon, od razu postanowiłam przyjąć zamówienie.

Ze sposobu mówienia klient wyglądał mi na nieśmiałego studenta z prowincji, który uciulał sobie forszę na rytuał pożegnania z dzieciństwem. Ale coś w jego głosie skłoniło mnie do sprawdzenia wyświetlonego numeru w bazie danych, którą miałam w komputerze. Okazało się, że to pobliski komisariat milicji. Widocznie gliniarze urządzali sobie święto powitania wiosny. Nie cierpiałam tej imprezy jeszcze od czasów radzieckich, ale dziś postanowiłam pójść do jaskini zwierza dobrowolnie - jak się sprawdzać, to sprawdzać.

Gliniarzy było trzech. Kabiny prysznicowej na komisariacie nie było i musiałam się szykować do boju w ubikacji z pękniętym sedesem, która jako żywo przypominała mi odeską czezwyczajkę z czasów rewolucji (nad takim sedesem strzelano delikwentom w kark, żeby nie brudzić krwią podłogi). Oczywiście moje obawy okazały się płonne - wszyscy trzej milicjanci zapadli w trans, gdy tylko podniosłam ogon. Mogłam spokojnie wracać do mego ośrodka jeździeckiego, ale przyszedł mi do głowy ciekawy pomysł.

Od rana myślałam o Rzymie i wspominałam Swetoniusza - i widocznie to nasunęło mi tę myśl. Przypominałam sobie opowieść o kaprejskich orgiach Tyberiusza: jest tam mowa o tak zwanych spintriach, którzy rozpalali zmysły starzejącego się cesarza, kopulując na jego oczach trójkami. Ta historia bardzo pobudziła moją wyobraźnię - nawet nazwę „Splinter Cell” (niewinna gra komputerowa na podstawie książki Toma Clancy'ego) tłumaczyłam sobie jako „sektę spintriów”. Teraz, w towarzystwie trzech moralnych autsajderów, nie mogłam się powstrzymać od zrobienia eksperymentu. I udało mi się! A raczej należałoby powiedzieć - im. Chociaż i tak nie rozumiałam, co podniecało Tyberiusza w tym prymitywnym widowisku - moim zdaniem, bardziej przypominało to ilustrację pierwszej szlachetnej prawdy

buddyzmu: życie *to dukkha*, czyli cierpienie i ból. Ale o tym wiedziałam bez triady kopulujących milicjantów.

W komisariacie znalazłam cztery tysiące dolarów, które były jak najbardziej na czasie. Poza tym wpadł mi w ręce album szkoleniowy z przestępczymi tatuażami, który z zainteresowaniem przewertowałam. Kierunek, w którym ten gatunek ewoluował, idealnie korespondował z tym, co się działo z kulturą powszechną: świadomość religijna odzyskiwała utracone w dwudziestym wieku pozycje. Chociaż przejawy tej świadomości nie zawsze można było rozpoznać na pierwszy rzut oka. Na przykład, nie od razu zrozumiałam, że słowa SWAT, SWAT, SWAT, wytatuowane pod niebieskim krzyżem, bardziej przypominającym niemiecki order wojenny niż ukrzyżowanie, to nie nazwa specnazu z Los Angeles, ale fraza „Świat, Świat, Świat”²¹, zapisana łacinką.

Największe wrażenie zrobiły na mnie plecy z dyptychem przedstawiającym niebo i ziemię. Niebo umieszczone było między łopatkami - jaśniało tam słońce i fruwały anioły podobne do gołębi pocztowych. Padół ziemski przypominał herb Moskwy z pogromcą smoka na koniu, tylko zamiast kopii z dłoni jeźdźca wychodziły różnobarwne promienie, a smoczków było całe mnóstwo - nieduże, smutnawe, koślawe, przypłaszczone, ale na swój sposób sympatyczne, pełzły obsadzoną drzewami aleją. Wszystko razem nazywało się *Święty Jerzy wypędza lesbijki z bulwaru Twerskiego*.

Wytatuowane na brzuchu jakiegoś piwosza ukrzyżowanie zaintrygowało mnie literami na wstędze w górnej części krzyża: zazwyczaj jest tam napisane albo ИИЦИ, albo INRI, co oznacza „Jezus z Nazaretu, król judejski”. A na tatuażu były litery HWDP. Hm, taki gnostyczny fresk epoki Borysa Gimnasty.

Przerzuciwszy kilka kartek z tradycyjnymi Stalinami, Hitlerami, wężami, pajakami i rekinami (pod jednym był napis: *Głuboka strana moja rodnaja*²²), znów natrafiłam na tematykę religijną: czyjeś plecy ozdabiała panorama piekła z cierpiącymi grzesznikami. Szczególne wrażenie robił zżerany przez robaki Bill Gates i płonący w ogniu Osama Bin Laden w fikuśnej białej koszulce z emblematem:

I → NY

²¹ Święty, Święty, Święty (ros.).

²² Parafraza popularnej w czasach radzieckich pieśni masowej; właśc. *Szyroka strana...* - Szeroki (tu: Głęboki) mój ojczysty kraj (przyp. tłum.).

Na ostatniej stronie widniało białe dystroficzne ramię z atomowym grzybem, który zamiast kapelusza miał charakterystyczny zawijas Nike, podpisany NUKE - najwyraźniej wspomnienia z przyszłości.

Przy akompaniamentcie jęków i sapania spintriów wszystko to wydawało mi się szczególnie beznadziejne. Dokąd zmierza ludzkość? Kto ją prowadzi? Co się stanie na Ziemi za pół wieku? Za sto lat? Wiosenny nastrój miałam popsuty mimo dobrego połowu. Chociaż moje sumienie było spokojne. Nie uważałam, że popełniam kradzież - pobrałam opłatę za przyjazd. Gliniarze otrzymali seks, a ja pieniądze. A tego, że moje usługi drogo kosztują, nigdy nie ukrywałam.

Po drodze do domu rozmyślałam o tatuażach. Lubię je, ale prawie nigdy sobie ich nie robię. U lisic tatuaże trzymają się najwyżej dwadzieścia lat. Poza tym często rozpływają się w najdziwniejszy sposób. Jest to związane z nieco inną naturą naszej cielesności. Przez cały ubiegły wiek miałam tylko jeden tatuaż - dwie linijki, które poeta W. H. Auden na zawsze wypalił w moim sercu, a jednooki mistrz tatuażu Sława Ślepy tymczasowo umieścił mi na ramieniu:

I am a sex machine,

And I'm super bad.

Poniżej była wielka błękitna łaza, którą klienci nie wiem czemu brali albo za cebulę, albo za gruszkę do lewatywy - można by pomyśleć, że mieszkańcy zakurzonego radzieckiego rajku naprawdę nie znali smutku.

Miałam z tym tatuażem kupę problemów - w czasie walki z bikiniarzami regularnie prześladowali mnie gliniarze i ormowcy, których interesowało, co to za napis w języku przypuszczalnego nieprzyjaciela. Musiałam odwalać hipnosubotniki nawet ostrzejsze niż dzisiaj. Jednym słowem, zniechęcili mnie do noszenia sukienek bez rękawów. Unikam takich fasonów do tej pory, chociaż tatuaż dawno zszedł, a przypuszczalny nieprzyjaciel niepostrzeżenie podkradł się bliźutko i kiedy tylko opadł kurz, stał się przypuszczalnym sojusznikiem.

W domu włączyłam telewizor i złapałam BBC World Service. Najpierw obejrzałam przegląd internetowy, który prowadził prezydent podobny do Clintona, potem zaczęły się wiadomości. Z dziarskiej miny prowadzącego odgadłam, że oni też mieli dobry połów.

- Dziś w Londynie dokonano zamachu na przebywającego na wygnaniu czeczeńskiego eseistę Asłana Udojewa. Próbował go zabić terrorysta-samobójca z szyickiej organizacji bojowej.

Asłan Udojew odniósł jedynie lekką kontuzję, ale dwaj jego ochroniarze zginęli na miejscu.

Kamera pokazała ciasny gabinet rzecznika policji, starannie wążącego słowa pod czarną lufą mikrofonu:

- Wiemy, że zamachowiec próbował podejść do Asłana Udojewa karmiącego wiewiórki w Saint James Park. Kiedy ochrona Udojewa spostrzegła terrorystę, ten uruchomił zapalnik...

Na ekranie ukazał się stojący na trawniku reporter - wiatr tarosił jego żółte włosy, a na twarzy błędził półuśmiech, jakby odbicie jakiegoś miłego sekretu, który dzielił z widzami.

- Jak podają inne źródła, zapalnik zadziałał za wcześnie, jeszcze zanim samobójca zbliżył się do celu. Wybuch nastąpił punktualnie w południe według czasu Greenwich. Jednakże policja na razie wstrzymuje się od komentarzy. Świadkowie zeznali, że przed wybuchem samobójca-zamachowiec wykrzyknął zamiast zwykłego: „Allah Akbar!”, „Same Shi'ite Different Fight!²³”. W tym miejscu jednak relacje świadków nieco się różnią - być może dlatego, że terrorysta mówił z bardzo silnym akcentem arabskim. Wcześniej podawano, że Same Shi'ite Different Fight to nazwa szyickiej organizacji terrorystycznej, która ogłosiła, że jej celem jest otwarcie drugiego frontu dżihadu w Europie. Ideologicznie grupa ta zbliżona jest do Armii Mahdiego radykalnego duchownego Muktady al-Sadra.

Kamera znów pokazała rzecznika policji, wciśniętego w ciasny kąt. Głos dziennikarza zapytał:

- Wiadomo, że Czeczeni należą do sunnickiego odgałęzienia islamu. A zamachowiec był szyitą. Czy można w związku z tym mówić, jak to już robią w swoich komentarzach niektórzy analitycy, o rozpoczęciu dawno zapowiadanych starć między szyitami a sunnitami?

- Staramy się unikać pochopnych opinii o motywach przestępstwa i jego zleceńodawcach - odrzekł urzędnik.

- Śledztwo dopiero się rozpoczęło. Poza tym chcę podkreślić, że dziś nie wiemy jeszcze nic konkretnego ani o programie i celach grupy terrorystycznej Same Shi'ite Different Fight, ani o szyickim podziemiu w Anglii.

- Czy to prawda, że terrorysta miał wmontowane w głowę przewody?

- Bez komentarza.

²³ Ten sam szyita, inna bitwa (ang.).

Na ekranie ukazał się Aslan Udojew. Szedł korytarzem szpitalnym, niechętnie łypiąc na kamerę i trzymając się ręką za obandażowane czoło.

Dalej była mowa o ślubie jakiegoś piłkarza.

Wyłączyłam telewizor i przez kilka minut siedziałam pogrążona w prostracji, próbując myśleć. Szło mi to z trudem - byłam w szoku. Wyobraziłam sobie ewentualną przyszłość: specjalna klinika, operacyjne pranie mózgu, wmontowany w głowę kabel do przekazywania poleceń (przypomniałam sobie cielisty kabelek w uchu ochroniarza z „Nationalu”). No a potem - zadanie. Na przykład z miną na grzbiecie rzucić się pod czołg - jak bohaterski owczarek z lat wojny... Nie, teraz czołgi są już nieaktualne. Powiedzmy, pod żółtego hummera na Piątej Alei. Ten wariant był bardziej malowniczy, ale i tak niezbyt mi się podobał. Jak to się mówi, *same shite different* szekspirolog...

Wyjechać? To by się dało zrobić - fałszywy paszport miałam. Ale dokąd? Tajlandia? Londyn? Już raczej do Londynu... Od dawna chciałam napisać list do I Huli i wciąż nie mogłam się zebrać. Usiadłam do komputera i skupiłam się, przypominając sobie wszystko, co chciałam jej ostatnio powiedzieć. Potem zaczęłam:

Cześć, rudzielcu!

Co u Ciebie? Wciąż ten sam zadziorny uśmiech i góry trupów za plecami?:)))) Bądź ostrożna. A zresztą jesteś najostrożniejsza z nas wszystkich, więc nie mam Cię co pouczać

Niedawno dostałam list od siostrzyczki E, u której byłaś z wizytą. Jakże jej zazdroszczę tego niezbyt bogatego, ale czystego i szczęśliwego życia! E narzeka, że jest zmęczona pracą. To z pewnością błogie zmęczenie - jak u chłopca po robocie w polu. Takie zmęczenie sprawia, że goją się duchowe rany i idą w niepamięć smutki - właśnie za nim uganiał się po polu Lew Tolstoj ze swoim pługiem. W mieście zmęczenie jest inne. Widziałaś na pewno konie w kieracie. No więc, jeśli się zastanowić to my obie jesteśmy jak takie konie. Różnica polega tylko na tym, że koń w kieracie odgania ogonem gzy, które się na nim pożywiają, a my używamy ogonów, żeby przywabić gzy, na których same się pożywiamy. Poza tym koń przynosi ludziom pożytek. A my... ujmijmy to tak: ludzie przynoszą pożytek nam. Wiem jednak, że nie cierpisz moralizatorstwa.

E Huli napisała, że masz nowego męża lorda. Czy przynajmniej liczysz ich wszystkich? Chciałabym zerknąć choćby jednym oczkiem, dopóki jest na co:)))) Wiem od siostrzyczki E, że ostatnio zainteresowałaś się poważnie tematem arcywilkołaka. Zresztą i mnie pytałaś o zburzoną świątynię wyraźnie nie bez powodu.

Rzeczywiście, w proroctwie o arcywilkołaku jest mowa, że pojawi się on w mieście, gdzie odbudują świątynię, z której nie pozostał kamień na kamieniu. Ale przepowiednia ma około dwóch tysięcy lat, a wówczas w użyciu były upodobnienia i alegorie, i wszystkie ważne informacje podawano się wyłącznie w przenośni. Proroctwo jest stworzone w języku wewnętrznej alchemii - „miasto” oznacza duszę, a „zburzona i odbudowana świątynia” oznacza serce, które dostało się w moc zła, a potem powróciło do dobra. Nie doszukuj się, proszę, w tych słowach żadnego innego sensu.

Zaryzykuję jedno przypuszczenie - tylko się nie obraż. Żyjesz już długo na Zachodzie, i niepostrzeżenie zakiełkowała w twoim umyśle chrześcijańska mitologia. Sama pomyśl: czekasz na przyjście jakiegoś arcywilkołaka, który odkupi lisie grzechy i uczyni nasze dusze czystymi jak u zarania dziejów. Posłuchaj. Do nas, wilkołaków, mesjasz nigdy nie przyjdzie. Ale każde z nas może zmienić siebie, wychodząc poza własne granice. I to właśnie oznacza „arcywilkołak” - ten, kto wyszedł poza swoje granice, przeszedł samego siebie. Arcywilkołak przybywa nie ze Wschodu i nie z Zachodu, lecz pojawia się z wnętrza. To właśnie jest odkupienie. A droga, która doń prowadzi, jest tylko jedna. Tak, te same przykazania, od których cię mdli:

1) miłosierdzie;

2) nieczynienie zła słabym tego świata, zwierzętom i ludziom - przynajmniej wtedy, gdy można tego uniknąć;

3) i najważniejsze - dążenie do zrozumienia własnej natury.

Jeśli powiedzieć to jak najkrócej, słowami Nietzschego (nieco zmodyfikowanymi dla naszych potrzeb), to sprawa jest bardzo prosta - zwalcz to, co zwierzęce! To, co ludzkie, już zwalczyłaś, co do tego nie mam żadnych wątpliwości :)))

Przypomnij sobie lekcje medytacji, jakie pobierałyśmy u nauczyciela z Żółtej Góry. I wierz mi, przez ponad tysiąc lat, jakie od tamtej pory upłynęły, nie wymyślono nic lepszego. Bomba atomowa, perfumy Gucciego, prezerwatywy z karbowanymi nacięciami, newsy CNN, loty na Marsa - wszystkie te barwne cudenka nawet nie musnęły szal wagi na której wazy się istota świata. Więc powróć do medytacji, i już za sto, dwieście lat nie będziesz potrzebowała żadnego arcywilkołaka. Jeżeli Cię zanudziłam, przepraszam - ale napisałam te słowa, bo szczerze mi zależy na Twoim szczęściu.

Teraz najważniejsze. Moje sprawy w ostatnich latach wyglądają marnie. Przedtem podstawowy zarobek dawał mi pewien finansista pedofil, przekonany, że popelnia

przestępstwo. Tornister, dzienniczek z trójkami - sama rozumiesz Facet był sentymentalny - wyczekiwał spotkań, trząsł się na dźwięk syreny. Obrzydliwy, to prawda. Ale za to chodziłam do pracy tylko raz na miesiąc. A potem go sparaliżowało i musiałam szukać nowych sposobów. Przez ponad rok moim głównym punktem wypadowym był hotel „National”. Ale wynikły tam poważne kłopoty, kiedy pewien klient urwał mi się z ogona. A teraz problemy obstąpiły mnie ze wszystkich stron. Nie jestem pewna, czy będziesz w stanie je zrozumieć, to typowo rosyjska specyfika. Ale są to problemy bardzo poważne.

Domyślam się, że nie masz teraz głowy do cudzych kłopotów. Mimo to chcę Cię prosić o radę i ewentualnie o pomoc. Może powinnam przenieść się do Anglii? Jestem pewna, że zaadaptuję się wśród Anglików - widywałam ich sporo w „Nationalu” i wydają mi się całkiem przyzwoitą nacją. Często dostaję zapłatę w funtach, więc nie grozi mi szok kulturowy. Napisz szybko, czy nie znajdzie się w Londynie spokojny kącik dla A Huli?

Kocham i pamiętam,

Twoja A

Ledwie zdążyłam wysłać list, zadzwoniła komórka. Numer się nie wyświetlił i serce skoczyło mi w piersi. Wiedziałam, kto to, zanim jeszcze usłyszałam głos.

- Dzień dobry - powiedział Aleksander. - Mówiłaś „trzy dni”, ale to zbyt długo. Czy mogę cię zobaczyć jutro? Chociaż na pięć minut?

- Możesz - odrzekłam, nim zdążyłam się zastanowić.

- No to przyślę Michałycz. Zadzwoń do ciebie. Całuję.

Drzwi windy otwarły się i weszliśmy z Michałyczem do penthouse'u. Aleksander w swoim generalskim mundurze siedział na fotelu i oglądał telewizję. Odwrócił się w naszą stronę, ale przemówił nie do mnie.

- Co, Michałycz, wasi znowu dali dupy? - zapytał wesoło i wskazał brodą ciekłokrystaliczny panel, pokazujący jednocześnie dwa kanały - na jednym biegali biali i czerwoni piłkarze, a na drugim mamrotał coś w ciemnofioletową brodę Aslan Udojew z plastrem na czole.

- Tak jest, towarzyszu generale - odrzekł zmieszany Michałycz. - Faktycznie dali dupy całym wydziałem.

- Nie wyrażaj się przy dziewczynie.

- Tak jest.

- A co się stało?

- Nie wiadomo. Nieprzewidziane przeszkody. Nałożył się chyba sygnał czasu.

- Jak zwykle - powiedział Aleksander. - Jak tylko się wydarzy jakaś chujoza, wszystko się zwała na wydział techniczny.

- Tak jest, towarzyszu generale.

- Nie szkoda ci wykonawcy?

Michałycz machnął ręką.

- Takich szekspirologów mamy od fiuta, towarzyszu generale. Tylko Szekspirów jakoś nie widać.

- Co ja ci powiedziałem, Michałycz? Nie klnij.

Michałycz zerknął na mnie z ukosa.

- Tak jest. Przygotować notatkę?

- Nie potrzeba. To nie moja sprawa, niech piją to piwo ci, którzy go nawarzyli. Ja nie lubię papierów. Na papierze wszystko zawsze wygląda dobrze, a w życiu - Aleksander wskazał na ekran - sam widzisz.

- Tak jest, towarzyszu generale.

- Możesz odejść.

Odczekawszy, aż za Michałyczem zamkną się drzwi, Aleksander wstał z fotela i podszedł do mnie. Domyśliłam się, że nie chciał się zdradzać przy podwładnym ze swymi uczuciami, ale udałam obrażoną, i kiedy dotknął mojego ramienia, odsunęłam się.

- Mógłbyś się najpierw ze mną przywitać, a potem dopiero gadać o piłce nożnej z tym palantem. A w ogóle to wyłącz telewizor!

Na ekranie nie było już Udojewa - zamiast niego pojawił się modny młody człowiek z wózkiem samobieżnym i zakrzyknął radośnie:

- Dzisiaj razem z drużyną młodzieżową zapalamy marlboro!

I ekran zgasł.

- Przepraszam - powiedział Aleksander, rzucając pilota z powrotem na stolik. - Witaj.

- A poza tym co ty masz za język? Jak pijany ślusarz.

- Ja? - zapytał i pokazał mi język. - Pijany ślusarz ma taki?

Uśmiechnęłam się. Przez kilka sekund patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

- Jak się czujesz? - zapytał.

- Już lepiej, dziękuję.

- A co to za koszyczek masz w ręku?

- To dla ciebie - szepnęłam nieśmiało.

- Daj.

Wziął ode mnie koszyczek i rozerwał opakowanie.

- Paszteciki? - zapytał, ze zdziwieniem podnosząc na mnie wzrok. - Po co paszteciki?

Dlaczego?

Odwróciłam oczy.

Jego twarz powoli zaczęła się rozpromieniać.

- Zaczekaj... A ja się zastanawiam, dlaczego masz na głowie ten czerwony kapiszon?

A-cha-cha-cha!

Zanosząc się radosnym śmiechem, objął mnie i posadził obok siebie na kanapie. Wypadło to bardzo naturalnie, i nie zdążyłam go odepchnąć, chociaż zamierzałam się trochę podroczyć. A zresztą nie jestem pewna, czy bardzo tego chciałam.

- To jak w tym kawale - powiedział Aleksander. - O Czerwonym Kapturku i wilku. Czerwony Kapturek pyta: dlaczego masz takie wielkie oczy, wilku? Wilk na to: żeby cię lepiej widzieć. Czerwony Kapturek pyta: wilku, a dlaczego masz takie duże uszy? Żeby cię lepiej słyszeć, odpowiada wilk. Wilku, a dlaczego masz taki wielki ogon? To nie ogon, powiedział wilk i mocno się zaczerwienił...

- Faj.

- Nie śmiesz cię to?

Wzruszyłam ramionami.

- To nieprawdopodobne. Żeby wilk się zaczerwienił. Przecież ma cały pysk zarośnięty sierścią. Jeżeli nawet się zaczerwieni, to jak to zobaczysz?

Aleksander zamyślił się.

- To prawda - przyznał. - Ale to przecież był kawał.

- Dobrze, że przynajmniej z kawałów wiesz, kto to jest Czerwony Kapturek - mruknęłam. - Bo już myślałam, że nie zrozumiesz aluzji.

- A co, uważasz, że jestem kompletnym arogantem? - zapytał.

- Arogant to ktoś, kto się niegrzecznie zachowuje. A człowiek niewykształcony, nieczytający książek - to ignorant. Co miałeś na myśli?

Zaczerwienił się - jak w swoim dowcipie.

- Jeżeli byłem niegrzeczny, to już przeprosiłem. A co do tego, że nie czytam książek, to jesteś w błędzie. Czytam codziennie.

I wskazał na stolik, na którym leżał kryminał w miękkich okładkach. Tytuł brzmiał *Wilkołaki w mundurach*.

- Ciekawa książka? - zapytałam.

- Tak sobie. Nie za bardzo.

- To po co ją czytasz?
- Chcę wiedzieć, skąd taki tytuł. Sprawdzamy wszystkie tropy.
- Kto „my”?
- Nieważne - odparł. - To nie ma nic wspólnego z literaturą.
- Kryminały też nie mają z nią nic wspólnego - powiedziałam.
- Nie lubisz ich?

Pokręciłam głową przecząco.

- Dlaczego?
- Bo mnie nudzą. Od pierwszej strony wiadomo, kto zabił i dlaczego.
- Tak? Jeżeli przeczytam ci pierwszą stronę z tych *Wilkołaków*, to powiesz mi, kto zabił?

- I tak ci powiem. Autor, dla forsy.

- Hm... W ogóle to tak. Ale co wobec tego jest literaturą?

- No, na przykład Marcel Proust. Albo James Joyce.

- Joyce? - powtórzył, przysuwając się bliżej. - Ten od *Ulissesa*? Próbowałem to czytać. Nudne. Szczerze mówiąc, w ogóle nie rozumiem, do czego są potrzebne takie książki.

- Jak to?

- Przecież tego całego *Ulissesa* nikt nie czyta. Trzech facetów przez niego przebrnęło i teraz tylko z tego żyją - piszą artykuły, jeżdżą na konferencje. I nikt więcej tego nie zmógł.

- No wiesz - powiedziałam, zrzucając *Wilkołaki* na podłogę. - Wartość książki nie polega na tym, ile osób ją przeczyta. Genialność *Giocondy* nie zależy od tego, ilu zwiedzających przejdzie obok niej w ciągu roku. Wielkie dzieła mają mało czytelników, bo czytanie ich wymaga wysiłku. Ale właśnie z tego wysiłku rodzi się wrażenie artystyczne. Literacki fast food nigdy nie zaoferuje ci nic takiego.

Aleksander objął mnie za ramiona.

- Już raz cię prosiłem, mów prościej.

- Całkiem prosto mogę powiedzieć tak. Czytanie - to komunikacja, a krąg tych, z którymi się komunikujemy, czyni nas tym, czym jesteśmy. Wyobraź sobie, że jesteś kierowcą dalekobieżnego TIR-a. Książki, które czytasz, są jak przypadkowi towarzysze podróży, których podwozisz na trasie. Jeśli będziesz woził ludzi kulturalnych i mądrych, nabierzesz od nich rozumu. Jeżeli będziesz woził głupców - sam staniesz się głupcem. Czytać kryminały to... To tak jak podwozić prostytutkę półanalfabatkę dla minety.

- A kogo należy podwozić? - zapytał, wsuwając mi dłoń pod koszulkę.

- Należy czytać poważne, głębokie książki, nie szcędząc na to wysiłku i czasu.

Jego dłoń znieruchomiła na moim brzuchu.

- Aha - powiedział. - To znaczy, że jeśli jestem kierowcą dalekobieżnego TIR-a, powinienem zabrać do szoferki łysego noblistę, żeby mnie przez dwa tygodnie jebał w dupę, podczas kiedy ja lawiruję między jadącymi z przeciwka? Dobrze cię zrozumiałem?

- No wiesz, w ten sposób można zohydzić wszystko - odparłam i zamilkłam.

Coś takiego, sama użyłam jako przykładu dalekobieżnej minety, za którą omal nie wykończyłam biednego Pawła Iwanowicza. A nic głupszego niż moja pogardliwa wypowiedź o prostytutkach w ogóle nie można było wymyślić - przecież Aleksander wiedział, czym się zajmuję. Pozostawało mieć nadzieję, że uzna to za uległość. Sądząc z jego reakcji, rzeczywiście tak było.

My, lisice, mamy pewną poważną wadę. Kiedy ktoś mówi nam coś, co zapada w pamięć, prawie zawsze powtarzamy to w rozmowie z innymi, bez względu na to, czy było to głupie, czy mądre. Niestety, nasz umysł jest takim samym symulatorem, jak skórny woreczek-chujołowca pod ogonem. To nie prawdziwy „organ myśli” - czegoś takiego nie potrzebujemy. Myśleć powinni ludzie podczas swego heroicznego slalomu z wiadomego miejsca do mogiły. Umysł lisicy to po prostu rakietka tenisowa, pozwalająca dowolnie długo odbijać piłeczkę rozmowy na dowolny temat. Zwracamy ludziom pożyczone od nich opinie, odbijając je pod innym kątem, podkreślając, wybijając lobem w górę.

Muszę tu skromnie dodać, że moja symulacja prawie zawsze wypada lepiej niż oryginał. Kontynuując tenisową alegorię, świetnie odbieram najtrudniejsze piłki. Choć, co prawda, wszystkie piłki, które ludzie mają w głowach, są trudne. Niepojęte jest tylko jedno - kto te piłki podaje? Ktoś z ludzi? A może podającego należy szukać w zupełnie innym miejscu, które w ogóle nie jest miejscem?

Muszę zaczekać na okazję rozmowy na ten temat z jakimś mądrym człowiekiem. Wtedy zobaczymy, dokąd poślę piłkę. Nawiasem mówiąc, w ten właśnie sposób poznaję prawdę już ponad tysiąc lat.

Kiedy tak rozmyślałam, Aleksander zdążył zdjąć mi koszulkę. Nie opierałam się, tylko męczeńsko uniosłam brwi, jak malutka balerina, którą po drodze do filharmonii już nie pierwszy raz gwałci wielki rudy esesman. Co robić, towarzysze, okupacja...

Co prawda, dziś balerina przygotowała się do spotkania. Miałam na sobie bieliznę - koronkowe białe majteczki, w których wycięłam nożyczkami dziurkę na ogon, i trzy jednakowe koronkowe biustonosze rozmiar zero. Dwa spodnie nie miały czego podtrzymywać, ale lekko wpijały się w ciało i same w sobie tworzyły pewną zawartość. Oczywiście nie usiłowałam się dostosować do wilczych wymagań. Była to

postmodernistyczna kpina z sytuacji, wariacja na temat bestii, o której Aleksander tyle mówił w czasie naszego poprzedniego spotkania.

Nie wiedziałam, czy mój żart mu się spodoba, i trochę się denerwowałam. Spodobał się. I to tak bardzo, że rozpoczęła się transformacja.

Teraz nie byłam już taka przestraszona i przyjrzałam się lepiej. Najpierw wyskoczył na zewnątrz szary kosmaty ogon. Wyglądało to dość seksownie - jak gdyby rozprostowała się sprężyna, której nie mógł już dłużej utrzymać wewnątrz swego kręgosłupa. Potem ciało Aleksandra się wygięło, a ogon i głowa szarpnęły się ku sobie niby końce łuku, ściągnięte niewidzialną cięciwą. A potem obrósł sierścią.

Słowo „obróś!” niezbyt tu pasuje. Raczej jego frencz i spodnie rozsypały się w sierść - jakby pagony i lampasy były namalowane gwaszem na mokrym, zlepionym futrze, które nagle wyschło i podzieliło się na włoski.

Jednocześnie Aleksander w jakiś bardzo naturalny sposób zmężniał i urósł. W przyrodzie nie ma takich dużych wilków; przypominał raczej odchudzonego niedźwiedzia. Ale wilcze ciało było prawdziwe, fizyczne i mocne - poczułam jego ciężar, kiedy wsparł łapę na mojej ręce, wciskając ją głęboko w kanapę.

- Rozgnieciesz mnie, wilku - pisnęłam i Aleksander zabrał łapę.

Najwyraźniej podniecało go poczucie własnej siły i mojej słabości. Pochyliwszy nade mną swoją potworną paszczę (jego oddech był gorący, ale świeży jak u niemowlęcia), po kolei przegryzł wszystkie trzy moje biustonosze, odciągając je okropnymi włośchatymi palcami.

Za każdym razem zamierało mi serce, tak blisko szczękały jego zęby. Były ostre jak brzytwy - nie rozumiem, po co trzymał na biurku tę obcinaczkę do cygar w kształcie Moniki Lewinsky. Chociaż cygara palił pewnie w ludzkiej fazie.

Zrobiwszy to samo z moimi majtkami, odskoczył do tyłu i zawarczał, jakby miał zamiar rozerwać mnie na strzępy. Potem opadł przede mną na kolana i niby piekielny organista położył swoje ogromne łapy na kruchych klawiszach moich obojczyków... To koniec, pomyślałam.

On starał się jednak nie sprawiać mi bólu. Moim zdaniem, mógłby się zachowywać trochę bardziej agresywnie - byłam na to przygotowana. Ale tak też było nieźle.

Chodzi mi o to, że z góry nastawiłam się na ból i cierpienie i byłam gotowa sporo wytrzymać. Tymczasem próba okazała się mniej męcząca, niż się spodziewałam.

Niemniej dla porządku od czasu do czasu jęczałam:

- Ojej, boli! Nie wwiercaj się tak, cholerny wilku! Delikatnie, powoli... o tak...

List od I Huli był długi.

Cześć, rudowłosa!

Jak to miło widzieć, że nic się nie zmieniłaś i wciąż próbujesz sprowadzić na właściwą drogę moją błądzącą duszę.

Piszesz, że zbierają się nad Tobą chmury. Poważnie? Jeśli dobrze pamiętam, chmury zbierają się nad Tobą już od jakichś siedmiuset lat; wiem z doświadczenia, że w większości wypadków powinnaś po prostu zacząć myśleć o czymś innym. Może i tym razem też nie jest tak groźnie?

Naprawdę chcesz przyjechać do Anglii? Myślisz, że tu będzie Ci lepiej?

Zrozum, Zachód to po prostu wielki shopping mall. Z daleka wygląda bajecznie. Ale trzeba było żyć w bloku wschodnim, żeby jego witryna mogła choć na mgnienie oka wydać się realnością. Na tym, jak sądzę, polegał sens waszego istnienia - pamiętasz piosenkę Baśń w prawdę zamienimy? W rzeczywistości mogłabyś tu odgrywać trzy role - kupującego, sprzedawcy i towaru na ladzie. Być sprzedawcą to wulgarne, kupującym - nudne (a i tak trzeba dorabiać jako sprzedawca), a towarem - wstętne. Każda próba bycia czym innym oznacza tak naprawdę to samo „nie być”, z którym siły rynkowe szybko zapoznają każdego Hamleta. Cała reszta to po prostu spektakl.

Wiesz, na czym polega ukryty horror tutejszego życia? Kiedy kupujesz sobie sweterek, samochód czy coś tam jeszcze, w twoim umyśle tkwi zasugerowany przez reklamę obraz miejsca, do którego pójdziesz w tym sweterku albo pojedziesz tym samochodem. Ale takiego miejsca nie ma nigdzie poza reklamowym klipem, i tę czarną dziurę w realności oplakują wszyscy poważni filozofowie Zachodu. Poprzez radość shoppingu prześwieca nieznośne zrozumienie faktu, że cały nasz świat to olbrzymi sklep z nartami, stojący w środku Sahary: kupować trzeba nie tylko narty, ale także imitator śniegu. Myślę, że rozumiesz tę metaforę?

Poza tym dla nas, lisic, istnieje tu jeszcze jeden szczególny problem. Z każdym rokiem trudniej jest zachować identity i czuć się prostytutką, tak szybko bowiem prostytuuje się tu wszystko dokoła. Jeśli słyszysz budzący zaufanie głos starego przyjaciela, możesz być pewna, że radzi ci kupić dwa flakony szamponu przeciwłupieżowego, żeby bezpłatnie otrzymać trzeci. Pamiętam pewne słówko, które wiecznie usiłowałaś wtrącić do rozmowy, czy było to à propos, czy nie - „uroboros”. To, zdaje się, nazwa węża zjadającego własny ogon. Kiedy głowa i ogon takiego węża istnieją jedynie jako efekt specjalny w klipie reklamowym, to cóż

za sens się cieszyć, że ciało jest żywe i tłuste? To znaczy może to i radosne, ale tej radości nie ma kto doznawać.

Wasz świat wkrótce stanie się podobny do naszego (w każdym razie dla tych, których pozostawia do obsługi szybów naftowych), ale na razie pozostały w nim jeszcze strefy cienia, w których panuje zbawcza dwuznaczność. Właśnie tam dusza w rodzaju Twojej może znaleźć jeżeli nie szczęście, to przynajmniej równowagę. Jeżeli owe strefy dwuznaczności tworzą za Ciebie inni, rozkoszuj się nimi, póki są. Świat nie zawsze będzie taki. Pouczam Cię tak w rewanżu za Twoją reprimendę.

Teraz o angielskich mężczyznach. Nie urabiaj sobie o nich opinii na podstawie krótkich spotkań w „Nationalu”. Tutaj są zupełnie inni. Pamiętasz Yuan Meia, za którego siostrzyczka E wyszła za mąż w 1739 roku? Na pewno go nie zapomniałaś - uczony z akademii Hanlin, który studiował język mandżurski i zbierał historie o demonach... Notabene, dobrze wiedział, kim jest w rzeczywistości siostrzyczka E. Dlatego się z nią ożenił. Jego książka (miała tytuł O czym nie mówił Konfucjusz) składa się w połowie z jej opowieści, ale są w niej też ciekawe szkice etnograficzne. W tych czasach Anglię nazywano „Krajiną Czerwonowłosych”. Oto co Yuan Mei napisał o Anglikach - przytaczam ten fragment w całości:

407. MIESZKAŃCY KRAINY CZERWONOWŁOSYCH I CHÓRZYSTKI

Mieszkańcy Krainy Czerwonowłosych często uprawiają rozpustę z chórzystkami. Zapraszają chórzystki na uczyty, rozbierają je i usiadłszy dokoła, plują im w sekretne miejsce. Większej bliskości nie potrzebują. Po napluciu nagradzają je hojnie i odprawiają. Nazywa się to „pieniądze ze wspólnego kotła”.

Ta opowieść, która może się wydawać historycznie niewiarygodna, zdumiewająco dokładnie odzwierciedla operację, jaką angielski arystokrata przeprowadza na kobiecej duszy, która się przed nim otwarła (na szczęście tutejszy system szkolnictwa dla uprzywilejowanych już we wczesnej młodości czyni z większości z nich homoseksualistów). Kiedyś, obserwując Anglików, często się zastanawiałam: ciekawe, co się kryje pod tą nieprzebijalną, wykuwaną przez wieki zbroją obłudnika? A potem zrozumiałam - właśnie rzeczona prosta czynność. Nie ma tam nic więcej, i ten minimalizm jest rękojmią trwałości tutejszego ustroju.

Uwierz mi, po przyjeździe do Londynu poczujesz się jak spluwaczka krążąca samotnie wśród charkających Ci w duszę snajperów, dla których równouprawnienie kobiet oznacza tylko jedno - możliwość zaoszczędzenia „pieniędzy ze wspólnego kotła”.

Co się tyczy arcywilkołaka... Wiesz, wydaje mi się, że zbyt się pograżałaś w introspekcji. Zastanów się, gdyby wszystko, co najważniejsze, zawierało się w nas samych, do czego byłby potrzebny świat zewnętrzny? A może uważasz, że ten świat niczym już nie jest w stanie Cię zadziwić i wystarczy tylko siedzieć pod ścianą na zakurzonym dywaniku medytacyjnym i odpychać napływające myśli jak pływak martwe meduzy? A jeśli znajdzie się wśród nich złota rybka? Wydaje mi się, że jeszcze za wcześnie stawiać krzyżyk na tym świecie - może się bowiem okazać, że tym samym stawiasz go również na sobie. Wiesz, co mi wczoraj powiedział mój mężulek? „Arcywilkołak przyjdzie i zobaczysz go tak wyraźnie, jak teraz widzisz mnie”. Nawet gdybym w głębi duszy przyznawała Ci rację, jakżeby mogła się spierać z głową domu Cricketów? :-))) Ale najlepiej, moja kochana, będzie omówić wszystko, jak się spotkamy. Za tydzień będziemy z Brianem w Moskwie - nie wyłączaj komórki!

Kocham i pamiętam,

Twoja I

Doczytałam list do końca i pokręciłam głową. Niedługo komuś stanie się krzywda. Znak :-), przypominający uśmiezek zbrodniarza wojennego Hitlera, był stosowanym przez I Huli czarnym piętnem - oznaczał, że I planuje coś mrocznego i okrutnego. A czegoż innego można się spodziewać po najbardziej bezlitosnej lisicy z całej naszej rodzinki? Jest taka we wszystkim, pomyślałam. Prosisz ją o pomoc, a ona ci radzi myśleć o czym innym. I twierdzi, że te chmury tylko ci się przywidziały...

Chociaż może i ma rację? Przecież sytuacja wcale nie wyglądała tak źle, jak przypuszczałam jeszcze wczoraj. Rozsadzała mnie chęć opowiedzenia komuś o swoim wymuszonym romansie. Ale komu? Mogłam oczywiście opowiedzieć całą historię taksówkarzowi, a potem zmusić go, by o wszystkim zapomniał. Tylko że to niebezpieczne tak szaleć na drodze. Nie, muszę poczekać na I Huli, myślałam. Kto jak kto, ale ona na pewno wysłucha mnie z zainteresowaniem. Poza tym przez tyle stuleci natrząsała się z mojego dziewictwa, że z przyjemnością utrę jej nosa. Mimo całego swego wyrafinowania, takich kochanków nie miała nigdy, jeśli nie liczyć jednego diabła-jakszy w szesnastym wieku. Ale nawet on w porównaniu z Aleksandrem wydawał się żaloszny...

W tym momencie się opamiętałam - list siostry przypomniał mi o najważniejszym.

Wiedziałam już od dawna, że chwila, w której przepełniają cię doczesne zachwyty lub smutki, to najlepsza pora na medytację. Wyłączyłam komputer i rozłożyłam na podłodze piankową matę gimnastyczną. Wspaniała rzecz dla uprawiających medytację, szkoda, że nie było takich mat w starożytności. Następnie położyłam na niej poduszkę napełnioną gryczanymi łupinami i usiadłam na niej w pozycji lotosu, zwiesiwszy ogonek na podłogę.

Duchowe ćwiczenia lisic składają się z „kontemplacji umysłu” i „kontemplacji serca”. Dziś postanowiłam zacząć medytację od kontemplacji serca. Serce nie odgrywa w tej technice żadnej roli poza metaforyczną. Specyfika przekładu: ten chiński hieroglif ma wiele różnych znaczeń i zapewne właściwsze byłoby określenie „kontemplacja tajemnego sedna”. Natomiast z praktycznego punktu widzenia słuszniej byłoby nazwać tę technikę „szarpaniem za ogon”.

Jeśli pociągnąć za ogon psa albo kota, zwierzę poczuje ból, wie o tym każde dziecko. Ale jeśli pociągnie się mocno za ogon lisicę, dzieje się coś niepojętego nawet dla najmądrzejszej bezogoniastej małpy. Lisica w tym momencie odczuwa cały ciężar swoich podłych sprawek. Wiąże się to z tym, że popełnia je właśnie za pomocą ogona. Ponieważ zaś każda lisica, z wyjątkiem całkowitych nieudacznic, ma na koncie całe mnóstwo takich sprawek, rezultatem jest potworna fala wyrzutów sumienia, której towarzyszą przerażające koszmary i prorocze wizje, po których nie chce się dalej żyć. Poza tymi momentami sumienie nas nie niepokoi.

Wszystko zależy tutaj od siły szarpnięcia i jego nagłości. Na przykład, kiedy zdarza nam się zaczepić ogonem za krzak w czasie polowania na kury (opowiem o nim później), także czujemy lekkie wyrzuty sumienia. Ale w czasie biegu napinają się odpowiednie mięśnie, toteż efekt nie jest tak dotkliwy. A istota ćwiczenia „kontemplacja serca” polega właśnie na tym, żeby mocno pociągnąć się za ogon w momencie, kiedy wszystkie jego mięśnie są maksymalnie rozluźnione.

Nie wszystko jednak jest tutaj tak proste, jak się wydaje. W rzeczywistości „kontemplacji serca” nie można oddzielić od „kontemplacji umysłu”, toteż aby prawidłowo wykonać to ćwiczenie, należy rozwarstwić świadomość na trzy niezależne strumienie:

1) pierwszy strumień świadomości - to umysł wspominający wszystkie swoje ciemne sprawy od niepamiętnych czasów;

2) drugi strumień świadomości - to umysł, który spontanicznie i nieoczekiwanie zmusza lisicę, by pociągnęła się za ogon;

3) trzeci strumień świadomości - to umysł obojętnie obserwujący pierwsze dwa strumienie i sam siebie.

Właśnie trzeci strumień świadomości stanowi, mówiąc w wielkim przybliżeniu, istotę techniki „kontemplacja umysłu”. Wszystkie te ćwiczenia to działania wstępne, należy je robić na tysiąc lat przed przejściem do głównego ćwiczenia, które nazywa się „ogon pustki” albo „bezpretensjonalność”. Jest to tajemne ćwiczenie, którego nie rozumieją do końca nawet te lisice, które, podobnie jak ja, zakończyły tysiącletni cykl przygotowań.

A więc usiadłam w pozycji lotosu, kładąc lewą rękę na kolanie, a prawą na ogonie. Skoncentrowałam się i zaczęłam wspominać swoją przeszłość - te jej warstwy, które zazwyczaj są przede mną zasłonięte strumieniem codziennych myśli. I nagle, absolutnie nieoczekiwanie, moja prawa ręka się szarpnęła. Poczułam ból u nasady kręgosłupa. Ból ten jednak był niczym w porównaniu z falą skruchy, zgrozy i wstydu za popełnione uczynki, która uderzyła we mnie z taką siłą, że łzy nabiegły mi do oczu.

Twarze ludzi, którzy nie przeżyli naszego spotkania, przelatowały przede mną jak żółte liście za oknem w czasie jesiennej burzy. Wyłaniały się z niebytu na sekundę, ale tej sekundy wystarczało, żeby każda para oczu mogła mi rzucić spojrzenie pełne zdumienia i bólu. Patrzyłam na nich, wspominałam przeszłość i łzy dwoma strumieniami płynęły mi po twarzy, a skrucha rozrywała serce.

Jednocześnie zaś byłam świadoma, że wszystko, co się dzieje, to tylko gra odbić, falowanie myśli w zwyczajnych powiewach umysłu, i że kiedy te fale się wygładzą, okaże się, iż nie ma ani powiewów, ani odbić, ani samego umysłu - tylko ten jasny, wieczny, wszystko przenikający wzrok, przed którym nic nie jest prawdziwe.

Tak oto ćwiczę już około dwunastu stuleci.

Od samego początku między mną i Aleksandrem ustaliła się milcząca umowa, by o nic się nawzajem nie wypytywać. Ja wiedziałam, że nie powinnam się interesować tym, o czym on nie mógłby mówić z powodu podpisania zobowiązania dochowania tajemnicy i innych kagebowskiich zakazów. On nie zadawał zbędnych pytań, bo moje odpowiedzi mogły go postawić w niezręcznej sytuacji - nagle okazałabym się na przykład chińskim szpiegiem... Bez trudu można by mnie o to posądzić - nie miałam nawet dowodu osobistego, tylko fałszywy paszport zagraniczny.

Taka sytuacja jednak była mi nie bardzo na rękę: chciałam się o nim dowiedzieć paru rzeczy. Zdaje się, że jego też pożerała ciekawość. Poznawaliśmy się jednak stopniowo, po omacku - informacja napływała w homeopatycznych dawkach.

Lubiłam całować go w policzki, zanim przeobraził się w zwierzę (za nic nie mogłam się zdobyć, żeby pocałować go w usta, co było dziwne, zważywszy na stopień naszej

bliskości). Pieszczoty zresztą nigdy nie trwały długo - po kilku dotknięciach zaczynała się transformacja, a wtedy całowanie stawało się niemożliwe.

Przez tyle wieków pocałunek był dla mnie tylko elementem sugestii, a teraz całowałam sama, co z tego, że po dziecinnemu... Wszystko to było jak sen. Aleksander często miał na twarzy maskę z gazy i musiałam ją ściągać na bok. Pewnego razu nie wytrzymałam, szarpnęłam zsuniętą maskę za tasiemkę i powiedziałam:

- Może byś jej tak nie wkładał, kiedy jesteśmy razem? Kto ty jesteś, Michael Jackson?

- To z powodu zapachu - odparł. - Maska jest nasączona specjalnym roztworem, który nie przepuszcza zapachów.

- A czym tu pachnie? - zdziwiłam się.

Siedzieliśmy w otwartych drzwiach na dach (Aleksander unikał wychodzenia ze swego lustrzanego szpaczego domku, czy to bojąc się snajperów, czy fotografów, czy karzącego gromu z nieba). Nie czułam żadnych zapachów, jeśli nie liczyć woni spalin z ulicy.

- Tutaj pachnie wszystkim na świecie - powiedział, krzywiąc się Aleksander.

- To znaczy? - spytałam.

Popatrzył na moją białą bluzkę i mocno pociągnął nosem.

- Na przykład ta bluzka - powiedział. - Przed tobą nosiła ją kobieta w średnim wieku, używająca perfum własnej roboty z wyciągu z lotosu...

Powąchałam bluzkę i nic nie poczułam.

- Poważnie? - spytałam. - Kupiłam ją w lumpeksie, spodobał mi się haft.

Aleksander jeszcze raz wciągnął powietrze.

- Poza tym rozcieńczyła ekstrakt podrabianą wódką. Jedzie bimbrem.

- Co ty wygadujesz? - Poczuałam się niezręcznie. - Mam ochotę zdjąć tę bluzkę i wyrzucić... No i co jeszcze czujesz?

Odwrócił się do otwartych drzwi.

- Strasznie śmierdzi benzyną. Aż głowa pęka. A poza tym asfaltem, gumą, dymem papierosowym... Ubikacją, ludzkim potem, piwem, piekarnią, kawą, popcornem, kurzem, farbą, lakierem do paznokci, pączkami, papierem gazetowym... Mógłbym jeszcze długo wyliczać.

- Ale te zapachy przecież się mieszają?

Pokręcił przecząco głową.

- Raczej oplatają się nawzajem i jeden tkwi w drugim. Jak list w kopercie, która spoczywa w kieszeni płaszcza, który wisi w szafie i tak dalej. Najgorsze, że dowiadujesz się wielu rzeczy, o których wcale nie chcesz wiedzieć. Na przykład dają ci dokument do podpisu,

a ty czujesz, że wczoraj leżała na nim kanapka z nieświeżą kielbasą. I mało tego, w dodatku pot z ręki, która podała ci ten papier, pachnie tak, że od razu wiesz, iż w dokumencie jest nieprawda... Itede, itede.

- A skąd ci się to wzięło?

- Normalny wilczy węch. Często utrzymuje mi się to w ludzkiej fazie. Ciężko z tym żyć, choć, co prawda, chroni przed wieloma złymi nawykami.

- Na przykład?

- Na przykład nie mogę palić haszu. A zwłaszcza wachać kokainy.

- Dlaczego?

- Dlatego że już po pierwszej ścieżce mogę powiedzieć, ile godzin kurier wiozł ją w dupie, jadąc z Kolombo do Baku. To jeszcze nic, wiem nawet, kto i ile razy go w tę...

- Dosyć - przerwałam mu - nie kończ. Już rozumiem.

- Najgorsze, że nigdy nie wiem, kiedy to na mnie spadnie. Jest nieprzewidywalne jak migrena.

- Biedaczek - westchnęłam. - Co za okropna kara.

- No, niezupełnie kara - sprostował. - To i owo nawet bardzo mi się podoba. Na przykład podoba mi się twój zapach.

Zmieszałam się. Ciało lisicy rzeczywiście wydziela ledwie uchwytny aromat, ale ludzie zazwyczaj biorą go za perfumy.

- A czym ja pachnę?

- Nawet nie wiem... Górami, światłem księżycy. Wiosną. Kwiatami. Oszustwem. Ale nie jest to złośliwe oszustwo, raczej kpina. Strasznie mi się ten twój zapach podoba. Myślę, że mógłbym go wdychać całe życie i za każdym razem znajdować w nim coś nowego.

- To wspaniale - powiedziałam. - Było mi bardzo głupio, kiedy zacząłeś mówić o mojej bluzce. Nigdy więcej nie kupię niczego w lumpeksie.

- To nic strasznego - zapewnił. - Ale będę wdzięczny, jeśli ją zdejmiesz.

- To taki silny zapach?

- Nie. Całkiem słaby. Po prostu bez bluzki bardziej mi się podobasz.

Po chwili wahania zdjęłam bluzkę przez głowę.

- Dzisiaj jesteś bez staników. - Aleksander roześmiał się.

- Tak - powiedziałam. - Czytałam gdzieś, że kiedy dziewczyna idzie do swego chłopaka, z którym coś ma się jej przydarzyć... No, jeżeli jest na to gotowa... To nie wkłada stanika. To pewnego rodzaju etykieta.

- Gdzie to czytałaś?

- W „Cosmopolitan”. Słuchaj, już dawno chciałam cię zapytać. To nie szkodzi, że mam małe piersi?

- Mnie się to nawet bardzo podoba - powiedział. - Mam ochotę długo, długo je całować.

Miałam wrażenie, że mówi z wysiłkiem, jakby szczęki rozdzierało mu ziewanie. Tak było zawsze tuż przed transformacją. Mimo jego obiecującego oświadczenia „długo, długo całować”, rzadko do tego dochodziło. Chociaż jego gorący wilczy język... Ale nie będę przekraczać granicy przyzwoitości, czytelnik przecież i tak wszystko rozumie.

Nie zdążył zdjąć mi majtek, kiedy to właśnie nastąpiło: podniecenie seksualne uruchomiło tajemniczy mechanizm jego metamorfozy. Po niecałej minucie stał przede mną groźny i piękny zwierz, w którym szczególnie porażające było jego narzędzie miłości. Za każdym razem nie mogłam uwierzyć, że mój woreczek-symulacja jest w stanie wchłonąć ten młot na czarownicy.

Przeobrażając się w wilka, Aleksander tracił dar mowy. Ale rozumiał wszystko, co się do niego mówi - chociaż, oczywiście, nie miałam pewności, czy jego wilcze rozumienie jest tożsame z ludzkim. Zdolności komunikacyjnych nie wystarczało mu bowiem na przekazanie skomplikowanych stanów duszy, ale mógł odpowiadać twierdząco lub przecząco. „Tak” oznaczał głuchy, krótki warkot:

- R-r-r!

„Nie” przekazywał dźwiękiem pośrednim między wyciem a ziewnięciem:

- U-u-u!

Trochę mnie śmieszyło to „u-u-u” - tak skomli z gorąca pies zamknięty przez właścicieli na balkonie. Nie próbowałam jednak dzielić się z nim swymi obserwacjami.

Jego ręce upodobały się nie do wilczych łap, lecz raczej do fantastycznych kończyn filmowego Marsjanina. Nie mogłam uwierzyć, że te kleszcze są zdolne do delikatnych dotknięć, chociaż znałam to już z doświadczenia.

Dlatego kiedy położył mi je na brzuchu, jak zwykle poczułam się nieswojo.

- Czego chcesz, szary? - spytałam. - Mam się przekręcić na bok?

- U-u-u!

- Na brzuszek?

- U-u-u!

- Stanąc na czworakach?

- R-r-r!

- Zgoda, tylko delikatnie. Dobrze?

- R-r-rrrrrr-r!

Nie byłam do końca pewna, czy ostatnie „rrr” oznaczało „tak”, a nie po prostu „rrr”, zrobiłam jednak to, o co prosił. I natychmiast tego pożałowałam: chwycił mnie łapą za ogon.

- Hej, wilczysko, puszczaj! - zaprotestowałam.

- U-u-u!

- Mówię serio, puść!

- U-u-u!

I tu stało się to, czego się najbardziej obawiałam - pociągnął mnie za ogon. Nie mocno, ale na tyle silnie, że nagle przypomniał mi się sikh z „Nationalu”. Kiedy zaś szarpnął mnie trochę gwałtowniej, tak się zawstydziłam swojej roli w losie tego człowieka, że chlipnęłam.

Aleksander nie szarpał mnie za ogon specjalnie. Po prostu go trzymał, i to dość delikatnie. Ale uderzenia jego bioder popychały moje ciało do przodu i rezultat był taki, jakby próbował wyrwać mi ogon z grzbietu. Napięłam wszystkie mięśnie, ale miałam za mało sił. Przy każdym szarpnięciu moją duszę zalewały fale nieznośnego wstydu. Najstraszniejsze jednak było to, że wstyd, przepalając moje serce, mieszał się w jedno z rozkoszą, jaką sprawiał mi ten akt.

Było to coś niewyobrażalnego - zaiste znalazłam się po drugiej stronie dobra i zła. Dopiero teraz zrozumiałam, w jakich otchłaniach losu błędził de Sade, który zawsze wydawał mi się śmieszny i pretensjonalny. Nie, wcale nie był komiczny - po prostu brakowało mu słów, by opisać naturę swego koszmaru. Wiedziałam dlaczego - takich słów w ludzkim języku nie ma.

- Przestań - wyszeptałam przez łzy.

- U-u-u!

Ale w głębi duszy nie wiedziałam, czego chcę - żeby przestał czy żeby robił to dalej.

- Przestań - powtórzyłam, nie mogąc złapać tchu - proszę!

- U-u-u!

- Chcesz mnie zabić?

- R-r-r!

Nie mogłam się już powstrzymać i wybuchnęłam płaczem. Ale były to łzy rozkoszy, potwornej, wstydlivej - i zbyt porywającej, by można z niej było zrezygnować dobrowolnie. Wkrótce przestałam w ogóle wiedzieć, co się dzieje - może straciłam przytomność. Następne, co pamiętam, to pochylony nade mną Aleksander, już w ludzkiej postaci. Był zaniepokojony.

- Sprawilem ci ból?

Kiwnęłam głową.

- Przepraszam...

- Obiecaj mi jedno - szepnęłam. - Obiecaj, że nigdy więcej nie będziesz mnie ciągnął za ogon. Nigdy, słyszysz?

- Słowo oficera - rzekł i położył rękę na baretkach orderów. - Było ci źle?

- Było mi wstyd - wyszeptałam. - Wiesz przecież, że zrobiłam w życiu mnóstwo takich rzeczy, o których nie chcę myśleć. Wyrządziłam zło wielu ludziom...

Jego twarz nagle stała się poważna.

- Nie mów o tym - powiedział. - Proszę cię, nie teraz.

My, lisice, pasjonujemy się polowaniem na angielskich arystokratów i kury. Na angielskich arystokratów polujemy dlatego, że angielscy arystokraci polują na nas, i jest to w pewnym sensie sprawa honoru. A na kury polujemy dla przyjemności. Każdy rodzaj polowania ma gorących zwolenników, którzy gotowi są do ochrypnięcia bronić swego wyboru. Moim zdaniem, w polowaniu na kury znaleźć można kilka istotnych plusów:

1) polowanie na angielskich arystokratów to źródło złej karmy, jaką ściągają na nas zabicie nawet najbardziej bezużytecznego człowieka; karma od kur nie jest specjalnie ciężka;

2) w celu polowania na arystokratów trzeba wyjeżdżać do Europy (niektórzy uważają, że najlepszym miejscem do tego jest transatlantycki liniowiec); na kury można polować gdziekolwiek;

3) przy polowaniu na angielskich arystokratów lisice nie podlegają żadnym przemianom fizycznym. A przy polowaniu na kury dzieje się z nami coś, co przypomina z grubsza transformację wilka-wilkołaka - na jakiś czas upodabniamy się do naszych dzikich współbraci.

Już od wielu lat nie poluję na angielskich arystokratów, i wcale mi tego nie brak. Za to polowaniem na kury pasjonuję się do dziś.

Niewtajemniczonemu trudno wytłumaczyć, na czym polega polowanie na kury. Kiedy zrzucając ubranie i buty, gwałtownie odbijasz się trzema łapami od ziemi, a czwartą przyciskasz do piersi kurkę, jej serduszko bije unisono z twoim, i rozmyte od pędu zygżaki drogi przelatują swobodnie przez pustą świadomość. W takiej chwili widzisz wyraźnie, że i ty, i kura, i nawet krzykliwi prześladowcy, to w istocie części jednej nieogarnionej całości, która nakłada maski i bawi się w chowanego sama ze sobą... I chcesz wierzyć, że kurka czuje to samo. A jeśli nie, to nadejdzie życie, kiedy na pewno, na pewno to zrozumie!

Oto podstawowe zasady polowania na kury:

1) do kurnika należy podejść w postaci wytwornej światowej damy w wieczorowej sukni, na wysokich szpilkach. Strój powinien maksymalnie krępować ruchy i kojarzyć się z kolorowymi tygodnikami dla pań;

2) trzeba ściągnąć na siebie uwagę właścicieli kurnika - powinni koniecznie widzieć, jak elegancka pani kradnie kurę;

3) uciekać przed rozjuszonymi prześladowcami należy niezbyt szybko, ale też nie za wolno - główna trudność polowania polega na tym, by jak najdłużej utrzymywać ich w przekonaniu, że są w stanie dogonić złodziejkę;

4) kiedy ścigający opadną z sił (oraz w wypadkach, kiedy doznają szoku na widok odbywającej się na ich oczach transformacji), należy specjalnym prztyknięciem ogona wymazać z ich umysłów pamięć o zdarzeniu i puścić kurkę wolno.

To ostatnie uzupełnienie wprowadziłam sama. Tylko proszę mnie nie pytać, co kura zrobi z tą wolnością. Przecież nie ukręcę jej głowy. Oczywiście, zdarza się, że zdycha w czasie pogoni. Ale czyż dla jej ewolucji lepiej by było zakończyć trywialnie to życie w niedzielnym rosale?

Niektóre z nas stosują tę samą logikę do angielskich arystokratów, ale ja się z tym nie zgadzam - teoretycznie każdy angielski arystokrata może w swoim życiu zostać buddą, i nie wolno pozbawiać go tej szansy dla pustej rozrywki.

Polowanie na arystokratów to w dziewięćdziesięciu procentach czynność nudna, mało się różniąca od uroczystej herbatki. Czasem jednak najbardziej zdeprawowane z moich sióstr, z którymi nie życzę sobie mieć nic wspólnego, zbierają się w stado i urządzają oblawy, w ich trakcie żegna się z życiem wielu naraz angielskich arystokratów. Całe zdarzenie staje się wtedy dość malownicze, a towarzyszącą mu halucynacją jest w stanie przeżywać jednocześnie wiele tysięcy ludzi - o czym może dać wyobrażenie historia „Titanica” albo tak zwana bitwa pod Waterloo. Chociaż najbardziej szokujące szczegóły pozostają przed publicznością ukryte.

Domyślam się, że trudno uwierzyć w możliwość tak potężnych masowych iluzji, ale zaraz to wyjaśnię: rzecz w tym, że kiedy jedną i tę samą halucynacją sprowadza jednocześnie kilka lisic, jej siła zwiększa się proporcjonalnie do sześcianu ich liczby. To znaczy jedna i ta sama wizja, stworzona jednocześnie przez trzy lisice, będzie prawie trzydzieści razy silniejsza od wizji stworzonej w samotności przez jedną lisicę. Osiąga się to poprzez szereg tajemnych

ćwiczeń - najpierw lisice uczą się razem wyobrażać sobie przedmiot, który wcześniej widziały, potem przedmiot, którego nie widziały, potem zmuszają innych do zobaczenia przedmiotów, które nie istnieją, i tak dalej. To skomplikowana technika i opanowanie jej zajmuje kilka stuleci. Ale jeżeli lisic, które ją posiadły, zbierze się dziesięć lub dwanaście... Wiadomo, do czego są zdolne.

Ktoś mógłby zapytać, czemu wobec tego lisice do tej pory nie rządzą tym światem. Są dwa powody:

- 1) lisice nie są takie głupie, żeby brać sobie na barki podobny ciężar;
- 2) lisice są egoistyczne i nie potrafią dogadać się ze sobą na dłuższą metę w jakiegokolwiek sprawie poza wspólnym polowaniem na angielskich arystokratów.

Obecnie ludzie mają wiele nowych środków monitorowania i kontroli, toteż lisice unikają wtrącania się do ludzkiej historii i rozwiązują problemy w prostszy sposób. Na północy Anglii jest kilka prywatnych zamków, gdzie arystokratów po najlepszych reproduktorach hoduje się i szkoli specjalnie do lisiego polowania - wydajność niewielka, ale jakość doskonała. Podobne hodowle są w Argentynie i Paragwaju, ale warunki są w nich okropne, i angielscy arystokraci, których się tam masowo produkuje poprzez sztuczną inseminację (z klonowania na razie nic nie wyszło), nadają się tylko do safari z helikoptera: mówią jak gauchowie, wiadrami piją tequilę, nawet za trzecim podejściem nie umieją narysować swego drzewa genealogicznego i przed śmiercią proszą, żeby im zanucić pieśń *Un Hombre*, poświęconą Che Guevarze. Widać przynajmniej przez parę minut chcą się poczuć portfelowymi inwestorami.

Istnieje też inna szkoła myśliwska, według której angielski arystokrata dobierany jest indywidualnie, i lisica przez kilka lat przegania go po ostatniej trasie - zostaje jego kochanką albo żoną i jest przy nim aż do momentu objawienia, który w tym wypadku jest dość okropny. Któregoś dnia, w czasie burzy czy w jakiejś innej dramatycznej chwili, lisica odsłania przed nim całą prawdę i obnaża swój ogon - ale nie po to, by mu zasugerować kolejną dawkę małżeńskiego szczęścia, tylko żeby go śmiertelnie porazić... Tak wygląda najbardziej skomplikowana forma polowania, która wymaga wirtuozerskiej socjotechniki. Tu nikt nie może się równać z siostrzyczką I Huli, która od wielu wieków żyje w Anglii i osiągnęła w tym sporcie prawdziwe mistrzostwo.

Największa zaleta polowania na kury polega na zachodzącej w nas suprafizycznej transformacji. Kura jest potrzebna jako żywy katalizator, który pomaga jej dokonać - przez

tysiące lat kulturalnego życia lisice prawie utraciły tę umiejętność i teraz, jak Dante, potrzebują przewodnika do niższych światów. Transformacja zdarza się nie zawsze, a jeśli już, to nie na długo, ale przynosi tak silne doznania, że jeszcze przez wiele dni potem żyje się wspomnieniami.

Coś podobnego dzieje się z nami przy silnym przestachu, ale jest to proces niekontrolowany, podczas kiedy sztuka polowania na kury polega właśnie na kontroli nad strachem. Musisz dopuścić ścigających na tyle blisko, by włączyły się mechanizmy wewnętrznej alchemii, które w kilka sekund zamienią cię w drapieżne zwierzę, wolne od dobra i zła. Naturalnie, aby nie uwolnić się od dobra i zła ostatecznie, należy utrzymywać bezpieczną odległość. Wszystko razem jest jak surfing, tylko za utratę równowagi płaci się o wiele drożej. Ale i pozytywne emocje są znacznie silniejsze - nic tak nie odświeża duszy, jak ryzyko i pogoń.

Zdarza się niekiedy, że zaczynają mnie gonić psy, ale porzucają pościg, gdy tylko zrozumieją, kim jestem. Psy są równie podatne na sugestię jak ludzie. Poza tym mają szczególnie system komunikacji, coś w rodzaju Internetu opartego na zapachach, tak że nowiny rozchodzą się w ich środowisku bardzo szybko. Kiedy pewnego męznego rottweilera, który chciał się ze mną zabawić, zgwałciło dwóch braci-kaukazyków (mam na myśli owczarki), psy w lesie bitcewskim zaczęły mnie omijać z daleka. To mądre zwierzęta, i potrafią dostrzec związek przyczynowo-skutkowy między tym, że jakiś rottweiler rzuca się z warczeniem za zgrabną rudą sportsmenką, a tym, że wszystkie psy-samce, wyższe od tego rottweilera o dwie głowy, zaczynają go brać za łagodną wielkooką sukę z cieczką.

Postanowiłam zabrać Aleksandra na polowanie wcale nie dlatego, że chciałam się pochwalić. Transformacja lisicy w czasie polowania na kury nie zachodzi tak daleko jak przemiana wilka, toteż nie miałam się czym popisywać. Myślałam jednak, że jeśli suprafizyczny przeskok nastąpi na oczach Aleksandra, będzie to najlepszy sposób powiedzenia mu: „Ja i ty jesteśmy z jednej krwi”. Może roztopi to resztki nieufności między nami i jeszcze bardziej nas zbliży - takie były moje niesprecyzowane plany.

Miejsce polowania upatrzyłam sobie już dawno. Jedna ze ścieżek wijących się przez las bitcewski wychodziła na stojący na polanie drewniany dom, w którym mieszkał gajowy (nie jestem pewna, czy to właściwe określenie, ale ten człowiek pełnił w parku jakąś funkcję służbową). Przy domu był kurnik - wielka rzadkość w dzisiejszej Moskwie. Zauważyłam go w czasie rowerowej przejażdżki po lesie i teraz postanowiłam wykorzystać. Najpierw jednak należało wszystko jeszcze raz sprawdzić i wytyczyć drogi odwrotu. Poświęciwszy na rowerowy zwiad cały dzień, ustaliłam, co następuje:

1) kury w kurniku są, ludzie w domu też; istnieją więc obydwie nieodzowne do polowania czynniki;

2) uciekać należy drogą prowadzącą do lasu;

3) muszę zdążyć oderwać się od pogoni, zanim ścieżka wychynie z lasu po drugiej stronie - na polanie zawsze pełno jest spacerowiczów, głównie młodych mam z wózkami.

Poza tym wypatrzyłam, którędy można pojechać prawie do samego kurnika samochodem - chociaż domek gajowego wydawał się zagubiony w lesie, miasto zaczynało się w odległości trzystu metrów: las urywał się przy szeregu betonowych pięciopiętrowych bloków. Zapisałam adres domu położonego najbliżej kurnika. Teraz przygotowania do łowów były zakończone.

Zwiad rowerowy przyniósł jeszcze jeden rezultat. Wracając do domu, pojechałam nieznaną ścieżką i trafiłam w niesamowite miejsce, w którym jeszcze nigdy nie byłam. Było to rozległe pustkowie, raczej nawet pole, opadające z jednej strony ku rzeczce i otoczone lasem. Pole przecinały ścieżki, a na zboczu znajdowała się trampolina rowerowa - stromy ziemny nasyp, ubity przez niezliczone rowerowe koła. Nie miałam odwagi skoczyć, tylko wjechałam nań powoli, wyobrażając sobie, jak to jest - rozpedzić się i wzbić w powietrze. Nie miałam jednak pewności, czy zdołam wylądować.

Niedaleko trampoliny zauważyłam dziwną kompozycję rzeźbiarską. Z ziemi sterczało kilka szarych belek różnej długości. Ich ostrugane wierzchołki przedstawiały twarze witezi. Drewniani wojowie stali ciasno jeden przy drugim, a wokół nich rozmieszczono grubo ciosane ciężkie ławki. Na obwodzie stały cztery zorientowane według stron świata bramy w kształcie odwróconej litery U; były tak samo szare, grube i potraskane. Wszystko razem przypominało drewniane Stonehenge, które już ucierpiało w walce z wiecznością: belki były poniszczone przez ogniska, które miejscowi chuligani rozpalali bezpośrednio na nich. Jednak mimo czarnych wypalonych plam i mnóstwa pustych butelek po piwie tkwiło w tym obiekcie jakieś piękno, a nawet pewien nieuchwytny majestat.

Usiadłam na jednej z belek, zapatrzyłam się w czerwony krąg słońca (takie zachody zdarzają się w Moskwie tylko w maju) i pogrążyłam się w myślach o przeszłości. Przypomniał mi się człowiek, którego spotkałam ponad tysiąc lat temu - nazywano go Żółtym Panem, od nazwy Żółtej Góry, na której stał jego klasztor. Spędziłam na dyspacie z nim zaledwie jedną noc, ale zapamiętałam tę rozmowę na zawsze - wystarczyło, że zamknęłam oczy, a już widziałam twarz Żółtego Pana tak wyraźnie, jakby znajdował się tuż przy mnie. A przecież tyłu było ludzi, z którymi przez lata spotykałam się codziennie - i po których nie

pozostał mi w pamięci nawet cień... Siostrzyczka I też znała Żółtego Pana, pomyślałam. Ciekawe, czy go pamięta? Trzeba będzie ją spytać.

I w tym momencie zadzwoniła komórka.

- Halo - powiedziałam.

- Cześć, ruda.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Siostrzyczka I? To po prostu cud. Właśnie o tobie myślałam...

- To dlatego tak mnie swędzi ogon! - Zaśmiała się. - Jestem już w Moskwie.

- Gdzie się zatrzymałaś?

- W hotelu „National”. Co robisz dziś o pierwszej?

Bałam się kłopotów przy wejściu do „Nationalu”, ale żaden z ochroniarzy nie zwrócił na mnie uwagi. Może dlatego, że oczekiwała mnie podobna do scharführera SS hostessa z tabliczką „Valued guest of Lady Cricket-Taylor”, która zaprowadziła mnie do jednego z apartamentów. Brakowało tylko gwardii honorowej i orkiestry.

Zastałam I Huli siedzącą na pasiastej kanapie w salonie. Męczyło mnie podejrzenie, że już byłam w tym apartamencie z jakimś klientem, czy to biznesmenem z Korei Południowej, czy to arabskim handlarzem bronią. Ale może była to sprawa pasiastej kanapy - takie kanapy są tu w wielu numerach. Na mój widok siostrzyczka wstała i uściskałyśmy się serdecznie. W jej rękach pojawiła się przezroczysta plastikowa torebka.

- To dla ciebie - powiedziała I. - Niedrogie, ale szykowne.

W torebce był T-shirt z brytyjską flagą i rosyjsko-angielskim napisem:

КОКНИ²⁴

COCKNEY

- Sprzedają to w Londynie - wyjaśniła. - We wszystkich językach. Ale po rosyjsku brzmi szczególnie miło.

I cicho zachichotała. Nie mogłam się powstrzymać i też się roześmiałam.

I Huli wyglądała dokładnie tak samo jak w dwudziestym dziewiątym roku, kiedy przyjechała do Rosji po linii modnego wówczas Kominternu. Tylko teraz włosy miała ostrzyżone jeszcze krócej. Ubrana była jak zawsze niepowtarzalnie.

²⁴ Fonetyczny rosyjski zapis angielskiego słowa *cockney*; gra słów: *kokni* (ros.) znaczy „trać, stuknij, uderz”, a w slangu młodzieżowym „zażyj narkotyk” (przyp. tłum.).

Przez ostatnie tysiąc lat styl I Huli się nie zmienił - był to krańcowy maksymalizm, udający utylitarny minimalizm. Zazdrościłam jej odważnego gustu - zawsze wyprzedzała modę o pół kroku. Moda jest cykliczna i przez długie stulecia siostrzyczka I nauczyła się ślizgać na falach owych cykli z mistrzostwem profesjonalisty od surfingu - jakimś cudem zawsze znajdowała się w punkcie, którego koordynaty próbują uchwycić wszyscy projektanci odzieży.

Teraz także miała odlotową kamizelkę, przypominającą ogromny pas koalicyjny z mnóstwem różnokolorowych nakładanych kieszeni, zahaftowanych arabskimi deseniami i pomarańczowym napisem „Ka-Boom!”. Była to wariacja na temat pasa szachida, gdyby go uszył japoński projektant-libertyn. Jednocześnie zaś ciuch był bardzo praktyczny - właścicielce takiej kamizelki torebka nie była już potrzebna.

- Czy to nie za śmiało na Londyn? - zapytałam. - Nikt się nie oburza?

- Coś ty! Anglicy wszystkie siły duchowe zużywają na obłudę. Na nietolerancję już im ich nie starcza.

- Naprawdę wygląda to tak ponuro?

Machnęła ręką.

- Obłuda to po angielsku *hypocrisy*. Ja bym wprowadziła nowy termin - *hippopocrisy*, od „hipopotam”. Żeby podkreślić rozmiary problemu.

Nie cierpię, jak ktoś źle mówi o całych narodach. Moim zdaniem, tak postępują albo pechowcy, albo ci, którzy mają nieczyste sumienie. O siostrzyczce I Huli można powiedzieć wszystko, ale nie to, że jest pechowa. Natomiast co do sumienia...

- A może byś tak ty pierwsza odrzuciła obłudę? - spytałam.

- Wtedy byłby to cynizm. A nie wiadomo, co gorsze. Krótko mówiąc, w komórce jest ciemno i wilgotno.

- W jakiej komórce?

- Mam na myśli angielską duszę. Przypomina mi schowek. Albo żeby to prawidłowo przetłumaczyć... *closet*. Najlepsi z Anglików przez całe życie usiłują się stamtąd wydostać, ale udaje im się to na ogół tylko w chwili śmierci.

- Skąd wiesz?

- Jak to skąd? Z autopsji. Sama przecież jestem Angielką. No, oczywiście nie do końca - podobnie jak ty Rosjanką. Bo przecież można powiedzieć, że jesteś Rosjanką, prawda?

- Chyba tak - zgodziłam się i cichutko westchnęłam.

- A co przypomina dusza rosyjska?

Zamyśliłam się.

- Kabinę dalekobieżnego TIR-a. Do której cię zabrał kierowca, żebyś mu zrobiła minetę. Po czym umarł, ty zostałam w kabinie sama, dokoła zaś tylko bezkresny step, niebo i droga. A ty nie masz pojęcia o prowadzeniu samochodu.

- A kierowca został w kabinie czy...

Wzruszyłam ramionami.

- To zależy jak u kogo.

- Tak - powiedziała I Huli. - Widzę, że to to samo.

- Co to samo? - nie rozumiałam.

- Mamy takie znane porzekadło: *Everybody has his skeleton in the closet*. Powiedział to lord Byron. Kiedy zrozumiał, że zadusił w sobie homoseksualistę.

- Biedaczek.

- Biedaczek? - I Huli podniosła brwi. - Nic nie rozumiesz. On tego homoseksualistę w sobie przez całe życie torturował i dręczył, a zadusił dopiero tuż przed śmiercią, kiedy zrozumiał, że sam niedługo kopnie w kalendarz. I okazuje się, że wszystkie jego wiersze i poematy w rzeczywistości napisał ten homoseksualista. Udowodnili to dwaj amerykańscy uczeni, sama czytałam. Tacy są ludzie w Anglii! Więc lepsze już to wasze ponuractwo w kabinie.

- Dlaczego ponuractwo? Uważam, że jest w tym jakieś piękno.

- W czym? W szkielecie obok?

- Nie - odparłam. - W rosyjskiej duszy. Wyobraź sobie, że zupełnie nie umiesz prowadzić samochodu, a dokoła step i niebo. Lubię Rosję.

- A co konkretnie w niej lubisz?

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym odparłam niezbyt pewnie:

- Język rosyjski.

- Słusznie robisz - powiedziała I Huli - że wmawiasz sobie to uczucie. Inaczej życie tutaj byłoby dla ciebie nie do zniesienia. Jak dla mnie w Anglii.

Przeciągnęła się kocim ruchem, popatrzyła w dal, i w jej oczach błysnęło coś leniwie marzycielskiego. Nagle na miejscu jej twarzy zwidziała mi się drapieżna zębata paszcza, jak to się zdarza w dwudziestym piątym kadrze filmowym. Poczułam chęć, by powiedzieć jej coś złośliwego.

- Moim zdaniem, to ty sobie wmawiasz, że żyjesz wśród obłudników i zbrodniców.

- Ja? A po cóż miałabym to robić? - spytała.

- Podobno nikt nie może popełnić morderstwa, jeśli nie przypisze swojej ofierze jakiejś złej cechy. Inaczej sumienie zatruloby mordercy życie. A kiedy ktoś popełnia

morderstwa jedno po drugim, wygodnie mu jest przypisać te cechy całej *target group*. Wtedy nie przeraża go tak bardzo odplata.

Przez twarz I Huli przemknął cień.

- Prawisz mi morały? - zapytała. - Nawet niektórzy ludzie rozumieją, że w rzeczywistości nie ma ani dobra, ani zła. A my jesteśmy lisicami. Po śmierci nie ma ani odpląty za zło, ani nagrody za cnotę, tylko wspólny dla wszystkich powrót do wielkiej granicy u Żółtego Źródła. Całą resztę wymyślono po to, żeby trzymać naród w uzależnieniu i strachu. O czym ty w ogóle mówisz?

Zrozumiałam, jak głupio się zachowuję - złoszczę siostrę, której chciałam się poradzić. Kimże jestem, żeby jej cokolwiek zarzucać? Jeśli rzeczywiście uważam się za lepszą, to znaczy, że jestem jeszcze gorsza niż ona. Postanowiłam obrócić wszystko w żart.

- Ależ jesteśmy poważne! - rzuciłam beztrąsko. - Oto do czego prowadzi wieloletnie współżycie z bezogoniastą małpą. Zaczęłaś nawet rozumować tak jak ona.

I Huli przez kilka sekund patrzyła na mnie nieufnie, marszcząc puszyste brwi. Bardzo jej z tym było ładnie. Potem się uśmiechnęła.

- Więc postanowiłaś się ze mnie pośmiać? Nie próbuj teraz odwracać się do mnie tyłem...

U lisic to powiedzenie ma nieco inne konotacje niż u ludzi, ale ogólnie znaczy mniej więcej to samo. Wcale nie zamierzałam odwracać się do niej tyłem, tym bardziej że naprawdę mogła pociągnąć mnie za ogon - w piętnastym wieku już się coś takiego zdarzyło, pamiętam to do dziś. Słowa te jednak przypomniały mi o ostatniej schadzce z Aleksandrem. Poczerwieniałam. Nie ukryło się to przed wzrokiem I Huli.

- Oho - zauważyła - wciąż tak samo się czerwienisz jak tysiąc lat temu. Aż ci zazdroszczę. Jak ci się to udaje? Żeby się tak czerwienić, trzeba chyba być dziewczicą?

Najciekawsze, że czerwienię się tylko w towarzystwie innych lisic. A w kontaktach z ludźmi to mi się nie zdarza. Wielka szkoda - mogłabym znacznie podwyższyć stawkę.

- Nie jestem już dziewczicą - powiedziałam i zaczerwieniłam się jeszcze bardziej.

- Naprawdę? - I Huli ze zdumieniem odchyliła się na oparcie kanapy. - Opowiadaj prędzej!

Już od dawna nie mogłam się doczekać, by podzielić się swoją historią - i przez następne pół godziny otwierałam przed siostrą duszę.

Kiedy opowiadałam szczegóły swojej oszałamiającej *affair*, I Huli chmurzyła się, uśmiechała, kiwała głową, a czasem nawet podnosiła palec, jakby chciała wykrzyknąć: „Aha! A ile razy ci mówiłam?” Kiedy skończyłam, powiedziała:

- No proszę. A więc i tobie się to jednak przydarzyło. Tysiąc lat wcześniej, tysiąc lat później... Co za różnica? Gratuluję.

Wzięłam ze stolika papierową serwetkę, zgmiotłam w kulkę i rzuciłam w I. Uchyliła się zrećźnie.

- A jednak doświadczenie życiowe to wielka rzecz - mruknęła. - Czy coś takiego było do pomyślenia w latach naszej młodości? Sprowokowałaś go tak profesjonalnie, że nawet nie wiadomo, kto kogo zgwałcił.

- Co? - Ze zdumienia aż otworzyłam usta.

Uśmiechnęła się.

- Mogłabyś przynajmniej wobec swoich nie udawać skrzywdzonej niewinności.

- O czym ty mówisz? Kiedy go sprowokowałam?

- Kiedy wyskoczyłaś goła z łazienki i stanęłaś przed nim rakiem.

- Uważasz to za prowokację?

- Oczywiście. No bo powiedz mi, po co odwróciłaś się do niego tyłem?

Wzruszyłam ramionami.

- Żeby mieć pewność.

- Niby co miało ci dać tę pewność?

- Ogon był bliżej celu - wyjaśniłam bez przekonania.

- No właśnie. A spoglądałaś na niego przez ramię. Powiedz uczciwie, czy kiedykolwiek wcześniej robiłaś tak dla pewności?

- Nie.

- A dlaczego nagle postanowiłaś spróbować?

- Bo... Bo po prostu zdawało mi się, że to wyjątkowo odpowiedzialne zadanie. I nie mogę dać się rozłożyć na obie łopatki. To znaczy skompromitować się.

I Huli wybuchnęła śmiechem.

- Słuchaj - zapytała - naprawdę zrobiłaś to wszystko nieświadomie?

Bardzo mi się nie podobał kierunek, w którym zmierzała nasza rozmowa.

- Wiem, jak do tego podchodzisz - ciągnęła - ale gdybyś pogadała z dobrym psychoanalitykiem, od razu byś zrozumiała swoje prawdziwe motywy. Z analitykiem możesz rozmawiać bez skrępowania, o czym chcesz - za to mu płacisz. Oczywiście niekoniecznie o ogonie. Chociaż i o tym można mu opowiedzieć jako o fantazji erotycznej. Ale wtedy puszczaj mimo uszu wszystko, co ci powie o *penis envy*...²⁵

Otworzyć przed przyjaciółką duszę i usłyszeć coś takiego... Rozzłościłam się.

²⁵ Zazdrość o penisa (ang.).

- Posłuchaj - rzekłam - a nie wydaje ci się, że najwyższy czas wbić cały ten psychoanalityczny dyskurs osinowym kołkiem w kokainowo-amfetaminowy tyłek, który go zrodził?

Wybałuszyła oczy.

- No tak, co do amfetaminy, to rozumiem. Bądź co bądź, dwa lata przyjaźniłam się z Jeanem Paulem Sartre'em, o czym może nie wiesz. I jeśli chodzi o tyłek, też rozumiem, z tego samego powodu. Ale co ma z tym wspólnego kokaina?

- Chętnie ci to wytłumaczę - odrzekłam ucieszona, że odeszliśmy od śliskiego tematu.

- No to wytłumacz.

- Doktor Freud nie tylko sam zażywał kokainę, ale także zapisywał ją pacjentom. Kokaina to silny afrodyzjak. Dlatego wszystko, co Freud wymyślił - wszystkie te edypy, sfinksy i sfinktory - dotyczą wyłącznie wymiaru duchowego pacjenta, którego mózg usmażył się od kokainy jak sadzone jajka. Człowiek w takim stanie rzeczywiście ma tylko jeden problem - co zrobić najpierw, przelecieć mamę czy utłuc tatę. Oczywiście, dopóki kokaina się nie skończy. A w tamtych czasach nie było kłopotów z zaopatrzeniem.

- Ja nie mówię o...

- Ale dopóki bierzesz mniej niż trzy gramy dziennie - ciągnęłam - możesz się nie obawiać ani kompleksu Edypa, ani całej reszty z tego, co Freud podkrywał. Analizować swoje zachowanie, opierając się na teoriach Freuda, to mniej więcej to samo, co opierać się na peyotlowych wizjach Carlosa Castanedy. Tyle że Castaneda przynajmniej ma serce, jest w nim poezja. A Freud ma tylko binokle, dwie ścieżki na kredensie i dygot w sfinktorze. Burżuazja lubi go właśnie za to, że jest obrzydliwy. Za jego umiejętność sprowadzenia wszystkiego na świecie do tyłka.

- Czemu burżuazja miałaby go za to lubić?

- Dlatego że portfelowi inwestorzy potrzebują proroków, którzy wytłumaczą im świat w zrozumiałych dla nich terminach. I kolejny raz udowodnią, że obiektywnej rzeczywistości, w którą oni włożyli tyle pieniędzy, nic nie zagraża.

I Huli popatrzyła na mnie z lekką drwiną.

- Jak myślisz - spytała - czy naprawdę tendencja do odrzucania obiektywnej rzeczywistości ma swoje źródło w deprivacji seksualnej?

- Że co? - nie zrozumiałam.

- Mówiąc prościej, czy zgadzasz się z opinią, że świat uważają za iluzję ci, którzy mają problemy z seksem? - powtórzyła tonem prezenterki telewizyjnej.

Z tym światopoglądem stykałam się często w „Nationalu”. Że niby tylko nieudacznicy z kompleksami seksualnymi uciekają przez ożywym rozgwarem rynku w mistykę i obskurantyzm. Szczególnie zabawne było słyszeć to od klienta samotnie baraszkującego w łóżku; na dobrą sprawę to samo działo się z biedaczną również przez resztę czasu, tylko zamiast lisiego ogona hipnotyzował go „Financial Times”, a samotność nie była relatywna, jak w moim towarzystwie, ale całkowita. Jednak usłyszeć coś takiego od siostrzyczki... Oto co z nami wyprawia społeczeństwo konsumpcyjne.

- Jest wręcz przeciwnie - odparłam. - W rzeczywistości właśnie tendencja do wiązania poszukiwań duchowych z problemami seksualnymi wpływa z frustracji związanej z analnym wektorem libido.

- Jak to? - Siostrzyczka uniosła brwi.

- A tak to. Ci, którzy tak mówią, powinni zrobić to, czego zawsze skrycie pragnęli - wypieprzyć sami siebie.

- Dlaczego?

- Kiedy się zajmą tym, na czym się znają, przestaną roztrząsać to, czego nie rozumieją. Świnia ma tak zbudowaną szyję, że nie może spoglądać w niebo. Ale z tego wcale nie wynika, że niebo to seksualna neuroza.

- Jasne... Nauczyłaś się tego od wilka?

Milczałam.

- Tak-tak-tak - powiedziała siostrzyczka I. - A mogę go sobie obejrzeć?

- Skąd nagle takie zainteresowanie? - spytałam podejrzliwie.

- Nie bądź zazdrosna. - Roześmiała się. - Po prostu chcę zobaczyć, kto ci przypadł do serca. Poza tym nigdy nie widziałam wilków-wilkołaków, słyszałam tylko, że występują na północy. A właśnie, arcywilkołak, o którym ciągle mi robisz wykłady, jest raczej wilkiem niż lisem. W każdym razie tak twierdzi mój mąż. Oraz jego łoża Różowy Zachód.

Westchnęłam. Było wprost nie do pojęcia, jak I Huli, tak przenikliwa w jednych sprawach, może być takim zacofanym nieukiem w innych. Ileż razy trzeba jej tłumaczyć jedno i to samo? Postanowiłam się nie sprzeczać i zamiast tego zapytałam:

- Myślisz, że arcywilkołakiem może się okazać mój Aleksander?

- Jeżeli się orientuję, arcywilkołak to nie po prostu wilk. To coś odległego od wilka tak bardzo, jak wilk od lisa. Ale arcywilkołak nie jest stadium pośrednim między lisem a wilkiem. Znajduje się daleko za wilkiem.

- Nic nie rozumiem - odrzekłam. - Gdzie za wilkiem?

- Wiesz co, ja sama nie potrafię tego sensownie wytłumaczyć. Nieboraczek Brian zebrał wszystkie dostępne materiały na ten temat. Chcesz, to wygłosi ci krótki wykład, póki jeszcze żyje? I zaprosz swojego Aleksandra - myślę, że dla niego też będzie to interesujące. A przy okazji mi go pokażesz.

- To by było świetnie - powiedziałam - ale Aleksander słabo zna angielski.

- Nie szkodzi. Brian jest poliglotą i swobodnie mówi pięcioma językami. W tym po rosyjsku.

- Dobrze - zgodziłam się. - Więc zrobmy tak.

I Huli podniosła palec.

- A twój generał-lejtnant wyświadczy nam za to pewną przysługę.

- Jaką?

- Musimy się z Brianem dostać w nocy do świątyni Chrystusa Zbawiciela. Przy czym powinna to być noc z piątku na sobotę, w okolicy pełni. Będzie mógł to załatwić?

- Myślę, że tak - powiedziałam. - Na pewno ma jakieś chody. Spróbuję z nim pogadać.

- No to ja ci przypomnę - rzuciła I Huli.

Zawsze tak z nią jest. Załatwia swoje sprawy twoim kosztem i przy tym wywołuje u ciebie poczucie, że to ona wyświadczyła ci przysługę. Chociaż, z drugiej strony, byłam strasznie ciekawa lorda Cricketa - okultysty, mecenasa sztuki i amatora polowań na lisy.

- Powiedz mi - poprosiłam - czy twój mąż się domyśla? No, tego, kim jesteś?

- Nie. Coś ty, oszalałaś? To przecież polowanie. A zasady są takie, że powinien się o wszystkim dowiedzieć dopiero w ostatniej chwili.

- Jak ci się udaje tyle czasu to ukrywać?

- Wszystko dzięki angielskim zwyczajom. Oddzielne sypialnie, wiktoriański strach przed nagością, wyszukany rytuał udawania się na spoczynek. W kręgach arystokratycznych to łatwe - wystarczy zaprowadzić określony zwyczaj, a potem się go trzymać. Naprawdę trudne jest co innego - ciągle odwlekanie rozwiązania. To rzeczywiście wymaga mobilizacji wszystkich sił duchowych.

- Tak - zgodziłam się - masz niezwykłą siłę woli.

- Brian to mój Moby Dick - powiedziała I Huli i uśmiechnęła się. - Chociaż dick u biedaka nie bardzo jest moby...

- Ile czasu na niego polujesz? Pięć lat? Czy sześć?

- Sześć.

- I kiedy zamierzasz...

- W tych dniach - odrzekła I Huli.

Drgnęłam zaskoczona. Siostrzyczka objęła mnie ramieniem i wyszeptała:

- Jesteśmy tu właśnie po to.

- Dlaczego postanowiłaś zrobić to w Moskwie?

- Tu jest bezpieczniej. A poza tym to wyjątkowo dogodna sytuacja. Chodzi o to, że Brian nie tylko zna przepowiednię, zgodnie z którą arcywilkołak ma się pojawić właśnie w tym mieście, ale zamierza sam stać się arcywilkołakiem. Nie wiem czemu jest przekonany, że w tym celu należy odprawić w świątyni, która została zburzona i odbudowana, coś w rodzaju czarnej mszy wedle wskazań jego głupiej sekty. Jedyнным jego pomocnikiem będę ja, ponieważ mam wymagane wtajemniczenie.

- Skąd?

- Od niego.

Nagle olśnił mnie pewien domysł.

- Zaczekaj... A ty sama wierzysz w arcywilkołaka?

- W jakim sensie?

- Że przybędzie i my go ujrzymy, i tak dalej - no, tak jak mi pisałaś?

- Nie pisałam, że w to wierzę. Pisałam, że tak mówi Brian. A mnie cała ta mistyka nie interesuje. Arcywilkołak może się objawiać albo nie objawiać, nic mnie to nie obchodzi. Ale lepszej okazji do... - pstryknęła palcami, żebym zrozumiała, co ma na myśli - na pewno nie znajdę.

- Ależ z ciebie cwaniara!

I Huli uśmiechnęła się uroczo.

Dopiero teraz zrozumiałam jej plan. Podobnego uczucia doznaje zapewne początkujący szachista, kiedy zaczyna rozumieć zamysł genialnej partii. Rozwiązanie zapowiadało się dramatyczne i widowiskowe, jak tego wymagały reguły polowania: trudno wymyślić lepsze tło dla ostatniego ciosu niż wnętrze świątyni w nocy. Co więcej, od samego początku gotowa była nieco dziwna, ale przekonująca legenda z wyjaśnieniem całej historii. Właściwie nawet nie legenda, lecz najprawdziwsza prawda, w którą wierzył sam sprawca uroczystości, a jeszcze przed minutą nawet ja. Czegóż podejrzanego można by się dopatrzeć w śledztwie?

Zgrabnie i naturalnie, bez najmniejszej usterki. Mistrzowski plan. Oczywiście nie popierałam tego sportu, ale musiałam oddać siostrze sprawiedliwość. I Huli niewątpliwie była najlepszą łowczynią na świecie, jedyną sportsmenką na tym poziomie. Chrząknęłam z aprobatą.

- A kto będzie następny? Postanowiłaś już?

- Och, jest ogromny wybór. Niesamowite warianty, całkiem nieoczekiwane.

- Jakie?

I Huli przymknęła oczy i zaśpiewała kryształowym głosem:

- Don't question why she needs to be free...

- Mick Jagger? - jęknęłam. - Jak śmiesz nawet o tym myśleć?

- A co? - odparła niewzruszenie I Huli. - On jest przecież teraz „sir Mick”. *Legitimate target*. A poza tym czy te słowa naprawdę do dziś cię wzruszają? Moim zdaniem, teraz brzmią jak reklama lotniskowca.

Lord Cricket był człowiekiem w nieokreślonym wieku. I nieokreślonej płci, chciałoby się dodać dla ścisłości. Siostrzyczka I mówiła, że pochodzi z rodziny wojskowych z dziada pradziada, ale jego wygląd bynajmniej na to nie wskazywał. Kiedy go zobaczyłam, w pierwszej chwili przyszło mi do głowy wyrażenie *war hero orshero*²⁶ - i to mimo ogolonej głowy i koziej bródki. Miał interesujący wyraz twarzy: jakby w młodości jego dusza rwała się ku wolności i światłu, ale nie zdolawszy przebić pancerza powściągliwości i poczucia obowiązku, zastygła w pytający pęcherz, rozdymając twarz w grymas zdziwienia i niezadowolenia.

Ubrany był w ciemny garnitur i białą koszulę z szerokim krawatem w bladezielonym kolorze. W klapie marynarki połyskiwał mały okrągły znaczek, przypominający wizerunek Mao Zedonga, noszony w Chinach, tylko zamiast przewodniczącego Mao ze znaczka uśmiechał się Allister Crowley (sama chyba bym nie rozpoznała brytyjskiego satanisty - odpowiedziała mi to I Huli).

Aleksander i lord Cricket odnieśli się do siebie nieufnie. Na widok munduru lord Cricket uśmiechnął się. Był to niesamowity uśmiech: kryła się w nim ledwie dostrzegalna ironia, której jednak nie sposób było nie zauważyć. Cóż, ten trawnik podstrzygano przez kilka stuleci. Aleksander na widok lorda Cricketa nerwowo wciągnął nosem powietrze, przymknął oczy i sposepniał, jakby przypomniało mu się coś przykrego.

Wystraszyłam się, że się pokłócą. Szybko jednak nawiązali *Small talk* na temat Bliskiego Wschodu, szyckiego terroryzmu i biznesu naftowego. Musiałam chyba mieć pochmurną minę, bo lord Cricket zadał mi klasyczne już pytanie:

- Czemu wy, Rosjanie, tak rzadko się uśmiechacie?

- Nie musimy być aż tak dalece konkurencyjni - odparłam ponuro. - I tak jesteśmy krajem loserów.

²⁶ Poprawne politycznie „bohater albo bohaterka wojenna” (ang.).

Lord Cricket uniósł brew.

- Przesadza pani - powiedział.

Ale moja odpowiedź chyba go usatysfakcjonowała, bo powrócił do rozmowy z Aleksandrem.

Upewniwszy się, że rozmawiają na neutralne tematy, zajęłam się aparaturą wideo, wypożyczoną w miejscowym centrum biznesowym. Oczywiście, w ezoterycznej prezentacji, przygotowanej w programie „Power Point”, było mnóstwo nonsensów, ale, z drugiej strony, cała ludzka ezoteryka była taką profanacją, że nie mógł jej zaszkodzić żaden Microsoft.

Podczas podłączania aparatury kolejny raz uległam pokusie, by zaszcześcić siostrzyczce I zaczątki zasad moralnych.

- Nie wyobrażasz sobie - mówiłam cicho i szybko, starając się zawrzeć w sekundach, jakie miałam do dyspozycji, jak najwięcej informacji - ile swobody daje duszy Kantowski imperatyw kategoryczny. Mnie jakby skrzydła urosły, kiedy zrozumiałam - tak, tak, nie śmieję się - że człowiek może być dla nas nie tylko środkiem, ale też celem!

I Huli nachmurzyła się i po chwili powiedziała:

- Masz rację. Jak tylko skończę z Brianem, polecę do Argentyny na safari. Już od dawna mam ochotę postrzelać z helikoptera.

Niepoprawna!

W żaden sposób nie udawało nam się podłączyć projektora do notebooka: nie działał bluetooth, a ja nigdy wcześniej nie miałam z nim do czynienia. Zaabsorbowana problemami technicznymi, przestałam zwracać uwagę na to, co się dzieje w pokoju. Kiedy się wreszcie z nimi uporałam, lord Cricket i Aleksander z zapalem dyskutowali o wartościach.

- Pan serio uważa - pytał lord Cricket - że istnieje urządzenie społeczne lepsze niż liberalna demokracja?

- Nie potrzeba nam liberałów, piękne dzięki! Męczyliśmy się z nimi dziesięć lat. Dopiero teraz udało nam się złapać oddech.

Zrozumiałam, że najwyższy czas się wtrącić.

- Przepraszam - powiedziałam, dyskretnie grożąc Aleksandrowi pięścią - wydaje mi się, że panowie się nie rozumieją. Chodzi tu o nieporozumienie czysto lingwistyczne.

- Jak to? - zapytał lord Cricket.

- Istnieje cały szereg połączeń głoskowych, które w różnych językach oznaczają zupełnie różne rzeczy. Na przykład rosyjskie słowo *Bog* w języku angielskim staje się błotem - *bog*.

A angielskie słowo *God staje* się w języku rosyjskim rokiem kalendarzowym. Brzmienie jednakowe, a sens całkowicie różny. To samo dotyczy nazwisk, czasem wychodzą z tego bardzo śmieszne rzeczy. Tak też jest ze słowem „liberał”. To klasyczny krzyżówkowy homonim. Na przykład w Ameryce oznacza ono człowieka, który opowiada się za kontrolą zbrojeń, za małżeństwami w obrębie jednej płci, za aborcją, i woli biedaków od bogaczy. A u nas...

- A u nas - przerwał mi Aleksander - oznacza bezczelnego szczura, który ma nadzieję, że dadzą mu trochę forsy, jeśli będzie robił wielkie oczy i powtarzał, że dwudziestu pękających z przeżarcia pasożytów powinno nadal trzymać całą Rosję za jaja tylko dlatego, że w początkach tak zwanej prywatyzacji handlowali kwiatami w odpowiednim miejscu!

- Faj, jak ordynarnie - wtrąciłam.

- Ale za to prawdziwie. A tragedia rosyjskiego liberalizmu polega na tym, że szczur i tak nie dostanie forsy.

- Dlaczego? - spytałam.

- Najpierw ich dusiło. Teraz się posrają. A potem nie będzie pieniędzy.

Rzadko się zdarza, pomyślałam, żeby wszystkie trzy okresy tak beznadziejnie i ponuro łączyły się w jednej sentencji.

- Jest pan za rewizją skutków prywatyzacji? - zapytał słuchający uważnie lord Cricket.

- Czemu nie? - wtrąciła się I Huli. - Jeśli się dobrze zastanowić, historia ludzkości ostatnich dziesięciu tysięcy lat to właśnie nieustająca rewizja skutków prywatyzacji. Wątpię, czy historia skończy się tylko dlatego, że kilku ludzi ukradło dużo pieniędzy. Nawet jeśli każdy z tych ludzi wynająłby sobie Fukuyamę²⁷.

Siostrzyczka I lubiła się czasem popisać jakimś radykalnym, a nawet wręcz zbójcekim aforyzmem - pasowało to do jej drapieżnej urody i natychmiast urzekło przyszłą ofiarę. Teraz też spostrzegłam, z jakim zachwytem patrzy na nią Aleksander.

- Racja! - powiedział. - Warto by to zapisać. Szkoda, że nie mam czym. A co to jest fukuyama? Coś w rodzaju gejszy?

- Mniej więcej - odparła I Huli i obróciła się tak, żeby Aleksander widział ją z profilu. Z profilu jest absolutnie nieodparta.

A to żmija, pomyślałam, przecież obiecywała... I mimo wszystko nie mogłam powściągnąć zachwyty: siostrzyczka I zupełnie się nie orientowała w rosyjskich sprawach, ale wyczuwała instynktownie, co powiedzieć, żeby już za pierwszą próbą zarzucić mężczyźnie

²⁷ F. Fukuyama - autor książki *Koniec historii* (przyp. aut).

stryczek na szyję. Aleksander patrzył na nią z otwartymi ustami i zrozumiałam, że muszę go natychmiast ratować. Należało wygłosić jakąś jeszcze bardziej radykalną opinię.

- Tak że wszystkie te dyskusje o liberalizmie - powiedziałam, jakby zamykając temat - to po prostu kazus lingwistyczny. I chociaż bardzo szanujemy liberalną demokrację jako zasadę, te słowa będą w języku rosyjskim cuchnąć jeszcze ze sto lat!

Aleksander przeniósł zachwycone spojrzenie z I Huli na mnie. Potem znów na I Huli. Potem znów na mnie. Chłopak ma dzisiaj prawdziwe używanie, pomyślałam.

- Tak, tak - mruknął. - Co do słów, masz słuszość. Nie chodzi przecież tylko o liberalny szyld. Chodzi o te wstrętne wilkołaki, które się za nim kryją. Przyjeżdża taki zagraniczny bęcwał do Ameryki, mówi, że jest liberałem, a uciśnieni Murzyni myślą, że on jest za legalizacją marychy...

- Za pozwoleniem, czy w pańskiej profesji nie przeszkadza tak emocjonalny stosunek do przedmiotu? - zapytał lord Cricket.

Aleksander nie wyczuł ironii.

- Musimy przecież wiedzieć, komu dajemy ochronę... Tylko proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie chcę powiedzieć, że demokracja jest zła. Jest dobra. Źle, kiedy próbują ją wykorzystać łobuzy i dranie. Dlatego demokrację należy wspomagać, aby się rozwijała we właściwym kierunku. Takie jest nasze zdanie.

- To już nie demokracja - powiedział lord Cricket. - Istota demokracji polega właśnie na tym, że nikt jej nie wspomaga, że wspomaga się sama.

- Nikt nie wspomaga? Czyli należy to rozumieć tak, że my siedzimy i patrzymy, jak chędożą nas we wszystkie otwory różni beneficjenci z podwójnym podbródkiem i potrójnym obywatelstwem? Dwadzieścia lat tak patrzyliśmy. Nakreślono nam już plany bantustanów, przygotowano mówiący po rosyjsku personel, wiemy, wiemy... Czytaliśmy instrukcje. Myśli pan, że zaczęliśmy dokręcać śrubę sztuka dla sztuki? To jest pan w błędzie. Po prostu inaczej wykończyliby nas w trzy lata.

- Kto by wykończył? - zapytał ze zdziwieniem lord Cricket. - Demokracja? Liberalizm?

- Demokracja, liberalizm - to tylko hasła, ona ma rację. A rzeczywistość jest podobna, za przeproszeniem, do flory bakteryjnej w jelitach. U was, na Zachodzie, wszystkie bakterie równoważą się nawzajem, wypracowywano to przez wieki. Każda cicho produkuje siarkowodór i milczy. Wszystko chodzi jak w zegarku, całkowita równowaga i samoregulacja trawienia, a na górze - korporacyjne media, które codziennie nawilżają to świeżą śliną. Właśnie taki organizm nosi nazwę społeczeństwa otwartego - po cholere ma się zamykać, on

sam zamknie każdego dwoma lotami bojowymi. A nam wpuścili do brzucha prątek Kocha - nawiasem mówiąc, trzeba jeszcze zbadać, z jakiego laboratorium - na który nie było ani przeciwciał, ani innych bakterii, żeby go jakoś powstrzymać. I zaczęła się taka sraczka, że wyciekło trzysta miliardów baksów, zanim się w ogóle połapaliśmy, o co chodzi. I pozostały nam tylko dwa wyjścia - albo całkowicie i na zawsze wyciec przez nieustaloną dupę, albo długo zażywać antybiotyki, a potem ostrożnie i powoli zacząć wszystko od nowa. Ale teraz jest już inaczej.

- No, z antybiotykami nigdy nie mieliście problemów - powiedział lord Cricket. - Rzecz tylko w tym, kto je będzie zapisywał.

- Znajdą się tacy - odparł Aleksander. - I nie potrzebujemy jako konsultantów żadnego Banku Światowego czy innego Międzynarodowego Funduszu Walutowego, które najpierw przepisują ten prątek Kocha, a potem podstawiają nocnik. Już to przerabialiśmy. Że niby odważnie wlećcie nad przepaścią, z hukiem ruńcie na dno, a potem dobiegną do was uprzejme oklaski światowej społeczności. A może my wolimy bez tych oklasków i bez przepaści? Przecież Rosja żyła na własną rękę tysiąc lat i nieźle jej to wychodziło, wystarczy popatrzeć na mapę świata. A teraz się okazuje, że nadajemy się na przemiał, bo ktoś dobrze zahandlował kwiatami. Jeszcze zobaczymy, kto się do czego nadaje. Jeżeli ktoś tak bardzo chce nas odesłać na przemiał, może się okazać, że to my mu pomożemy się zamienić w czarny dym. A mamy czym, i jeszcze długo będziemy mieć!

I Aleksander ogłaszająco huknął pięścią w stół, aż podskoczyły notebook i projektor. Potem zapadła cisza. Było słyhać, jak między oknem a zasłoną tłucze się zabłąkana mucha.

Czasem sama nie mogłam zrozumieć, co budzi w mojej duszy większy zamęt - potworne narzędzie miłości, z którym miałam do czynienia, kiedy Aleksander zamieniał się w wilka, czy te dzikie, prawdziwie wilcze poglądy na życie, które wygłaszał, będąc człowiekiem. Być może to drugie fascynowało mnie tak samo jak... Nie dokończyłam tej myśli - była zbyt przerażająca.

Tym bardziej że nie było czym się fascynować. Mimo całego swego pozornego radykalizmu Aleksander mówił tylko o skutkach i nawet nie napomknął o przyczynie - górnym szcurze, zajęтым cmokającym samoistnieniem (oto dlaczego tak nie lubię słowa „mineta”, pomyślałam, oto psychopatologia życia codziennego). Chociaż Aleksander najprawdopodobniej wszystko rozumiał, tylko kręcił, jak przystało na wilkołaka: mieszkać w tym kraju i nie zauważać aparatu można tylko za duże pieniądze, a te miał. Zresztą może i nie kręcił... Przecież ja sama rozumiałam wszystko o *upper rat* i *chuj sosajtje*, dopiero kiedy

zaczęłam to wyjaśniać w liście siostrzyczce E. A jak działa umysł wilka, na razie jeszcze nie wiedziałam.

Pierwszy opamiętał się lord Cricket. Na jego twarzy odmalował się szczerzy smutek (oczywiście nie pomyślałam, że jest szczerzy - po prostu mimiczne mistrzostwo brytyjskiego arystokraty prosiło się właśnie o te słowa). Popatrzył na zegarek i powiedział:

- W pewnym sensie rozumiem pańskie emocje. Ale jeśli mam być szczerzy, nudzi mnie śledzenie toru, jakim podąża pański umysł. To jałowe zajęcie! Ludzie spędzają na tego rodzaju sporach całe życie. A potem umierają.

- A co? - zapytał Aleksander. - Są inne warianty?

- Są - odrzekł lord Cricket. - Niech mi pan uwierzy na słowo, są. Wśród nas żyją istoty innej natury. Pan, jak rozumiem, bardzo się nimi interesuje. I te, jak pan to określił, w s t r ę t n e w i l k o ł a k i, nie zajmują się głupstwami, o których mówi pan z takim żarem. I nie kryją się za liberalnym szyldem - tu się pan myli. W ogóle nie dostrzegają miraży, które sprawiają, że się pan czerwieni i wali pięścią w stół...

Aleksander ponuro zwiesił głowę.

- Pewnie nawet nie potrafiłby pan nam wytłumaczyć - ciągnął lord Cricket - co konkretnie budzi w panu takie rozgoryczenie. Jak powiedział Thoreau, *they march to the sound of a different drummer*²⁸... W ogóle nie mają ideologii, ale to nie znaczy, że są pokrzywdzone przez los. Wręcz przeciwnie. Ich istnienie jest o wiele bardziej realne niż ludzkie. Wszak to, o czym pan teraz mówił - to po prostu sen. Niech pan znajdzie i przeczyta gazetę sprzed pięćdziesięciu lat. Mikre głupie litery, nędzne ambicje trupów niewiedzących, że są trupami...

Wszystko to, o co się tak troszczycie dziś, nie różni się niczym od tego, co bulgotało w umysłach wtedy - co najwyżej zmienił się szyk słów w nagłówkach. Niechże się pan opamięta!

Aleksander jeszcze bardziej się skulił. Jak się okazało, lord Cricket umiał trafić w słabe miejsce.

- Naprawdę nie interesuje pana, kim są te istoty innej natury? Nie chce pan wiedzieć, czym się różnią od ludzi?

Aleksander ostatecznie się zmieszał.

- Interesuje - burknął.

²⁸ Maszerują przy wtórze innego bębna (ang.).

- Więc niech pan zapomni o tych bredniach i przejdźmy do rzeczy. Dziś opowiem panu o tym, co się kryje za zdolnością niektórych ludzi do przeobrażania się w zwierzęta - zdolnością realną, a nie metaforyczną. Kotku, czy wszystko działa? To zgaś światło, proszę...

- To, co teraz państwo usłyszą - powiedział lord Cricket - zwykle się określać mianem wiedzy ezoterycznej. W związku z tym proszę o zachowanie tajemnicy. Informacja, którą zamierzam się z wami podzielić, pochodzi od loży Różowy Zachód, ściślej - od Allistera Crowleya, Davida Bowiego, Pet Shop Boys i ich tajnej linii przesyłowej. Wymóg tajności, o którym mówię, ustanowiono nie tyle dla loży, ile dla waszego własnego bezpieczeństwa. Czy akceptują państwo ten warunek?

Spojrzeliliśmy na siebie z Aleksandrem.

- Tak - przyrzekłam.

- Tak - po chwili wahania powtórzył Aleksander.

Lord Cricket dotknął klawisza notebooka. Na ścianie ukazał się diagram - siedzący w pozycji lotosu człowiek, po którego kręgosłupie biegła pionowa linia. Na linii umieszczono zapisane w sanskrycie symbole, przypominające kolorowe trybiki o różnej liczbie ząbków.

- Z pewnością wiecie państwo, że człowiek nie jest tylko ciałem fizycznym, wyposażonym w system nerwowy, skoncentrowanym na odbiorze świata materialnego. Na płaszczyźnie subtelniejszej człowiek przedstawia sobą strukturę psychoenergetyczną, która składa się z trzech kanałów energetycznych i siedmiu ośrodków psychicznych, nazywanych czakrami.

Lord Cricket przesunął palcem po czymś w rodzaju łańcucha od roweru, łączącego trybiki na kręgosłupie.

- Ta delikatna struktura nie tylko reguluje życie duchowe człowieka, ale również odpowiada za to, jaki wydaje mu się otaczający świat. Każda czakra jest związana z określoną grupą przejawów psychicznych, których nie będę teraz omawiał. Dla nas istotne jest to, że zgodnie z tradycyjnym poglądem okultystycznym postęp duchowy polega na wznoszeniu się centralnym kanałem energetycznym siły zwanej „kundalini” lub „siłą smoczą”.

Na ekranie ukazała się część diagramu z odwróconym trójkątem na samym dole kręgosłupa.

- Kundalini w stanie zwiniętym jest uspiona w tej trójkątnej kostce, nazywanej sacrum. Sacrum mieści się u nasady kręgosłupa - to jego pierwsza kość. Albo ostatnia, zależy z której strony liczyć. Tradycyjny okultyzm zakłada, że właśnie stopniowe wypełnianie czakr energią

kundalini stanowi istotę drogi od obojętnego na problemy duchowe zjadacza chleba do świętego, który osiągnął zjednoczenie z bóstwem...

Lord Cricket wytrzymał dłuższą pauzę.

- W większości szkół okultystycznych dominowało założenie, że kundalini może przemieszczać się centralnym kanałem tylko w górę. W dostępnych źródłach nigdzie nie znajdziecie wzmianki o tym, że smocza siła może się poruszać w dół. Niemniej taki manewr energetyczny jest możliwy do zrealizowania.

Następna tablica była podobna do pierwszej, tylko linia pionowa schodziła poniżej skrzyżowanych nóg siedzącego i pojawiły się na niej trzy nowe trybiki w kolorze czarnym. Nie było przy nich symboli sanskryckich, lecz cyfry. Najbliższy człowieka trybik oznaczony był „1”, następny „2”, najniższy „3”.

- Nie będę mówił o tym, w jaki sposób można zmusić kundalini do ruchu w dół. Tu wymagany jest stopień wtajemniczenia, którego nie ma nikt z obecnych...

- Ach, Brian - przerwała I Huli - no coś ty. Powiedz im.

- Kotku - odrzekł - lord Cricket - wszystko, co można powiedzieć, zostanie powiedziane. A więc dzięki pewnemu zabiegowi kundalini kieruje się w dół po ujemnej projekcji kanału centralnego. Może się przy tym zatrzymać w trzech punktach, stanowiących lustrzane odbicie trzech dolnych czakr - muladhary, nabi i manipury.

Przesunął palcem po trzech czarnych trybikach. Zauważyłam, że numer jeden miał cztery płatki, dzięki czemu przypominał nóż maszynki do mięsa. Numer dwa miał sześć płatków i przypominał broń miotającą. A numer trzy przedstawiał dwie nałożone na siebie gwiazdy z lekko zagiętymi promieniami - tak że razem liczył dziesięć płatków.

- Jak już mówiłem, ruch kundalini w górę kanałem centralnym prowadzi do zjednoczenia z bóstwem, bogopodobieństwa. Logiczne więc będzie założyć, że skutek przemieszczenia się smoczej siły w dół powinien być wprost przeciwny. I tu chciałbym zwrócić uwagę państwa na pewną niezwykle interesującą okoliczność, o której przypomniła mi nasza czarująca kuzynka, mówiąc o znaczeniu słów w różnych językach...

Lord Cricket skłonił mi się z uśmiechem. Uśmiechnęłam się w odpowiedzi i szepnęłam do Aleksandra:

- Ucz się dobrych manier, głupku.

- Jak zauważyła kuzynka - ciągnął lord Cricket - *Bog* to po angielsku *God*. Jeśli przeczytamy to wspak, otrzymamy słowo *dog*, pies. Rozumieją państwo zapewne, że taki zbieg znaczeń nie jest przypadkowy. Można tu dyskutować, co jest wcześniejsze - język czy rzeczywistość, którą wyraża. Ale jest to to samo odwieczne pytanie o kurę i jajko.

Na ekranie pojawiły się trzy zwierzęce sylwetki - wilk, pies i lis.

- Słowo „wilkołak”²⁹ oznacza człowieka, który może przyjmować postać zwierzęcia. Po angielsku „wilkołak” to *werewolf*. Tu zwierzę, w które zamienia się taki człowiek, jest już określone. Jednakże w folklorze chińskim słowo „wilkołak” kojarzy się raczej z lisami. Nie ma tu jednak zasadniczej sprzeczności - lis, tak samo jak wilk, należy do rodziny psowatych. To tenże „Bóg” wspan, ta sama energetyczna czarna msza, ten sam ruch kundalini w dół.

- Energetyczna czarna msza - powtórzyła cicho I Huli i z szacunkiem popatrzyła na męża.

- Nasuwa się pytanie: w jaki sposób kundalini przemieszcza się, wychodząc poza obszar ciała? Nie może przecież poruszać się w pustce. I tu czeka nas rzecz najciekawsza. Znow możemy długo dyskutować o tym, co jest przyczyną, a co skutkiem, ale wyjście kundalini na zewnątrz zbiega się z mutacją fizyczną. Następuje coś niewiarygodnego. Pamiętają państwo filmy o erupcji wulkanów? Czasem można na nich zobaczyć, jak spływająca z boku lawa wypala sobie koryto, którego przed minutą jeszcze nie było. Dokładnie tak samo kundalini stwarza dla siebie fizyczny kanał. Kiedy tylko zejdzie poniżej muladhary - najniższej ludzkiej czakry, położonej u nasady kręgosłupa - wilkołakowi zaczyna wyrastać ogon!

Na ekranie ukazały się dwa ogony - wilczy i lisi. Lisi był narysowany ze śmiesznymi błędami. Na następnym slajdzie znow pojawił się człowiek w pozycji lotosu, ale teraz już z kosmatym ogonem, na który nakładały się trzy czarne trybiki.

- Właśnie po ogonie energia kundalini przemieszcza się do trzech dolnych infraczakr. Te ośrodki nie mają nazw sanskryckich. Umownie nazywa się je „pozycja lisa”, „pozycja wilka” i „przepaść”. Infraczakra najbliższa ciału to pozycja lisa.

Wskazał czarne ostrze od maszyny do mięsa, przy którym widniała cyfra „1”.

- Uważa się, że jest to punkt równowagi stałej, gdzie energia może się znajdować ciągle, dzięki czemu wilkołak potrafi pozostawać w postaci lisa nieograniczenie długo. Wszelako nie należy zakładać, że tu następuje przeobrażenie w lisa-zwierzę. Smocza siła wychodzi jedynie odrobinę poza granice ciała, toteż fizycznie wilkołak różni się od człowieka bardzo nieznacznie. Jest to po prostu niepozorna istota z ogonem i nieco zmienionym kształtem uszu...

O mało nie parsknęłam.

- Poza tym następuje transformacja kształtu źrenic i uwypuklają się lekko łuki brwiowe, ale spotkawszy takie stworzenie na ulicy, pewnie się nawet nie zdziwicie...

²⁹ Po rosyjsku *oborotien* - „ten, który się przeobraża” (przyp. tłum.).

- Czysta fantastyka - powiedziała I Huli.

Lord Cricket wskazał na kółko zębate pośrodku ogona.

- Przemieszczenie się kundalini do drugiej infraczakry daje efekt o wiele bardziej widowiskowy. Tu mamy do czynienia z klasyką, z tak zwanym werewolfem. Wilkołak nie zamienia się w zwykłego wilka. To, jeśli można się tak wyrazić, wilk wyolbrzymiony. Przewyższa wzrostem człowieka, jest niesamowicie silny, ma ogromną zębatą paszczę, ale tak jak człowiek chodzi na tylnych łapach - chociaż jeśli zechce, może biegać na wszystkich czterech. Jego wyobrażenie folklorystyczne jest dość wierne, ponieważ była to najbardziej rozpowszechniona forma wilkołaka w Europie. Chcę podkreślić jeden ciekawy szczegół. Uważa się, że transformacja w wilkołaka wiąże się z określoną fazą księżyca albo z nastaniem zmierzchu. A kończy się, według wierzeń ludowych, o świcie, ponieważ siła nieczysta nie znosi promieni słonecznych. W rzeczywistości ciemność i światło nie mają z tym nic wspólnego. Trafna jest natomiast inna obserwacja: przemiana w werewolfa jest krótkotrwała, albowiem infraczakra numer dwa jest punktem równowagi niestałej, w którym kundalini nie może się znajdować przez dłuższy czas...

- A co to jest - zapytała I Huli - równowaga stała i równowaga niestała?

Lord Cricket pochylił się nad swoim notebookiem.

- Chwileczkę - mruknął. - Mam tu gdzieś slajd na ten temat...

Na ekranie ukazało się zdjęcie Stonehenge, potem utrzymana w zielonych odcieniach reklama przyczepy kempingowej, w której okno wmontowano po amatorsku wazon z narcyzami, a potem czarna sinusoida.

- No - powiedział lord Cricket. - Przepraszam za zamieszanie.

We wklęsnięciu sinusoidy spoczywała niebieska kulka. Na jej wypukłości - czerwona. Od kulek odchodziły krótkie strzałki w tych samych kolorach, wyobrażające ruch.

- To bardzo proste - zaczął wyjaśniać lord Cricket. - Obie kulki znajdują się w stanie równowagi. Ale jeśli przesuniemy niebieską kulkę, wróci ona do punktu, w którym znajdowała się przedtem. To jest równowaga stała. Jeżeli zaś przesuniemy czerwoną kulkę, nie powróci na miejsce i stoczy się w dół. To jest równowaga niestała...

- Mam pytanie - odezwał się Aleksander. - Mogę?

- Proszę bardzo.

- Dlaczego pierwsza kulka jest niebieska, a druga czerwona?

- Słucham?

- I strzałki takie same. Dlaczego właśnie te dwa kolory?

- A jakież to ma znaczenie?

- Żadnego - odparł Aleksander. - Po prostu byłem ciekaw. Pan pewnie nie jest na bieżąco, ale w języku rosyjskim „błękitny” oznacza homoseksualistę. Od dawna nurtuje mnie pytanie, dlaczego na wszystkich mapach sztabowych strzałki są zawsze niebieskie i czerwone. Jak gdyby główną treścią historii była walka pederastów z komunistami. Myślałem, że może pan to wie.

- Nie wiem, dlaczego właśnie te dwa kolory - odrzekł uprzejmie lord Cricket. - Czy mogę kontynuować?

Aleksander kiwnął głową. Na ekranie znów ukazał się ogon z czarnymi infraczakrami.

- Jak już powiedziałem, pozycja dwa, w której odbywa się przemiana w wilka, jest niestała. Nakładając na ten rysunek sinusoidę, zobaczymy, że pozycje sąsiednie - jeden i trzy - są stałe. Jeden to pozycja lisa, o której już mówiliśmy. Zapewne nasuwa się państwu pytanie o pozycję trzy?

- Tak - odezwała się I Huli. - Co to jest, Brianie?

- Mówiłem już, że infraczakry wilkołaka są symetryczne do trzech dolnych czakr człowieka. Ostatnia infraczakra, znajdująca się na samym końcu ogona, jest lustrzanym odbiciem manipury, położonej między pępkiem a sercem. W tym miejscu kanał centralny jest przerwany. Kundalini nie może podążać do górnych czakr, jeżeli strefa wokół manipury, zwana „oceanem iluzji”, nie jest wypełniona energiami prawdziwego duchowego przewodnika. To samo zgodnie z zasadą Hermesa Trismegistosa dotyczy infraczakr wilkołaka. Aby opuścić kundalini do najniższego poziomu, konieczna jest inwokacja ciemności, duchowe oddziaływanie starszej demonicznej osobowości, która wypełni swymi wibracjami tak zwaną pustynię prawdy - rozerwanie ujemnego kanału centralnego w środku ogona...

- A co to za starsza demoniczna osobowość? - nie wytrzymałam.

Lord Cricket uśmiechnął się.

- To zależy od pani osobistych powiązań - odrzekł. - Każdy ma tu własne możliwości... A więc doszliśmy do końca tego, co wolno mi państwu powiedzieć. Mogę dodać tylko jedno: pozycja trzy, tak zwana przepaść, to miejsce, w którym następuje transformacja w arcywilkołaka.

- Czy komuś udało się już dokonać takiego manewru? - spytałam.

- Według niektórych danych, w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym udało się to państwa rodakowi - moskiewskiemu antropozofowi Szarikowowi. Był uczniem doktora Steinera, przyjacielem Maksymiliana Wołoszyna i Andrieja Biełego. O ile mi wiadomo, Szarikowa wzięto do Czeka, a cała historia została utajniona. Przy czym do tajności

przywiązywano ogromną wagę: dość powiedzieć, że znanemu pisarzowi Michaiłowi Bułhakowowi skonfiskowano rękopis *Psięgo serca* - książki opartej na pogłoskach dotyczących tego wydarzenia. Od tej pory nikt już Szarikowa nie widział.

- A cóż to jest takiego ten arcywilkołak? - zapytał Aleksander.

- Nie wiem - odrzekł lord Cricket. - Na razie jeszcze nie wiem. Ale nie wyobraża pan sobie, jak bardzo chcę to zbadać...

- Czemu jesteś dziś od rana w wieczorowej sukni? - zapytał Aleksander. - I na obcasach?

- A co, nieładnie mi?

- W czarnym jest ci bardzo ładnie - powiedział i ostrożnie potarł policzkiem o mój policzek. - A zresztą w białym też.

Zamiast się całować, niekiedy ocieraliśmy się o siebie policzkami. Najpierw ten jego zwyczaj mnie śmieszył - było w nim coś dziecinnego, szczenięcego. Potem Aleksander wyznał, że wacha moją skórę, która szczególnie podniecająco pachnie za uchem. Od tej pory za każdym razem przy takim pocieraniu czułam lekkie niezadowolenie - zdawało mi się, że jestem wykorzystywana.

- Idziemy do teatru? - zapytał.

- To coś ciekawszego. Jedziemy na polowanie.

- Na polowanie? Na co będziemy polować?

- Polować będę ja. A ty będziesz patrzył.

- Ale na co chcesz polować?

- Na kury - oznajmiłam z dumą.

- Zgłodniałaś?

- Bardzo śmieszne.

- No to po co chcesz polować na kury?

- Po prostu chcę, żebyś mnie trochę lepiej poznał. Zbieraj się - jedziemy za miasto.

- Teraz zaraz?

- Tak - powiedziałam - ale najpierw przeczytaj to. Otrzymałaś ofertę biznesową. Wręczyłam mu wydruk listu, jaki dostałam rano od I Huli pocztą elektroniczną.

Cześć, rudowłosa!

Pursuant do naszego wczorajszego (jakże milego!) spotkania. Okazuje się, że kiedy zostawiłyśmy naszych chłopców samych i zaczęłyśmy wspominać dawne czasy, oni stoczyli

dyskusję o sztuce. Brian pokazał Aleksandrowi zdjęcia prac, jakie zamierza wystawić wraz z galerią Saatchi. Po pierwsze, jest to instalacja Wyzwolenie Babilonu - makieta bramy Isztar, na której tle stoją symulacje szkockich dudziarzy desantowych z zadartymi spódniczkami. Owe gipsowe figury narzucają widzowi swoje pobudzenie seksualne, atakują jego percepcję i czynią zeń coś w rodzaju eksponatu wystawionego na widok publiczny. W ten sposób widz uświadamia sobie swoją fizyczną i emocjonalną obecność w przestrzeni, skrzywionej grawitacją owego obiektu artystycznego. Wyzwolenie Babilonu Aleksandrowi się spodobało, czego nie można powiedzieć o całej reszcie.

Czy widziałas może hit weneckiego Biennale - stóg siana, w którym przez cztery lata ukrywał się przed dzielnicowym pierwszy białoruski postmodernista Mikołaj Klimaksowicz? Aleksander nazwał tę pracę plagiatem i opowiedział o analogicznym stogu Włodzimierza Uljanowa (Lenin), znajdującego się na stałej ekspozycji we wsi Razliw. Brian zauważył, że powtórzenie nie zawsze jest plagiatem, że to istota postmodernizmu, a szerzej - podstawa współczesnego kulturowego Gestaltu, przejawiająca się we wszystkim - od klonowania owiec do remake'ów starych filmów. Czymże bowiem jeszcze można się zajmować po końcu historii? Właśnie cytatość, podkreślił Brian, zmienia Klimaksowicza z plagiatora w postmodernistę. Aleksander zaoponował, mówiąc, że przed rosyjskim gliną nie uratowałyby tego Klimaksowicza żadna cytatość, i jeśli nawet na Białorusi historia się skończyła, to w Rosji nie przewiduje się żadnych zakłóceń.

Potem Brian pokazał Aleksandrowi prace Asuro Keshamiego, którą traktuje ze szczególnym pietyzmem, między innymi z uwagi na poważne inwestycje, jakich wymaga jej wykonanie i montaż. Praca Keshamiego, zdradzająca wpływy znanej Ci Camille Paglii, przedstawia olbrzymią rurę z elastycznego czerwonego plastiku z białymi kłami wewnątrz. Planuje się ustawienie jej pod gołym niebem na jednym z londyńskich stadionów.

Jednym z najpoważniejszych problemów w świecie sztuki współczesnej jest wymyślenie oryginalnej i świeżej werbalnej interpretacji dzieła. Czasem potrzeba dosłownie kilku zdań, które potem można przedrukowywać w katalogach i przeglądach. Od tej pozornej błahostki zależą niekiedy losy dzieła. I tu bardzo istotna jest możliwość zobaczenia obiektu z nieoczekiwanej, szokującej strony, co świetnie się udaje Twojemu przyjacielowi z jego barbarzyńsko świeżym spojrzeniem na świat. Dlatego Brian chciałby otrzymać zgodę na wykorzystanie przedstawionych wczoraj przez Aleksandra obserwacji przy tworzeniu konceptualnej otoczki instalacji. Tekst przewodni, który tu załączam, to jakby stop myśli Briana i Aleksandra:

„W pracy Asuro Keshamiego VD-42CC łączą się różne języki - inżynierski, techniczny, naukowy. Na poziomie bazowym chodzi o pokonywanie: przestrzeni fizycznej, przestrzeni tabu i przestrzeni naszych podświadomych lęków. Języki inżynierski i techniczny mają do czynienia z materiałem, z którego wykonano obiekt, ale artysta przemawia do widza językiem emocji. Kiedy widz dowiaduje się, że jacyś ludzie dali temu małemu pedziowi piętnaście milionów funtów, żeby rozciągnąć pizdę z imitacji skóry nad opuszczonym boiskiem piłki nożnej, przypomina sobie, czym on sam zajmuje się w życiu i ile mu za to płacą, potem patrzy na fotografię tego małego pedzia w rogowych okularach i wesołej kurteczce i popada w rozterkę i zdumienie, przechodzące w uczucie, które niemiecki filozof Martin Heidegger nazwał «rzuceniem», Geworfenheit. Warto, by widz skoncentrował się na tych doznaniach - właśnie one są efektem artystycznym, jaki próbuje osiągnąć autor instalacji”.

Brian proponuje Aleksandrowi honorarium w wysokości tysiąca funtów. Oczywiście nie jest to wielka suma, ale wariant tekstu przewodniego nie jest ostateczny i nie ma całkowitej pewności, że zostanie wykorzystany. Pogadaj z Aleksandrem, OK? Możecie wysłać odpowiedź dla Briana na ten sam adres, trochę się poprzytykaliśmy. Brian jest w złym humorze - w nocy nie wpuszczono go do lokalu o nazwie „Night Flight”. Najpierw zatrzymał go facet od face control (nie spodobały mu się sportowe buty), potem z tej spelunki wychynął jakiś holenderski sutener i kazał się Brianowi ubrać more stylish. Brian dzisiaj przez cały dzień powtarza: „Stylish?” Ten, który wszedł przede mną? W zielonej marynarce i niebieskiej koszuli?” I wyładowuje swój zły humor na mnie. Ale to nic :-)))

Najważniejsze: nie zapomnijcie o przepustce do świątyni Chrystusa Zbawiciela!

Kocham i pamiętam,

Twoja I

Aleksander uważnie przeczytał wydruk. Potem złożył papier na pół, jeszcze raz na pół, a następnie go podarł.

- Tysiąc funtów - powiedział. - Ha. On sobie widać niezupełnie zdaje sprawę, z kim ma do czynienia. Wiesz co, ty do niego napisz. W końcu lepiej znasz angielski.

- Dzięki - odrzekłam skromnie. - A co napisać? Że za mało zaproponował?

Aleksander zmierzył mnie wzrokiem.

- Nawtykaj mu jobów, ile wlezie. Ale w sposób arystokratyczny i wyszukany.

- To niemożliwe - powiedziałam. - Z samej definicji.

- Dlaczego?

- W kręgach arystokratycznych nikt nikomu nie wtyka jobów. To nie jest przyjęte.

- To nawtykaj mu tego, co jest przyjęte - skorygował swoje polecenie Aleksander. - Ale tak, żeby mu dupa trzasnęła. No, dalej, uruchom ten swój sarkazm, którym mi dopiekleś do głębi duszy. Niech chociaż raz przyniesie pożytek.

Coś w jego tonie powstrzymało mnie od pytania, jaki konkretnie pożytek ma na myśli. Był rozczulający w swojej dziecinnej urazie, i jakaś jej część udzieliła się także mnie! A żeby być do końca uczciwą, to czyż lisicę trzeba prosić dwa razy, żeby nawtykała jobów angielskiemu arystokracie?

Usiadłam przy komputerze i zamyśliłam się. Moja internacjonalno-feministyczna częśćka domagała się zbudowania odpowiedzi na kanwie frazy *suck my dick*, jakby to zrobiły najbardziej trendy Amerykanki. Racjonalna część mojego „ja” podpowiadała jednak, że w liście podpisanym przez Aleksandra będzie to niewystarczające. Napisałam tak:

Dear Lord Cricket,

being extremely busy, I'm not sure that you can currently suck my dick. However, please feel encouraged to fantasise about such a development while sucking on a cucumber, a carrot, an eggplant or any other elongated roundish object you might find appropriate for that matter.

With kind regards,

Alexandre Fenrir-Gray

Umyślnie napisałam nie „Alexander”, tylko „Alexandre”, z francuska. Nazwisko „Fenrir-Gray” wymyśliłam w ostatniej chwili, w przypływie natchnienia. Brzmiało bez wątpienia arystokratycznie. Co prawda, kojarzyło się od razu z herbatą Earl Gray, przez co podpis zalatywał olejkiem bergamotowym, ale nazwisko i tak było jednorazowe.

- No? - zapytał Aleksander.

- Brzmi to mniej więcej tak - odrzekłam. - „Drogi lordzie Cricket, jestem w tej chwili bardzo zajęty i wątpię, czy może mi Pan zrobić wie Pan co. Ale proszę się nie krępować i fantazjować do woli na ten temat, ssąc ogórek, marchewkę, bakłażan albo inny podłużny i obły przedmiot, jaki uzna Pan za odpowiedni do tego celu. Z poważaniem, Sasza Szary”.

- A nie można bez „z poważaniem”?

- Wtedy nie będzie arystokratycznie.

- No dobra - westchnął. - Wyślij... A potem chodź tutaj, Szary Wilk ma sprawę do Czerwonego Kapturka.

- Jaką znowu sprawę?
- Zaraz przeprowadzimy... kolokwium z psychoanalizy rosyjskich baśni ludowych. Będziemy wrzucać Czerwonemu Kapturkowi ciastka do koszyczka. Niestety, ciastko mamy tylko jedno. Dlatego będziemy je wrzucać do koszyczka wiele razy.
- Fuj, ależ to trywialne...
- Podejdiesz sama czy mam po ciebie pójść?
- Podejdę sama. Tylko umówmy się: szybko! Musimy już jechać. I nie przegryzaj mi dziś niczego, bo już mam dość kupowania ciągle nowych majtek, dobrze? Przecież nie wszystkie się dla mnie nadają.
- Uhm.
- No i, póki możesz mówić...
- Co?
- Powiedz, dlaczego za każdym razem wprowadzasz do rozmowy tę apologię zadowolonego z siebie, wojującego nieokrzesania?
- Że co?
- No, jak to o Czerwonym Kapturku i psychoanalizie. Niekiedy mam wrażenie, że chcesz przelecieć w mojej osobie całą historię i kulturę.
- Co do kultury, to trochę tak - odparł. - Ale co tu ma do rzeczy historia? Co, jesteś Sfinksem? A właśnie, ile masz lat? Dałbym ci szesnaście. A ile masz tak naprawdę?
- Poczułam, jak moje policzki robią się gorące.
- Ja?
- Tak.
- Wiesz - powiedziałam, odzyskując przytomność umysłu - czytałam kiedyś poezje pewnego prokuratora, wydane w małym nakładzie przez ministerstwo sprawiedliwości. Był tam wiersz o młodym obrońcy ojczyzny, zaczynający się od słów:
„Nie dałbym mu nawet piętnastu lat...”
- Jasne - skomentował Aleksander. - Syn pułku. A co mają z tym wspólnego wiersze?
- Mają. Kiedy człowiek w takim mundurze jak twój mówi „dałbym ci szesnaście”, od razu zaczynam się zastanawiać, z jakiego paragrafu.
- Jeżeli ten mundur cię drażni - oświadczył Aleksander - zdejmij swoją głupią suknię i zaraz zamiast pagonów pojawi się miękkie szare futerko. O tak, dobrze. Mądra dziewczynka...
- Słuchaj, wyrobisz im przepustkę do świątyni Chrystusa Zbawiciela?
- U-u-u!

- Nie? I bardzo dobrze. Zresztą właśnie napisaliśmy odpowiedź temu całemu Brianowi. Chociaż... Chcesz mu dosunąć tak, żeby wyszło naprawdę arystokratycznie?

- R-r-r!

- Jeżeli po tym liście, gdzie wyłożyłeś kawę na ławę, jednak załatwisz mu przepustkę, to będzie naprawdę z klasą. Co ty nato?

- R-r-r!

- Znaczy załatwisz?

- R-r-r!

- Dobrze. Przypomnę ci... Ach, ty głupku! Mówiłam, żebyś nie przegryzał! Kup sobie kość w sklepie dla zwierząt i gryź na zdrowie, jak mnie nie będzie. Co to, zęby ci się wyrzynają? Wilczysko jedno... I pośpiesz się, za godzinę powinniśmy być w lesie.

Samochód zatrzymał się na skraju lasu, niedaleko wielkopłytkowego pięciopiętrowego bloku, który przyjąłem za punkt orientacyjny.

- Dokąd teraz? - zapytał Aleksander.

Demonstrował dobroduszną wyrozumiałość dorosłego, wciągane przez dzieci w bezmyślną zabawę. Irytowało mnie to. Poczekaj, pomyślałam, zobaczymy, co powiesz za godzinę...

Wzięłam torbę z szampanem i kieliszkami i wysiadłam z auta. Aleksander powiedział coś cicho do kierowcy i też wysiadł. Bez pośpiechu ruszyłam w stronę lasu.

W lesie było już lato. Nastaly właśnie te cudowne majowe dni, kiedy zieleń i kwiaty wydają się nieśmiertelne i na zawsze zwycięskie. Wiedziałam jednak, że już po dwóch, trzech tygodniach w moskiewskim powietrzu rozleje się zapowiedź jesieni.

Zamiast zachwycać się przyrodą, patrzyłam pod nogi - szpilki wbijały mi się w ziemię i musiałam uważać, gdzie stąpać. Doszliśmy do ławki stojącej między dwiema brzożami. To był następny punkt orientacyjny. Stąd do domu gajowego było już tylko kilka kroków.

- Usiądźmy na chwilę - zaproponowałam.

Usiedliśmy na ławce. Podałam Aleksandrowi butelkę.

Otworzył ją zrećźnie.

- Przyjemnie tu - powiedział, nalewając szampana do kieliszków. - Cicho. Jeszcze wiosna, a już wszystko zielone. Kwiaty... A na północy wszędzie śnieg. I lód.

- Czemu ci się nagle przypomniała północ?

- A tak sobie. Za co pijemy?

- Za pomyślnie łowy.

Trąciliśmy się kieliszkami. Dopiewszy szampana, stłukłam kieliszek o krawędź ławki i ostrym szkłem przecięłam prawe ramię sukni. Aleksander obserwował to z ponurą dezaprobatą.

- Będiesz udawać amazonkę?

Nie odpowiedziałam.

- Słuchaj, dlaczego jesteś cała na czarno? I w czarnych okularach? Stylizacja na Matriksa?

Znów nie odpowiedziałam.

- Nie obrażaj się. W czarnym jest ci bardzo do twarzy, ale...

- Dalej pójde sama - przerwałam mu.

- A co ja mam robić?

- Kiedy zacznę biec, możesz pobiec za mną. Tylko gdzieś bokiem. I błagam cię, żebyś się nie wtrącał. Nawet jeżeli coś ci się nie spodoba. Po prostu trzymaj się z boku i patrz.

- Dobra.

- I zachowuj dystans. Bo inaczej wystraszysz ludzi. - Jakich ludzi?

- Zobaczysz.

- Nie podoba mi się to wszystko - powiedział Aleksander. - Boję się o ciebie. Może lepiej tego nie rób?

Wstałam energicznie.

- No dobrze. Zaczynamy.

Mówiłam już, że celem polowania na kury jest suprafizyczna transformacja, i bardzo istotną rolę gra tu właściwa kolejność czynności przygotowawczych. Żeby transformacja mogła się rozpocząć, musimy postawić samych siebie w wielce niezręcznej sytuacji - takiej, że zażenowanie zapiera dech i chciałoby się ze wstydu zapaść pod ziemię. Właśnie do tego potrzebna jest wieczorowa suknia i pantofle na obcasach. Doprowadzamy sytuację do takiego absurdu, że pozostaje nam tylko jedno wyjście - zamienić się w zwierzę. Kura zaś działa jako biologiczny katalizator reakcji - bez niej transformacja staje się niemożliwa. Jest niezwykle ważne, by pozostała przy życiu do samego końca - jeżeli zdycha, natychmiast odzyskujemy postać ludzką. Dlatego należy wybierać najzdrowszego i najsilniejszego ptaka.

Podeszłam do kurnika i popatrzyłam na dom gajowego. W oknie odbijało się słońce i nie widziałam, czy w środku za szybą ktoś jest. Ale ludzie w domu byli na pewno. Z otwartych drzwi dobiegała muzyka - surowe męskie głosy (chyba mnichów) śpiewały: „Dobrej nocy... Bożego pokoju... boskiej ręki nad ziemią moją...”

Należało się śpieszyć.

Kurnik był zbitą z desek budką o skośnym dachu z obciągniętej folią dykty. Podniosłam skobel, otworzyłam szeroko drzwi, które zaszurały o ziemię, i od razu zobaczyłam w cuchnącym mroku swoją zdobycz. Była to brązowa kura z białym bokiem - kiedy pozostałe rozpierzchły się na wszystkie strony, ona jedna nie ruszyła się z miejsca. Jakby na mnie czekała, pomyślałam.

- Ko-ko-ko - przemówiłam ochryplym, nienaturalnym głosem, schyliłam się szybko i złapałam ją.

Kura okazała się spokojna - raz tylko się szarpnęła, żeby poprawić podwinięte skrzydło, i znieruchomiała. Jak zawsze w takich chwilach miałam wrażenie, że świetnie rozumie naturę tego, co się dzieje, i swoją rolę w tym wszystkim. Przyciskając ją do piersi, cofnęłam się od kurnika. Obcas ugrzązł mi w ziemi i pantofel zsunął się z nogi. Zrzuciłam także drugi but.

- Hej, córeńko - odezwał się jakiś głos.

Podniosłam oczy. Na ganku stał chłop około pięćdziesiątki, w wyszmelcowanym roboczym kombinezonie, z gęstymi obwisłymi wąsami.

- Co jest? - zapytał. - Odbiło ci?

W ślad za chłopem z drzwi wyłonił się rumiany młodzian lat trzydziestu, też z wąsami - pewnie syn. Ubrany był w granatowy dres z dużym napisem ЦСКА. Zauważyłam, że obaj są zbyt mocno zbudowani, żeby szybko biegać.

Nadchodził moment prawdy. Patrząc na nich z zagadkowym uśmiechem, rozpięłam suwak na prawym boku. Teraz suknia trzymała się tylko na jednym lewym ramiączku i łatwo się z niej uwolniłam, pozwalając, by opadła na ziemię. Pozostałam tylko w krótkiej nocnej koszulce koloru pomarańczowego, która nie krępowała mi ruchów. Wietrzyk przyjemnie owiewał moje półnagie ciało.

Na ganek wyszedł trzeci widz - ośmioletni chłopiec z plastikowym mieczem w rękach. Wpatrzył się we mnie bez żadnego zdziwienia - pewnie byłam dla niego czymś w rodzaju ożywionego obrazka z telewizora, w którym widział nie takie rzeczy.

- Nie wstyd ci? - zapytał obwisłowąsy gospodarz domostwa.

I tu trafił w samo sedno. W tym momencie wstyd po brzegi wypełnił moją duszę. To już nawet nie był wstyd, ale obrzydzenie do samej siebie. Zdawało mi się, że znajduję się pod haniebnym pręgierzem w centrum kosmosu i że patrzą na mnie nie oburzeni właściciele kur - całe niebieskie hierarchie, miriady duchowych istot spoglądają na mnie z gniewną pogardą ze swych niedostępnych światów. Zaczęłam się powoli cofać od kurnika.

Ojciec i syn wymienili spojrzenia.

- Puść kurę - powiedział syn i zrobił krok z ganku.

Chłopczyk z mieczem otworzył buzię w oczekiwaniu zabawy. Już nie tylko mój umysł, całe moje ciało do ostatniej komórki czuło, że przed nieznośną hańbą pozostaje tylko jedna ucieczka - droga prowadząca do lasu. I wtedy odwróciłam się i pobiegłam.

Dalej wszystko rozwijało się wedle klasycznego schematu. Pierwsze kroki były bolesne z powodu gałązek i kamyków, które wbijały mi się w bose stopy. Ale po kilku sekundach zaczęła się transformacja. Najpierw poczułam, jak drętwią mi i zwierają się palce rąk. Coraz trudniej było mi utrzymać kurę - teraz musiałam z całej siły przyciskać ją do piersi, a przy tym uważać, żeby jej niechący nie udusić. Potem przestałam odczuwać ból w stopach. A parę sekund później mknęłam na trzech łapach i nie doznawałam żadnego dyskomfortu.

Teraz nie sposób już było nie dostrzec zachodzących we mnie przemian - i zostały dostrzeżone. Z tyłu rozległy się okrzyki: „Bierz go!” Obejrzałam się i wyszczerzyłam zęby. Pędzili za mną obaj właściciele kur, ojciec i syn. Ale już mocno zostawali w tyle. Przyhamowałam, żeby się wyplątać z nocnej koszuli (nie było to trudne - moje ciało stało się chude i gibkie), pozwoliłam im się nieco zbliżyć i pobiegłam dalej.

Co skłania człowieka w takiej sytuacji do pogoni za lisem? Jasne, że nie chodzi tu o odzyskanie skradzionej własności. Kiedy w lisie zachodzi suprafizyczna przemiana, ścigający widzą coś, co burzy wszystkie ich wyobrażenia o świecie. I dalej biegną już nie za ukradzioną kurą, ale za tym cudem. Ścigają odblask niemożliwego, który po raz pierwszy opromienił ich bezbarwne życie. Dlatego umknąć przed nimi bywa niezwykle trudno.

Na szczęście dróżka w lesie okazała się pusta (przez cały czas pogoni nie spotkaliśmy nikogo idącego z przeciwną). Wiedziałam, że Aleksander jest gdzieś obok - dobiegał do mnie trzask gałązek i szelest rozgarnianej trawy w bok od ścieżki. Nikogo jednak nie widziałam - tylko raz czy dwa w prześwicie między krzakami mignął mi jakiś cień.

Starszy kułak (jakaż to odpowiednia nazwa - zaciśnięta, grożąca pięść) zaczął zostawać w tyle. Kiedy stało się jasne, że już nie nadrobi straty, machnął ręką i wycofał się z pościgu. Jego syn utrzymywał dobre tempo jeszcze około kilometra, a potem zaczął puchnąć. Przeszłam na niespieszny trucht i przebiegliśmy tak jeszcze z pięćset metrów. Potem mój prześladowca zaczął sapać i wkrótce całkiem zabrakło mu sił - pewnie był palaczem. Zatrzymał się i wsparłszy dłonie na kolanach, wybałuszył na mnie ciemne oczy, czym natychmiast przypomniał mi nieboszczyka sikha z „Nationalu”. Stłumiłam uczucia osobiste - były tu nie na miejscu.

Gdyby moim zamiarem było oderwanie się od ścigających, pogoń by się na tym zakończyła (tak oto piękno umyka z ludzkiego życia). Ja miałam jednak inny cel - polowanie. Zatrzymałam się. Dzieliło nas nie więcej niż dwieście metrów.

Mówiłam już: jeżeli lisica puszcza kurę, po minucie jej suprafizyczna przemiana znika. Naturalnie, biec szybciej niż człowiek lisica już nie może. Dlatego manewr, który postanowiłam zastosować, był ryzykowny - ale dopingowała mnie świadomość, że patrzy na mnie Aleksander. Puściłam kurę. Ta zrobiła kilka niepewnych kroków po asfalcie i zatrzymała się (w czasie pogoni kury popadają w jakiś szczególny trans i zachowują się niepewnie). Policzyłam do dziesięciu, pochwyciłam ją znowu i przycisnęłam do piersi.

Takiej prowokacji mój prześladowca nie mógł znieść - zebrawszy wszystkie siły, znów rzucił się za mną, i przebiegliśmy jeszcze jakieś trzysta metrów w bardzo przyzwoitym tempie. Byłam szczęśliwa - polowanie niewątpliwie się udało.

I tu stała się rzecz nieoczekiwana. Kiedy przebiegaliśmy obok rozwidlenia, przy którym na drzewach namalowano niebieskie i czerwone strzałki (pewnie dla narciarzy, chociaż nie wiem, co pomyślałby o tym Aleksander), usłyszałam, jak mój prześladowca krzyczy:

- Tutaj, tutaj! Na pomoc!

Obejrzałam się i zobaczyłam, że do kogoś macha. A potem z bocznej dróżki, którą właśnie minęliśmy, wyjechali dwaj milicjanci na koniach.

Nie wiem, jak opisać grozę i majestat tej chwili. U Puszkina jest coś podobnego w *jeźdźcu miedzianym*, ale tam był jeden jeździec, a tu było ich dwóch. Jak na zwolnionym kadrze z koszmarnego snu, zawrócili, wycelowali we mnie cztery pyski - dwa milicyjne i dwa końskie - i rzucili się w pogoń.

Dlaczego tak nienawidzimy angielskich arystokratów? Wystarczyłoby na kilka sekund znaleźć się w mojej skórze (a w tym momencie już się nią pokryłam, tylko trochę nierówno, łatami), by nigdy więcej nie zadać tego pytania. Gliniarze to ludek tępą i zniewolony, nie sposób od nich zbyt wiele wymagać. Ale jak można usprawiedliwić wykształconych ludzi, którzy z cudzej agonii uczynili sobie rozrywkę i sport? Oto dlaczego nie potępiam siostrzyczki I - chociaż sama oczywiście nie robiłabym tego, co ona.

Od czasu, kiedy ostatni raz umykałam przed konną pogoń, minęło prawie sto lat (było to pod Melitopolem w czasie wojny domowej). Kiedy jednak za moimi plecami ciężko zastukały kopyta, od razu przypomniałam sobie tamten dzień. Wspomnienie było żywe i straszne - przez moment wydawało mi się nawet, że cały dwudziesty wiek po prostu mi się

przywidział z upału i braku tlenu, w rzeczywistości zaś ciągle uciekam ostatkiem sił przed pijanymi budionnowcami, gnającymi mnie ku śmierci po pylistej drodze. Okropne uczucie.

Przestrach dodał mi sił. Poza tym ze strachu moja suprafizyczna transformacja zaszła bardzo daleko, o wiele dalej niż w czasie zwykłego polowania. Najpierw uznałam to za zaletę, ponieważ teraz biegłam szybciej. Potem jednak zrozumiałam, że właśnie to mnie zgubi. Łapa, którą przyciskałam do piersi kurę, przeobrażała się w zwykłą lisią kończynę, którą nie da się niczego trzymać. Utraciłam kontrolę nad tym procesem. Było to niepowstrzymane zsuwanie się w przepaść: jeszcze kilka sekund agonii i upuściłam kurę. Wywinęła kozła w powietrzu i z oburzonym gdakaniem wyleciała na pobocze. Ja stałam się już prawdziwym lisem - ale teraz miałam nim pozostać bardzo niedługo.

I tu nagle spostrzegłam pewną bardzo dziwną rzecz.

Zorientowałam się raptem, że mój ogon, który, zdawałoby się, nie miał nic do roboty, działa. Lisica natychmiast się połapie, o co tu chodzi, ale człowiekowi trudno to wytłumaczyć. Aleksander opowiadał mi kawał o pewnym rozpustniku, który miał tak długi penis, że mógł nim myszkować po oknach nocnych klubów. „Oj, zdaje się, że kogoś kocham...” Odrzuciwszy konotacje erotyczne, było to dość podobne uczucie.

Co więcej, zrozumiałam, że robiłam to zawsze. Ukryty strumień energii hipnotycznej, który posyłałam do otoczenia, nie zmieniał się od tak dawna, że przestałam go sobie uświadczać: tak bywa z buczeniem lodówki, które zauważasz dopiero, kiedy nagle ucichnie. Prześledziłam kierunek promienia - w kogo jest wycelowany? - i zrozumiałam, że jest wycelowany... we mnie samą.

BANG, jak piszą w komiksach.

Samokontrola mnie jednak nie zawiodła. Nadal jasno uświadczałam sobie, co się dzieje - i dokoła, i w moim własnym umyśle. Jeden z moich wewnętrznych głosów gromkim basem powtarzał słowa Laertesa, wypowiedziane do Hamleta po fatalnym ciosie rapiera:

- I pół godziny życia nie ma w tobie...³⁰

- Dlaczego pół godziny? Co za trucizna była na rapierze? - zainteresował się drugi głos.

- Warto by to przedyskutować z szekspirologiem Szytmanem - zauważył trzeci - ale nie ma go już wśród nas, biedaka...

- No to niedługo przedyskutujesz! - warknął czwarty.

Ogarnął mnie strach: lisice wierzą, że przed śmiercią widzą prawdę, a potem wszystkie ich wewnętrzne głosy zaczynają mówić jednocześnie. Czyżby? Nie, pomyślałam, tylko nie

³⁰ Przekład Józefa Paszkowskiego.

teraz... Ale nie miałam hamletowskich trzydziestu minut. Co najwyżej trzydzieści sekund, a te szybko uciekały.

Las się skończył. Ścieżka urwała się na skraju, gdzie jak zwykle spacerowały z wózkami kobiety z okolicznych domów. Zauważyły mnie; rozległ się krzyk i piski. Ostatkiem sił przemknęłam obok spacerujących, zobaczyłam drugą ścieżkę, wiodącą z powrotem w las, i skręciłam w nią.

Ale ciało już odmawiało mi posłuszeństwa. Poczułam ból w dłoniach, wyprostowałam się i zaczęłam biec na tylnych łapach - a właściwie już nie na łapach, lecz na własnych dziewczęcych nóżkach. Potem nastąpiłam na jakąś szczególnie kłującą szyszkę, pisnęłam i upadłam na kolana.

Milicjanci podjechali do mnie i zsiadli z koni. Jeden złapał mnie za włosy i odwrócił twarzą do siebie. Nagle jego rysy wykrzywiła wściekłość. Poznałam go - to był jeden ze spintriów z posterunku, który odwiedziłam w subotnik - święto wiosny. On mnie też poznał. Przez minutę patrzyliśmy sobie w oczy. Głupio jest opowiadać niewtajemniczonym, co się w trakcie takiej minuty dzieje między lisicą a człowiekiem. Coś takiego można tylko przeżyć.

Ależ ze mnie idiotka, myślałam z rezygnacją, jest przecież nawet porzekadło: nie pieprz, gdzie mieszkasz, nie mieszkaj, gdzie pieprzysz. Sama jestem sobie winna...

- No co, suko, wpadłaś? - odezwał się milicjant.

- Znasz ją? - zapytał drugi.

- No. Wynajęliśmy ją na subotnik. Do tej pory mam na dupie opryszczkę.

Milicjant wykazywał rzadką nawet u tego gatunku niezdolność do zrozumienia powiązań przyczynowo-skutkowych, ale nie było mi do śmiechu. Będą mnie bić, pomyślałam. Wszystko się powtarza, jak wtedy pod Melitopolem... Może naprawdę jestem jeszcze tam, a cała reszta to sen?

Nagle tuż obok ogłuszająco gruchnął wystrzał. Podniosłam oczy.

Na ścieżce stał Aleksander w swoim idealnie odprasowanym mundurze, z dymiącym pistoletem w dłoni i czarnym zawiniątkiem pod pachą. Nie zauważyłam, kiedy i jak się tam pojawił.

- Obaj do mnie - powiedział.

Milicjanci zbliżyli się do niego posłusznie - jak króliki do boa dusiciela. Jeden z koni zarżał nerwowo i stanął dęba.

- Nie bój się, nie bój - szepnęłam - nie zjedzą cię.

Była to obietnica raczej bez pokrycia: Aleksander nie wtajemniczał mnie w swoje plany. Kiedy milicjanci podeszli, schował pistolet do kabury i coś cicho powiedział, chyba

„meldować o sytuacji". Nic więcej nie usłyszałam, ale wszystko zrozumiałam z gestykulacji. Najpierw Aleksander trzymał prawą rękę zwróconą wnętrzem dłoni do góry, jakby podrzucał na niej jakiś niewielki przedmiot. Potem odwrócił dłoń w dół i zrobił kilka kolistych ruchów, wyglądając coś niewidzialnego. Na milicjantów podziało to w sposób zgoła czarodziejski - zrobili w tył zwrot i odeszli, zapominając nie tylko o mnie, ale i o koniach.

Aleksander przez kilka sekund patrzył na mnie z ciekawością, potem podszedł i podał mi czarne zawiniątko. Była to moja sukienka, w którą coś zapakowano. Odchyliłam materiał i zobaczyłam kure. Nie żyła. Poczułam taki smutek, że łzy nabiegły mi do oczu. Nie chodziło tu o sentymenty. Całkiem niedawno byliśmy jednym ciałem. I ta maleńka śmierć wydała mi się w połowie moją własną.

- Ubieraj się - polecił Aleksander.

- Czemuś to... - Pokazałam na kure.

- A co, powinienem był ją wypuścić?

Kiwnęłam głową. Aleksander rozłożył ręce.

- No to ja już nic nie rozumiem.

Oczywiście, nie było sensu robić mu wyrzutów.

- Nie, przepraszam. I dziękuję - powiedziałam. - Za sukienkę i w ogóle.

- Posłuchaj mnie - odezwał się Aleksander. - Nie wolno ci tego robić. Nigdy.

- Dlaczego?

- Nie obraż się, ale niezbyt ładnie wyglądasz. To znaczy, kiedy się stajesz... Nie wiem.

W każdym razie to do ciebie nie pasuje.

- Dlaczego nieładnie wyglądam?

- Jesteś jakaś wyliniała. I z wyglądu można by ci dać co najmniej trzysta lat.

Poczułam, że się czerwienię.

- Jasne. Coś w rodzaju baby za kierownicą, tak? Z co drugiego twojego słowa przebija wstrętny samczy szowinizm...

- No, tylko bez tych głupot. Powiedziałem ci prawdę. Płeć nie ma tu nic do rzeczy.

Ubrałam się szybko i udało mi się nawet związać przecięte ramiączko.

- Zabierasz kure? - spytał Aleksander.

Przecząco pokręciłam głową.

- No to chodźmy. Samochód zaraz podjedzie. I jutro o dwunastej zero zero masz być gotowa do drogi. Lecimy na północ.

- Po co?

- Pokazałaś mi, jak polujesz. Teraz zobaczysz, jak poluję ja.

Nigdy wcześniej nie latałam takimi samolotami, jak ten gulfstream jet. Nawet ich nie widziałam - los nie rzucał mnie na specjalne lotniska dla *upper rat*. Czułam się nieswojo, że na pokładzie jest tak mało osób - jakby bezpieczeństwo lotu zależało od liczby pasażerów.

Możliwe zresztą, że to prawda. Przecież każdy ma swojego anioła stróża, i kiedy do airbusa albo boeinga napycha się kilkaset osób, zastępy niewidzialnych skrzydlatych obrońców powinny jeśli nie zwiększać siłę nośną skrzydeł, to przynajmniej chronić przed upadkiem na ziemię. Pewnie dlatego najczęściej rozbijają się czartery, którymi się przemieszczają po planecie obciążeni złem newsmakerzy.

Część pasażerska przypominała palarnię z miękkimi skórzanymi kanapami. Aleksander siedział obok mnie. Oprócz nas był tu tylko Michałycz - ulokował się w najdalszym fotelu i kartkował jakieś papiery. Z Aleksandrem prawie nie rozmawiał - tylko raz odwrócił się do niego i zapytał:

- Towarzyszu generale, tu w papierach jest napisane „szejch-ul-maszejch”. Wie pan, co to jest?

Aleksander zastanawiał się chwilę.

- Zdaje się, że począwszy od czterdziestu kilogramów plastiku. Ale sprawdź na wszelki wypadek, jak wrócimy.

- Tak jest.

Moskwa popłynęła w tył i w dół, potem zasłoniły ją chmury. Aleksander odwrócił się od okna i wyjął jakąś książkę.

- Co czytasz? - spytałam. - Znowu kryminał?

- Nie. Idąc za twoją radą, wziąłem poważną mądrą książkę. Też chcesz coś poczytać?

- Tak - powiedziałam.

- Więc przejrzyj tę. Żebyś zrozumiała to, co teraz zobaczysz. Nie jest dokładnie o naszym przypadku, ale to dość podobne. Wziąłem ją specjalnie dla ciebie.

Położył mi na kolanach obszarpany tom z czerwonym napisem *Baśnie rosyjskie* - ten sam, który widziałam na jego biurku.

- Założyłem to miejsce - powiedział.

Zakładka była na baśni pod tytułem *Kruszynka Chawroszynka*. Od wielu lat nie miałam w ręku książek dla dzieci i od razu rzuciła mi się w oczy pewna dziwna rzecz - z powodu dużego druku słowa odbierało się inaczej niż w książkach dla dorosłych. Jak gdyby wszystko, co oznaczały, było prostsze i czystsze.

Baśń okazała się dość smutna. Kruszyńka Chawroszyńka była północnym klonem Kopciuszka - tylko zamiast dobrej wróżki pomagała jej łaciata krowa. Krowa wykonywała wszystkie prace zadane przez macochę, które były ponad siły dziewczyny. Złe siostry podpatrzyły, w jaki sposób Chawroszyńce udaje się uporać z robotą, i opowiedziały o tym matce. Ta kazała zarżnąć łaciatą krowę. Chawroszyńka dowiedziała się o tym i powtórzyła krowie. Krowa poprosiła Chawroszyńkę, żeby nie jadła jej mięsa, a kości pochowała w sadzie. Potem z tych kości wyrosła jabłoń o szumiących złotych liściach, która odmieniła los Chawroszyńki - dziewczyna zerwała jabłko, za które nagrodą był narzeczony... Ciekawe, że macocha i siostry nie zostały ukarane, po prostu nie zdobyły jabłek, a potem o nich zapomniano.

Bynajmniej nie miałam ochoty analizować tej baśni z pozycji dyskursu dupno-amfetaminowego czy grzebać się w jej „morfologii”. Nie musiałam zgadywać, o czym jest naprawdę - moje serce to rozumiało. Była to odwieczna rosyjska historia, której ostatni cykl widziałam całkiem niedawno, pod koniec ubiegłego wieku. Zupełnie jakbym znała osobiście tę łaciatą krowę, której dzieci skarżyły się na swoje nieszczęścia, która urzędowała dla nich niewymyślnie cuda, a potem cicho umierała pod nożem, aby wyrosnąć z ziemi czarodziejskim drzewem - dla każdego chłopca i każdej dziewczynki po złotym jabłku...

W baśni była niepojęta prawda o czymś najsmutniejszym i najbardziej tajemniczym w rosyjskim życiu. Ileż razy już zarzynano tę bezbronną krowę. I ileż razy powracała to jako czarodziejska jabłoń, to jako cały wiśniowy sad. Tylko gdzie się podziały jabłka? Znikły bez śladu. Chyba żeby zadzwonić do firmy United Fruit... Chociaż nie, bez sensu. United Fruit istniała w ubiegłym wieku. A teraz każdy telefon błąka się w przewodach i dociera do jakiejś gibraltarskiej grupy, należącej do firmy z Falklandów, kierowanej przez amsterdamskiego adwokata, reprezentującego interesy trustu z bezimiennym beneficjentem. Którego, rzecz jasna, zna na Rublowce każdy pies.

Zamknęłam książkę i popatrzyłam na Aleksandra. Spał. Ostrożnie wzięłam z jego kolan „poważną mądrą książkę” i otworzyłam:

Nie, Drzewo Pieniężne wcale nie wygląda tak, jak sądzili lekkomyślni beletryści ubiegłego wieku. Nie owocuje na Polu Cudów złotymi dukatami. Wystrzela przez lodową skorupę wiecznej zmarzliny fontanną ropy, gorejącym krzewem, podobnym do tego, który rozmawiał z Mojżeszem. Ale chociaż mojżeszów kłębi się dziś wokół Pieniężnego Drzewa całe mnóstwo, Bóg milczy znacząco... Milczy zapewne dlatego, że wie - drzewu niedługo jest pisane igrać na swobodzie dymnymi płomieniami. Zapobiegliwi ludzie nasadzą gaśnicę na

ognistą koronę i zmuszą drzewo, by wrosło czarnym pniem w zimną stalową rurę, która podąży przez całą Krainę Głupców do portów i terminali, do różnych Chin i Japonii - tak daleko, że niebawem drzewo zapomni o swych korzeniach...

Przeczytawszy jeszcze kilka akapitów w tym samym niespokojnym, mrocznym duchu, poczułam, że morzy mnie sen. Zamknęłam książkę i odłożyłam ją na kolana Aleksandra. Całą resztę lotu przespałam.

Przespałam również lądowanie. Kiedy otworzyłam oczy, za iluminatorem kołującego po lądowisku gulfstreama płynął zasypany śniegiem budynek lotniska, podobny raczej do stacji kolejowej. Wisiał na nim długi transparent: „Serdecznie witamy w Nieftiepieriegoniewsku!” Wszędzie, jak okiem sięgnąć, leżał śnieg.

Przy trapie powitało nas kilku wojskowych w zimowym umundurowaniu bez dystynkcji. Z Michałyczem i Aleksandrem przywitali się jak starzy znajomi, na mnie zerkali - tak mi się wydawało - ze zdumieniem. Mimo to, kiedy Michałycz i Aleksander otrzymali oficerskie płaszcze, mnie też wydano ciepłą odzież - wojskowy waciacz z jasnobłękitnym kołnierzem ze sztucznego futra i czapkę uszanke. Waciacz był za duży, dosłownie w nim tonęłam.

Przyjechały po nas trzy samochody. Były to czarne gelnde-wageny o całkiem moskiewskim wyglądem, tyle że prowadzili je wojskowi. Rozmów przy spotkaniu praktycznie nie było: mężczyźni poprzestali na powitaniu i paru słowach o pogodzie. Najwyraźniej doskonale tu wiedziano, po co przyjechali goście z Moskwy.

Miasto, zaczynające się zaraz za lotniskiem, wyglądało jak fantasmagoria. Domy przypominały podmoskiewskie wille klasy średniej. Była tylko jedna różnica - te wille niezgrabnie wznosiły się nad ziemią na czymś w rodzaju kurzych nóżek. Wbite w wieczną zmarzlinę pale w połączeniu z czerwonymi grzebieniami dachówek wywoływały u mnie takie właśnie skojarzenie i nie mogłam się od niego uwolnić: domy zamieniły się w rzędy kur, które stały na czterech podporach, wysoko podnosząc piersi z czarnymi otworami drzwi. Widocznie wciąż jeszcze pozostawałam pod wrażeniem wczorajszego polowania i przeżytego szoku.

Między tymi eurochatami widać było postacie handlarzy sprzedających coś, co wyłożono na kawałkach brezentu, rozpostartych wprost na śniegu obok łazików Buran.

- Co oni sprzedają? - zapytałam Aleksandra.
- Mięso reniferów. Przywożą je z tundry.
- To nie dostarcza się tu żywności?

- Dlaczego, dostarcza się. Po prostu mięso renifera jest w modzie. W dobrym stylu. A poza tym to produkt ekologicznie czysty.

Duże wrażenie robił butik firmy Calvin Klein, mieszczący się w takiej samej willi na palach. Imponowała już sama jego obecność w tym miejscu - była to chyba najbardziej na świecie wysunięta na północ forpocza małego kalwinizmu. Poza tym szyld nad jego drzwiami pełnił jednocześnie kilka funkcji - nazwy, geograficznego punktu orientacyjnego i koncepcji reklamowej:

нефтеперегонъевСК

Uwagę przyciągał duży plac zabaw dla dzieci, zastawiony konstrukcjami przypominającymi szkielety namiotów - wisiały na nich grube niczym leniwce dzieci, opatulone w ciepłe ubranka. Placyk przywodził na myśl zachowane wśród śniegów koczowisko dawnych myśliwych. Prowadziła doń bramka z wymalowanymi na łuku płatkami śniegu, zwierzętami i czerwono noszonymi klaunami oraz z wesołym napisem:

КУКИС-ЮКУЦ-ЮКСИ-ПУКС!

Nie wiadomo, co to miało być:

- 1) wyliczanka mająca poprawić dzieciom nastrój;
- 2) lista sponsorów;
- 3) wyrażony ezopowym (aleśmy czasów dożyli!) językiem protest przeciw samowoli władz.

W życiu rosyjskim wszystko tak się przemieszało, że trudno mi było wyciągnąć ostateczny wniosek. A zresztą nie miałam na to czasu: nigdzie nie zwalnialiśmy i malownicze północne pejzaże rozwiały się za nami w białym pyle. Ze wszystkich stron otoczyło nas wieczorne śnieżne pole.

- Puść moją ulubioną - powiedział Aleksander do kierowcy.

Był posepny i skupiony, więc postanowiłam mu nie przeszkadzać pytaniami.

Zabrzmiała stara piosenka Shocking Blue:

I'll follow the sun

That's what I'm gonna do

*Trying to forget all about you...*³¹

Nie mogłam nie wziąć owego *trying to forget all about you* do siebie - takie rzeczy psychika kobiety robi automatycznie, nie radząc się właścicielki. Ale obietnica podążania w ślad za słońcem, potwierdzona słowami „to właśnie zrobię” w stylu dawnych wikingów, wydała mi się wzniosła i piękna.

I'll follow the sun

Till the end of time

*No more pain and no more tears for me*³².

Co prawda, słysząc o końcu czasu, przypomniałam sobie podpis pod wizerunkiem wilka, który widziałam u Aleksandra w domu:

„Fenrir, syn Loki, olbrzymi wilk, ścigający po niebie słońce. Kiedy Fenrir dogoni je i pożre - nastąpi Ragnarök”.

To nieco zmieniało obraz... Jakież z niego jednak dzieciak, pomyślałam z czułością, której sama sobie jeszcze nie uświadamiałam, jaki śmieszny chłopaczek.

Wkrótce zaczęło się ściemniać. W świetle księżyca krajobraz za oknem wydawał się niezmiernie - nie mogłam pojąć, po co ludzie latają na inne planety, skoro tu, u siebie pod bokiem, mają takie miejsca. Całkiem możliwe, że o metr od niewidocznej drogi nigdy nie stąpnęła stopa człowieka i w ogóle niczyja stopa czy łapa, i my będziemy pierwsi... Kiedy dotarliśmy na miejsce, zrobiło się już całkiem ciemno. Za oknem nie było ani budynków, ani świateł, ani ludzi, niczego - tylko noc, śnieg, księżyc i gwiazdy. Jedyne obiekty, które naruszały monotonię widoku, stanowiły niedalekie wzgórza.

- Wsiadamy - powiedział Aleksander.

Na zewnątrz było zimno. Podniosłam kołnierz waciaka i naciągnęłam czapkę głębiej na uszy. Natura nie przeznaczyła mnie do życia w takich okolicach. Zresztą co bym tu robiła? Hodowcy renów nie szukają przygód miłosnych wśród śniegów, a gdyby nawet szukali, wątpię, czy zdołałabym napuszyć swój ogon na takim mrozie. Pewnie od razu by zamarł i złamał się jak sople.

³¹ Będę podążać za słońcem / to właśnie zrobię/ starając się o tobie zapomnieć... (ang.).

³² Będę podążać za słońcem / do końca czasu / nigdy więcej ani bólu, ani łez (ang.).

Samochody ustawiły się tak, że ich potężne reflektory dokładnie oświetliły wzgórze. W plamie światła krzatali się ludzie, rozpakowując przywieziony ze sobą sprzęt - jakieś nieznane mi przyrządy. Do Aleksandra podszedł mężczyzna w takim samym wojskowym waciaku jak mój, z podłużnym kuferkiem w ręku, i zapytał:

- Można ustawiać?

Aleksander skinął głową.

- Pójdziemy razem - powiedział i odwrócił się do mnie.

- I ty też chodź. Zobaczysz, jaki stamtąd jest piękny widok.

Ruszyliśmy ku wierzchołkowi wzgórza.

- Kiedy spadło ciśnienie? - zapytał Aleksander.

- Wczoraj wieczorem - odrzekł wojskowy.

- A próbowaliście tłoczyć wodę?

Wojskowy machnął ręką, jakby nie warto było nawet o tym mówić.

- Który raz już spada w tym szybie?

- Piąty - odparł wojskowy. - To koniec, wycyckaliśmy wszystko. I ze złoza, i z całej Rosji. Zaklął półgłosem.

- Zaraz się dowiemy, czy wszystko, czy jeszcze nie - powiedział Aleksander. - I uważaj na słownictwo, bądź co bądź, jest z nami dama.

- Co, zanosi się na zmianę? - spytał wojskowy.

- Coś w tym rodzaju.

- Słusznie. Bo na Michałycza nie bardzo można liczyć...

Dotarliśmy na szczyt. Zobaczyłam w oddali niewysokie budynki, ostre punkty niebieskich i żółtych świateł elektrycznych, konstrukcje z metalowej kraty, jakieś dymki czy parę. Księżyc oświetlał labirynt ciągnących się nad ziemią rur - niektóre zagłębiały się w śniegu, inne biegły w stronę horyzontu. Ale wszystko to było zbyt daleko, żebym mogła rozróżnić szczegóły. Nigdzie nie zauważyłam ludzi.

- Utrzymują łączność? - zapytał Aleksander.

- Tak jest - odparł wojskowy. - W razie czego dadzą znać. Jakie są szanse?

- Zobaczymy - rzekł tylko Aleksander. - Nie ma co gdybać. Przygotujmy się.

Wojskowy postawił kuferek na śniegu i otworzył go. W środku był plastikowy futerał, wielkością i kształtem przypominający duży melon. Szczęknięty zamki, melon się otworzył i zobaczyłam spoczywającą na czerwonym aksamicie krowią czaszkę, na oko bardzo starą, w kilku miejscach pękniętą i połączoną metalowymi płytkami. Od dołu czaszka była oprawiona w metal.

Wojskowy wyjął z kuferka czarny cylinder i rozciągnął go. Powstało coś w rodzaju teleskopowego kija do trekkingu, zakończonego kulistym zgrubieniem. Wojskowy wziął zamach, wbił kij ostrym końcem w śnieg i sprawdził, czy mocno się trzyma. Trzymał się mocno. Teraz mężczyzna podniósł czaszkę, przyłożył jej metalową podstawę do kuli na końcu kija i połączył oba elementy z lekkim szcęknięciem.

- Gotowe? - zapytał Aleksander.

Nie obserwował tych manipulacji, tylko patrzył na dalekie światła i rury, niczym dowódca rozglądający się po okolicy, gdzie wkrótce ma się rozpocząć bitwa. Wojskowy skierował puste oczodoły czaszki na pole naftowe. Nie miałam pojęcia, co zamierza nakręcić tą dziwną kamerą.

- Już.

- Idziemy - rzucił Aleksander.

Zeszliśmy ze wzgórza do ludzi oczekujących nas przy samochodach.

- No co, Michałycz - odezwał się Aleksander - może najpierw ty? Spróbuj. Będę cię na wszelki wypadek ubezpieczał.

- Zaraz - powiedział Michałycz. - Za parę minut. Pójdę do samochodu, żeby sobie nie odmrażać dupy.

- Bo co, bez ketaminy już nie możesz?

- Skoro pan każe, towarzyszu generale... - odrzekł Michałycz! - Ale wolałbym na własny sposób. I tak przeszedłem na zastrzyki domięśniowe.

- No to rób na swój sposób - mruknął z niezadowoleniem Aleksander. - Proszę. Popatrzmy. Najwyższy czas, Michałycz, żebyś zaczął chodzić o własnych siłach. Uwierz w siebie! Rozluźnij się! Wolf-Flow! Bo co zrobimy, jak twojego dilerka wezmą za dupę? Cały kraj zacznie ćpać?

Michałycz parsknął, ale nic nie odpowiedział i poszedł za samochody. Przechodząc obok, puścił do mnie oko. Udałam, że niczego nie zauważyłam.

- Zaczynamy odliczanie - rozległ się wzmocniony megafonem głos. - Wszyscy cofnąć się poza zasięg.

Ludzie tłoczący się w świetle reflektorów szybko wycofali się w ciemność za samochodami. Razem z nami został tylko wojskowy, który ustawiał czaszkę na wzgórzu. Nie wiedziałam, czy rozkaz odnosi się też do mnie, i spojrzałam pytająco na Aleksandra.

- Siadaj - polecił i wskazał mi stojący obok rozkładany fotelik. - Zaraz Michałycz zacznie swój występ. Tylko pamiętaj, nie roześmiej się, bo on jest bardzo przewrażliwiony. Szczególnie po zastrzyku.

- Pamiętam - powiedziałam i usiadłam.

Aleksander zajął miejsce na sąsiednim foteliku i podał mi lornetkę polową. Była parząco zimna.

- Gdzie mam patrzeć? - zapytałam.

Wskazał w stronę kija z czaszką, wyraźnie widoczną w świetle reflektorów.

- Piętnaście... - powiedział megafon za samochodami. Dziesięć... Pięć... Start!

Przez kilka sekund nic się nie działo, a potem usłyszałam głuchy warkot i w plamie światła pojawił się wilk.

Różnił się bardzo od zwierzęcia, w które zamieniał się Aleksander. Tak dalece, że zdawał się należeć do innego gatunku. Był mniejszy, krótkołapy i całkowicie pozbawiony groźnego wdzięku drapieżnika-zabójcy. Jego podługowaty tułów w kształcie beczki wydawał się zbyt ociężały jak na trudne życie pośród dzikiej przyrody, zwłaszcza w warunkach doboru naturalnego. Tłuste cielsko przywodziło na myśl starożytne rozpasanie, chrześcijańskich męczenników i rzymskich cesarzy, karmiących zwierzęta swymi wrogami. Najbardziej przypominał... Tak, najbardziej przypominał olbrzymiego, spasionego jamnika, wsadzonego w wilczą skórę. Złękłam się, że nie wytrzymam i wybuchnę śmiechem. To jeszcze bardziej mnie rozśmieszyło, ale na szczęście jakoś się powstrzymałam.

Michałycz potruchtał na wierzchołek wzgórza i zatrzymał się przy kiju z czaszką. Oczekał chwilę, po czym podniósł pysk do księżyca i zawył, poruszając wyprężonym ogonem jak dyrygent batutą.

Doznałam tego samego uczucia, co przy transformacji Aleksandra: jakby wilcze ciało było przywidzeniem albo w najlepszym razie pustym rezonatorem, niczym pudło skrzypiec, i jakby tajemnica kryła się w dźwięku wydawanym przez niewidzialną strunę między ogonem a pyskiem. Realna była tylko ta struna i jej okropne appassionato, a cała reszta - jedynie iluzją... Poczułam pokrewieństwo z tym stworzeniem: Michałycz robił coś podobnego do tego, co czynią lisice, i zupełnie tak samo pomagał mu w tym ogon.

Jego wycie odbijało się dręcząco rozumnym echem najpierw u nasady mojego własnego ogona, a potem w świadomości. W dźwięku był sens i rozumiałam go. Ale ten sens trudno było wyrazić ludzkim językiem - rezonował z niezliczonym mnóstwem słów, i nie wiedziałam, które z nich wybrać. W wielkim przybliżeniu i bez żadnych pretensji do dokładności przekazałabym to tak:

Łaciata krowo! Słyszysz, łaciata krowo? To ja, stary, podły wilk Michałycz, to ja szepczę ci do ucha. Wiesz, dlaczego tu jestem, łaciata krowo? Moje życie stało się tak ciemne

i straszne, że wyrzekłem się Obrazu Bożego i zostałem wilkiem-samozwańcem. I teraz wyję do księżycy, do nieba i ziemi, do twojej czaszki i wszystkiego, co istnieje, żeby ziemia się zlitowała, rozstąpiła i dała mi ropę. Wiem, że nie zasługuję na litość. A jednak ulituj się nade mną, łaciata krowo. Jeśli ty się nie ulitujesz, nie zrobi tego nikt na świecie. I ty, ziemio, popatrz na mnie, zadrżnij ze zgrozy i daj mi ropę, za którą otrzymam dużo pieniędzy. Bo utracić Obraz Boży, zostać wilkiem i nie mieć pieniędzy - jest czymś nie do zniesienia i nie do pomyślenia, i do czegoś takiego nie dopuści Bóg którego się wyrzekłem...

Zew pełen był dziwnej, urzekającej siły i szczerości: nie żałowałam Michałycz, ale jego pretensje były całkowicie uzasadnione według wszelkich standardów rosyjskiego życia. Michałycz, jeśli można to tak określić, nie domagał się od świata niczego nadzwyczajnego, wszystko było logiczne i mieściło się w ramach przyjętych w Rosji metafizycznych zasad. Ale z czaszką, na którą patrzyłam przez lornetkę, nic się nie działo.

Michałycz był jeszcze jakieś dziesięć minut, mniej więcej w tym samym duchu. Czasem jego wycie stawało się żałosne, czasem groźne - nawet ja poczułam się nieswojo. Wszystko jednak pozostawało bez zmian. Nie miałam wprawdzie pojęcia, co się powinno stać i czy w ogóle powinno, ale czekałam na coś, bo Aleksander kazał mi patrzeć na czaszkę. Jednak z paru słów, jakie zamienił z wojskowym, zorientowałam się, że Michałycz poniósł klęskę.

Może powodem była pewna chemiczna nienaturalność w jego wyciu. Najpierw jej nie dostrzegłam, ale im dłużej był, tym silniej ją odczuwałam, i pod koniec jego partii doszło do tego, że w gardle zebrała mi się nieprzyjemna gruda.

Wycie urwało się, opuściłam lornetkę i zobaczyłam, że wilka nie ma już na szczycie wzgórza. Zamiast niego stał tam na czworakach Michałycz. Był wyraźnie widoczny w świetle reflektorów - do ostatniej fałdki na szynelu. Jego twarz, mimo zimna, pokrywały grube krople potu. Podniósł się na nogi i powlókł na dół.

- No? - zapytał, dotarłszy do nas.

Wojskowy podniósł do ucha radiostację, posłuchał chwilę i opuścił ją.

- Bez zmian - oznajmił.

- To dlatego, że już piąty raz ruszamy to złożę - powiedział Michałycz. - Za drugim razem zawsze mi się udaje. I za trzecim prawie zawsze. Ale za piątym... Nawet nie za bardzo wiem, o czym tu wyć.

- Panowie, musimy coś wymyślić - odezwał się z troską wojskowy. - Prawie wszystkie odwierty są już w czwartym cyklu. Jeśli nie załapiemy się na piąty, natowcy w dwa lata zrobią z nas bantustan. Aleksandrze, masz jakieś pomysły?

Aleksander wstał z fotelika.

- Zaraz zobaczymy - rzekł i popatrzył na czaszkę zmrużonymi oczyma, jakby oceniał odległość. Potem ruszył na wzgórze. W połowie drogi zrzucił z ramion płaszcz, który upadł na śnieg z rozpostartymi rękawami.

Kroczy jak Puszkina w czasie pojedynku, pomyślałam, popatrzyłam na płaszcz i dokończyłam: Albo jak d'Anthès...

Z powodu munduru wojskowego trafniejsze było to drugie porównanie.

Aleksander podszedł do kija, położył obie dłonie na czaszce i obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni, tak że była skierowana wprost na mnie - przez lornetkę widziałam wyraźnie puste oczodoły i metalową płytkę, spajającą pęknięcie nad jednym z nich. Aleksander zawrócił w dół po zboczu. Przy płaszczu zatrzymał się, podniósł głowę ku niebu i zawył.

Zaczął wyc jako człowiek, ale wycie przeobraziło go w wilka jeszcze szybciej niż podniecenie erotyczne. Zakołysał się, wygiął w łuk i upadł na grzbiet. Transformacja nastąpiła z taką szybkością, że był już prawie całkowicie wilkiem, kiedy jego grzbiet dotknął szynelu. Ani na sekundę nie przestając wyc, wilk przez chwilę tarzał się w śniegu, wzbijając wokół siebie biały obłok, a potem stanął na czterech łapach.

W porównaniu z grubym jak beczka Michałyczem uroda Aleksandra szczególnie rzucała się w oczy. Był to szlachetny i groźny zwierz; takiego zwierza istotnie mogli się obawiać północni bogowie. Jego wycie nie było jednak straszne, jak wycie Michałycza. Brzmiało ciszej i zdawało się raczej smutne niż groźne.

Łaciata krowo! Słyszysz, łaciata krowo? Wiem, że trzeba zupełnie nie mieć wstydu, żeby znowu prosić cię o ropę. I nie proszę. Nie zasłużyliśmy na nią. Wiem, co o nas myślisz. Że bez względu na to, ile dasz, Chawroszynce nie dostanie się ani kropla, wszystko pożrą te kukisy-jukisy, juksy-puksy i cała reszta szarańczy, za którą nie widać świata bożego. Masz słusność, łaciata krowo, tak właśnie będzie. Tylko wiesz co... Ja przecież wiem, kim ty jesteś. Jesteś tymi wszystkimi, którzy żyli tu przed nami. Rodzice, dziadowie, pradziadowie i tak dalej, i tak dalej... Jesteś duszą tych wszystkich, którzy umarli z wiarą w szczęście mające nastąpić w przyszłości. I oto nadeszła, nadeszła ta przyszłość, w której ludzie nie żyją dla czegoś tam, ale dla samych siebie. I wiesz, jak się czujemy, lykając pachnące naftą sashimi i

niby to nie zauważając jak topnieją nam pod nogami ostatnie kry? Udając, że do tego punktu przeznaczenia przez tysiąc lat zmierzał naród kończący się nami? Z tego wynika, że tak naprawdę żyłaś tylko ty, laciata krowo. Miałas dla kogo żyć, a my nie mamy... Miałas nas, a my nie mamy nikogo prócz siebie samych. I teraz jest ci tak samo źle jak nam, bo już nie możesz wyrosnąć jabłonią dla swojej Chawroszynki. Możesz tylko dać plugawym wilkom ropę, żeby kukis-jukis-juksi-puks odpalił dolę swojemu wiertniczemu, wiertniczy szefowi ochrony, szef ochrony fryzjerowi, fryzjer kucharzowi, kucharz kierowcy, a kierowca żeby zapłacił twojej Chawroszynie sto pięćdziesiąt baksów za godzinny numerek... I kiedy Chawroszynka już odeśpi się po robieniu lodu i odpali dolę wszystkim swoim gliniarzom i bandytom, wtedy może wystarczy jej na jabłko, którym tak chciałaś się dla niej stać, laciata krowo...

Wydało mi się, że krowa patrzy na mnie swymi pustymi oczodołami. A potem zobaczyłam przez lornetkę, jak na brzegu oczodołu pojawia się i wzbiera łąza. Spłynęła po czaszce i upadła w śnieg, za nią pojawiła się druga, potem trzecia..."

Aleksander nadal wył, ale nie chwytałam już sensu. Może go nawet nie było - wycie przeszło w płacz. Ja też się rozplakałam. Płakaliśmy wszyscy... A potem zrozumiałam, że nie tyle płaczemy, ile wyjemy - Michałycz, wojskowy, który ustawiał kij na wzgórzu, ludzie w ciemnościach za samochodami - wszyscy wyli z twarzami uniesionymi do księżyca, wyli i płakali nad sobą, nad swoim do niczego niepodobnym krajem, nad żalonym życiem, głupią śmiercią i nad wytęsknioną półrublówką za baryłkę...

- Hej! - usłyszałam. - Ocknij się!

- Co?

Otworzyłam oczy. Obok mojego fotelika stali Aleksander i wojskowy. Nieco dalej kulił się z zimna Michałycz.

- W porządku - powiedział wojskowy. - Ropa idzie.

- Ależ wyłaś! - zwrócił się do mnie Aleksander. - Można się było zasłuchać.

- Tak - wtrącił Michałycz. - Przydała się dziewczucha. A ja z początku nie rozumiałem, po co towarzyszył generał ją wziął.

Aleksander nie odpowiedział - podszedł do niego jeden z ludzi, którzy w czasie seansu stali za samochodami. Miał na sobie mundur bez dystynkcji - tak jak cała reszta.

- To dla pana - oznajmił i wręczył Aleksandrowi jakieś pudełeczko. - Order „Za zasługi dla ojczyzny”. Wiem, że ma pan takich wiele. Po prostu chcemy, żeby pan pamiętał, jak kraj pana ceni.

- Dziękuję - odrzekł obojętnie Aleksander, chowając pudełko do kieszeni. - Ku chwale.

Wziął mnie pod rękę i poprowadził do samochodu. Kiedy oddaliliśmy się od reszty, szepnęłam:

- Powiedz mi uczciwie, jak wilk lisicy. Albo, jeśli wolisz, jak wilkołak wilkołakowi. Naprawdę myślisz, że dla Chawroszynki zabrakło jabłka przez kukisa-jukisa, a nie przez tę zgniłą rybią głowę, która udaje to byka, to niedźwiedzia?

Aleksander się stropił.

- Jakiego kukisa? Jaką rybią głowę?

Dopiero teraz dotarło do mnie, jak dziwnie zabrzmiały moje słowa. Tak, to był stres - przestałam wyczuwać różnicę między światem a tym, co o nim myślę. Aleksander przecież nic nie mówił - po prostu wył do krowiej czaszki, a cała reszta była moją własną interpretacją.

- Niedźwiedzia sobie ubrdała - mruknął Aleksander.

Rzeczywiście, wyszło strasznie głupio. O niedźwiedziu i rybiej głowie nawet z nim nie rozmawiałam.

- To przez baśnie, które czytałam w samolocie - wyjaśniłam ze skruchą.

- A, no to wszystko jasne.

Przynajmniej jedno pytanie mogłam mu chyba jednak zadać, bez obawy, że zabrzmia dziko. Tym razem z góry rozważyłam ewentualne wrażenie moich słów i dopiero potem powiedziałam:

- Wiesz, mam wrażenie, że pokazałeś mnie czaszce w charakterze Chawroszynki. Zgadłam?

Uśmiechnął się.

- A dlaczego nie? Jesteś taka rozczulająca.

- Przyjrzyj mi się uważnie - poprosiłam. - Jakaż ze mnie Chawroszynka?

- A niechbyś nawet była Marią Magdaleną - odparł Aleksander. - Co za różnica? Jestem pragmatykiem. Moim zadaniem jest puścić ropę naftową. A żeby tak się stało, czaszka musi zapłakać. Co miałem robić, skoro na widok Michałycza już nie płacze, nawet jak ten wali sobie w żyłę pięć centymetrów ketaminy?

- Ale przecież to... To przecież była nieprawda - powiedziałam zmieszana.

Prychnął.

- A twoim zdaniem, sztuka powinna być prawdą?

W odpowiedzi tylko zamrugałam oczami. Co najśmieszniejsze, rzeczywiście tak myślałam. Nagle przestałam rozumieć, które z nas jest cynicznym manipulatorem cudzą świadomością.

- Wiesz co - powiedział Aleksander - spróbuj sprzedać tę koncepcję galerii Saatchi. Może wystawią ją tam razem z marynowanym rekinem. A może kupi ją Brian. Który proponował mi tysiąc funtów.

Niestety, Brian nie mógł już niczego kupić... Chociaż owa fraza, do niedawna tak naturalna w odniesieniu do zmarłego człowieka, w dzisiejszych czasach stała się przestarzała. Zdarza się, że klient umiera, a jego brokerzy nadal uwijają się na giełdzie. Kiedy zaś i do nich dociera smutna wieść, jeszcze długo spekuluje w cyberprzestrzeni zapomniany przez wszystkich program, kupując i sprzedając funta i jena po osiągnięciu progowych kursów... Ale ode mnie Brian raczej rzeczywiście nie mógł niczego kupić. A już zwłaszcza myśli, że sztuka powinna być prawdą.

Tą smutną wiadomością powitała mnie Moskwa. Notatka na stronie „plotki.ru”, której adres w mistyczny sposób znów ukazał mi się na linii startowej, była zatytułowana tak:

ANGIELSKI ARYSTOKRATA
ZNALEZIONY MARTWY W CERKWI
CHRYSTUSA ZBAWICIELA

Uczucie podobne do mdłości uniemożliwiło mi dokładne przeczytanie notatki - zdołałam tylko przebiec ją wzrokiem po przekątnej, wyławiając spomiędzy dziennikarskich sztamp: „zastygły na twarzy grymas nieopisanej grozy”, „łzy niepokieszonej wdowy”, „przedstawiciele ambasady”, „badanie okoliczności śmierci”. Nie martwiłam się o I Huli - wszystko to było dla niej czymś zwyczajnym. Martwić się należało o tych, którzy badali okoliczności śmierci - żeby czasem grymas nieopisanej grozy nie zastygł na twarzy któregoś z nich.

Powinłam jednak uzalić się nad lordem Cricketem. Skoncentrowałam się, ale zamiast jego twarzy przypomniały mi się kadry z dokumentalnego filmu o polowaniu na lisy - pędząca po polu ruda kulka, taka bezbronna, pełna trwogi i nadziei, i ścigający ją jeźdźcy w eleganckich toczkach... Ale mimo to wyrecytowałam pośmiertną mantrę.

Następną rzeczą, jaka zwróciła moją uwagę, był nagłówek kolumny:

DUŻY DRAPIEŻNIK SZUKA SCHRONIENIA W PARKU BITCEWSKIM

W tych wypocinach był jeden wyjątkowo bezczelny akapit, dotyczący mnie osobiście:

Lisica, usiana mnóstwem łysin, a raczej w niektórych miejscach jeszcze pokryta sierścią, wzbudziła u świadków zajścia nie tylko uczucie dojmującej litości, ale też podejrzenie, że gdzieś niedaleko znajduje się wysypisko odpadów radioaktywnych. Możliwe, że stare, chore zwierzę przyszło do ludzi w nadziei na coup de grace, który skróciłby jego cierpienia. Ale od dzisiejszych, ovladniętych znieczulicą moskwian próżno oczekiwać bezpłatnie nawet takiej przysługi. Nie wiadomo, czym zakończyła się pogoń za chorym zwierzęciem, przedsięwzięta przez dwóch konnych milicjantów.

A to podły łgarz, pomyślałam, przecież jasne, że nikt ze świadków nie mówił nic o wysypisku odpadów radioaktywnych, on sam to wszystko wymyślił, żeby czymś zapełnić swoją kolumnę... A zresztą reporterzy internetowi o wszystkim piszą jednakowo podle - i o polityce, i o kulturze, i nawet o zdobyciu Marsa. A teraz także o lisicach... Ten z „plotek” miał swój wypróbowany numer - za każdym razem, kiedy chciał kogoś unurzać w błocie, wspominał o dojmującej litości. Zawsze mnie to zdumiewało: że też można najwznieślej z dostępnych człowiekowi uczuć, współczucie, zamienić w jadowite żądło. A jak to brzmi: „dojmująca litość”!

Chociaż jeśli się dobrze zastanowić, nie ma w tym nic dziwnego. Kim bowiem jest reporter internetowy? To stworzenie stojące zaledwie odrobinę wyżej od obozowego owczarka, ale któremu bardzo, bardzo daleko do lisicy-wilkołaka.

1) podobieństwo reportera internetowego i łagrowego owczarka polega na umiejętności szczekania na wyraźnie oznaczony sektor przestrzeni;

2) różnica zaś na tym, że owczarek nie wie, na jaki sektor ma szczekać, a reporter internetowy niekiedy wie;

3) podobieństwo reportera internetowego do lisicy-wilkołaka polega na tym, że oboje usiłują stwarzać miraż, które człowiek weźmie za rzeczywistość;

4) różnica na tym, że lisicy się to udaje, a reporterowi internetowemu - nie.

W ostatnim punkcie nie ma nic dziwnego. Czyż ktoś, kto jest w stanie tworzyć prawdopodobne miraż, pracowałby jako reporter internetowy? Chyba nie. Reporter internetowy nie potrafi przekonać nawet samego siebie o realności swoich wymysłów, a co dopiero innych, rozważałam, zaciskając pięści. Dlatego powinien siedzieć cicho i czekać tylko wtedy, gdy...

I nagle zapomniałam o reporterach internetowych i łagrowych owczarkach, bo w mojej głowie weszło słońce prawdy.

- Przekonać samego siebie o realności swoich wymysłów - powtórzyłam. - Otóż to. No oczywiście!

Całkiem nieoczekiwanie rozwiązałam dręczącą mnie od dawna zagadkę. Przez wiele dni mój umysł podkładał się do niej to z jednej, to z drugiej strony - ale na próżno. A teraz coś zaskoczyło, szcęknięło, i nagle wszystko znalazło się na swoich miejscach - jak gdybym przypadkiem ułożyła łamigłówkę.

Zrozumiałam, czym my, lisy, różnimy się od wilków-wilkołaków. Różnica, jak to się często zdarza, nie jest niczym innym jak tylko zmutowanym podobieństwem. Lisy i wilki to bliscy krewni - ich magia polega na manipulacji percepcją. Ale sposoby manipulowania są różne.

Tu muszę zrobić krótką dygresję teoretyczną, obawiam się bowiem, że nie zostanę zrozumiana.

Ludzie sprzecząją się często, czy ten świat naprawdę istnieje. A może jest to coś w rodzaju Matriksa? To idiotyczny spór. Wszystkie tego rodzaju problemy biorą się z tego, że ludzie nie rozumieją słów, których używają. Zanim zaczniesz się dyskutować na ten temat, warto się zastanowić nad znaczeniem słowa „istnieć”. Wtedy wyszłoby na jaw wiele interesujących rzeczy. Ale ludzie rzadko potrafią prawidłowo myśleć.

Oczywiście, nie chcę powiedzieć, że wszyscy są kompletnymi idiotami. Trafiają się między nimi i tacy, których intelekt nie ustępuje lisiemu. Na przykład irlandzki filozof Berkeley.

Twierdził on, że istnieć to znaczy być postrzeganym i że wszystkie przedmioty istnieją tylko w percepcji. Wystarczy spokojnie pomyśleć na ten temat trzy minuty, żeby pojąć, że wszystkie inne poglądy na to zagadnienie można wsadzić do jednego worka z kultem Ozyrysa czy wiarą w boga Mitrę. Jest to, moim zdaniem, jedyna słuszna myśl, jaka zaświtała w umyśle człowieka Zachodu w ciągu całej jego haniebnej historii; wszyscy ci Hume'owie, Kantowie i Baudrillardowie jedynie wyszywają jedwabiem na kanwie tego wielkiego objawienia.

Ale gdzie istnieje przedmiot, kiedy się odwracamy i przestajemy go widzieć? Nie znika przecież, jak sądzą dzieci i Indianie z Amazonii? Berkeley mówił, że przedmiot istnieje w percepcji Boga. Natomiast katarowie i gnostycy wierzą, że przedmiot istnieje w percepcji diabła-demiurga, i ich argumentacja nie jest wcale słabsza od argumentacji Berkeleya. Z ich punktu widzenia materia jest złem pętającym ducha. À propos, czytając horrory Stephena Kinga, często myślałam, że gdyby albigensi mieli radioteleskopy, okrzyknęliby Wielki Wybuch kosmiczną fotografią powstania Szatana... W całym tym obłędzie jest również droga pośrednia - uznać, że część świata istnieje w percepcji Boga, a część - w percepcji diabła.

Cóż mogę na to powiedzieć? Z punktu widzenia lisów żadnego Wielkiego Wybuchu nigdy nie było, tak jak nie było namalowanej przez Breughla *Wieży Babel*, nawet jeśli reprodukcja tego obrazu wisi w pokoju, który wam się śni. Bóg i diabeł zaś są po prostu pojęciami istniejącymi w umyśle tego, kto w nie wierzy: ptaszek wcale nie chwali Boga, kiedy śpiewa, to klecha myśli, że ptaszek go chwali. Berkeley uważał, że postrzeganie koniecznie musi mieć podmiot, toteż monety, które potoczyły się pod szafę, czy pończochy, które wpadły za łóżko, otrzymywały odeń uroczysty pochówek w czaszce stworzonego w tym celu Twórcy. Ale jak wyjaśnić to, że berkeleyowski Bóg, w którego percepcji istniejemy, sam istnieje głównie w abstrakcyjnym myśleniu przedstawicieli rasy europoidalnej z rocznym dochodem do pięciu tysięcy euro? I nie ma go wcale w świadomości chińskiego chłopca czy ptaszęcia, które nawet nie wie, że jest boże? Jak to wyjaśnić, jeśli „istnieć” oznacza w rzeczywistości „być postrzeganym”?

A nijak, mówią lisy. Na podstawowe pytanie filozofii lisy mają podstawową odpowiedź. Polega ona na tym, żeby zapomnieć o podstawowym pytaniu. Żadnych problemów filozoficznych nie ma, jest tylko amfilada lingwistycznych ślepych uliczek, wywołanych niezdolnością języka do wyrażenia prawdy.

Lepiej jednak utknąć w takiej ślepej uliczce już w pierwszym akapicie niż po czterdziestu latach poszukiwań i pięciu tysiącach zapisanych stron. - Kiedy Berkeley pojął wreszcie, o co chodzi, zaczął pisać tylko o cudownych właściwościach nalewki dziegciowej, z którą się zapoznał w Ameryce Północnej. Do dziś śmieją się zeń z tego powodu różni filistrzy, niewiedzący, że w dawnych czasach dziegieć wyrabiano w Ameryce z rośliny, która nazywała się Jimson Weed albo datura - czyli bieluń.

I skoro już o tym mowa, religijni obłudnicy obwiniają nas, lisice, o to, że mącimy ludziom w głowach i zniekształcamy Obraz Boży. Mówiący tak niezbyt dobrze wyobrażają sobie Obraz Boży, jako że tworzą go na podobieństwo własnych szamotowych ryjów. W każdym razie „mącić” i „zniekształcać” to język niezbyt adekwatny, który przenosi

zagadnienie na płaszczyznę emocjonalną i nie pozwala wniknąć w istotę sprawy. A oto na czym się ona zasadza (proszę uważnie przeczytać następny akapit - przechodzę wreszcie do rzeczy najważniejszej):

Ponieważ byt rzeczy polega na ich postrzeganiu, każda transformacja może przebiegać dwiema drogami - być albo percepcją transformacji, albo transformacją percepcji.

Na cześć wielkiego Irlandczyka nazwałabym tę zasadę prawem Berkeleya. Znać to prawo muszą koniecznie wszyscy poszukiwacze prawdy, bandyci stosujący wymuszenia, brand-marketolodzy i pedofile, jeżeli chcą pozostawać na wolności. Tak więc lisy i wilki-wilkołaki wykorzystują w swoich działaniach różne aspekty prawa Berkeleya.

My, lisice, stosujemy transformację percepcji. Oddziałujemy na postrzeganie klientów, zmuszając ich, by widzieli to, co chcemy. Sprowadzona przez nas pomroczność staje się dla nich absolutnie realna - szramy na plecach niezapomnianego Pawła Iwanowicza są tego najlepszym dowodem. Same lisice jednak nadal widzą pierwotną realność tak, jak - według Berkeleya - widzi ją Bóg. Dlatego właśnie zarzuca się nam, że zniekształcamy Obraz Boży.

Jest to oczywiście perfidny zarzut, oparty na stosowaniu podwójnego standardu moralnego. Transformacja percepcji jest podstawą nie tylko lisich czarów, ale też mnóstwa technologii rynkowych. Na przykład firma Ford dorabia do taniej ciężarówki F-150 ładną przednią kratę, zmienia kabinę i nadaje otrzymanemu produktowi nazwę Lincoln Navigator. A przecież nikt nie mówi, że firma Ford zniekształca Obraz Boży. O polityce już nie wspomnę, i tak wszystko jest jasne. Ale nie wiadomo dlaczego niezadowolenie budzimy tylko my, lisice.

Wilki-wilkołaki w odróżnieniu od nas stosują percepcję transformacji. Stwarzają iluzję nie dla innych, lecz dla siebie. i wierzą w nią do tego stopnia, że iluzja przestaje być iluzją.

Zdaje się, że w Biblii jest coś na ten temat - „jeśli będziecie mieć wiarę jak ziarnko gorczycy...”³³. Wilki ją mają. I ich przemiana to swego rodzaju alchemiczna reakcja łańcuchowa.

Najpierw wilkołak skłania samego siebie do uwierzenia, że rośnie mu ogon. A pojawiający się ogon, który u wilków jest takim samym narzędziem sugestii jak u nas, oddziałuje hipnotycznie na świadomość wilka, przekonując go, że rzeczywiście zachodzi w

³³ Mt 17, 20, Biblia Tysiąclecia.

nim transformacja, i tak do ostatecznej przemiany w zwierzę. W technice nazywa się to pozytywnym sprzężeniem zwrotnym.

Przeobrażenie Aleksandra za każdym razem zaczynało się tak samo: ciało wyginało się, jakby między ogonem a czaszką naciągała się niewidzialna lina. Teraz zrozumiałam, o co tu chodzi. Energię, którą lisice kierują na ludzi, wilki skupiają na samych sobie, wywołując transformację nie w cudzym postrzeganiu, ale we własnym, a dopiero potem, jako następstwo - w cudzym.

Czy takie przeobrażenie można nazwać realnym? Nigdy nie mogłam zrozumieć do końca sensu tego określenia, tym bardziej że każda epoka nadawała mu własne znaczenie. Na przykład we współczesnym języku rosyjskim słowo „realny” ma cztery podstawowe zastosowania. Jako:

- 1) okrzyk bojowy, używany przez bandytów i pracowników FSB podczas ceremonii zmiany szefa;
- 2) wyrażenie żargonowe, używane przez *upper rat* i *chuj sosajtie* w rozmowach o swoich zagranicznych kontaktach;
- 3) termin techniczny, odnoszący się do nieruchomości;
- 4) powszechnie używany przymiotnik, oznaczający „mający ekwiwalent dolarowy”.

To ostatnie znaczenie czyni termin „realny” synonimem słowa „metafizyczny”, jako że dolar w naszych czasach jest wielkością mrocznie mistyczną, opartą wyłącznie na wierze w to, że jutro będzie podobne do dzisiaj. Mistyką zaś powinny się zajmować nie wilkołaki, ale ci, których do tego predestynuje zawód - politycy i ekonomiści. Dlatego nie chcę nazywać przeobrażenia wilka-wilkołaka „realnym” - mogłoby to bowiem sugerować, że tkwi w nim tandetne ludzkie diabelstwo. Dwie rzeczy jednak nie ulegają wątpliwości:

- 1) transformacja wilka różni się jakościowo od lisiej iluzji, chociaż oparta jest na tym samym efekcie;
- 2) wilcza metamorfoza wymaga olbrzymiej ilości energii - o wiele więcej niż zużywamy na klienta my, lisice.

Z tego powodu wilki nie mogą długo pozostawać w zwierzęcej postaci, folklor więc wiąże ich przeobrażenie z różnymi ograniczeniami czasowymi - zmrokiem, pełnią księżyca czy czymś w tym rodzaju. Tu nieboszyk lord Cricket miał absolutną rację.

Przypomniałam sobie dziwne wrażenie, jakiego doznałam podczas polowania - kiedy po raz pierwszy w życiu odczułam reliktywne promieniowanie ogona, skierowane na mnie samą. Co konkretnie sobie sugerowałam? Że jestem lisicą? To przecież wiedziałam bez żadnej sugestii... O co tu chodzi? Czułam, że stoję na progu jakiegoś ważnego odkrycia, czegoś, co może zmienić moje życie i wyprowadzić mnie wreszcie z tego duchowego ślepego zaułka, w którym spędziłam ostatnie pięć wieków. Ale, o hańbo, najpierw pomyślałam bynajmniej nie o praktyce duchowej.

Wstyd się przyznać, ale pierwsza moja myśl była o seksie. Przypomniałam sobie szorstki szary ogon Aleksandra i pojęłam, jak skierować nasze miłosne przeżycia na inną orbitę. Było to proste. Mechanizm oddziaływania na świadomość, którym posługują się lisy i wilki, zasadniczo jest ten sam - różni się tylko intensywnością sugestii i jej obiektem. Ja, że tak powiem, częstowałam swojego klienta szampanem, i klientowi robiło się wesoło. A Aleksander sam wypijał butelkę wódki, po czym wszyscy wokół zaczęli się bać. Ale substancja działająca, alkohol, była ta sama.

Tak więc, łącząc nasze możliwości, mogliśmy narobić z szampana z wódką masę najróżniejszych koktajli. Przecież seks to nie tylko zetknięcie się wiadomych części ciała. To także połączenie energetyczne dwojga istot, wspólny odlot. Jeżeli się nauczymy łączyć nasze hipnotyczne wektory, by wspólnie nurzać się w miłosnej iluzji, myślałam, stworzymy sobie taki dworzec dla dwojga³⁴, gdzie każdy podkład będzie na wagę złota.

Była tylko jedna komplikacja. Przedtem musieliśmy ustalić, co chcemy zobaczyć. Przy czym nie słownie - słowa zdawały się niezbyt pewną podporą. Opierając się tylko na nich, moglibyśmy bardzo różnie wyobrazić sobie ostateczną trasę podróży. Tu potrzebny był gotowy wizerunek, który stałby się punktem wyjścia naszej wizualizacji. Na przykład obraz...

Spróbowałam sobie wyobrazić odpowiednie klasyczne płótno. Jak na złość, nic interesującego nie przychodziło mi do głowy - przypomniałam sobie tylko wczesne arcydzieło Picassa *Stary Żyd i chłopiec*. Wiele lat temu zakładałam pocztówką z reprodukcją tego obrazu *Psychopatologię życia codziennego* Freuda, której za nic nie mogłam zmęczyć, i od tej pory zapamiętałam ze wszystkimi szczegółami dwie smutne ciemne postacie.

Nie, obrazy się nie nadawały. Nie dawały wyobrażenia o tym, jak wygląda obiekt w trzech wymiarach. O wiele bardziej nadawało się wideo. Aleksander ma taki duży telewizor, pomyślałam. Przecież powinien być z niego jakiś pożytek?

³⁴ Film *Dworzec dla dwojga* - kultowy melodramat radziecki z 1982 roku, w reżyserii Eldara Riazanowa (przyp. tłum.).

Jest gatunek tureckiej gumy do żucia z obrazkami-wkładkami przedstawiającymi zakochane pary w różnych śmiesznych sytuacjach. Rysunki mają podpis *Love is...* i dawniej często je widywałam naklejone na ściany w windach i kinach. Gdybym miała narysować własną wersję tego komiksu, byłyby tam wilk i lisica ze splecionymi ogonami, siedzące przed telewizorem.

Technologia cudu okazała się prostsza, niż przypuszczałam. Wystarczało jedynie połączyć nasze hipnotyczne organy, ułożywszy się w dowolnej umożliwiającej to pozycji. Stykać się mogły tylko ogony: musieliśmy śledzić akcję na ekranie i większe zbliżenie w tym przeszkadzało.

Rytuał wypracowaliśmy sobie niezwykle szybko. Zazwyczaj on kładł się na boku, zwieszając nogi na dywan, a ja siadałam obok. Włączaliśmy film i pieściłam go tak długo, aż zaczęła się transformacja. Wtedy zarzucałam nogi na jego kosmaty bok, łączyliśmy nasze anteny i zaczynało się coś niesamowitego, czego nigdy nie pojmie istota bezogoniasta. Niekiedy doznania były tak intensywne, że musiałam stosować specjalną technikę, by się uspokoić i ochłonąć - odwracałam oczy od ekranu i powtarzałam w duchu mantrę z Sutry Serca, chłodną i głęboką jak studnia: w tych sanskryckich strofach można było bez śladu rozpuścić każde duchowe podniecenie. Lubiłam patrzeć, jak łączą się nasze ogony - rudy i szary. Jakby ktoś podpalił zbutwiałe polano, które staje nagle w snopie wesołego, iskrzącego się ognia... Nie dzieliłam się tym spostrzeżeniem z Aleksandrem.

O ile jednak strona techniczna sprawy okazała się łatwa, o tyle wybór trasy naszych halucynacyjnych podróży za każdym razem poprzedzały sprzeczki. Nasze gusty może specjalnie się nie różniły, ale dotyczyły innych wszechświatów. W wypadku Aleksandra w ogóle trudno było mówić o guście w sensie wyraźnego systemu kanonów estetycznych. Jak nastoletkowi, podobało mu się wszystko, co bohaterskie i sentymentalne, i zmuszał mnie godzinami do oglądania filmów samurajskich, westernów i tego, czego wręcz nie cierpiałam - japońskich kreskówek o robotach. A potem wcielaliśmy w marzenie poboczne wątki miłosne, potrzebne reżyserom tej wideomakulatury po to, by między zabójstwami i bójkami była jakaś przerwa. Początkowo zresztą było to interesujące. Ale tylko początkowo.

Jako profesjonalistce ze stażem szybko znudziły mi się standardowe miłosne *quickies* - podsunęłam ludzkości więcej słów na ten temat, niż ludzkość nakręciła o sobie filmów porno. Lubiłam błądzić po *terra incognita* współczesnej seksualności, badać jej pogranicza, ekumeny powszechnej moralności i obyczajowości. A on nie był na to gotowy, i chociaż nikt na świecie nie mógł stać się świadkiem naszej wspólnej halucynacji, Aleksandra zawsze powstrzymywał wewnętrzny strażnik.

Na moje apele, żebyśmy wyruszyli w jakąś niezwykłą podróż, zmieszany odpowiadał odmownie albo, na odwrót, proponował coś, co było nie do pomyslenia dla mnie. Na przykład, żebyśmy się zamienili w parę transformerów z kreskówki, którzy zainteresowali się sobą na dachu tokijskiego wieżowca... Okropność. A kiedy chciałam się stać niemieckim majorem z *Casablanki*, żeby go posiąść jako murzyńskiego pianistę, śpiewającego: *It's summer time and the living is easy*³⁵, wpadał w takie przerażenie, jakbym go nakłaniała do zdrady ojczyzny.

Mogłoby to stanowić jeszcze jeden ciekawy temat dla doktora Spenglera: większość Rosjan jest homofobami, ponieważ w rosyjskiej umysłowości pozostają bardzo silne metastazy kryminalnego kodeksu honorowego. Każdy poważny człowiek, czymkolwiek by się zajmował, podświadomie przymierza się do pryczy i stara się, żeby w jego wykazie przebiegu służby nie było większych naruszeń więziennych tabu, za które musiałby zapłacić tyłkiem. Dlatego życie rosyjskiego macho przypomina permanentny seans spirytystyczny: ciało nurza się w luksusach, a dusza odsiaduje wyrok w łagrze.

Nawiasem mówiąc, wiem, czemu jest właśnie tak, i mogłabym napisać o tym grubą, mądrą książkę. Jej myśl przewodnią byłaby następująca: Rosja jest krajem wspólnotowym i zniszczenie wspólnoty chłopskiej doprowadziło do tego, że źródłem ludowego morale stała się wspólnota przestępcza. Pojęcia obiegowe zajęły miejsce, w którym żył Bóg - albo, ściślej, Bóg sam stał się jednym z „pojęć”. Kiedy zaś zdemontowano ostatnią protezę religii, radziecki „wewnętrzny partkom”, kamertonem rosyjskiej duszy ostatecznie stała się gitara nastrojona na więzienne akordy.

Żeby jednak nie wiem jak mdląca była więzienna moralność, innej przecież w ogóle już nie ma. W krąg tylko wozy z arbuzami, a ludzi przyzwoitych brak - dokładnie tak, jak przewidział Lermontow. Ciekawe, że „wozy z arbuzami” we współczesnej ruszczyźnie oznaczają „miliardowe powództwa”, o których niedawno pisałam do siostry do Tajlandii. Arbuzy są, a porządnych ludzi nie ma, tylko sami kagebiści i dziennikarze-spintriowie specjalizujący się w propagandzie liberalnych wartości...

Oj. Umyślnie nie wykreślę ostatniego zdania, niech się czytelnik podelektuje. Tak wygląda lisia mądrość. Przecież my, wilkołaki, z natury jesteśmy liberałami, mniej więcej tak jak dusza z natury jest chrześcijanką. I co ja piszę? Nie, c o j a p i s z ę? Okropność. Ale przynajmniej wiadomo, skąd się to wszystko wzięło. O dziennikarzach-spintriach - zaczerpnęłam od kagebistów. A o kagebistach - od dziennikarzy-spintriów. Nic się na to nie poradzi: jeżeli lisica usłyszy jakąkolwiek opinię, na pewno ją wypowie w swoim imieniu. Bo

³⁵ „Nadeszło lato i lżej się żyje” (ang.) - kołysanka z opery Gershwina *Porgy i Bess* (przyp. aut.).

jakże inaczej? Własnego zdania na te tematy nie mamy (tego by jeszcze brakowało), a żyć pośród ludzi trzeba. No i odbija się piłeczki. Jak to jednak dobrze, że nie muszę pisać książki o Rosji. No bo co ze mnie za Solżenicyn w Jasnej Polanie? Żyć bez fałszu. Ha! Ale znów odbiegłam od tematu.

Rzadko rozmawiałam z Aleksandrem na temat przyczyn jego homofobii (nie lubił o tym mówić), ale byłam pewna, że jej korzeni szukać należy w kryminalnych katakumbach rosyjskiej świadomości. Jego homofobia sięgała tak głęboko, że odrzucał wszystko, co miało choćby cień błękitu. Przy czym dopatrywał się tej niebieskości w najbardziej nieoczekiwanych miejscach: uważał na przykład, że wiersz Bunina *Kurek na kościele* poświęcony jest trudnej sytuacji gejów w carskiej Rosji. Kiedy mi to powiedział, wyobraziłam sobie szansonistę na dzwonnicy, usiłującego śpiewem wykupić swoje jaja od pijanej procesji („śpiewa o tym, o czym wiemy, że wciąż żyjemy, że umrzemy, że idą lata...”³⁶).

- Czemu tak nie lubisz gejów? - spytałam.

- Bo postępują wbrew naturze.

- Ale przecież to właśnie natura ich stworzyła. Więc jak mogą występować przeciw niej?

- A tak - odparł. - Dzieci są ukryte w seksie, jak pestki w arbuzie. A pedały - to ci, którzy walczą o prawo jedzenia arbuza bez pestek.

- Z kim walczą?

- Z arbuzem. Wszystkim pozostałym od dawna to wisi. Ale arbuzy nie może istnieć bez pestek. Dlatego właśnie twierdzą, że występują przeciw naturze. Może nie?

- Znałam jednego arbuza - powiedziałam - który uważał, że rozmnożenie arbuzów zależy od umiejętności wmówienia człowiekowi, że łykanie pestek dobrze mu zrobi. Ale arbuzy wyolbrzymiają swoje zdolności hipnotyczne. W rzeczywistości rozmnażanie arbuzów odbywa się za przyczyną procesu, o którym arbuzy nie mają pojęcia, bo nie mogą być jego świadkami. Ponieważ ten proces zaczyna się właśnie tam, gdzie kończy się arbuzy.

- Znowu tak coś pochachmęciłaś, ruda, że ni cholery nie rozumiem - oświadczył Aleksander z niezadowolaniem. - Powiedz to krótko, bez tych pedalskich sztuczek.

Aleksander wyjątkowo nie lubił Luchino Viscontiego. Propozycję, żeby puścić coś tego reżysera (którego uważam za jednego z największych mistrzów dwudziestego wieku), za każdym razem uważał za osobistą obrazę. Zachowałam fragment jednej naszej sprzeczki. Podczas gdy wszystkie inne dialogi w moich zapiskach przytaczam z pamięci, ten cytuję

³⁶ Przekład Adama Pomorskiego.

dokładnie: rozmowa przypadkowo nagrała się na dyktafon. Przytaczam ją dlatego, że chcę jeszcze raz usłyszeć głos Aleksandra - posłucham go sobie, zapisując.

AS: *Śmierć w Wenecji*? A dajże spokój, ruda! Uważasz mnie za jakiegoś pedała?

AH: No to może puścimy *Portret rodzinny we wnętrzu*?

AS: Nie. Chcę coś Takeshiego Kitano. Jak Zatoichi wymierza karę gejszy-morderczyni... A potem gejsza-morderczyni wymierza karę Zatoichiemu.

AH: Ale ja nie chcę. Puśćmy jeszcze raz *Przeminęło z wiatrem*.

AS: Mowy nie ma. Tam są długie schody.

AH: Jakie schody?

AS: Którymi muszę cię nieść do sypialni. A ty na dodatek pięć razy je wydłużasz. Zeszłym razem byłem cały mokry. Poważnie. Chociaż niby nie wstawaliśmy z kanapy.

AH: Ktoś czasem powinien nosić mnie na rękach... No dobra, tym razem to będą krótkie schody. Zgoda?

AS: Lepiej puśćmy... Chciałbym coś ze strzelaniną.

AH: No to weźmy *Mulholland Drivel* Tam jest strzelanina. No, proszę cię!

AS: A ty znowu swoje. Nie chcę, ile razy mam ci powtarzać. Znajdź sobie pedzia na bulwarze i z nim oglądaj.

AH: Dlaczego pedzia? Tam są lesbijki.

AS: A co za różnica?

(Dalej w nagraniu jest pauza, słychać szelest i postukiwanie. Grzebię wśród rozsypanych na podłodze kaset.)

AH: Słuchaj, tu jest film według Kinga. *Dream catcher*. Widziałeś to?

AS: Nie.

AH: To spróbujmy. Nie będziemy ludźmi, tylko kosmitami.

AS: A jak ci kosmici wyglądają?

AH: Mają zębate pionowe usta przez całe ciało i oczy po bokach. Wyobrażasz sobie, jaki byłby pocałunek z krwią? A jednocześnie to jest pochwa. Myślę, że oni w ten sposób się rozmnażają.

AS: Moja droga, ohydy mam dosyć w pracy. Znajdź coś bardziej romantycznego.

AH: Romantycznego... Romantycznego... O jest *Matrix2*. Chcesz przelecieć Keanu Reevesa?

AS: Nie bardzo.

AH: No to ja go przeleczę.

AS: Nie zgadzam się. A jest *Matrix3*?

AH: Jest.

AS: Tam może być coś ciekawego z tymi maszynami.

AH: Jakimi?

AS: No, są tam takie człekokształtne roboty, w których siedzą ludzie. Ostrzeliwiają się przed tymi czarnymi ośmiornicami. Więc wyobraź sobie, że taki robot złapał czarną ośmiornicę i...

AH: Słuchaj, czy ty masz dwanaście lat?

AS: No to won z *Matriksem*.

(Znów jakiś chrobot. Zdaje się, że przechodzę do stosów CD.)

AH: A *Władca pierścieni*?

AS: Znowu wymyślisz coś obrzydliwego.

AH: Hobbitowi się nie podłożę, tego możesz być pewien. Czemu ty się tak wszystkiego boisz? Myślisz, że dowiedzą się w pracy? Chodzi ci o oblicze moralne?

AS: Dlaczego zaraz „boisz”? Po prostu nie chcę.

AH: Słuchaj, tu są filmy po angielsku. Ciekawy zestaw.

AS: Co na przykład?

AH: *Midnight Dancers... Sex live in LA...*

AS: Nie chcę.

AH: *Versace Murder*?

AS: Nie.

AH: Dlaczego?

AS: Bo nie.

AH: A wiesz, jak geje w Miami mówią zamiast „vice versa”? „Vice³⁷ Versace”. Ileż w tym mrocznych, pokrętnych znaczeń...

AS: Najpierw jeden pedał chędoży drugiego, a potem się zmieniają. I to wszystkie pokrętne znaczenia.

AH: To nastawię, dobrze?

AS: Już ci powiedziałem. Jedź pod pomnik bohaterów Plewny albo do „Darów Morza”, poderwij sobie homosia i zabaluj.

AH: Posłuchaj, nie możesz być takim zacofańcem. Sama czytałam, że nawet w dzikiej przyrodzie są homoseksualne zwierzęta. Owce. Małpy.

AS: Co do małp, to, moim zdaniem, w ogóle nie jest to argument na korzyść pedziów.

³⁷ Wada, nałóg (ang.).

AH: No tak, dobrze cię wyszkolono. Nie do ruszenia. Co to za kasetka, którą masz w ręku?

AS: *Romeo i Julia*.

(Słuchać, jak parskam lekceważąco.)

AH: Wyrzucić ją do śmieci.

AS: A może jeszcze raz obejrzymy?

AH: No, ile razy można?

AS: Ostatni raz. Dobrze? W tej koszulce jesteś wykrapana Julia.

AH: I co mam z tobą zrobić, Romeo? Puszczaj. Ale pod jednym warunkiem.

AS: Jakim?

AH: Potem będzie *Mulholland Drive*.

AS: R-r-r!

AH: Kochanie, coś ty? Już?

AS: R-r-r!

AH: Zaraz, zaraz. Nastawiam. Niedługo będę znała ten film na pamięć. Dwie szanowane świnie w Weronie, gdzie toczy się akcja, są zwaśnione i zmierzają do rozlewu krwi...

AS: U-u-u!

AH: To nie o tobie, wilczyśko. Rozluźnij się. To Szekspir. À propos świni. Nie pamiętam, czy ci to już mówiłam, czy nie. Świnia nie może patrzeć w niebo, ma tak zbudowaną szyję. Masz pojęcie, co to za metafora? Po prostu nie może i już. Pewnie nawet nie wie, że ono jest...

Miłość i tragedia chodzą parami. Pisali o tym Homer i Eurypides, Stendhal i Oscar Wilde. Teraz moja kolej.

Dopóki nie poznałam z własnego doświadczenia, czym jest miłość, uważałam ją za jakiś szczególny rodzaj przyjemności, którą bezogoniaste małpy czerpią z wzajemnego obcowania jako dodatek do seksu. Wyrobiłam sobie ten pogląd na podstawie mnóstwa opisów znalezionych w wierszach i prozie. Skąd mogłam wiedzieć, że pisarze wcale nie przedstawiają miłości taką, jaką jest ona naprawdę, tylko konstruują symulacje słowne, które będą najlepiej wyglądać na papierze? Uważałam się za profesjonalistkę w dziedzinie miłości, ponieważ przez kilka stuleci wmawiałam ją ludziom. Ale co innego pilotować lecący nad Hiroszimę B-29, a zupełnie co innego patrzeć nań z głównego placu tego miasta.

Miłość okazała się zupełnie nie taka, jak o niej piszą. Kojarzyła się raczej śmiesznie niż poważnie, ale to nie znaczy, że można ją było zlekceważyć. Nie przypominała upojenia alkoholowego (najbardziej rozpowszechnione porównanie w literaturze) - ale jeszcze mniej przypominała trzeźwość. Moje postrzeganie świata się nie zmieniło: Aleksander wcale nie wydawał mi się zaczarowanym księciem w czarnym maybachu. Widziałam wszystkie jego okropne wady, ale te, o dziwo, tylko dodawały mu w moich oczach uroku. Mój rozsądek pogodził się nawet z jego dzikimi poglądami politycznymi i zaczął się w nich dopatrywać jakiejś surowej, północnej pierwotności.

Miłość absolutnie nie miała sensu. Ale za to nadawała sens całej reszcie. Uczyniła moje serce lekkim i pustym jak balonik. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje. Nie dlatego jednak, że zgłupiałam - po prostu w tym, co się działo, nie było nic do rozumienia. Ktoś może powie, że taka miłość nie jest głęboka. A, moim zdaniem, to, w czym jest głębia - to już nie miłość, to wyrachowanie albo schizofrenia.

Ja sama nie podejmuję się powiedzieć, czym jest miłość - zapewne ją i Boga można określić tylko poprzez to, czym nie są. Ale to też będzie błąd, albowiem są wszystkim. Pisarze zaś, którzy piszą o miłości, to oszuści, a największym z nich jest Lew Tołstoj z pałką *Sonaty Kreutzerowskiej* w rękach. Choć, co prawda, Tołstoja szanuję.

Skąd mogłam wiedzieć, że nasza romantyczna przygoda okaże się dla Aleksandra zgubna? Oscar Wilde powiedział: *Yet each man kills the thing he loves...*³⁸ Pisarz żył w epoce prymitywnego antropocentryzmu, stąd słowo *man* (zresztą i seksizm był wtedy tolerowany, zwłaszcza u gejów). Ale poza tym trafił w sedno. Przyniosłam zgubę zwierzowi, the Thing. Piękna zabiła Bestię. I narzędziem mordy okazała się sama miłość.

Pamiętam, jak się zaczął ten dzień. Po obudzeniu długo leżałam na wznak, wydobywając się z głębin bardzo przyjemnego snu, którego za nic nie mogłam sobie przypomnieć. Wiedziałam, że w takich wypadkach trzeba leżeć bez ruchu, nie otwierając oczu, w tej samej pozycji, w której się obudziliśmy, i wtedy sen może wypłynąć z pamięci. Tak też się stało - po jakiejś minucie przypominałam sobie.

Śnił mi się fantastyczny ogród, zalany słońcem i pełen szczebiotu ptaków. W oddali widać było smugę białego piasku i morze. Przedemną wznosiła się pionowa skała, a w niej pieczara zamknięta kamienną płytą. Musiałam odsunąć tę płytę, ale była ciężka, i w żaden sposób nie mogłam tego dokonać. Zebrałam wszystkie siły, zaparłam się nogami w ziemię, napięłam mięśnie i pchnęłam. Płyta upadła na bok i ukazał się czarny otwór wejściowy. Powiało stamtąd wilgocią i zastarzałym smrodem. A potem z ciemności na spotkanie

³⁸ Każdy człowiek zabija to, co kocha (ang.).

słonecznego dnia wyszły kury - jedna, druga, trzecia... Było ich tak dużo, że pomyliłam się w rachunku. Ciągłe szły i szły ku światłu i szczęściu, i nic teraz nie mogło im przeszkodzić - zrozumiały, gdzie jest wyjście. Zobaczyłam pośród nich tamtą, swoją - brązową z białą łapą, i pomachałam jej łapą (we śnie zamiast rąk miałam łapy, jak w czasie suprafizycznej przemiany). Nawet na mnie nie spojrzała, po prostu przebiegła obok. Ale mnie wcale nie było przykro.

Co za nadzwyczajny sen, pomyślałam i otworzyłam oczy.

Na ścianie drżała plamka słonecznego światła. Było to moje wirtualne miejsce pod słońcem, które dostało mi się bez żadnej walki - plamkę rzuciło małe lusterko, które odbijało na ścianę padający z góry promień. Pomyślałam o Aleksandrze i o naszej miłości. Była równie niewątpliwa, jak ten podrygujący żółty zajaczek na ścianie. Dziś powinno zajść między nami coś niezwykłego, coś naprawdę cudownego. Nie zastanowiwszy się jeszcze, co mu powiem, sięgnęłam po telefon.

- Halo - odezwał się.

- Witaj. Chcę cię zobaczyć.

- To przyjeżdż - powiedział. - Ale będziemy mieli mało czasu. Wieczorem wylatuję na północ. Mam góra trzy godziny.

- To mi wystarczy - odparłam.

Taksówka wiozła mnie powoli, światła nie zmieniały się przez całą wieczność, i na każdym skrzyżowaniu czułam, że jeszcze kilka sekund oczekiwania, a serce wyskoczy mi z piersi.

Kiedy wysiadłam z windy, Aleksander zdjął maskę z twarzy i wciągnął nosem powietrze.

- Chyba nigdy nie spowszednieje mi twój zapach. Niby go pamiętam, a jednak za każdym razem się okazuje, że utkwilo mi w pamięci coś całkiem innego. Będę ci musiał wyrwać kilka włosów z ogona.

- Po co? - spytałam.

- No... Będę je nosił w medalionie na piersi - powiedział. - I od czasu do czasu wyjmował i wachał. Jak średniowieczny rycerz.

Uśmiechnęłam się - swoje wyobrażenia na temat średniowiecznych rycerzy Aleksander najwyraźniej czerpał z kawałów. I może właśnie dlatego były tak bliskie prawdy. Rycerze oczywiście nie nosili w medalionach włosów z ogonów - któż by im je dał - ale w całości obraz był wiarygodny.

Zauważyłam obok kanapy nowy sprzęt - stojącą lampę w kształcie ogromnego kieliszka do martini. Był to usiany żarówkami stożek na wysokiej cienkiej nóżce.

- Coś pięknego. Skąd to masz?

- Prezent od hodowców renów - wyjaśnił Aleksander.

- Hodowców renów? - zdziwiłam się.

- Dokładnie od kierownictwa hodowców renów. Fajne chłopaki z Nowego Jorku. Ładna, prawda? Jak oko ważki.

Nagle tak strasznie zapragnęłam rzucić się na niego i zmiażdżyć go w objęciach, że ledwie ustałam w miejscu. Bałam się, że jeśli zrobię krok w jego stronę - buchnie między nami snop iskier. On najwyraźniej też coś poczuł.

- Jesteś dziś jakaś dziwna. Nie nałykałaś się czegoś przypadkiem? A może nawąchałaś?

- Boisz się? - spytałam, patrząc nań spod oka.

- Ha - powiedział. - Widziałem straszniejsze rzeczy.

Zacząłam wolno obchodzić go dookoła. Uśmiechnął się i ruszył w przeciwną stronę po tym samym łuku, nie odwracając ode mnie oczu - jakbyśmy byli parą szermierzy z *Animatriksa*, którego tak lubił oglądać, zaczepiwszy się o mnie swoim kosmatym szarym hakiem (oto gdzie było prawdziwe łącze - nie to, co na ekranie). Potem jednocześnie się zatrzymaliśmy. Podeszłam do niego, oparłam dłoń na jego pagonach, przyciągnęłam go do siebie i po raz pierwszy od początku naszego związku pocałowałam w usta - tak jak to robią ludzie.

Dawniej nigdy się tak nie całowałam. Mam na myśli pocałunek fizyczny, ustami. Było to dziwne odczucie - mokre, ciepłe, z lekkim stukiem zębów o zęby. Włożyłam w ten pierwszy pocałunek całą swoją miłość. A w następnej sekundzie u Aleksandra zaczęła się transformacja.

Najpierw wszystko wyglądało dokładnie tak jak zwykle - ogon wysunął się (a raczej wręcz wyskoczył) z kręgosłupa, wygiął się i pomiędzy nim a głową Aleksandra naciągnęła się niewidzialna energetyczna nić. Zazwyczaj w kilka chwil później stawał się wilkiem. Ale teraz coś się rozregulowało. Zadygotał spazmatycznie i runął na wznak, jakby jego ogon nagle stał się tak ciężki, że go powalił. Potem ze straszną szybkością zaczęły mu drgać ręce i nogi (tak dzieje się z ludźmi w wyniku urazu czaszki), i w kilka sekund zamienił się w czarnego bezpańskiego, a nawet wręcz śmietnikowego - psa.

Tak, w psa. Był wielkości owczarka, ale wyraźnie skundlony. Jego pokraczne proporcje zdradzały mieszanekę mnóstwa różnych ras, a oczy były mądre, jasne, złe i niemal

ludzkie, jak u bezpiecznych psów, nocujących pod wejściami do metra razem z bezdomnymi. W dodatku ten pies był koloru granatowoczarneho, a nawet fioletowoczarneho, kropka w kropkę jak broda Asłana Udojewa.

Czy to z powodu maści, czy ostrych, nastawionych uszu, jakby łowiących ledwie uchwytny, odległy dźwięk, czuło się w tym psie jakieś diabelstwo: nasuwały mi się myśli o krukach kołujących nad szubienicą, o czymś demonicznym... Zdaję sobie sprawę, że kiedy taka istota jak ja mówi „nasuwały mi się myśli o czymś demonicznym”, brzmi to dziwnie, ale nic na to nie poradzę, taka jest prawda. Najstraszniejszy jednak był jęk przerażenia, który może mi się przywidział, a może rzeczywiście rozległ się ze wszystkich stron - jakby zajęczała sama ziemia.

Złękłam się tak, że wrzasnęłam. Odskoczył ode mnie, odwrócił się do lustra, spojrzął, wzdrygnął się i zaskowyczał. Dopiero wtedy przyszedł do siebie. Teraz już rozumiałam, że stało się z nim coś strasznego, jakaś katastrofa, i że ja jestem temu winna. Katastrofę wywołał mój pocałunek, to miłosne zwarcie elektryczne, które spowodowałam, wpijając się wargami w jego usta.

Usiadłam obok i objęłam go za szyję. Ale on się wyrwał, a kiedy próbowałam go zatrzymać, ugryzł mnie w rękę. Może niezbyt mocno, ale w dwóch miejscach pokazała się krew. Pisnęłam i odskoczyłam. On rzucił się do drzwi drugiego pokoju, pchnął je łapami i zniknął za nimi.

Nie wychodził przez całą godzinę. Rozumiałam, że chce być sam, i nie zakłócałam jego samotności. Ogarnął mnie strach - bałam się, że lada chwila usłyszę strzał (już raz groził, że się zastrzeli, z zupełnie błahego powodu). Ale zamiast strzału usłyszałam muzykę. Nastawił *I Follow the Sun*. Gdy piosenka dobiegła końca, nastawił ją znowu. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Widać jego dusza potrzebowała tlenu.

A ja nadal siedziałam na dywanie przed kanapą. Kiedy tylko trochę się uspokoiłam, zaczęły mi przychodzić do głowy różne wytłumaczenia tego, co się stało. Przede wszystkim przypomniałam sobie zmarłego lorda Cricketa i jego wykład o smoczniej sile, spływającej w dół po ogonie. Naturalnie, usłyszawszy słowo „arcywilkołak”, uznałam wszystkie jego teorie za brednie, za girlandę cuchnących pęcherzy w bagnie profanicznego ezoteryzmu. Jednak jakiś aspekt tego, co przed chwilą widziałam, nadał słowom lorda pewną wagę.

Przed transformacją Aleksander upadł na podłogę. Jak gdyby ktoś pociągnął go za ogon. Albo jak gdyby ogon zrobił się nagle niewiarygodnie ciężki. W każdym razie stało się coś niezwykłego, coś, co zupełnie go zaskoczyło - i było to związane z jego organem sugestii.

A lord Cricket mówił, że przeistoczenie wilka w to, co nazywał „arcywilkołakiem”, następuje, kiedy kundalini opuści się na sam koniec ogona. Poza tym...

To było najbardziej niewiarygodne. Poza tym mówił o niezbędnej przy tym „inwoltacji ciemności”, o duchowym wpływie „starszej osobowości demonicznej”...

*Little me?*³⁹

Trudno było w to uwierzyć. Z drugiej strony, słowa nieżyjącego lorda istotnie mogły zawierać przypadkową okruszynę prawdy, znaną przez tego Allistera Crowleya. Na świecie odbywa się całe mnóstwo tajnych zebrań i mistycznych rytuałów - i do licha, nie wszystkie są całkowitą szarlatanerią. Jedno nie ulegało wątpliwości - ja odegrałam w tym wydarzeniu decydującą rolę. Może stałam się katalizatorem jakiejś tajemniczej reakcji alchemicznej. Jak powiedział Haruki Murakami, siła emanująca od kobiet jest niewielka, ale może wstrząsnąć sercem mężczyzny...

Najstraszniejsze było przeświadczenie o nieodwracalności tego, co się stało - takie rzeczy wilkołak postrzega bezbłędnie. Czułam, że Aleksander nigdy już nie będzie taki jak dawniej. I nie były to tylko przeczucia, wiedziałam to ogonem. Jak gdybym upuściła drogocenną wagę, która rozbiła się na tysiące kawałków - i teraz nie można już jej skleić.

Zebrawszy się na odwagę, podeszłam do drzwi, za którymi zniknął, i otworzyłam je.

Nigdy wcześniej tam nie wchodziłam. Pokoik był malutki, coś w rodzaju garderoby. Znajdował się w nim stolik, fotel i szafa biegnąca półkołem pod ścianami. Na stole stał malutki magnetofon cyfrowy. Kolejny raz leciała piosenka *Shocking Blue*, obiecując ścigać słońce aż do końca czasów.

Aleksander był zmieniony nie do poznania. Zdążył się przebrać - teraz nie miał na sobie munduru generalskiego, tylko ciemnoszarą marynarkę i czarny T-shirt. Nigdy dotąd nie widziałam go w takim stroju. Przede wszystkim jednak jakaś nieuchwytna zmiana zaszła w jego twarzy - oczy były jakby bliżej osadzone i jaśniejsze. Poza tym zaś zmienił się ich wyraz - pojawiła się w nich rozpacz, zrównowazona wściekłością: myślę, że tylko ja mogłam rozłożyć na części składowe jego pozornie spokojne spojrzenie. To był on, a zarazem nie on. Ogarnął mnie strach.

- Sasza - odezwałam się cicho.

Podniósł na mnie oczy.

- Pamiętasz bajkę o czerwonym kwiatuszku?

- Pamiętam - powiedziałam.

- Dopiero teraz zrozumiałem jej znaczenie.

³⁹ Tu: Chodzi o mnie? (ang.).

- No i?

- Miłość nie przeobraża. Ona po prostu zrywa maski. Myślałem, że jestem księciem. A okazało się... To właśnie jest moja dusza.

Poczułam, że do oczu nabiegają mi łzy.

- Nie waż się tak mówić - szepnęłam. - To nieprawda. Nic nie rozumiałeś. Dusza nie ma z tym nic wspólnego. To... To jest jak...

- Jak wykluć się z jajka - powiedział ze smutkiem. - Z powrotem nie możesz się wkluć.

Niezwykle precyzyjnie wyraził moje własne odczucia. A więc przemiana naprawdę była nieodwracalna. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Chciałam się zapaść pod podłogę, potem pod ziemię, i tak w nieskończoność... Ale on nie uważał mnie za winną. Przeciwnie, wyraźnie dał mi do zrozumienia, że przyczynę tego, co zaszło, widzi w sobie. Jakież to jednak szlachetne serce, pomyślałam.

Wstał.

- Zaraz lecę na północ - powiedział i czule pogładził mnie po policzku. - Będzie, co ma być. Zobaczymy się za trzy dni.

Pojawił się po dwóch dniach.

Nie spodziewałam się go tego ranka i instynkt niczego mi nie podpowiedział. Pukanie do drzwi było dziwne, słabe. Gdyby to była milicja, inspekcja pożarowa, sanepid, architekt rejonowy czy jeszcze jacyś inni nosiciele idei narodowej, odgłos byłby inny: wiem, jak pukają, kiedy przychodzą po pieniądze. Uznałam, że to stara sprzątaczką, która sprząta trybuny. Niekiedy prosiła mnie o wrzątek. Dałam jej w prezencie dwa czajniki elektryczne, ale i tak wpadała - pewnie czuła się osamotniona.

Za drzwiami stał Aleksander - trupio blady, z sinymi podkowami pod oczyma i długim zadrapaniem na lewym policzku. Był w pogniecionym letnim płaszczu. Pachniało od niego alkoholem - nie przetrawionym, ale jakby prosto z butelki, świeżym spirytusem. Nie znałam go wcześniej od tej strony.

- Jak mnie znalazłeś? - spytałam.

Głupsze pytanie trudno byłoby wymyślić. Nawet nie próbował na nie odpowiadać.

- Nie mam czasu. Możesz mnie ukryć?

- Jasne - powiedziałam. - Wejdz.

- To miejsce się nie nadaje. Nasi ludzie o nim wiedzą. Masz coś jeszcze?

- Tak, mam. Wejdz, obgadamy wszystko.

Pokręcił głową.

- Chodźmy zaraz. Za pięć minut będzie za późno.

Zrozumiałam, że sprawa jest poważna.

- Dobrze - zgodziłam się. - Wrócimy tu jeszcze?

- Raczej nie.

- No to wezmę torbę. I rower. Wejdiesz?

- Poczekam tutaj.

Kilka minut później szliśmy już leśną ścieżką, oddalając się od stadionu. Prowadziłam rower; na ramieniu miałam ciężką torbę, ale Aleksander nawet nie próbował mi pomóc. To było zupełnie do niego niepodobne, ale czułam, że ledwo idzie.

- Długo jeszcze? - zapytał.

- Z pół godziny spokojnym krokiem.

- Co to za miejsce?

- Zobaczysz.

- Pewne?

- Nie znam pewniejszego.

Prowadziłam go do swojego prywatnego schronu przeciwbombowego.

Często się zdarza, że przygotowania poczynione na wypadek wojny w innej epoce znajdują inne zastosowanie. W latach osiemdziesiątych wszyscy się spodziewali, że zimna wojna zakończy się gorącą - taki obrót sprawy zapowiadały co najmniej dwie rzeczy:

1) w sklepach pojawiła się tuszonka ze stalinowskich zapasów strategicznych, przygotowanych na wypadek trzeciej wojny światowej (te konserwy łatwo było rozpoznać po braku marki na puszcze, po specyficznym, żółtawym odcieniu metalu, warstwie gęstej wazeliny i zawartości całkowicie pozbawionej smaku i nawet koloru);

2) amerykański prezydent nazywał się Ronald Wilson Reagan. Każde z jego imion i nazwisko składało się z sześciu liter, co dawało apokaliptyczną liczbę bestii - 666, o czym często pisało z niepokojem pismo „Kommunist”. Na dodatek nazwisko „Reagan” wymawiało się tak jak *ray gun*, działo laserowe - to ostatnie zauważyłam sama.

Jak się okazało po kilku latach, wszystkie te znaki zapowiadały nie wojnę, ale upadek ZSRR: *upper rat* dał ciała, wypełniając w ten sposób pierwszą część swojej wielkiej geopolitycznej misji. W tamtych czasach jednak wojna wydawała się całkiem prawdopodobna, i zastanawiałam się, co będę robić, kiedy wybuchnie.

Te myśli podsunęły mi prostą decyzję. Już wtedy mieszkałam w pobliżu parku Bitcewskiego i często natrafiałam w jego pociętych wąwozami głębiach na tajemnicze betonowe rury, studnie i kanały. Te podziemne niedokończone konstrukcje pochodziły z różnych radzieckich epok, co było widać po gatunku betonu. Jedne były elementami systemu irygacyjnego, inne miały jakiś związek z podziemnymi przekąźnikami ciepła i kablami, jeszcze inne w ogóle nie dawały się zidentyfikować, ale chyba miały coś wspólnego z systemem obrony.

Większość ich znajdowała się na widoku. Jednakże jedna taka nora nadawała się do moich celów. Była ukryta w nieprzebytych zaroślach, zbyt daleko od zamieszkanego terenu, by zbierała się tam pijąca młodzież albo parki. Nie prowadziły tu leśne ścieżki, i przypadkowy spacerowicz z pewnością nie zabrnąłby w to miejsce. A wyglądało to tak: w ciasnym wąwozie z ziemnej ściany wychodziła betonowa rura o średnicy około metra. W odległości kilku kroków od jej brzegu zaczynało się przeciwległe zbocze wąwozu, toteż trudno było dostrzec rurę z góry. Pod ziemią rozwidlała się na dwie nieduże komnatki. W jednej z nich znajdowała się tablica rozdzielcza i nawet oprawka do żarówki, wisząca na wbitym w beton haku - widać przebiegał tu podziemny kabel elektryczny.

Kiedy znalazłam to miejsce, w środku nie było śladów życia, tylko resztki budowlanych śmieci i gumiak z podartą cholewą. Stopniowo zgromadziłam tam konserwy, słoiki z miodem, wietnamskie bambusowe maty i koce. Ale zamiast wojny zaczęła się pierestrojka, i schron przestał być potrzebny. Niemniej od czasu do czasu przeprowadzałam inspekcję tego miejsca, które w myślach nazywałam „bunkrem”.

Oczywiście wszystkie zapasy się zepsuły, ale samego miejsca nikt nie odkrył: przez cały okres demokratyczny tylko raz próbował się tu wprowadzić bezdomny (który najwidoczniej przyczołgał się w delirium po dnie wąwozu, a potem wlaźł do rury). Musiałam przeprowadzić seans ostrej hipnozy - boję się, że biedak zapomniał nie tylko o tym wąwozie, ale o wielu innych rzeczach. Po tym zdarzeniu wywiesiłam u wejścia talizman ochronny, czego zazwyczaj unikam, ponieważ zapłata za magię zmieniającą naturalny bieg rzeczy prędzej czy później jest śmierć. Tu jednak ingerencja była minimalna.

Kiedy Aleksander poprosił, żebym go ukryła, od razu pomyślałam, że lepsze miejsce trudno znaleźć. Ale dotarcie tutaj okazało się niełatwe - Aleksander szedł coraz wolniej, często się zatrzymując dla złapania tchu.

Wreszcie doszliśmy do wąwozu. Oślaniała go rozrośnięta leszczyna i jakieś rośliny z gatunku baldachowatych, których nazwy wciąż zapominałam - zawsze urastały tu do

potwornych rozmiarów, prawie jak drzewa, i bałam się, że to z powodu radiacji czy skażenia chemicznego. Aleksander z trudem zszedł do wąwozu, pochylił się i wczułgał do rury.

- Na prawo czy na lewo?

- Na lewo - powiedziałam. - Zaraz zapalę światło.

- Oho, masz tu nawet światło. Niezła melina - wymamrotał.

Pomogłam mu zdjąć płaszcz i ułożyłam go na matach. Dopiero teraz spostrzegłam, że jego szara marynarka jest przesiąknięta krwią.

- Dostałem - powiedział. - Dwie czy trzy kule. Będziesz umiała je wyjąć?

Zdażyłam wrzucić do torby swój przyborek. Pewne doświadczenie medyczne już miałam - co prawda, ostatni raz robiłam to bardzo dawno i wyjmowałam z męskiego ciała nie kule, lecz groty strzał. Ale to nie była istotna różnica.

- Tak - powiedziałam. - Tylko się nie drzyj.

Przez cały czas zabiegu - a trwało to dość długo - nie wydał żadnego dźwięku. Po jakimś moim szczególnie niezręcznym poruszeniu narzędziem jego milczenie stało się tak przytłaczające, że się przestraszyłam, czy nie umarł. Ale on sięgnął po butelkę z resztką wódki i pociągnął łyk. Wreszcie wszystko było skończone. Mocno go poharatałam, ale wyjęłam trzy srebrne grudki - na dwóch pozostały wbite włosy czarnej sierści, i zrozumiałam, że strzelano do niego, kiedy był... Nie wiedziałam, jak nazwać jego nową postać - słowo „pies” wydawało mi się obraźliwe.

- Gotowe - oznajmiłam. - Teraz trzeba zabezpieczyć ranę sterylnym opatrunkiem. Ty tu poleż, a ja skoczę do apteki. Kupić ci coś?

- Tak. Kup łańcuch i obrożę.

- Co?

- Nie, nic - odrzekł i spróbował się uśmiechnąć. - Żartowałem. Lekarstwami nie zawracaj sobie głowy, zagoi się jak na psie. Kup kilka jednorazowych maszynek do golenia i piankę. I wodę mineralną. Masz pieniądze?

- Mam. Nie denerwuj się.

- I nie idź do siebie. W żadnym razie. Tam już na pewno czekają.

- Nie musisz mi mówić, sama wiem - powiedziałam. - Słuchaj... Przypomniałam sobie. Michałycz ma taki przyrząd, który określa miejsce pobytu. Przez nadajnik. Może w moich rzeczach został taki nadajnik?

- Nie bój się. Zakpił sobie z ciebie. Nie mamy żadnych nadajników. Znaleźli cię przez sprzątaczkę, która przychodzi do ciebie po wrzątek. Baba pracuje u nas od osiemdziesiątego piątego roku.

Póki życia, póty nauki.

Kiedy po kilku godzinach wróciłam z dwiema torbami zakupów, Aleksander spał. Usiadłam obok i długo wpatrywałam się w jego twarz. Była spokojna jak u dziecka. A na podłodze stała szklanka, w której leżały trzy srebrne zakrwawione grudki. Wilkołaka trudno jest zabić. Choćby taki Michałycz - można go walić po łbie, a on coraz weselszy. Szampan mi uderzył do głowy, powiada... Dowcipniś. Tutaj są, co prawda, kule, a nie szampan, ale i tak dla mojego Saszeńki to głupstwo.

Jakże pomocny dla naszej *community* jest mit o tym, że wilkołaka można zabić tylko srebrną kulą!

1) rany nigdy nie ropieją i niepotrzebna jest dezynfekcja - srebro jest naturalnym antyseptykiem;

2) trafia nas mniej kul - ludzie oszczędzają cenny kruszec i często wyruszają na polowanie z jednym jedynym nabojem, zakładając, że każde trafienie będzie śmiertelne.

Ale w prawdziwym życiu strzał o wiele częściej okazuje się śmiertelny dla myśliwego. Gdyby ludzie mieli trochę oleju w głowie, pewnie by się domyślili, kto rozpuszcza pogłoski o srebrnych kulach. Ludzie jednak wprawdzie myślą dużo, ale nieprawidłowo, i wcale nie o tym, o czym powinni.

W torbach, które przyniosłam, były produkty żywnościowe oraz to i owo z gospodarstwa domowego. Kiedy zesłam do wąwozu i zaczęłam to wszystko wlec przez ciemną betonową rurę, nie różniłam się niczym od tysięcy zamężnych młodych Rosjanek, na których kruche barki spadło prowadzenie domu. To stało się tak nieoczekiwanie i było tak niepodobne do ról, które dotychczas odgrywałam w życiu, że sama nie wiedziałam, czy mi się podoba, czy nie.

O wilkołakach zwykło się myśleć, że nie biorą sobie do serca problemów duchowych. Że zamieni się taki w lisicę albo wilka, zawyje do księżycy, przegryzie komuś gardło i wszystkie sprawy życiowe ma już rozwiązane, no i od razu staje się jasne - kim jest, po co istnieje na tym świecie, skąd przybył i dokąd zmierza... A to nieprawda. Zagadka bytu nurtuje nas o wiele bardziej niż współczesnego człowieka rynkowego. Kinematografia jednak tak czy owak przedstawia nas jako przyziemnych, zadowolonych z siebie obzartuchów, jako miernoty bez żadnej indywidualności, jako nędznych i okrutnych amatorów cudzej krwi.

Nie sędę, co prawda, by ludzie w ten sposób świadomie próbowali nas obrazić. Wypływa to raczej z ich ograniczenia umysłowego. Tworzą nas na swoje podobieństwo, bo nie znają innego wzorca.

Nawet ta odrobina informacji, jaką ludzie mają na nasz temat, jest zazwyczaj potwornie wypaczona i splugawiona. Na przykład, o lisach-wilkołakach krążą pogłoski, jakoby mieszkały one w ludzkich grobach. Słyszac coś takiego, ludzie wyobrażają sobie kości, fetor, rozkładające się trupy. I myślą: jakież to muszą być wstrętne stworzenia, skoro mieszkają w takich miejscach... Coś w rodzaju wielkich robaków ścierwojadów.

Jest to oczywiście błędne przekonanie. Chodzi o to, że dawne grobowce były skomplikowanymi budowlami, złożonymi z kilku suchych i przestronnych komór, do których światło słoneczne wpadało poprzez system luster z brązu (było niezbyt widno, ale na nasze potrzeby światła wystarczało). Taki grobowiec, położony w oddaleniu od ludzkich siedzib, idealnie nadawał się na dom dla istoty obojętnej na ludzką krzątaninę i skłonnej do samotnych medytacji. Teraz odpowiednich grobowców właściwie nie ma: zostały przeorane pługami, pocięte kanałami i drogami. A we współczesnych grobowych komunalkach ciasno jest nawet samym nieboszczykom.

Do tej pory jednak nostalgia ciągnie mnie czasem na cmentarz Wostriakowski - żeby po prostu pospacerować po alejach, porozmyślać o wieczności. Patrzysz na krzyże i gwiazdy, czytasz nazwiska, spoglądasz na twarze na wyblakłych fotografiach i myślisz: ile zrozumiał z życia Kojfer... A ile Sołonian... A ile małżonkowie Jagupolscy... Zrozumieeli wszystko prócz najważniejszego.

I strasznie ci żal tych biedaków - wszak najważniejsze było tak nieprawdopodobnie blisko.

Przed przybyciem do Rosji kilkaset lat przemieszkałam w grobowcu Han, niedaleko miejsca, gdzie było kiedyś miasto Lojang. W grobowcu były dwie spore komory, w których zachowały się piękne kaftany i koszule, gęśle i flet, masa różnych naczyń - w ogóle wszystko, co niezbędne do gospodarstwa i skromnego życia. A ludzie bali się zbliżać do grobowca, ponieważ krążyły słuchy, że mieszka tam groźna siła nieczysta. I jeśli odrzucić przesadną emocjonalność oceny, była to najprawdziwsza prawda.

W tamtych czasach uprawiałam intensywne ćwiczenia duchowe i utrzymywałam kontakty z kilkoma uczonymi ludźmi z okolicznych wsi (chińscy studenci ze swoimi księgami zazwyczaj mieszkali na wsi, na egzaminy jeździli do miasta, a potem, po odbyciu służby urzędniczej, wracali do rodzinnych domów). Niektórzy z nich wiedzieli, kim jestem, i zadrećcali mnie pytaniami o dawne czasy - czy kroniki są prawidłowo sporządzone, czy nie

ma błędów w chronologii, kto zorganizował przewrót pałacowy trzy wieki temu i tak dalej. Musiałam wyteżać pamięć i odpowiadać, jako że w rewanżu uczeni mężowie dawali mi starożytne teksty, w których czasem musiałam to i owo sprawdzić.

Inni, odważniejsi duchem, przychodzili do mnie z wizytami, by poswawolić wśród starych trumien. Chińscy artyści i poeci cenili sobie sam na sam z lisicą, szczególnie po pijanemu. A rano lubili obudzić się w trawie przy omszałym mogilnym kamieniu i krzyżąc ze strachu, pędzić do najbliższej świątyni z rozwianymi na wietrze włosami. To było piękne - przyglądasz się zza drzewa i śmiejesz się w kułak... A po paru dniach przychodzili znowu. Jacyż wzniośli, szlachetni, subtelni ludzie wówczas żyli! Często nawet nie brałam od nich pieniędzy.

Te idylliczne czasy przeleciały szybko i zostały mi po nich jak najlepsze wspomnienia. Dokądkolwiek potem rzuciło mnie życie, zawsze trochę tęskniłam za swoją przytulną mogiłą. Dlatego z radością przeniosłam się do tego leśnego zakątka.

Zdawało mi się, że powróciły dawne dni. Podwójna nora, w której mieszkaliśmy, nawet rozplanowaniem przypominała moje dawne schronienie - co prawda, komory były mniejsze, i teraz spędzałam czas nie samotnie, lecz z Aleksandrem.

Aleksander prędko się przyzwyczał do nowego miejsca. Rany zagoiły mu się szybko - wystarczyło, że na noc zamienił się w psa. Rano też pozostał w tej postaci i wybrał się na spacer po wąwozie. Byłam zadowolona, że nie wstydzi się swego ciała - chyba go ono nawet bawiło, jak nowa zabawka. Podobał mu się, sędzę, nie sam kształt, ale jego stałość: wilkiem mógł być tylko przez krótki czas, a psem - jak długo zechciał.

Co więcej, ten czarny pies potrafił nawet trochę mówić - co prawda, wymawiał słowa bardzo śmiesznie i początkowo śmiałam się do łez. Aleksander się jednak nie obrażał i wkrótce się przyzwyczałam. W pierwszych dniach sporo biegał po lesie, poznawał okolicę. Bałam się, że przez swoje ambicje może zaznaczyć zbyt duży kawałek lasu, ale nie chciałam zadrasnąć jego miłości własnej, mówiąc mu o tym. A zresztą w razie czego mogliśmy się obronić. My... Za nic nie mogłam się przyzwycząć do tego zaimka.

Pewnie dlatego, że nasze schronienie przypominało miejsce, gdzie tyle lat doskonaliłam swego ducha, zapragnęłam podzielić się z Aleksandrem najważniejszymi przemyśleniami o życiu. Musiałam choćby spróbować - bo inaczej cóż warta byłaby moja miłość? Czyż mogłam porzucić go samego w tym lodowatym blichtrze rozwijającego się piekła, które zaczynało się zaraz za lasem? Musiałam wyciągnąć do niego ogon i rękę, bo nikt prócz mnie by tego nie zrobił.

Postanowiłam odsłonić przed nim największą tajemnicę. W tym celu musiał poznać kilka nowych dla siebie idei - i po nich, jak po stopniach, wspiąć się do najwyższej. Ale nawet te wstępne prawdy trudno mu było wyjaśnić.

Rzecz w tym, że słowa, które wyrażają prawdę, są wszystkim znane - a jeśli nie, z łatwością można je w pięć minut znaleźć w Google. Prawdy zaś jako takiej nie zna prawie nikt. To jak obrazek *magic eye* - chaotyczna platanina kolorowych linii i plam, która może się stać trójwymiarowym wizerunkiem przy właściwym skupieniu wzroku. Niby wszystko jest proste, ale skupić wzroku za patrzącego nie może nawet ktoś mu najzyczliwszy. Prawda to właśnie taki obrazek. Wszyscy mają ją przed oczyma, nawet bezogoniaste małpy. Ale mało kto ją widzi. Wielu natomiast myśli, że ją rozumieją. To oczywiście bzdura - w prawdzie, tak jak w miłości, nie ma nic do rozumienia. A bierze się za nią zazwyczaj jakieś wydumane badziewie.

Pewnego razu zwróciłam uwagę na mały szary woreczek, wiszący na szyi Aleksandra na tak samo szarej nici. Domyśliłam się, że kolor był dobrany do maści wilczej sierści - żeby woreczek nie był widoczny, kiedy Aleksander zamienia się w wilka. Teraz jednak, na czarnym tle, rzucał się w oczy. Postanowiłam zapytać o to wieczorem, kiedy Sasza będzie w dobrym humorze.

Miał zwyczaj wypalać przed snem cuchnące kubańskie cygaro, Montecristo III albo Cohiba Siglo IV, znałam marki, bo to ja musiałam po nie biegać. To był najlepszy moment na rozmowę. Jeżeli ktoś nie wie - palenie wywołuje w mózgu wydzielanie się dopaminy, substancji, która odpowiada za uczucie zadowolenia: palacz pożycza to zadowolenie od swojej przyszłości i zamienia je w problemy ze zdrowiem. Wieczorem usiedliśmy na progu naszego schronienia i Aleksander zapalił (kopcić w środku mu nie pozwalałam). Oczekałam, aż cygaro skróci się do połowy, i zapytałam:

- Słuchaj, co masz w tym woreczku na szyi?

- Krzyż - odparł.

- Krzyż? Ty nosisz krzyż?

Kiwnął głową.

- A dlaczego go chowasz? Przecież teraz wolno.

- Może i wolno - powiedział - ale on mnie pali w pierś, kiedy się przeobrażam.

- Boleśnie?

- Nie, nie boleśnie, ale za każdym razem pachnie spaloną sierścią.

- Chcesz, to cię nauczę pewnej mantry - zaproponowałam. - Wtedy żaden krzyż niczego ci nie będzie przypalał.

- No wiesz co! Mam powtarzać twoje diabelskie mantry, żeby krzyż mnie nie parzył?
Czy ty nie rozumiesz, jaki by to był grzech?

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

- Zaczekaj. Czy ty naprawdę jesteś wierzący?

- Jasne - odparł. - Oczywiście, że wierzący.

- W sensie prawosławnego dziedzictwa kulturowego? Czy serio?

- Nie rozumiem tego przeciwstawienia. To przecież o nas powiedziane jest w Piśmie Świętym „wierzą i lękają się”. I ja też wierzę i lękam się.

- Ale przecież ty jesteś wilkołakiem, Sasza. Czyli według wszystkich prawosławnych pojęć, masz przed sobą tylko jedną drogę - do piekła. Ciekawe, czemu wybrałaś sobie taką wiarę, zgodnie z którą musisz iść do piekła?

- Wiary się nie wybiera - rzekł pośepnie Aleksander. - Tak samo jak ojczyzny.

- Ale przecież religia jest po to, żeby dawać nadzieję na zbawienie. Na co ty masz nadzieję?

- Że Bóg wybaczy mi ciemne sprawy.

- Jakież ty ciemne sprawy masz na sumieniu?

- Wiadomo jakie. Utraciłem Obraz Boży. No i ty...

Omam się nie zakrzusiłam ze złości.

- Znaczą, że nie uważasz mnie za coś najjaśniejszego i najczystszonego, co ci się przydarzyło w twoim wilczym życiu, tylko na odwrót, za ciemną sprawkę, którą będziesz musiał odkupić? Mnie, ty podłe wilczyko?

Wzruszył ramionami.

- Kocham cię, przecież wiesz. Nie chodzi o ciebie osobiście. Po prostu żyjemy ze sobą, tego... no...

- Co - tego?

Aleksander wypuścił kłęb dymu.

- W grzechu...

Mój gniew momentalnie wygasł. Zamiast tego zrobiło mi się tak wesoło, jak dawno mi nie było.

- Tak, to ciekawe - powiedziałam, czując, jak w gardle wzbiera mi śmiech. - Więc ja jestem twoim grzechem, tak?

- Nie ty - odrzekł cicho - tylko...

- Co?

- Ogonorozpusta - rzekł całkiem cicho i spuścił oczy.

Przygryzłam wargę. Wiedziałam, że w żadnym wypadku nie wolno mi się roześmiać - Aleksander zwierzył mi się ze swej największej tajemnicy. I nie roześmiałam się. Kosztowało mnie to jednak tyle wysiłku, że na moim ogonie na pewno pojawił się jeszcze jeden srebrny włoszek. No, no, nawet nazwę wymyślił.

- Tylko się nie obrażaj - powiedział Aleksander. - Mówię ci wszystko szczerze, tak jak czuję. Jeśli chcesz, będę kłamał. Ale wtedy nie ma sensu, żebyśmy rozmawiali.

- Tak - odparłam - masz rację. Po prostu wszystko to jest takie nieoczekiwane.

Przez kilka minut milczeliśmy, patrząc, jak kołyszą się na wietrze rozrośnięte baldachy.

- I od dawna tak... wierzysz? - spytałam.

- Już jakieś pięć lat.

- A ja myślałam, że skłaniasz się bardziej do panteonu nordyckiego. Fafnir, Nagelfahr, Fenrir, Loki. Sny Baldera...

- To wszystko też. - Aleksander uśmiechnął się wstydliwie. - Tylko że to jest powłoka zewnętrzna. Jakby obramowanie, estetyka. No wiesz, tak jak sfinksy nad Newą.

- Jak doszedłeś do takich przekonań?

- W młodości fascynował mnie Castaneda. A potem przeczytałem w jednej z jego książek, że świadomość jest pokarmem Orła. Orzeł to jakiś mroczny rodzaj Boga, tak to rozumiałem. W ogóle to nie jestem tchórzem, ale na tę myśl poczułem strach... No i krótko mówiąc, zwróciłem się do prawosławia. Mimo zdecydowanie dwuznacznej sytuacji. Przecież już wtedy byłem wilkiem, trzy lata wcześniej przyjęto mnie do watahy. Wtedy mieliśmy jeszcze watahę, żył pułkownik Lebedienko...

Aleksander machnął ręką.

- Świadomość jest pokarmem Orła? - powtórzyłam.

- Tak - odparł. - Wierzyli w to magowie starożytnego Jukatana.

Jakiż z niego jeszcze dzieciak, pomyślałam z czułością.

- Głuptasie, to nie świadomość jest pokarmem Orła. To Orzeł jest pokarmem świadomości.

- Jaki Orzeł?

- Każdy. I magowie starożytnego Jukatana też, razem ze swoim biznesem - seminariami, workshopami, kasetami wideo i starymi męznymi nagualami. Wszyscy bez wyjątku są pokarmem świadomości. W tym także ja i ty.

- Jak to? - zapytał Aleksander.

Wzięłam od niego cygaro i wypuściłam obłoczek dymu.

- Widzisz?

Obserwował chwilę, jak obłoczek się rozszerza.

- Widzę - powiedział.

- Uświadamiasz sobie?

- Uświadamiam.

- Wilkołak jest jak ten obłoczek. Żyje, zmienia kształt, kolor, wielkość. Potem znika. Ale kiedy dym się rozwiewa, ze świadomością nic się nie dzieje. Pojawia się w niej po prostu co innego.

- A dokąd świadomość idzie po śmierci?

- Nie musi nigdzie iść - odparłam. - Czy ty na przykład dokąd idziesz? Nie - siedzisz, palisz. I ona tak samo.

- A co z rajem i piekłem?

- To kółka dymu. Świadomość nigdzie nie chodzi. Odwrotnie, wszystko, co dokądś idzie, staje się jej pokarmem. Tak jak ten dym. Albo jak twoje myśli.

- A czyja to świadomość? - spytał Aleksander.

- I to też jest pokarmem świadomości.

- Nie, nie zrozumiałaś pytania. Czyja ona jest?

- I to też - odrzekłam cierpliwie.

- Ale przecież musi...

- I to - przerwałam.

- Więc kto...

Tu wreszcie do niego dotarło - podparł brodę ręką i umilkł.

Jednak wyjaśniać takie rzeczy, używając pojęć oderwanych, jest bardzo trudno. Można się zaplątać w słowach: „W postrzeganiu nie ma ani podmiotu, ani przedmiotu, jest tylko czyste przeżycie natury transcendentnej, i takim przeżyciem jest wszystko - i przedmioty fizyczne, i konstrukty mentalne, do których zaliczają się idee postrzeganego przedmiotu i postrzegającego podmiotu...” Już po trzecim słowie nie wiadomo, o co chodzi. A na przykładzie jest to bardzo łatwe - pyknąć parę razy dymem i gotowe. Aleksander zrozumiał. Albo prawie zrozumiał.

- Czym wobec tego jest, twoim zdaniem, to wszystko dookoła? - zapytał, odbierając mi cygaro. - Jak - w *Matriksie*?

- Prawie, ale niezupełnie.

- Na czym polega różnica?

- W *Matriksie* jest obiektywna rzeczywistość - podmiejski magazyn z ciałami ludzi, którym to wszystko się śni. Inaczej portfelowi inwestorzy nie daliby pieniędzy na film, oni tego bardzo pilnują. A w istocie wszystko jest tak jak w *Matriksie*, tylko bez tego magazynu.

- Czyli jak?

- Sen jest, a tych, którym się śni, nie ma. To znaczy, oni też są elementem snu. Niektórzy twierdzą, że sen śni się samemu sobie. Ale w sensie dosłownym „sobie” tam nie ma.

- Nie rozumiem.

- W *Matriksie* wszyscy byli podłączeni przewodami do czegoś realnego. A naprawdę jakby podłączeni przez GPRS, tylko że to, do czego są podłączeni, jest taką samą halucynacją jak oni. Halucynacja trwa dopóty, dopóki trwa podłączenie. Ale kiedy się skończy, nie pozostaje żaden hardware, który mogliby opisać komornicy. I żaden trup, którego można by pochować.

- No i tu nie masz racji. To akurat zawsze jest - powiedział Aleksander z przekonaniem.

- Wiesz, jak to się mówi - niech wirtualni grzebią swoich wirtualnych. Grzebiący i grzebani są realni tylko wobec siebie nawzajem.

- Jak to możliwe?

Wzruszyłam ramionami.

- Rozejrzyj się dokoła.

Aleksander przez jakiś czas milczał zamyślony. Potem ponuro skinął głową.

- Szkoda, że nie było cię przy mnie, żeby mi to wyjaśnić. A teraz już trudno... Stało się.

- Tak, wpadłeś, biedaku - westchnęłam. - Musisz się teraz nastawić na ściganie Ducha Świętego.

- Śmiejesz się? - zapytał. - Śmieję się, ruda, śmieję. Głupio wyszło, masz rację. A ty wierzysz w Boga?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- Wierzysz? - powtórzył.

- Lisy szanują religię Adonai - odrzekłam dyplomatycznie.

- Szanować to nie to samo. Możesz mi powiedzieć, czy wierzysz, czy nie?

- Lisy mają własną wiarę.

- I w co wierzą?

- W arcywilkołaka.

- Tego, o którym mówił lord Cricket?

- Lord Cricket tylko słyszał, że gdzieś dzwonią. A i to niezbyt długo. Nie miał zielonego pojęcia o arcywilkołaku.

- A kim jest arcywilkołak?

- Jest kilka poziomów rozumienia. Na poziomie najprymitywniejszym to mesjasz, który przyjdzie i wyjaśni wilkołakom to, co najważniejsze. Ta interpretacja jest zainspirowana ludzką religią, i główny profaniczny symbol, który jej odpowiada, też został zapożyczony od ludzi.

- Co to za główny symbol profaniczny?

- Odwrócona pięcioramienna gwiazda. Ludzie ją źle rozumieją. Wpisują w nią koźlą głowę, tak że na górze widać rogi. Chcieliby we wszystkim widzieć diabła, poza lustrem i telewizorem.

- A co ta gwiazda oznacza naprawdę?

- To jest lisie ukrzyżowanie. Coś jak krzyż świętego Andrzeja z poprzeczką na ogon. Oczywiście nikogo nie mamy zamiaru krzyżować, nie jesteśmy ludźmi. Chodzi tu o symboliczne odkupienie lisich grzechów, z których największym jest niewiedza.

- I jak arcywilkołak odkupi lisie grzechy?

- Przekaze lisom świętą księgę wilkołaka.

- Co to za księga?

- Uważa się, że zostanie w niej odsłonięta główna tajemnica wilkołaków. Każdy wilkołak, który ją przeczyta, będzie mógł pięć razy pojąć tę tajemnicę.

- A jak ta księga będzie się nazywać?

- Nie wiem. I nikt nie wie. Mówi się, że jej nazwą będzie magiczne zaklęcie-pentagramaton, unicestwiająca wszystkie przeszkody. Ale to po prostu legenda. W pojęciu „arcywilkołak” zaś kryje się prawdziwy sens, niemający nic wspólnego z tymi wszystkimi bajdami.

Spodziewałam się pytania o ten prawdziwy sens, Aleksander jednak zapytał o coś innego:

- Jak to jest - móc pojąć tajemnicę pięć razy? Jeżeli coś pojęłaś, to po co masz to pojmować jeszcze cztery razy? Przecież już wiesz, o co chodzi.

- Wręcz przeciwnie. W większości wypadków, jeżeli coś pojęłaś, to już nigdy nie będziesz mogła pojąć tego znowu, właśnie dlatego, że wszystko już jakby wiesz. A w prawdzie nie ma nic takiego, co można pojąć raz na zawsze. Ponieważ widzimy ją nie oczami, lecz umysłem, mówimy: „pojmuje”. Ale kiedy myślimy, że ją pojęliśmy, już ją utraciliśmy. Żeby

osiąść prawdę, trzeba ją stale widzieć - czyli, innymi słowy, pojmować znowu i znowu, sekunda po sekundzie, nieustannie. Mało kto jest do tego zdolny.

- Tak - powiedział Aleksander - rozumiem.

- Ale to nie znaczy, że będziesz to rozumiał za dwa dni. Pozostaną ci martwe skorupki słów, a ty będziesz myślał, że nadal coś w nich jest. Tak uważają wszyscy ludzie. Na serio wierzą, że mają duchowe skarby i święte teksty.

- A co, twoim zdaniem, słowa nie mogą wyrażać prawdy?

- Niekoniecznie.

- Dlaczego?

- No, na przykład, ty masz dwa jaja i dwie dziurki w nosie. Dwa razy dwa. A czterech tu nie widzę.

- A jeżeli to złożyć razem?

- Jak ty chcesz składać razem dziurki w nosie z jajami? Zostaw to ludziom.

Aleksander zamyślił się. Po chwili zapytał:

- Kiedy ma przyjść arcywilkołak?

- Arcywilkołak przychodzi za każdym razem, kiedy widzisz prawdę.

- A co jest prawdą?

Nie odpowiedziałam.

- Co? - powtórzył.

Milczałam.

- No?

Przewróciłam oczami. Z tą minką bardzo mi do twarzy.

- Pytam cię, ruda.

- Naprawdę nie rozumiesz? Odpowiedzią jest właśnie milczenie.

- Nie możesz słowami? Żeby to było zrozumiałe?

- Tam nie ma nic do rozumienia - odrzekłam. - Kiedy ktoś zadaje ci pytanie: „Czym jest prawda?”, możesz na nie odpowiedzieć tylko w jeden sposób, żeby nie skłamać. Wewnątrz siebie powinieneś ujrzeć prawdę. A na zewnątrz powinieneś zachować milczenie.

- A ty widzisz wewnątrz siebie tę prawdę? - spytał Aleksander.

Milczałam.

- No dobrze, zapytam inaczej. Kiedy widzisz wewnątrz siebie prawdę, co konkretnie widzisz?

- Nic - odparłam.

- Nic? I to jest prawda?

Milczałam.

- Skoro tam niczego nie ma, to po co w ogóle mówimy o prawdzie?

- Mylisz przyczynę ze skutkiem. Mówimy o prawdzie nie dlatego, że tam coś jest. Odwrotnie - myślimy, że tam coś powinno być, ponieważ istnieje słowo „prawda”.

- No właśnie. Przecież słowo istnieje. Dlaczego?

- Dlatego. Żeby rozplatać wszystkie szpulki ze słowami, nie starczy wieczności. Pytań i odpowiedzi da się wymyślić nieskończenie wiele - słowa można zestawiać tak i siak, i za każdym razem będzie się z nimi wiązał jakiś sens. I tyle. Taki na przykład wróbel do nikogo nie ma pytań. A nie sądzę, żeby był dalszy od prawdy niż choćby Lacan czy Michel Foucault.

Pomyślałam, że Aleksander może nie wiedzieć, kim są Lacan i Foucault. Chociaż chyba przechodził u siebie kurs kontrprania mózgow... Tak czy owak, należało mówić prościej.

- Krótko rzecz ujmując, właśnie z powodu słów ludzie znaleźli się głęboko w dupie. A razem z nimi my, wilkołaki. Dlatego, chociaż jesteśmy wilkołakami, mówimy ich językiem.

- Ale przecież jest powód, dla którego istnieją słowa - powiedział Aleksander. - Jeżeli ludzie znaleźli się w dupie, trzeba zrozumieć dlaczego.

- Znajdując się w dupie, możesz zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, postarać się zrozumieć, dlaczego w niej jesteś. Po drugie, wyleźć stamtąd. Błąd poszczególnych jednostek i całych narodów polega na tym, że myślą, iż te dwie czynności są jakoś ze sobą związane. A nie są. I wyleźć z dupy jest o wiele łatwiej, niż zrozumieć, dlaczego się w niej znajdujesz.

- Dlaczego?

- Wyleźć z dupy trzeba tylko jeden raz, i potem można o niej zapomnieć. A żeby zrozumieć, dlaczego się w niej znajdujesz, potrzebne jest całe życie. Które w niej spędzisz.

Przez jakiś czas milczeliśmy, patrząc w ciemność. Potem Aleksander zapytał:

- A jednak. Po co ludziom język, skoro to on jest przyczyną wszystkich nieszczęść?

- Po pierwsze, żeby kłamać. Po drugie, żeby ranić się nawzajem cierniami jadowitych słów. Po trzecie, żeby mówić o tym, czego nie ma.

- A o tym, co jest?

Podniosłam palec.

- Co jest? - zapytał Aleksander. - Dlaczego mi robisz finger?

- To nie finger. To palec. O tym, co jest, nie należy mówić. To i tak jest przed oczami.

Wystarczy wskazać je palcem.

Więcej już tego wieczoru nie rozmawialiśmy, ale wiedziałam, że pierwsze ziarna zostały zasiane. Pozostawało czekać na następną okazję.

Jeśli nasz sposób uprawiania miłości wydaje się komuś zboczony (Aleksander powiedział przecież „ogonorozpusta”! Trudno coś takiego zapomnieć), to radzę się uważniej przyjrzeć, jak robią to ze sobą ludzie. Najpierw myją swoje ciała, usuwają z nich włosy, spryskują się preparatami neutralizującymi ich naturalny zapach (pamiętam, że to szczególnie oburzało hrabiego Tołstoja) - a wszystko po to, żeby na krótko stać się *fuckable*⁴⁰. A po akcie miłosnym znów się pogrążają w poniżających szczegółach higieny osobistej.

Co więcej, ludzie wstydzą się swoich ciał albo są z nich niezadowoleni: mężczyźni hoduszą sobie bicepsy, kobiety z całym samozaparciem się odchudzają i wstawiają sobie silikonowe protezy. Chirurdzy plastyczni wymyślili nawet jednostkę chorobową: „mikromastia”, kiedy piersi są mniejsze od arbuźów. A mężczyznom zaczęli wydłużać penisy i sprzedawać specjalne tabletki, żeby taki penis potem działał. Bez rynku chorób nie byłoby rynku leków - to jest ta właśnie tajemnica Hipokratesa, której lekarze przysięgają nie zdradzać.

Ludzkie zauroczenie miłosne to uczucie wyjątkowo niestałe. Potrafi je zniszczyć jakieś głupie powiedzenie, brzydki zapach, źle zrobiony makijaż, przypadkowy skurcz żołądka, cokolwiek. Owo uczucie może niekiedy wybuchnąć błyskawicznie, i żaden człowiek nie ma nad tym władzy. Co więcej, jak we wszystkim, co ludzkie, w owym pociągu kryje się bezdenny absurd, tragikomiczna przepaść, którą umysł pokonuje z taką łatwością tylko dlatego, że nie wie o jej istnieniu.

Tę przepaść najlepiej za mojej pamięci opisał pewien czerwony dowódca jesienią 1919 roku - po tym, jak poczęstowałałam go grzybami rozweselającymi, których nazbierałam tuż pod kołami jego pociągu pancernego. Wyraził się tak: „Jakoś przestałem rozumieć, dlaczego z tego powodu, że podoba mi się ładna i uduchowiona buzia dziewczyny, muszę jebać jej mokrą włochatą pizdę!” Cóż, powiedziane ordynarnie i po żołniersku, ale jakże prawdziwie. A właśnie, zanim na zawsze uciekł w pole, dowódca sformułował jeszcze jedną interesującą myśl: „Jeśli się dobrze zastanowić, to kobieca uroda zależy nie tyle od uczesania czy oświetlenia, ile od moich jaj”.

Ludzie jednak nadal uprawiają seks - co prawda, w ostatnich latach tylko przez gumowy woreczek, żeby nic nie naruszyło ich samotności. Ten i tak wątpliwy sport zaczął przypominać narciarstwo zjazdowe: ryzyko utraty życia jest mniej więcej takie samo, tylko trzeba pilnować nie wiraży na trasie, ale żeby nie zgubić kostiumu narciarskiego. Człowiek,

⁴⁰ Tu: zdolnymi budzić pożądanie (ang.).

który oddaje się temu zajęciu, śmieszy mnie jako moralista, i nie jemu osądzać, gdzie jest zboczenie, a gdzie nie.

Wzajemny pociąg wilkołaków nie zależy tak dalece od zmiennego wyglądu zewnętrznego. Ale oczywiście on też odgrywa rolę. Domyślałam się, że to, co się stało z Aleksandrem, odbije się na naszym życiu intymnym. Nie sądziłam jednak, że uraz będzie aż tak głęboki. Aleksander był dla mnie po dawnemu czuły, ale tylko do określonej granicy: tam gdzie ta czułość kiedyś prowadziła do zbliżenia, teraz jakby ktoś przeciągnął drut kolczasty. Myślał widocznie, że w swojej nowej postaci już nie jest dla mnie atrakcyjny. Częściowo miał rację - nie mogłam powiedzieć, że ten czarny piesek budzi we mnie te same uczucia, co potężny północny wilk, na sam widok którego zapierało mi dech. Piesek był bardzo miły, tak. Ale nic więcej. Mógł liczyć na moją sympatię. Ale nie na namiętność.

Tylko że to nie miało żadnego znaczenia. Zrezygnowaliśmy z wulgarnego ludzkiego seksu jeszcze wtedy, kiedy zrozumieliśmy, jak daleko w baśń mogą nas unieść splecione ogony. Dlatego jego metamorfoza nie stanowiła dla naszej namiętności poważniejszej przeszkody niż, powiedzmy, czarna bielizna, którą zaczął nosić zamiast szarej. On jednak chyba tego nie rozumiał i myślał, że utożsamiam go z jego powłoką fizyczną. Albo może szok po tej przemianie i irracjonalne poczucie winy były w nim tak silne, że po prostu zabronił sobie myśleć o przyjemnościach - przecież mężczyźni, z ogonami czy bez, psychicznie są znacznie bardziej podatni na zranienie niż my - mimo całej swojej pozornej brutalności.

Ja nie przejawiałam inicjatywy. Nie dlatego jednak, że stał mi się niemiły. Utarło się, że pierwszy krok powinien zrobić mężczyzna, i instynktownie stosowałam się do tej zasady.

Możliwe, myślałam, że nie jest w nastroju, i musi mieć czas, żeby przyjść do siebie. Ale jedno jego pytanie sprawiło, że domyśliłam się wreszcie, co go nurtuje.

- Opowiadałaś mi o filozofie Berkeleyu - powiedział kiedyś. - Który uważał, że wszystko istnieje tylko jako postrzeżenie.

- Opowiadałam - przytaknęłam.

Rzeczywiście próbowałam mu wytłumaczyć tę kwestię, i chyba częściowo mi się to udało.

- Z tego wynika, że seks i masturbacja to jedno i to samo?

Oniemiałam.

- Dlaczego?

- Skoro wszystko istnieje tylko jako postrzeżenie, znaczy, że uprawiać miłość z prawdziwą dziewczyną to to samo, co wyobrażać sobie tę dziewczynę.

- Niezupełnie. Berkeley twierdził, że przedmioty istnieją w percepcji Boga. Myśl o ładnej dziewczynie to po prostu twoja myśl. A ładna dziewczyna to myśl Boga.

- Jedno i drugie to myśli. Dlaczego uprawianie miłości z myślą Boga jest dobre, a ze swoją własną - złe?

- A to już jest imperatyw kategoryczny Kanta.

- Widzę, że we wszystkim jesteś obcykana - mruknął z niezadowoleniem i poszedł do lasu.

Po tej rozmowie zrozumiałam, że trzeba mu pomóc, i to szybko. Należało to zrobić tak, by nie zadrasnąć jego miłości własnej.

Kiedy wrócił ze spaceru i położył się na macie w kącie mojego pokoiku, powiedziałam:

- Słuchaj, przeglądałam DVD, które tu ze sobą zabrałam. Okazuje się, że mamy film, którego jeszcze nie widziałeś.

- A w czym go będziemy oglądać? - zapytał.

- W moim notebooku. Ekran jest mały, ale za to świetna jakość obrazu. Usiądź bliżej.

Przez jakiś czas milczeliśmy. Potem Aleksander zapytał:

- Jaki to film?

- *Spragnieni miłości* Wonga Kar-waia. Stylizacja na Hongkong lat sześćdziesiątych.

- I o czym to jest?

- Po prostu o nas - powiedziałam. - Dwoje bohaterów mieszka w sąsiednich pokojach.

I stopniowo się w sobie zakochują.

- Żartujesz?

Wzięłam pudełko od DVD i przeczytałam głośno krótką notkę:

- „Su i Chow wynajmują w domu dwa sąsiednie pokoje. Ich małżonkowie stale gdzieś wyjeżdżają. Chow rozpoznaje torebkę Su, którą ta dostała od męża. Jego żona ma taką samą. A Su poznaje krawat Chow, подарowany mu przez żonę. Jej mąż ma taki sam krawat. Staje się jasne, że partnerzy zdradzają ich ze sobą. Co robić? Może po prostu pogрузić się w słodkiej muzyce miłosnego nastroju?”

- Wprawdzie nic nie zrozumiałem - oświadczył Aleksander - ale dobrze, pogрузimy się...

Postawiłam notebooka na podłodze i puściłam DVD.

Przez pierwsze dwadzieścia minut, albo coś koło tego, Aleksander w milczeniu oglądał film, nie okazując żadnych uczuć. Znałam ten obraz na pamięć, więc patrzyłam nie tyle na ekran, ile - kątem oka - na niego. Był zrelaksowany i spokojny. Zaczekałam na

odpowiedni moment, przysunęłam się do Aleksandra bliżej, zanurzyłam łapę w jego sierści i obróciłam go na bok, tak żeby leżał ogonem do mnie. Cicho zawarczał, nie odrywając wzroku od ekranu, ale nic nie powiedział.

Ależ to brzmi: „Cicho zawarczał, ale nic nie powiedział”. Tak jednak było. Starając się go nie spłoszyć, zsunęłam dzinsy, uwolniłam ogon i...

Ach, cóż to był za wieczór! Nigdy nie zanurzaliśmy się w otchłani tak głęboko. Dawniej w czasie miłosnej halucynacji zachowywałam pamięć o tym, gdzie jestem i co się dzieje. Teraz zaś doznania były takie, że w pewnych momentach zupełnie przestawałam rozumieć, kim jestem naprawdę - kobietą z Hongkongu imieniem Su czy rosyjską lisicą o chińskim imieniu A Huli. Kilka razy poczułam najprawdziwsze przerażenie, jakbym kupiła bilet na zbyt szybką kolejkę górską w amerykańskim wesołym miasteczku.

Przyczyna tkwiła w Aleksandrze - teraz emitował tak silną falę hipnotyczną, że nie mogłam się jej przeciwstawić. Wprawdzie na krótko, ale sama stawałam się ofiarą hipnozy i bez reszty pogrążałam się w iluzji. W pewnej chwili ukąsił mnie lekko w płatek ucha i powiedział:

- Nie krzycz.

Nawet nie zauważyłam, że krzyczę... Teraz rozumiałam, co przeżywają nasi klienci za każdym razem, gdy uruchamiamy ogon. Rzeczywiście, ludzie mają powody, by odnosić się do nas nieufnie. Z drugiej strony, gdybym wiedziała, jak nieziemskie doznania im ofiarowujemy, brałabym co najmniej trzy razy więcej.

Kiedy już było po wszystkim, długo leżałam na macie obok niego, stopniowo przychodząc do siebie. Czułam się zupełnie odrętwiała - musiałam poczekać, aż krew z powrotem zacznie we mnie krążyć. Wreszcie poczułam, że znów mogę mówić. Aleksander tymczasem już stał się człowiekiem.

- Podobało ci się? - spytałam.

- Niezłe. Dobra operacyjna robota. Chciałem powiedzieć, operatorska. I reżyser też w porządku.

- Ja nie mówię o filmie.

- A o czym? - spytał, unosząc brew.

Zrozumiałam, że jest w dobrym humorze.

- O tym, Sasza, o tym.

- Jeżeli o tym, to bardzo mi się spodobała piosenka. Może puścimy to jeszcze raz? - Jaka piosenka?

- *Pacan Los Dias*.

Zmarszczyłam brwi.

- Co?

- No, tam są takie słowa - powiedział, lekko zmieszany. - To pewnie znaczy co innego, ale podobnie brzmi.

- Pacan⁴¹? Gdzie tam jest coś takiego? A, rozumiem. *Yosi pasan los dasyio desesperando...* To znaczy po hiszpańsku: „I tak mijają dni, a ja rozpaczam...”

- Tak?

- A ty pewnie myślałaś, że to *Pacan jedzie do Tambowa*, część druga? Coś w tym rodzaju, że pacan nie trafił do Tambowa, póki był młody, a teraz się zestarzał i śpiewa o swoim smutku.

- Tylko byś się wyśmiewała - rzekł Aleksander bez gniewu. - No to puścimy piosenkę jeszcze raz? A może od początku cały film?

Nazajutrz obejrzelśmy film jeszcze raz, potem jeszcze raz i jeszcze. I za każdym razem ów wichur tak samo słodko pustoszył moją duszę jak na początku. Długo odpoczywaliśmy, leżąc obok siebie. Nie rozmawialiśmy - nie było o czym mówić, a zresztą brakło nam sił.

Lubiłam kłaść na nim stopy, kiedy się związał w czarny obwarzanek - czasem warczał dla pozorów, ale wiedziałam, że sprawia mu to taką samą przyjemność jak mnie. Z jakimż rozczuleniem wspominam teraz te dni! Jakże to piękne, kiedy dwie istoty znajdują sposób dawania sobie wzajemnie szczęścia i radości. I jakim trzeba być obłudnikiem, by potępić je za to, że czymś różnią się od innych!

Ileż ich było, tych błogich chwil odpoczynku, kiedy leżeliśmy na macie, nie mając sił się poruszyć? Myślę, że w sumie dałyby wieczność. Za każdym razem czas zniknął i trzeba było czekać, aż znów rozwinie swoją zwykłą prędkość. Ależ to życie jest mądrze urządzone! - myślałam z leniwym zadowoleniem, słuchając, jak Nat King Cole śpiewa naszą ulubioną piosenkę. Był taki wielki, szary, brutalny. Chciał pożreć słońce. I pewnie by pożarł. A teraz leży u moich stóp łagodny czarny piesek, spokojny i cichy, i prosi, żeby z niego nie szydzić. Oto uszlachetniający wpływ kapłanki ogniska domowego. Stąd wzięły się cywilizacja i kultura. A przecież nawet mi się nie śniło, że mogę się znaleźć w tej roli.

Ach, kochany Sasza, myślałam, ty nigdy o tym nie mówisz. A ja nie mam odwagi zapytać... Ale przecież nie żałujesz swojego dawnego życia - samotnego, niestabilnego i wilczego? Przecież ze mną jest ci lepiej niż samemu - prawda, kochany?

⁴¹ W rosyjskim żargonie młodzieżowym i przestępczym odpowiednik polskiego określenia „git człowiek” (przyp. tłum.).

Prawda?

...Y tú, tú contestando:

*Quizas, quizás, quizás...*⁴²

Zastanawiałam się często, co to za pies, który różni się od wilka tak dalece, jak wilk od lisa. Paraleli mitologicznych było mnóstwo, ale ja sama nigdy nie spotkałam takiej dziwnej odmiany wilkołaka. Ten granatowoczarny pies wydawał się całkiem nieszkodliwym stworzeniem, ale instynktownie wyczuwałam kryjącą się w nim groźną tajemnicę. Wszystko wyjaśniło się przypadkiem.

Dzień zaczął się od lekkiej sprzeczki. Wybraliśmy się do lasu na spacer, usiedliśmy na zwalonym drzewie i postanowiłam Aleksandra rozerwać, śpiewając starą chińską pieśń do słów Li Bo *Księżyc nad górską strażnicą*. Zaśpiewałam ją naprawdę nieźle, tylko chyba zbyt wysokim głosem - w starożytnych Chinach taki głos był szczególnie ceniony. Ale mój kunszt rozbił się o barierę kulturową - kiedy skończyłam pieśń, Aleksander pokręcił głową i wymamrotał:

- I jak ja, rosyjski oficer, mogłem dojść do czegoś takiego?

Byłam tak urażona, że aż poczerwieniałam.

- Dałbyś spokój, jaki z ciebie rosyjski oficer? Zwyczajny szef bandziorów.

- My niewinnych nie zabijamy - odparł sucho.

- A puszkinologa Gowniszczera kto posłał na śmierć? Myślisz, że nikt o tym nie wie?

- Jakiego puszkinologa Gowniszczera?

- Czy jak on się tam nazywał... No, tego, który za papierosa robił minetę...

- Słuchaj, moim zdaniem, masz coś nie w porządku z psychiką. To uważasz, że rybia głowa robi za niedźwiedzia, to znów ginie jakiś Gowniszczera, a wszystkiemu winien jestem ja.

- Po prostu chciałam powiedzieć, że nie masz czystych rąk, i ja o tym wiem. Ale i tak cię kocham.

- I stąd wszystkie moje problemy - powiedział cicho Aleksander - że ty mnie kochasz.

Nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

- Co? No, powtórz to!

- Żartowałem, żartowałem - rzekł pośpiesznie. - Ty cały czas żartujesz, to i ja zażartowałem.

⁴² Ty, ty odpowiadasz: być może, być może, być może... (hiszp.).

Najstraszniejsze, że jego słowa były najczystsą prawdą. I oboje o tym wiedzieliśmy. Zapadło ciężkie milczenie.

- A Gowniszczera posłaliśmy nie na śmierć, ale na zadanie bojowe - odezwał się Aleksander po długiej chwili. - I nie wolno kłać jego pamięci.

Słusznie, należało zmienić temat.

- To znaczy, że on o tym wiedział? - spytałam. - Jakąś częścią świadomości na pewno.

- Czyli nie masz sobie nic do zarzucenia?

Aleksander wzruszył ramionami.

- Po pierwsze - powiedział - mamy oświadczenie, które napisał w domu wariatów: „Chcę zobaczyć Londyn i umrzeć”, data i podpis. A po drugie, konsultowaliśmy się z ekspertem od aspektów humanitarnych i ten powiedział, że wszystko w porządku.

- To był Paweł Iwanowicz? - domyśliłam się.

Aleksander skinął głową.

- A w jaki sposób on w ogóle zaczął dla was pracować? Mam na myśli Pawła Iwanowicza.

- Zależało mu na tym, żebyśmy się dowiedzieli o jego skrusze. Oczywiście to dziwne, ale czemu mielibyśmy człowieka odtrącać? Szczególnie że jego skrucza była szczerą. Potrzebujemy przecież informacji - o tych tam, no, twórcach kultury, żeby wiedzieć, kto jest z nami, a kto nie. No i konsultacji. I tak się zasiedziało... No dobra, zostawmy to. Bóg z nim, z tym Gowniszczerelem. Jeżeli oczywiście imamowie nie kłamią.

Potem nie odezwaliśmy się do siebie słowem aż do wieczora - ja się dąsałam na niego, a on na mnie: z obu stron padło zbyt wiele słów. Wieczorem, kiedy milczenie stało się uciążliwe, Aleksander zaczął mnie podpytywać o wyrazy do krzyżówki.

Tego wieczoru był w ludzkiej postaci, co sprawiało, że w pokoiku było szczególnie przytulnie. Ja leżałam na macie pod lampą i czytałam kolejną książkę Stephena Hawkinga *Teoria wszystkiego* (ni mniej, ni więcej). Pytania Aleksandra odrywały mnie od lektury, ale cierpliwie na nie odpowiadałam. Niektóre śmieszyły mnie bardziej niż książka.

- Jak się prawidłowo pisze - „hienekologiczna” czy „gienekologiczna”?

- Ginekologiczna.

- No patrz. To wszystko pasuje. A ja myślałem, że „hie”.

- To dlatego, że podświadomie uważasz kobiety za hieny.

- Nieprawda - zaprzeczył i nagle się roześmiał. - Coś takiego...

- Co tam jeszcze masz?

- Stomatologia ginekologiczna.

- Co - „stomatologia ginekologiczna”?

- Dwa słowa w krzyżówce są umieszczone w jednej linii. „Stomatologia” i „ginekologiczna”. Razem wychodzi bardzo śmiesznie.

- Śmieszny cię to, bo jesteś niedouczony - powiedziałam. - A taka koncepcja kulturologiczna istnieje naprawdę. Jest pisarka amerykańska Camille Paglia. Ma... To znaczy nie ona. Powiedzmy tak: ona operuje pojęciem *vagina dentata*. Zębata wagina to symbol bezkształtnego, pożerającego wszystko chaosu, przeciwstawionego apolińskiemu pierwiastkowi męskiemu, dla którego charakterystyczne jest dążenie do wyraźnej definicji.

- Wiem - powiedział Aleksander.

- Skąd?

- Czytałem. I to wiele razy.

- U Camille Paglii? - spytałam z niedowierzaniem.

- Ależ skąd.

- No to gdzie? - W Akademii FSB.

- Kontrpranie mózgów?

- Nie.

- No to gdzie konkretnie? - nie dawałam za wygraną.

- W gazetce ściennej - wyznał niechętnie. - Była tam rubryka „Uśmiechy różnych szerokości”, a w niej taki kawał: „Co jest straszniejsze od wojny atomowej? Pizda z zębami”.

Właśnie czegoś takiego się spodziewałam.

- A dlaczego wiele razy?

- Bo przez trzy lata tej gazetki nie zmieniano.

- Aha - powiedziałam. - Wszystko jasne.

Widocznie mój ton go uraził.

- Czemu ty mi ciągle wytykasz nieuctwo? - zapytał z rozdrażnieniem. - Oczywiście, że wiesz więcej na te tematy. Ale ja też nie jestem głupi. Po prostu moja wiedza dotyczy innej dziedziny, praktycznej. I, notabene, z tego powodu jest znacznie cenniejsza od twojej.

- Zależy jak na to spojrzeć.

- Jakkolwiek. Powiedzmy, że nauczyłbym się na pamięć tej całej Camille Paghi. I co bym potem z nią robił?

- To zależy od twoich skłonności, od wyobraźni.

- Możesz mi przytoczyć chociaż jeden przykład na to, jak czytanie Camille Paghi pomogło komuś w realnym życiu?

Zastanowiłam się chwilę.

- Mogę.

- No?

- Jeden mój klient był spirytystą. Czytał tę Camille Paglię w czasie seansów spirytystycznych duchowi poety Igora Siewierianina. A Igor Siewierianin odpowiedział mi za pośrednictwem spodeczka, że bardzo mu się to podoba, że sam się czegoś takiego zawsze domyślał, tylko nie potrafił tego sformułować. I nawet podyktował wiersz. „Nasza schadzka, *vagina dentata*, była raz, lecz zapadła mi w serce. Przed i po, w oddaleniu od świata, wiodę życie samotne, żołnierskie...”

- No widzisz - powiedział Aleksander. - A ja to samotne żołnierskie życie wiodłem bez twojej stomatologii ginekologicznej. I wspomogłem ojczyznę.

- A ona ci się odplaciła. Jak zwykle.

- Tego nie mam się co wstydzić.

- Tego nikt nie ma się co wstydzić. Co, jeszcze nie rozumiałeś, gdzie żyjesz?

- Nie rozumiem - odparł. - I nie chcę rozumieć. Ten świat, w którym żyję, tworzę sam. Tym, co w nim robię.

- Ach ty, wykapany z ciebie Pawlik Morozow. Gdyby cię teraz słyszeli twoi gliniarze, na pewno daliby ci jeszcze jeden medal. Znaczący, że to miejsce ty nam stworzyłeś?

- Raczej już ty.

Opamiętałam się.

- Tak, przepraszam. Masz rację. Nie gniewaj się, proszę.

- Nic się nie stało - bąknął i zagłębił się w krzyżówce.

Zrobiło mi się wstyd. Podeszłam, usiadłam obok i objęłam go.

- No, Sasza, czemu my się kłócimy? Może razem powyjemy?

- Nie teraz - powiedział. - W nocy, jak wszędzie księżyc.

Pozostałam przy nim, objąwszy go ramieniem. On milczał.

Po paru minutach poczułam, że jego ciało leciutko drży. Płakał. Nigdy dotąd nie widziałam go płaczącego.

- Co się stało? - zapytałam czule. - Kto skrzywdził mojego chłopczyka?

- Nikt - odparł. - Tak jakoś. To przez twoją Camille Paglię, która ma tam zęby.

- Ale czemu z tego powodu płaczesz?

- A temu - powiedział - że ona tam ma zęby, a ja mam tam pazury.

- Gdzie?

- Tam - powtórzył. - Kiedy się przeobrażam. Jak piąta łapa. Ciągłe nie miałem odwagi ci powiedzieć.

Dopiero teraz wszystko stało się dla mnie jasne - i to, że zrobił się taki zamknięty w sobie, i owa aura irracjonalnej grozy, która go otaczała, kiedy stawał się psem. Tak, wszystkie części łamigłówki trafiły na swoje miejsca. Biedny, jakże on musiał cierpieć, pomyślałam. Przede wszystkim powinnam mu dać do zrozumienia, że i tak jest mi drogi - jeśli on sam tego nie dostrzegł.

- Głuptasie - powiedziałam. - No i co z tego? A niechbyś tam miał nawet kaktus. Byle tylko ogonek był cały.

- To naprawdę nie ma dla ciebie znaczenia? - zapytał.

- Oczywiście, że nie, kochany.

- I wystarcza ci... No, tak jak to teraz robimy?

- Jak najbardziej.

- Mówisz szczerze?

- No, skoro już zacząłeś na ten temat, to chciałabym, żebyśmy się niekiedy zamieniali. Żebyś czasem ty był Su, a ja Chow. Bo ciągle tylko ja jestem Su.

- No nie, wybacz, ale nie pozwolę robić z siebie pedała. Już wystarczy, że mam te pazury...

- Jak chcesz - odparłam. - Ja przecież tego od ciebie nie żądam. Zapytałeś, to powiedziałam.

- Czy rozmawiamy teraz szczerze?

Kiwnęłam głową.

- To powiedz, dlaczego przez cały Hongkong ani razu nie zrobiłaś mi minety? Dlatego, że tak naprawdę jestem czarnym psem?

Policzyłam w duchu do dziesięciu. To, że nie znosiłam słowa „mineta”, było w końcu moim problemem, a nie jego - i nie powinnam się obrażać.

- Więc uważasz, że tak naprawdę jesteś czarnym psem? - zapytałam.

- Nie - odpowiedział Aleksander - ale czarny pies uważa, że tak naprawdę ja to on.

- Dlatego teraz tak rzadko bywasz człowiekiem?

Kiwnął głową.

- Zresztą nawet mi się nie chce. Przecież nic mi tu nie pozostało oprócz ciebie. Wszystko jest teraz tam... I nie u mnie, tylko u niej. To jest u niego... Masz rację co do słów, tylko robią zamęt w głowie. No to co będzie z minetą?

Znowu policzyłam do dziesięciu, ale tym razem nie wytrzymałam:

- Czy mogę cię prosić, żebyś nie używał przy mnie tego słowa?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się krzywo.

- Teraz już mi nawet nie wolno używać słów. Ale tobie wolno, tak? Chcesz mnie całkiem zdominować, ruda.

Westchnęłam. Jednak ogólnie rzecz biorąc, wszyscy faceci są jednakowi i chcą od nas tylko jednego. I jeszcze dobrze, jeżeli chcą, powiedział jeden z moich wewnętrznych głosów.

- Dobra, puszczaj film. Tylko nie od początku, ale od trzeciej sceny...

Jak zawsze po szalonym i bezwstydnym hongkońskim rendez-vous, długo odpoczywaliśmy. Patrzyłam w sufit, na chropowaty beton, który w ostrym elektrycznym świetle przypominał powierzchnię jakiegoś starego ciała niebieskiego. Aleksander leżał obok mnie. Mój kiciuś, myślałam, jakież on jest wzruszający w miłości. Dla niego przecież wszystko to jest takie nowe. Oczywiście w porównaniu ze mną. Muszę się tylko pilnować, żeby nie nazwać go kiciusiem głośno, bo jeszcze to źle zrozumie i się obrazi. Tak, miał chłopak pecha z tymi pazurami. Ale ja przecież słyszałam o psie z piątą nogą... Tylko co konkretnie? Zapomniałam.

- Hej - odezwał się Aleksander. - Jak się czujesz? - W porządku - odparłam. - Podobało ci się?

Popatrzył na mnie.

- Szczerze?

- Szczerze.

- To po prostu piździelec.

Aż usiadłam na macie.

- Słuchaj, przypomniłam sobie!

- Co?

- Przypomniałam sobie, kim ty jesteś.

- No, kim jestem?

- Czytałam o takim psie z pięcioma łapami. Pies Piździelec. Śpi pośród śniegów, a kiedy na Ruś napadają wrogowie, budzi się i wszystkich załatwia... Tak. I zdaje się, że w mitach nordyckich nosi imię Garm. Nie słyszałeś o nim? Nordycki projekt - to twój profil.

- Nie - powiedział Aleksander. - Nie słyszałem. To ciekawe. Mów.

- To taki potworny pies, sobowtór wilka Fenrira. Wchodzi do akcji w czasie Ragnaröku. A na razie pilnuje domu zmarłych.

- Jakie masz jeszcze informacje?

- Coś sobie mętnie przypominam... Chyba powinien podejrzeć, jak mężczyźni rozniecają ogień, i przekazać ten sekret kobietom...

- Nie ma zgody - burknął. - Co jeszcze?

- To wszystko, co pamiętam.

- I jakie mają być skutki praktyczne?

- Co do Garma, to nie wiem. To ty musisz pojechać do Islandii na konsultację. A co do Piździelca... Spróbuj coś lub kogoś załatwić.

Powiedziałam to żartem, ale on potraktował moje słowa z całkowitą powagą.

- Co?

Jego powaga nagle udzieliła się i mnie. Rozejrzałam się dokoła. Notebook? Nie. Czajnik elektryczny? Nie. Żarówkę?

- Spróbuj załatwić żarówkę - powiedziałam.

Minęła sekunda. Nagle żarówka rozbłysła jasnym błękitnym światłem i zgasła. Zapadła ciemność, ale sfotografowana siatkówką spirala jeszcze przez kilka sekund rozjaśniała mój wewnętrzny świat echem zgasłego światła. Kiedy ta odbitka znikła, ciemność stała się zupełna. Wstałam, namacałam latarkę na drewnianej skrzynce, która służyła nam za stół, i zapaliłam ją. Prócz mnie w pomieszczeniu nie było nikogo.

Nie wracał przez dwie doby. Umierałam ze strachu i niepokoju. Ale kiedy przyszedł, nie usłyszałam ode mnie ani słowa wyrzutu. Uśmiech na jego twarzy okazał się wystarczającą nagrodą za wszystkie moje cierpienia. Czechow miał rację: kobieca dusza jest ze swej natury pustym naczyniem, które wypełniają radości i smutki ukochanego.

- No i co? Opowiadaj!

- Co tu opowiadać - odrzekł. - To trzeba pokazać.

- Nauczyłeś się?

Kiwnął głową.

- I kogo możesz załatwić?

- Wszystkich - oznajmił.

- Wszystkich i wszystko?

Znów kiwnął głową.

- I mnie?

- Chyba że bardzo poprosisz.

- A sam siebie?

Aleksander jakoś dziwnie prychnął.

- To zrobiłem przede wszystkim. Zaraz po żarówce. Inaczej jaki byłby ze mnie Piździelec?

Byłam zaintrygowana i nawet trochę przestraszona - przecież chodziło o poważny metafizyczny akt.

- A jakim jesteś Piździelcem? - spytałam cicho, z szacunkiem.

- Całkowitym - odparł.

Emanował w tej chwili taką romantyczną siłą i tajemnicą, że nie mogłam się powstrzymać i zbliżyłam się, by go pocałować. Zbladł i szarpnął się w tył, ale widocznie zrozumiał, że macho tak się nie zachowuje, i pozwolił mi spełnić zamiar. Napięły mu się wszystkie mięśnie, ale nic strasznego się nie stało.

- Jakże się cieszę ze względu na ciebie, kochany! - powiedziałam.

Mało kto spośród wilkołaków wie, co to jest cieszyć się ze względu na drugą osobę. A bezogoniaste małpy nie wiedzą tym bardziej, umieją tylko szeroko się uśmiechać, żeby podnieść swoją społeczną adaptatywność oraz wielkość sprzedaży. Udając radość z powodu kogoś innego, bezogoniasta małpa odczuwa zawiść albo, w najlepszym wypadku, zachowuje obojętność. Ja jednak rzeczywiście doznałam tego uczucia, czystego i przezroczonego jak woda z leśnego źródła.

- Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę ze względu na ciebie powtórzyłam i pocałowałam go znowu.

Tym razem się nie odsunął.

- Naprawdę? - zapytał. - Dlaczego?

- Dlatego, że wreszcie jesteś w dobrym nastroju. Poczuleś się lepiej. A ja cię kocham.

Lekko spochmurniał.

- Ja też cię kocham. Ale cały czas myślę, że ty ode mnie odejdiesz. Pewnie wtedy będzie ci lepiej. Ale nie czuję z tego powodu żadnej radości.

- Po pierwsze, nigdzie nie mam zamiaru od ciebie odchodzić - powiedziałam. - A po drugie, uczucie, o którym mówisz, to nie miłość, tylko przejaw egoizmu. Dla tkwiącego w tobie samca-szowinisty jestem po prostu zabawką, własnością, zdobyczą, symbolem twego statusu. I boisz się mnie stracić, tak jak posiadacz boi się stracić drogą rzecz. W ten sposób nigdy nie doznasz radości ze względu na kogoś innego.

- A jak można jej doznać?

- W tym celu należy niczego nie chcieć dla siebie.

- I ty naprawdę niczego dla siebie nie chcesz? - zapytał z niedowierzaniem.

Pokręciłam przecząco głową.

- Dlaczego?

- Już ci to kiedyś mówiłam. Kiedy długo patrzysz w głąb siebie, zaczynasz rozumieć, że tam nic nie ma. Jak można chcieć czegoś dla tego „nic”?

- Ale przecież jeśli w tobie niczego nie ma, to w innych tym bardziej.

- Jak się dobrze zastanović, to nigdzie nie ma niczego prawdziwego - powiedziałam. - Jest tylko wybór, którym zapełniasz pustkę. I kiedy cieszysz się z uwagi na kogoś innego, zapełniasz pustkę miłością.

- Czyją miłością? Skoro nigdzie nikogo nie ma, czyja to jest miłość?

- Pustce jest to obojętne. I ty też się tym nie przejmuj. Ale jeśli szukasz sensu życia, to lepszego nie znajdziesz.

- A miłość to co, nie pustka?

- Pustka.

- No to co za różnica?

- Różnica to też pustka.

Zastanawiał się chwilę.

- A czy można zapełnić pustkę... sprawiedliwością?

- Jeżeli zaczniesz zapełniać pustkę sprawiedliwością, szybko staniesz się zbrodniarzem wojennym.

- Coś kręcisz, ruda. Dlaczego zbrodniarzem wojennym?

- No a kto będzie decydował, co jest sprawiedliwe, a co nie?

- Ludzie.

- A kto będzie decydował, co zadecydują ludzie?

- Coś wymyślimy - powiedział i popatrzył na przelatującą obok muchę. Mucha upadła na ziemię.

- Oszalałeś? - spytałam. - Chcesz być taki jak oni?

I wskazałam głową w stronę miasta.

- Ja jestem taki jak oni - odparł Aleksander.

- Jacy oni?

- Naród.

- Naród? - powtórzyłam z niedowierzaniem.

Aleksandra też chyba speszył patos tych słów, bo postanowił zmienić temat.

- Zastanawiam się, czy nie pójść do firmy. Dowiedzieć się, co i jak.

Oniemiałam.

- Mówisz serio? Co, mało ci było trzech kul? Chcesz jeszcze?

- Nieporozumienia służbowe się przecież zdarzają.

- Jakie nieporozumienia - jęknęłam - to jest system! Myślałeś, że system potrzebuje solistów? Potrzebuje kwiczącego chóru.

- Jak będzie trzeba, to zakwiczę w chórze. Pomyśl sama, co zrobimy, jak nam się skończą pieniądze?

- Och, to żaden problem. Nie martw się. Stąd do ludzi jest niecały kilometr. Jak będę szła do sklepu, to podłapię klienta.

Zmarszczył brwi.

- Nawet nie waż się tak mówić!

- A ty nie waż się mówić mi „nie waż się”, jasne?

- Moja dziewczyna ma pójść na ulicę... W głowie mi się to nie mieści.

- „Moja dziewczyna, moja dziewczyna”... A kiedy to mnie sprywatyzowałeś?

- Chcesz zarabiać forszę prostytutką? A ja mam z tego żyć? To całkiem jak u Dostojewskiego.

- A ja pierdołę twojego Dostojewskiego - nie wytrzymałam.

Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

- No i jak?

- Nic specjalnego.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Nie wiem, z czego się śmiał Aleksander, ale ja miałam powód. Z szacunku dla literatury rosyjskiej nie przytoczę go na tych stronicach, powiem tylko, że czerwony pajęczek z *Biesów* pełził w swoim czasie po obrąbku mojej sukienki... Ach, iluż tytanom ducha zrobiłam swój śmieszny mały prezent! Jedyne, czego naprawdę żałuję - to że nie miałam okazji podnieść do ust Władimira Władimirowicza Nabokowa tak mistrzowsko pomalowanego przezeń pucharu. Ale w czasach sowieckich były problemy z wyjazdem. Niech to zaciąży jako jeszcze jeden grzech na sumieniu mrocznego komunistycznego reżimu.

Na szczęście rodząca się sprzeczka zakończyła się śmiechem. Omal nie popełniłam błędu - nigdy nie należy wprost zaprzeczać mężczyźnie, zwłaszcza kiedy ten zaczyna powątpiewać we własny autorytet. Najpierw należało się zorientować, co go nurtuje.

- Chcesz wrócić na pole naftowe?

- Nie. Nie tam. Teraz wyje na nim Michałycz.

Domyśliłam się, że podczas swej nieobecności nawiązał kontakt ze światem zewnętrznym - może się z kimś widział albo rozmawiał przez telefon. Postanowiłam jednak nie okazywać zbyt ciekawości w tej kwestii.

- Michałycz? Ale przecież kiedy on był, czaszka nie płakała.

- Wymyślili nową technologię. Do pięciu centymetrów ketaminy dodają trzy centymetry perewityny, a po zastrzyku przepuszczają prąd.

- Przez czaszkę?

- Przez Michałycza.

- Zwyródniałcy.

- Ba - powiedział. - W ten sposób w ciągu roku go wykończą.

- Michałycza?

- Michałyczowi i tak wszystko wisi. Mówię o czerepie, o czaszce. Zresztą od łez jest cała potrzaskana... Oni mają wszystko gdzieś. Ropa idzie, forsa spływa - i pięknie. A żaden nawet nie pomyśli, co będzie jutro.

- Słuchaj, a co to za czaszka? - odważyłam się zadać dawno już nurtujące mnie pytanie.

- Tego nie mogę powiedzieć. - Aleksander od razu posmutniał. - To tajemnica państwowa. I w ogóle dosyć już o mojej pracy.

Nie byłam zdziwiona, że do tej pory uważał firmę za swoją pracę. Są posady, z których nie można się zwolnić na własne życzenie. Nie oczekiwałam jednak, że zechce wrócić do ludzi, którzy wystrzelili doń trzy srebrne kule. Choć przecież nawet nie wiedziałam, kto i dlaczego to zrobił - Aleksander nic mi nie powiedział.

- To dokąd pójdziesz, jak nie na pole naftowe? - spytałam.

- Dla arcywilkołaka robota zawsze się znajdzie.

- Co? - skrzywiłam się. - Dla jakiego arcywilkołaka?

- Dla mnie - odrzekł ze zdziwieniem.

- A kiedyż to stałeś się arcywilkołakiem?

- Jak to kiedy? Sama przecież widziałaś.

- Myślisz, że jesteś arcywilkołakiem?

- Co to znaczy - myślę? Ja to wiem.

- Skąd?

- A stąd - powiedział. - Popatrz.

I jeszcze jedna mucha latająca pod sufitem upadła na podłogę. Wyglądało to ciekawie - muchy nie spadały pionowo, tylko po paraboli, kontynuując lot, i przypominały mikroskopijnych kamikaze, pikujących z góry na wroga.

- Przestań się wygłupiać - rzuciłam. - Co ma jedno do drugiego?

- To znaczy?

- No, powiedzmy, że powalasz te muchy. Powiedzmy, że jesteś Piździelec i Garm. Ale skąd ci nagle przyszło do głowy, że na dodatek jesteś też arcywilkołakiem?

- No to kto jest arcywilkołakiem, jeśli nie ja?

- Mówiłam ci już - powiedziałam. - Arcywilkołak to metafora. Nazywać jakąś pojedynczą istotę arcywilkołakiem - to znaczy zniżać się do bardzo prymitywnego poziomu.

- No i na tym prymitywnym poziomie ja nim będę - odrzekł ugodowo Aleksander. - Co, żałujesz mi, ruda?

- Nie, tak nie można. Przedyskutujmy tę sprawę.

Westchnął.

- No dobra.

- Więc wyobraź sobie, że kupuję na Arbacie mundur generalski i zaczynam w nim chodzić, przedstawiając się jako generał FSB. Ty mi mówisz, że nie jestem generałem. A ja na to - pozwól mi pobyć generałem, co, żałujesz mi?

- To zupełnie inna sprawa. Generał jest rangą, którą nadaje określona struktura.

- Właśnie o tym mówię. Teraz pomyśl, skąd się dowiedziałeś o arcywilkołaku. Przecież nie usłyszałeś od Michałczyca, prawda?

- Prawda.

- Z pewnością istnieje jakiś system poglądów, od którego wzięło się to słowo. Arcywilkołak to taka sama ranga jak generał. Tylko że tę rangę nadaje tradycja. A ty masz z tą tradycją dokładnie tyle wspólnego, ile ja z twoją firmą. Kumaszu, szary?

- A ty, ruda, oczywiście masz z tą tradycją coś wspólnego, tak?

- Nie tylko mam - odparłam. - Jestem nosicielem tradycji. Nosicielem linii, jak się to prawidłowo nazywa.

- Jakiej znowu linii?

- Linii przesyłowej.

- Znaczy, że i w tym jesteś autorytetem? - mruknął. - Nie robisz się czasem za bardzo pazerna, co? Dasz radę tyle utrzymać?

- Nie myl tradycji mistycznej z kasynem „Shangri La”. Nosiciele linii nazywają się tak nie dlatego, że ją noszą, ale że się jej trzymają.

Moja odpowiedź chyba wprawiła go w zakłopotanie.

- A co to jest linia przesyłowa? - zapytał. - Co się nią przesyła?

- Nic.

- Jak to?

- Tak to. Nic. Tłumaczyłam ci to już tyle razy, że nawet ten czajnik by zrozumiał.

- To czego się trzymają ci nosiciele linii?

- W linii przesyłowej nie ma nic, czego można by się trzymać.

- Nie rozumiem.

- Do rozumienia też tam nic nie ma. Wiedzieć to oznacza właśnie trzymać się linii.

- Dobrze - powiedział Aleksander. - To wyjaśnij mi taką rzecz, ale prostymi słowami.

Czy w myśl tej tradycji ktoś ma formalne prawo nazywania siebie arcywilkołakiem? Nawet na najprymitywniejszym poziomie?

- Ma - odrzekłam.

- I kto to jest?

Skromnie spuściłam oczy.

- Kto? - powtórzył Aleksander.

- Wiem, że to będzie cios dla twojej miłości własnej - zaczęłam. - Ale przecież ustaliliśmy, że będziemy sobie mówić tylko prawdę...

- Znowu ty?

Przytaknęłam.

- I od kogo idzie ta linia przesyłowa?

- Powiem ci to kiedy indziej.

- Nie, wal teraz. Żebyś nie zdążyła niczego zmyślić.

No cóż, istotnie, prawdy nie da się ukryć. Kiedyś tak czy owak Aleksander ją pozna.

- Dobrze. Wobec tego słuchaj i nie przerywaj. Pewnego wieczoru, mniej więcej tysiąc dwieście lat temu, w kraju, który teraz nazywa się Chiny, podróżowałam w swojej lektyce z jednego miasta do drugiego. Co to były za miasta, i po co jechałam, w tej chwili nie jest ważne. Ważne jest to, że tego wieczoru zatrzymaliśmy się u bram klasztoru na Żółtej Górze...

Zdarzały się niekiedy w starożytnych Chinach mgliste, ciche wieczory, kiedy świat jak gdyby odsłaniał swoją dziecięcą twarz, pokazując, jaki był na samym początku. Wszystko dokoła - domy, płoty, drzewa, zarośla bambusa, żerdzie z zapalonymi na nich lampionami - zmieniało się w precudowny sposób, i zaczynało ci się zdawać, że sama dopiero co wycięłaś to wszystko z kolorowego papieru i starannie rozmieściłaś dokoła, a potem udałaś, że naprawdę masz przed sobą wielki, wielki świat z żyjącymi w nim ludźmi, świat, przez który teraz pójdziesz na spacer... Właśnie takiego wieczoru dwanaście wieków temu siedziałam w lektyce u bram klasztoru na Żółtej Górze. Świat dokoła był piękny, a ja miałam łzy w oczach - nie wiem, czy łzy smutku, czy radości.

Tak silnie podziałała na mnie muzyka. Nieopodal już od dłuższego czasu śpiewał flet - o tym samym, co miałam w sercu. Że kiedyś w dzieciństwie mieszkaliśmy w ogromnym

domu i bawiliśmy się w czarodziejskie gry. A potem tak się zapamiętaliśmy w zabawie, że sami uwierzyliśmy w swoje fantazje - zaczęliśmy się przechadzać wśród lalek i zablądziliśmy, i teraz żadna siła nie ściągnie nas do domu, jeżeli my sami nie przypomnimy sobie, że to po prostu zabawa. A przypomnieć to sobie jest prawie niemożliwe, zabawa bowiem okazała się tak fascynująca i straszna...

Nie wiem, czy muzyka może być „o czymś”, czy nie - to bardzo dawny spór. Pierwsza rozmowa na ten temat, którą pamiętam, odbyła się za panowania Qin Shihuanga. A po wielu wiekach, kiedy przyjechałam do Jasnej Polany pod postacią kursistki nihilistki, Lew Nikołajewicz Tołstoj przez całą kolację wyszydzał tę myśl, szczególnie atakując Beethovena - niby dlaczego sonata k s i ę ż y c o w a? Krótko mówiąc, nie będę się upierała, że dźwięki fletu zawierały taki właśnie sens. Albo że w ogóle był w nich jakiś sens. Zrozumiałam jednak, że natychmiast muszę pomówić z grającym.

Oczywiście, na zdrowy rozum, w ogóle nie powinnam była wysiadać z lektyki. Kiedy obok pięknie gra flet, lepiej po prostu słuchać jego dźwięków, a nie szukać towarzystwa flecisty. Jeśli zaczniemy z nim rozmawiać, muzyka się skończy. A nie wiadomo wszak, czy grajek powie nam coś interesującego. Ale każdy jest mądry ponieważ, jakby myślał tyłem. Zwłaszcza my, lisice, z uwagi na naszą anatomię.

Była mgła; ludzie siedzieli w domach i nie czułam się jakoś szczególnie zagrożona. Wskoczyłam z lektyki i udałam się w kierunku źródła dźwięku, zatrzymując się chwilami i dosłownie podwijając ogon, oczarowana niezwykłym, z niczym nieporównywalnym pięknem wieczoru. Od końca osiemnastego wieku takich wieczorów już nie ma - podobno zmienił się skład chemiczny powietrza. A może z jakiejś poważniejszej przyczyny.

Klasztor składał się z mnóstwa budynków skupionych przy głównej bramie, olbrzymiej, pięknej i bardzo kosztownej. Ogrodzenia przy bramie nie było. Uczeni mnisi tłumaczyli, że wyraża to alegorycznie doktrynę sekty: brama symbolizuje drogę, która wiedzie tam, skąd się zaczyna, a zaczyna się w dowolnym punkcie. Wrota nie są wrotami, absolutna otwartość i promienna przestrzeń we wszystkie strony, pamiętam nawet hieroglify. Ja jednak uważałam, że na ogrodzenie po prostu zabrakło pieniędzy. Sądzę, że gdyby ktoś złożył mnichom datek na ogrodzenie, w doktrynie nastąpiłyby zmiany.

Muzyka fletu dobiegała z głównego budynku, gdzie była Sala Przekazywania Wiedzy. Nie przyszłoby mi do głowy, żeby się tam pchać, nawet mimo romantycznej liliowej mgły, ale muzyka dodała mi odwagi.

Skoro się boisz tygrysów, to nie chodź w góry, pomyślałam. A, co będzie, to będzie...

Podkasawszy poły szaty, żeby ogon był gotów na wszystkie niespodzianki, ruszyłam naprzód. W starożytnych Chinach noszono ubiory szerokie i luźne, więc przypadkowe spotkanie z jakimiś gapiami, w dodatku we mgle, nie groziło żadnym niebezpieczeństwem - nie zdążyliby mnie nawet zauważyć. W takich wypadkach nie rzucałam jakiegóż szczególnej pomrocności - ukazywałam dokoła ten sam świat, tylko bez maleńkiej A Huli.

Zdarzało się, że ktoś mnie zobaczył, wytrzeszczył oczy na widok mojej rudej chluby, a w następnej sekundzie sam już nie wiedział, co za dreszcz go przeszył - dookoła nie ma nic, tylko nagie pole, nad którym wiatr miecie suchymi liśćmi... Wydaje się proste, ale to jeden z bardziej skomplikowanych lisich trików, i jeśli napotkanych ludzi jest więcej niż trzech, zaczynają się problemy. Notabene właśnie z tego powodu od czasów Sung Tsu w czasie wojny stawiano przy wejściu do twierdzy co najmniej czterech wartowników; bano się naszego rodu, i nie bez kozery.

W głównym budynku świeciło się w jednym oknie. Flet grał właśnie tam, nie mogło być omyłki. Był to narożny pokój na pierwszym piętrze i dostanie się do niego nie przedstawiało żadnych trudności - należało wskoczyć na kryty dachówką gzyms i przejść po nim obok ciemnych okien. Zrobiłam to z łatwością - mam lekki chód. W oknie, za którym grał flet, okiennice były podniesione. Przykucnęłam i ostrożnie zajrzałam do środka.

Grający siedział na podłodze plecami do mnie. Miał kaftan z niebieskiego jedwabiu, a na głowie mały, spiczasty słomkowy kapelusz. Widać było ogoloną czaszkę, chociaż szata mężczyzny nie przypominała mnisiej. Ramiona miał szerokie, a ciało szczupłe, lekkie i silne - takie rzeczy wyczuwam od razu. Na podłodze przed nim spostrzegłam czarkę do herbaty, kałamarz z tuszem i stos papieru. Na ścianie paliły się dwie lampy oliwne.

Widocznie zajmował się kaligrafią, pomyślałam, a potem postanowił odpocząć i sięgnął po flet... No i co ja mu teraz powiem?

Muszę dodać, że nie miałam żadnego planu - chodziły mi po głowie niejasne pomysły: żeby najpierw porozmawiać z nim od serca, a potem zahipnotyzować, bo z ludźmi inaczej się nie da. Chociaż gdybym się chwilę spokojnie zastanowiła, zrozumiałabym, że nic z tego nie będzie: nikt nie zechce ze mną gawędzić od serca, wiedząc, że potem zamęcę mu w głowie. A jeśli go zahipnotyzuję od razu, to jak z nim pogadam od serca?

Nie zdążyłam jednak rozstrzygnąć tego problemu - na dole zatańczyły odbłaski pochodni, rozległy się kroki i głosy. Ludzi było około dziesięciu - tyłu naraz nie mogłam zindoktrynować. Nie zastanawiając się ani sekundy dłużej, dałam susa w okno.

Postanowiłam szybko zahipnotyzować flecistę, przycząić się, a kiedy ludzie się rozejdą, wrócić do swojej lektyki, na szczęście bowiem na dworze było już prawie ciemno.

Bezszelestnie wylądowałam na czworakach, podniosłam ogon i cicho zawołałam siedzącego człowieka:

- Czcigodny panie!

Spokojnie odłożył flet na podłogę i obejrzał się. Natychmiast naprężyłam ogon, skupiając na jego czubku całego swego ducha, ale wtedy stało się coś całkiem dla mnie nowego i nieoczekiwanego. Zamiast podatnej musującej galarety, jaką stanowi dla mego ogona ludzki umysł (nie ma sensu opisywać owego doznania komuś, kto nie doświadczył tego osobiście), nie wyczułam w ogóle nic.

Spotykałam wielu ludzi, silnych i słabych duchem. Pracować nad nimi to to samo, co wiercić dziury w ścianach z różnego materiału: wszystkie dają się nawiercić, tylko każda inaczej. Tu jednak nie znalazłam nic takiego, do czego mogłabym przyłożyć wysiłek woli, skupionej w trzeszczących od elektryczności włoskach nad moją głową. Z zaskoczenia dosłownie straciłam równowagę i jak głupia siadłam na podłodze z podwiniętym ogonem i nienaturalnie wyciągniętymi przed siebie nogami. Czułam się w tej chwili jak jarmarczny zongler, który upuścił wszystkie kule i wstęgi w grząskie błoto.

- Witaj, A Huli - przemówił człowiek i skłonił głowę w uprzejmym powitaniu. - Bardzo jestem rad, że znalazłaś chwilę, by do mnie zajrzeć. Możesz mnie nazywać Żółtym Panem.

Żółty Pan, pomyślałam, podwijając nogi, pewnie od Żółtej Góry, na której stoi klasztor. A może chce zostać cesarzem.

- Nie - rzekł z uśmiechem człowiek - nie chcę być cesarzem. A co do Żółtej Góry, to zgadłaś.

- Czyżbym mówiła głośno?

- Twoje myśli odbijają się tak wyraźnie na twarzyćce, że nietrudno je odczytać - powiedział i zaśmiał się.

Zmieszana, zasłoniłam twarz rękawem. A potem przypomniałam sobie, że rękaw jest rozpruty, i jeszcze bardziej się zawstydziłam; zasłoniłam rękaw drugą ręką. Kaftan miałam wtedy piękny, po cesarskiej nałożnicy, ale już nienowyy i gdzieś dziurawy.

Moje zmieszanie wszakże było tylko udawane. W rzeczywistości gorączkowo szukałam jakiegoś wyjścia, i ukryłam twarz umyślnie, żeby on nie wyczytał z niej, o czym myślę. To niemożliwe, żeby pokonał mnie jeden człowiek. Nigdzie nie mogłam wymacać jego umysłu. Ale to nie znaczyło, że tego umysłu w ogóle nie ma. Widocznie znał jakiś chytry czarodziejski sposób... Może ukazywał się nie tam, gdzie był w rzeczywistości? Słyszałam o czymś takim. Tylko że nie on jeden znał różne sposoby.

Mamy metodę pozwalającą wysyłać iluzję we wszystkie strony naraz, co błyskawicznie tłamsi ludzką wolę. Przy tym zaś nie nastawiamy się na konkretnego klienta, ale stajemy się jakby dużym i ciężkim kamieniem, który spada na gładkie lustro „tu i teraz”, wysyłając na wszystkie strony fale, od których ludziom mąci się w głowie. A potem zdeorientowany ludzki umysł sam chwytą się pierwszej wyciągniętej doń słomki. Nie wiem, czy to jest zrozumiałe? Ta technika nazywa się „burza nad Niebiańskim Pałacem”.

Teraz właśnie ją zastosowałam - znów stanęłam na czworakach, zadarłam szatę i wściekle zatrzęślam ogonem nad głową. Trząść należy nie tylko końcem ogona, ale jego korzeniem, to jest miejscem, skąd wyrasta, toteż wygląda to dwuznacznie i wręcz nieprzyzwoicie, szczególnie kiedy ubranie jest zadarte. Wszelako my, lisice, pokonujemy swą wrodzoną wstydlivość, ponieważ człowiek nie zdąży niczego dokładnie zobaczyć.

Mam na myśli - normalny człowiek. Żółty Pan nie tylko wszystko zobaczył, ale jeszcze obraźliwie zachichotał.

- Ładniutka jesteś - powiedział. - Ale nie zapominaj, że masz do czynienia z mnichem.

Nie chcąc się poddać, napięłam wolę do ostatnich granic, a wtedy on, krzywiąc się jak przy bólu głowy, zdjął kapelusz i rzucił go w moją stronę. Kapelusz zaczepił o mój ogon swoim czarnym sznurem i nagle przycisnął go do podłogi - zupełnie jakby to nie był stożek z suchej słomy, ale ciężkie kamienne żarno.

Zaraz potem Żółty Pan wziął dwa zapisane znakami arkusze, zwinął je i też cisnął w moją stronę. Zanim się zorientowałam, rulony niby dwie żelazne klamry przycisnęły do podłogi moje nadgarstki. Próbowałam dosięgnąć do jednego arkusza zębami (z silnego przestachu dzieje się z nami to samo, co w czasie polowania na kury - nasza ludzka twarz się wydłuża, zamieniając się na kilka sekund w miły zębaty pyszczek), ale nie udało mi się. Oczywiście były to jakieś czary. Zdążyłam odczytać kilka znaków napisanych na papierze - „nie ma starości i śmierci... tak samo jak nie ma też wybawienia od nich...”

Ulżyło mi nieco - była to buddyjska Sutra Serca, a to znaczyło, że nie mam do czynienia z daoshi. Jeszcze mogłam wyjść z tego cało. Przestałam się szarpać i ucichłam.

Żółty Pan podniósł czarkę z herbatą i upił z niej łyk, wpatrując się we mnie jak malarz w bliski ukończenia rysunek - kiedy się zastanawia, gdzie jeszcze brakuje ostatniego muśnięcia tuszem. Uświadomiłam sobie, że leżę na wznak i cała dolna część mego ciała jest nieprzyzwoicie obnażona. Aż się zaczerwieniłam z upokorzenia. A potem ogarnął mnie strach. Kto wie, co ten czarownik knuje. Życie jest straszne i bezlitosne. Czasem, kiedy ludziom udaje się pochwycić którąś z naszych siostr, robią z nią takie rzeczy, że lepiej o tym nie mówić.

- Uprzedzam - powiedziałam łamiącym się głosem - że jeśli zamierzasz, panie, zhańbić dziewicę, to od tego grzechu zadrzy ziemia i niebo! I na starość nie zaznasz spokoju.

Zaniósł się takim śmiechem, że herbata wypłusnęła mu z czarki na podłogę. Z okropnego wstydu odwróciłam głowę i znowu zobaczyłam znaki na arkuszu papieru, skuwającym moją rękę. Teraz był to drugi arkusz i tekst był inny: „wziąwszy za oparcie... i nie ma barier w umyśle...”

- Porozmawiamy? - zapytał Żółty Pan.

- Nie jestem śpiewaczką z dzielnicy uciech, żeby rozmawiać z zadartą szatą - odparłam.

- Przecież sama ją zadarłaś - przypomniał z niezmaconym spokojem.

- Możliwe - odrzekłam - ale nie jestem w stanie jej opuścić.

- Obiecujesz, że nie będziesz próbowała ucieczki?

Wyobraziłam na twarzy zaciętą walkę wewnętrzną, po czym rzekłam z westchnieniem:

- Obiecuję.

Żółty Pan wymamrotał cicho ostatni werset z Sutry Serca po chińsku. Wszyscy uczeni mężowie, których znałam, twierdzili, że tę mantrę należy wypowiadać tylko w sanskrycie, ponieważ tak po raz pierwszy wypowiedział ją głos Zwycięskiego. Niemniej obręcze wokół moich rąk natychmiast się rozluźniły, stając się na powrót dwoma pomiętymi kawałkami papieru.

Obciągnęłam szatę, z godnością usiadłam na podłodze i powiedziałam:

- Jakież to pouczające! Pan wykorzystuje jedną i tę samą sutrę jako zamek i jako klucz. Czy też może chodzi o to, że ta mantra, jak obiecał Budda, istotnie wybawia od wszelkich cierpień?

- Czytałaś Sutrę Serca? - zapytał.

- Czytałam to i owo - odparłam. - Forma jest pustką, a pustka jest formą.

- Może nawet znasz sens tych słów?

Zmierzyłam wzrokiem odległość do okna. Dwa skoki. Nawet gdyby był cesarskim ochroniarzem, pomyślałam, to i tak za nic mnie nie złapie.

- Oczywiście że znam - oświadczyłam, zwijając się w mocną sprężynę. - Oto na przykład siedzi przed tobą, panie, lisica A Huli. Niby całkiem prawdziwa, ma określony kształt. A jeśli się dobrze przyjrzeć, żadnej A Huli tu nie ma, jest tylko pustka!

Z tymi słowy szarpnęłam się z całej siły ku kwadratowi wolności, w którym już świeciły pierwsze gwiazdy.

Wybiegając naprzód, chcę powiedzieć, że właśnie to przeżycie pomogło mi później zrozumieć obraz Kazimierza Malewicza *Czarny kwadrat na białym tle*. Domalowałabym na nim tylko kilka małych, błękitnych i białych kropek. Jednak Malewicz, chociaż nazywał siebie suprematystą, był wierny prawdzie życia - światła na rosyjskim niebie najczęściej nie ma. I duszy nie pozostaje nic innego, jak samej wydawać na świat niewidzialne gwiazdy - taki jest sens obrazu. Ale te myśli sformułowałam dopiero po wielu stuleciach. W owej sekundzie zaś po prostu runęłam na podłogę z nieznośnego, z niczym nieporównywalnego wstydu. Było mi tak źle, że nawet nie mogłam krzyczeć.

Żółty Pan usunął okowy z moich rąk. Okno było całkiem blisko. Zapomniałam jednak o kapeluszu, który przyciskał do podłogi mój ogon.

Żadnego fizycznego i nawet duchowego bólu nie da się porównać z cierpieniem, jakiego doznawałam. Wszystko, co pustelnicy przeżywają przez lata pokuty, zawarło się w jednej, jedynej sekundzie niezwykle intensywnego uczucia - jakby błyskawica oświetliła ciemne zakątki mojej duszy. Opadłam na podłogę niby garść prochu, z oczu trysnął mi strumień łez. Tuż przed twarzą miałam pognieciony arkusz Sutry Serca, z którego spoglądały na mnie obojętne znaki, mówiące, że i ja, i moja nieudana ucieczka, i niewysłowione męki, które przeżyłam w tej chwili - to tylko pusty pozór.

Żółty Pan nie śmiał się i patrzył na mnie chyba nawet ze współczuciem, czułam jednak, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Przez to było mi jeszcze bardziej siebie żal, i płakałam, płakałam, aż znaki, na które kapały moje łzy, straciły formę i zamieniły się w rozplągnięte czarne kleksy.

- Tak boli? - zapytał Żółty Pan.

- Nie - odrzekłam przez łzy - ja... ja...

- Co - ty?

- Nie przywykłam rozmawiać szczerze z ludźmi.

- W twojej profesji to nic dziwnego. - Uśmiechnął się. - Powiedz mi jednak, czemu płaczesz?

- Wstyd mi - mruknęłam.

Czułam się w tej chwili tak podle, że nie myślałam o żadnych podstępach, i współczucie, jakie mi okazywał Żółty Pan, uznałam za niezasłużone - ja przecież dobrze wiedziałam, co mi się należało za moje sprawki. Gdyby zaczął żywcem obdzierać mnie ze skóry, pewnie nie bardzo bym protestowała.

- Czego ci wstyd?

- Wszystkiego, czego narobiłam... Boję się.

- Czego?

- Boję się, że duchy pomsty posła mnie do piekła - szepnęłam ledwie dosłyszalnie.

Była to najprawdziwsza prawda - pośród widzeń, które dopiero co przemknęły przed moim wewnętrznym wzrokiem, mignęło też takie: w lodowym worze jakieś czarne koło nawijało na siebie mój ogon, wydzierając go ze mnie, ale ogon nie odrywał się, tylko rósł i rósł, niby pajęczyna z pajęczego brzucha, i każda sekunda tego koszmaru sprawiała mi niewypowiedzianą mękę. Ale najstraszniejsza była świadomość, że będzie to trwało całą wieczność... Potworniejszego piekła nie może sobie wyobrazić żadna lisica.

- Czyż lisice wierzą w pomstę? - spytał Żółty Pan.

- Nie musimy wierzyć czy nie wierzyć. Pomsta następuje za każdym razem, kiedy ktoś mocno pociągnie nas za ogon.

- Ach, więc to tak - powiedział w zamyśleniu. - Znaczy, że trzeba ją było pociągnąć za ogon...

- Kogo?

- Kilka lat temu przyjechała tu pokutować za grzechy pewna bardzo światła lisica ze stolicy. W odróżnieniu do ciebie wcale nie bała się piekła - przeciwnie, dowodziła, że trafią tam absolutnie wszyscy. Rozumowała tak oto: nawet ludzie czasem bywają dobrzy, tak dalece bowiem niebiańskie miłosierdzie przewyższa ziemskie! Jasne, że Najwyższy Władca wybaczy wszystkim bez wyjątku i natychmiast pošle ich do raju. Ludzie sami zamieniają raj w piekło - dokładnie tak samo, jak zamienili w nie ziemię...

Zazwyczaj jestem ciekawa, ale w owej chwili było mi tak źle, że nawet nie spytałam, kim była ta lisica ze stolicy. Argument jednak wydał mi się przekonujący. Szepnęłam, przełykając łzy:

- Więc co, z tego wynika, że w ogóle nie ma nadziei?

Żółty Pan wzruszył ramionami.

- Zrozumienie tego, że wszystko zostało stworzone przez umysł, burzy najstraszliwsze piekło - powiedział.

- Ja to nawet rozumiem - odparłam. - Czytałam święte księgi i nieźle się w nich orientuję. Ale wydaje mi się, że mam złe serce. A złe serce, jak słusznie powiedziała ta lisica ze stolicy, zawsze tworzy wokół siebie piekło. Gdziekolwiek by się znalazło.

- Gdybyś miała złe serce, nie poszłabyś za dźwiękami mego fletu. Twoje serce nie jest złe. Jest chytre, jak u wszystkich lisic.

- A czy chytremu sercu można pomóc?

- Uważa się, że przy uczciwym życiu chytre serce może się uleczyć w ciągu trzech kalp.

- Co to jest kalpa?

- To okres, jaki mija od powstania wszechświata do jego zagłady.

- Ale przecież żadna lisica nie przeżyje tyle czasu! - powiedziałam.

- Tak - przyznał. - Chytre serce trudno uleczyć, zmuszając je, by przestrzegało zasad moralnych. Właśnie dlatego że jest chytre, zawsze znajdzie sposób, by obejść wszelkie zasady i wszystkich zwieść. Ale po upływie trzech kalp może zrozumieć, że zwodzi tylko siebie.

- Szybciej się nie da?

- Owszem - odrzekł Żółty Pan. - Przy silnym pragnieniu i determinacji.

- W jaki sposób?

- Budda dał wiele różnych nauk. Są wśród nich nauki dla ludzi, są dla duchów, są nawet nauki dla bogów pragnących zejść do niższych światów. Jest też nauka dla czarodziejskich lisów, kroczących nadziemską drogą, ale czy zaufasz tej nauce, jeśli opowie ci o niej człowiek?

Przybrałam pełną czci pozę i oznajmiłam:

- Zapewniam cię, panie, że traktuję ludzi z wielkim szacunkiem! Jeśli zdarza mi się czasem uszczknąć ich sił żywotnych, to dlatego, że taką mnie stworzyła natura. Inaczej nie mogłabym się wyżywić.

- Dobrze - rzekł Żółty Pan. - Tak się szczęśliwie złożyło, że znam tajemną naukę dla nieśmiertelnych lisów i jestem gotów przekazać ją tobie. Co więcej, mam obowiązek to uczynić. Niebawem opuszczę świat, i byłoby szkoda, gdyby ta niezwykła wiedza zniknęła wraz ze mną. A innej lisicy chyba nie zdążę już spotkać.

- A ta lisica ze stolicy? Czemu jej nie przekazałeś tej nauki?

- I Huli się nie nadaje - odparł.

Ach, oto kim była ta stołeczna lisica! Okazuje się, że przyjechała tu w sekrecie kając się za grzechy. A w rozmowie nie chce nawet przyznać, że grzechy istnieją.

- Dlaczego siostrzyczka I się nie nadaje? - spytałam. - Przecież sam powiedziałaś, że przyjechała się pokajać za swe uczynki.

- Jest zbyt fałszywa. Kaja się wtedy, kiedy zamyśla jakąś naprawdę mroczną zbrodnię. Stara się ulżyć swojej duszy po to, by ta mogła pomieścić jeszcze więcej zła.

- Ja też jestem do tego zdolna - wyznałam uczciwie.

- Wiem - powiedział Żółty Pan. - Ale ty przy tym będziesz pamiętać, że zamierzasz popełnić zbrodnię, toteż oszustwo z fałszywą skruchą ci się nie uda. I Huli zaś,

zaplanowawszy kolejne łotrństwo, potrafi się tak szczerze pokajać za poprzednie, że naprawdę może ulżyć swojej duszy. Jest zbyt chytra na to, by kiedyś wejść do Tęczowego Strumienia. - Te słowa podkreślił intonacją.

- Do czego? - spytałam.

- Do Tęczowego Strumienia.

- A co to jest?

- Mówisz, że czytałaś święte księgi. Powinnaś zatem wiedzieć, że życie to przechadzka po ogrodzie iluzorycznych kształtów, które wydają się realne umysłowi niewidzącemu własnej natury. Błądzący umysł może trafić do świata bogów, świata demonów, świata ludzi, świata zwierząt, świata głodnych duchów i piekła. Przebywszy wszystkie te światy, Zwycięscy pozostawili ich mieszkańcom naukę o tym, jak się wyleczyć ze śmierci i narodzin...

- Przepraszam - przerwałam, chcąc się popisać swą uczonością - ale przecież w sutrach mówi się o tym, że najcenniejsze są narodziny człowieka, ponieważ tylko człowiek może osiągnąć wyzwolenie. Czyż nie?

Żółty Pan uśmiechnął się.

- Nie odsłaniałbym tej tajemnicy ludziom, ale ponieważ jesteś lisicą, powinnaś wiedzieć, że we wszystkich światach twierdzi się to samo. W piekle powiadają, że tylko mieszkaniec piekła może osiągnąć wyzwolenie, jako że we wszystkich innych miejscach istoty spędzają życie w pogoni za przyjemnościami, których w piekle praktycznie nie ma. W świecie bogów odwrotnie, mówi się, że wyzwolenia mogą dostąpić tylko bogowie, dla nich bowiem skok ku swobodzie jest najkrótszy, a strach przed upadkiem w niższe światy najsilniejszy. W każdym świecie mówi się, że właśnie on najbardziej zasługuje na zbawienie.

- A co ze światem zwierząt? Tam się przecież tego nie mówi?

- Opowiadam ci o tych światach, których mieszkańcy mają koncepcję zbawienia. Tam zaś, gdzie takiej koncepcji nie ma, z tego samego powodu nikogo nie potrzeba zbawiać.

Więc to tak, pomyślałam. Jest mądry jak lis.

- A owo zbawienie - czy jest jednakowe dla wszystkich światów, czy w każdym inne?

- Dla ludzi wyzwoleniem jest odejście w nirwanę. Dla mieszkańców piekła - rozwianie się w liliowy dym. Dla demona-asury - owładnięcie mieczem pustki. Dla bogów - rozpląnięcie się w diamentowym blasku. Jeśli chodzi o formę, zbawienie w każdym ze światów jest inne. Ale wewnątrz jest jedno i to samo, jako że natura umysłu, któremu roją się wszystkie te światy, nie zmienia się nigdy.

- A jak to jest z lisami?

- Formalnie wilkołaki nie należą do żadnej z sześciu kategorii, o których mówiłem. Jesteście przypadkiem szczególnym. Panuje opinia, że niekiedy umysł zrodzony w świecie demonów, przerażony jego okrucieństwem, osiedla się na skraju owego świata, tam gdzie realność demoniczna styka się ze światem ludzi i zwierząt. Taka istota nie należy do żadnego ze światów, ponieważ przemieszcza się między wszystkimi trzema - światem ludzi, zwierząt i demonów. Czarodziejskie lisy należą właśnie do tej kategorii.

- Tak - powiedziałam ze smutkiem - tak to jest. Siedzimy między trzema stołkami, a wszystko ze strachu przed życiem. Czy istnieje dla nas jakieś wyjście?

- Istnieje. Kiedyś Buddzie i jego uczniom ofiarowała smaczny posiłek pewna lisica, która, co prawda, nie działała całkiem bezinteresownie - miała swoje widoki na uczniów. Ale Budda był głodny i z wdzięczności pozostawił tej lisicy naukę dla wilkołaków, która może doprowadzić je do wyzwolenia w ciągu jednego życia - uwzględniając fakt, że wilkołaki żyją do czterdziestu tysięcy lat. Budda się śpieszył, toteż nauka okazała się krótka. Ponieważ jednak dał ją sam Zwycięski, mimo wszystko ma ona czarodziejską moc. Jeśli będziesz jej przestrzegać, A Huli, potrafisz nie tylko uratować się sama, ale też pokazać drogę do wyzwolenia wszystkim żyjącym na ziemi wilkołakom.

Z przejęcia zakreśliło mi się w głowie. Właśnie o czymś takim marzyłam przez całe życie.

- O czym mówi ta nauka? - zapytałam szeptem.

- O Tęczowym Strumieniu - również szeptem odpowiedział Żółty Pan.

Zorientowałam się, że ze mnie żartuje, ale się nie obraziłam.

- Tęczowy Strumień? - spytałam normalnym głosem. - Co to jest?

- To ostateczny cel arcywilkołaka.

- A kto to jest arcywilkołak?

- To wilkołak, któremu uda się wejść do Tęczowego Strumienia.

- Co jeszcze możesz o nim powiedzieć?

- Zewnętrznie jest taki sam jak inne wilkołaki, różni się tylko wewnętrznie. Pozostali jednak nie mogą tego rozpoznać po jego wyglądzie.

- I jak można nim zostać?

- Trzeba wejść do Tęczowego Strumienia.

- Ale co to jest?

Żółty Pan ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Przecież dopiero co powiedziałem. Ostateczny cel arcywilkołaka.

- A czy można jakoś opisać Tęczowy Strumień? Żebym mogła sobie wyobrazić, do czego dążyć?

- Nie można. Natura Tęczowego Strumienia jest taka, że wszelkie opisy tylko by przeszkadzały, stwarzając fałszywe wyobrażenie o nim. Nie da się o nim powiedzieć nic prawdziwego, tam można tylko być.

- A co powinien zrobić arcywilkołak, żeby wejść do Tęczowego Strumienia?

- Powinien zrobić tylko jedno. Wejść.

- Ale jak?

- W każdy sposób, w jaki zdoła.

- Ale przecież powinny chyba być jakieś instrukcje, które otrzymuje arcywilkołak?

- Właśnie do tego się one sprowadzają.

- Co, i to wszystko?

Żółty Pan kiwnął głową.

- Czyli tak: arcywilkołak to ten, kto wchodzi do Tęczowego Strumienia, a Tęczowy Strumień to to, do czego wchodzi arcywilkołak, tak?

- Właśnie.

- Ale z tego wynika, że pierwsze jest określone przez drugie, a drugie przez pierwsze. To jakież w tym wszystkim jest sens?

- Bardzo głęboki. I Tęczowy Strumień, i droga arcywilkołaka leżą na zewnątrz świata i są niedostępne dla zwykłego umysłu - nawet lisiego. Ale za to mają bezpośredni związek ze sobą. Albowiem o pierwszym można mówić tylko w zastosowaniu do drugiego. A o drugim tylko w zastosowaniu do pierwszego.

- A czy można coś do tego dodać?

- Można.

- Co?

- Tęczowy Strumień to tak naprawdę wcale nie strumień, a arcywilkołak nie jest żadnym arcywilkołakiem. Nie należy się przywiązywać do słów. Są potrzebne tylko jako chwilowy punkt oparcia. Jeśli spróbujesz ponieść je ze sobą, pociągną cię w przepaść. Dlatego trzeba je od razu odrzucić.

Przez jakiś czas zastanawiałam się nad tym wszystkim.

- To bardzo interesujące. Wynika z tego, że najwyższa nauka dla lisic składa się zaledwie z dwóch słów, które mają powiązanie tylko ze sobą nawzajem i nie podlegają żadnej interpretacji. Poza tym nawet te słowa trzeba odrzucić zaraz po ich wypowiedzeniu...

Wygląda na to, że lisica, która nakarmiła Budę, miała nie najlepszą karmę. A jej samej udało się wejść do Tęczowego Strumienia?

Żółty Pan kiwnął głową.

- Co prawda, stało się to całkiem niedawno. I nie pozostawiła wskazówek dla innych wilkołaków. Dlatego to ja muszę przekazać ci naukę.

- Trudno uwierzyć w prawdziwość takiej nauki.

- Najwyższe nauki dlatego nazywają się najwyższymi, że różnią się od tych, do których przywykłaś. Wszystko zaś, co wydaje ci się prawdziwe, już choćby z tego właśnie powodu można uważać za fałsz.

- Dlaczego?

- Bo inaczej nie potrzebowałabyś żadnych nauk. Już znałabyś prawdę.

To było logiczne. Ale jego wyjaśnienia przypominały sylogizmy filozoficzne, których głównym celem jest zapędzić umysł w ślepy zaułek.

- A jednak - nie dawałam za wygraną - jak nauka może się składać tylko z dwóch słów?

- Im wyższa nauka, tym mniej jest słów, na których się opiera. Słowa są jak kotwice - zdaje ci się, że pomagają mocno trzymać się prawdy, a tymczasem one tylko trzymają umysł w niewoli. Dlatego najdoskonalsze nauki obchodzą się bez słów i znaków.

- Tak, oczywiście - powiedziałam. - Ale nawet po to, by wyjaśnić, na czym polega wyższość nauki bez słów, musiałeś użyć wielu słów, panie. Jak można kierować się w życiu tylko dwoma słowami?

- Wyższe nauki przeznaczone są dla istot o wyższych uzdolnieniach. Dla tych zaś, które ich nie mają, istnieją zebrane w wielu tomach brednie, w których można się grzebać przez całe życie.

- A czy ja mam wyższe uzdolnienia? - zapytałam cichutko.

- Inaczej byś tu nie siedziała.

To zmieniło nieco sytuację.

- Czy na świecie jest wiele arcywilkołaków?

- Tylko jeden. Teraz to jesteś ty. Jeżeli zechcesz, możesz wejść do Tęczowego Strumienia. Ale będziesz musiała się postarać.

Któż nie czułby się pochlebiony, słysząc, że ma wyższe uzdolnienia? A perspektywa zostania jedyną na świecie wyjątkową istotą w ogóle zapierała dech. Zamyśliłam się.

- A ta lisica, której udało się wejść do Tęczowego Strumienia - co o niej wiadomo?

- Bardzo mało. Twoja poprzedniczka żyła w pewnej górskiej wiosce, praktykowała skrajną ascezę i całkowicie zrezygnowała z obcowania z ludźmi.

- To czym się żywiła?

- Za pomocą ogona przekonywała grządkę dyń, że nadeszła wiosna. A potem wchłaniała siłę żywotną dyń...

- To straszne - wyszeptałam. - I co się z nią stało?

- Pewnego razu po prostu zniknęła i koniec.

- Nie zostawiła żadnych zapisków?

- Nie.

- To dość egoistyczne z jej strony.

- Więc może ty je zostawisz.

- A czy muszę koniecznie przejść z mężczyzn na warzywa?

- Budda nie pozostawił wskazówek w tej kwestii. Słuchaj, co ci mówi serce. I nie zawracaj z drogi.

Skłoniłam się dwukrotnie.

- Obiecuję wytrwale dążyć do celu, jeśli dasz mi przesłanie, o którym mówiłeś.

- Już otrzymałaś przesłanie.

- Kiedy? - spytałam.

- Dopiero co.

- I to wszystko?

Musiałam wyglądać na mocno zdezorientowaną.

- To zupełnie wystarczy. Cała reszta tylko wprowadzi mętlik do twojej rudej głowy.

- Więc co mam robić?

Żółty Pan westchnął.

- Gdybyś była człowiekiem, po prostu dałbym ci pałką po głowie - rzekł, wskazując na swój sękaty kostur - i posłał cię do uprawiania warzywnika. Nie ma nic wyższego od tej nauki i kiedyś to zrozumiesz. Ale droga arcywilkołaka jest szczególna. I skoro tak natarczywie prosisz, by ci powiedzieć, co masz robić, to powiem. Musisz znaleźć klucz.

- Klucz? Do czego?

- Do Tęczowego Strumienia.

- A co to za klucz?

- Nie mam pojęcia. Nie jestem przecież arcywilkołakiem. Jestem prostym mnichem. A teraz idź - twoja lektyka czeka.

- No i od tamtej pory ciągle idę - powiedziałam i umilkłam.

Moja opowieść zrobiła chyba na Aleksandrze silne wrażenie.

- No i? - zapytał. - Znalazłaś klucz?

- Oczywiście.

- I co to jest?

- Właściwe zrozumienie własnej natury. Wszystko to, co próbowałam ci wytłumaczyć.

- To znaczy, że już weszłaś do Tęczowego Strumienia?

- Można tak powiedzieć - odparłam. - I czym się okazał?

- Najpierw musiałbyś zrozumieć, czym jest arcywilkołak.

- A czym jest?

- To ty.

- No, to przecież ci mówiłem - powiedział żałośnie. - A ty mnie zbijasz z pantałyku.

Mówisz, że tak naprawdę to ty. Wszędzie ty.

- Znowu nie rozumiałeś. Myślisz, że jesteś arcywilkołakiem, bo możesz wzrokiem przepalać żarówki i zabijać muchy...

- Nie tylko muchy - zaprotestował. - I nie tylko wzrokiem. Nawet sobie nie wyobrażasz, co ja mogę.

- No co?

- Nie muszę nawet patrzeć, rozumiesz? Wystarczy, że pomyślę. Na przykład wczoraj wieczorem załatwiłem technologa politycznego Tatarskiego. Słyszałaś o nim?

- Słyszałam. I co, umarł?

- A po co? Zamamrotał przez sen i przewrócił się na drugi bok. Załatwiłem go na cacy.

- Ale co to znaczy?

- Teraz nigdzie go nie będą zapraszać i już. Będzie siedział u siebie w fundacji, aż nikt nie odróżni go od tapet. Jeżeli, oczywiście, zostawimy mu lokal.

- Ależ z ciebie twardziel - powiedziałam. - A jak to robisz?

Aleksander zastanowił się.

- To jest jak seks, tylko na odwrót. Trudno wytłumaczyć. Jak to się mówi, oczy się boją, a ręce robią. Chociaż ręce nie mają tu nic do rzeczy - rozumiesz sama, że chodzi o ogon. A szczegółów na razie nie skumałem... Więc jednak przyznajesz, że jestem arcywilkołakiem?

- Źle sobie wszystko tłumaczysz. Umiejętność szkodenia technologom politycznym i muchom wcale nie czyni z ciebie arcywilkołaka. Na razie jeszcze nie masz prawa uważać, że jesteś arcywilkołakiem.

- A ty masz prawo, tak?

- Tak, ja mam prawo - oświadczyłam skromnie, ale stanowczo.
- Rozpychasz się na wszystkie strony, ruda. Dla mnie nie ma już wcale miejsca na świecie.
- Cały świat jest twój. Tylko zrozum, kim jesteś naprawdę.
- Jestem arcywilkołakiem.
- Słusznie. Ale co to jest arcywilkołak?
- To ja.
- A ty znowu swoje. Myślałam, że jesteś bystrookim lwem, a tymczasem jesteś ślepym psem.

Drgnął jak od uderzenia biczem.

- Co?
- No, jest takie powiedzenie o lwim wzroku - zaczęłam z pośpiechem, widząc, że palnęłam gafę. - Podobno jeśli się rzuci kij psu, pies będzie patrzył na kij. A jeśli się go rzuci lwu, ten ani na chwilę nie spuści wzroku z rzucającego. To taki utarty zwrot, którego używano w czasie dysput w starożytnych Chinach, kiedy rozmówca zaczynał się czepiać słów i przestawał dostrzegać to, co najważniejsze.

- No dobra - powiedział Aleksander. - Zostawmy to. Może sama mi powiesz, co to jest arcywilkołak?

- Arcywilkołak to ktoś, kogo widzisz, kiedy długo patrzysz w głąb siebie.
- Ale przecież mówiłaś, że tam nic nie ma.
- Racja. Tam nic nie ma. I to właśnie jest arcywilkołak.
- Dlaczego?
- Dlatego że owo „nic” może się stać, czym zechcesz.
- Jak to?
- Pomyśl. Jesteś wilkołakiem, ponieważ możesz się stać, e-e-e, wilkiem. Ja jestem wilkołakiem, ponieważ jestem lisicą, która udaje człowieka. A arcywilkołak po kolei staje się tobą, mną, tą torbą jabłek, tą filiżanką, tą skrzynką - wszystkim, na co patrzysz. To jest pierwszy powód, dla którego nazywa się go arcywilkołakiem. Poza tym każdego wilkołaka można, mówiąc obrazowo, wziąć za ogon.
- Przypuśćmy - wtrącił Aleksander.
- A arcywilkołaka wziąć za ogon nie można. Bo arcywilkołak nie ma ciała. I to jest drugi powód, dla którego tak się go nazywa. Zrozumiałeś?
- Niezupełnie.

- Pamiętasz, opowiadałeś mi, że w dzieciństwie marzyłeś o skafandrze, w którym mógłbyś lądować na Słońcu, nurkować na dno oceanu, skakać do czarnej dziury i wyskakiwać z powrotem?

- Pamiętam.

- No więc arcywilkołak nosi właśnie taki skafander. To po prostu pustka, którą można zapelnąć, czym się chce. Do tej pustki nic nie może przyłgnąć. Nic nie może jej naruszyć, bo wystarczy usunąć to, czym się ją zapelnilo, i znów stanie się taka jak wcześniej. Na milicji nie mają w niej gdzie przybić stempla o zameldowaniu, a twój Michałycz nie ma do czego przyczepić swojej pluskwy.

- Rozumiem. Teraz rozumiem - rzekł Aleksander i pobrał. - Ekstra. Takiego arcywilkołaka nie złapią żadne służby specjalne!

- Cieszę się, że to doceniasz.

- I jak można nim zostać?

- Nijak - powiedziałam.

- Dlaczego?

- Zastanów się.

- Dlatego, że arcywilkołak może być tylko jeden i już jesteś nim ty? Dobrze cię zrozumiałem, ruda?

- Nie, szary, nie. Nie możesz nim zostać, bo i tak zawsze nim byłeś. Arcywilkołak to twój własny umysł, ten sam, którym od rana do wieczora wymyślasz różne bzdury.

- Więc znaczy, że jednak to ja jestem arcywilkołakiem?

- Nie.

- Ale to przecież mój umysł. A wobec tego w czym problem?

- W tym, że twój umysł tak naprawdę nie jest twój.

- A czyj?

- Nie można o nim powiedzieć, że jest czyjś. Albo że jest taki a taki i znajduje się tam a tam. Wszystkie te pojęcia powstają w nim samym, to znaczy umysł poprzedza wszystko bez wyjątku. Rozumiesz? Cokolwiek sobie wyobrazisz, robić to i tak będzie on.

- Mówisz o mózgu?

- Nie. Mózg to jedno z pojęć zawartych w umyśle.

- Ale przecież umysł powstaje dlatego, że jest mózg - powiedział Aleksander niepewnie.

- Ależ ci dranie cię zastraszyli - westchnęłam. - Ludzie w ogóle nie wiedzą, co to jest umysł, zamiast tego badają to mózg, to psychikę, to listy miłosne Freuda do Einsteina. Uчени

zaś serio uważają, że umysł bierze się stąd, iż w mózgu zachodzą procesy chemiczne i elektryczne. Patentowani głupcy! To tak, jakby uważać, że telewizor jest przyczyną wyświetlanego w nim filmu. Albo przyczyną istnienia człowieka.

- Ekonomiści tak właśnie myślą.

- To prawda. I niech sobie myślą. Niech sobie generują impulsy elektryczne, kradną transze kredytowe, wyrażają oficjalny protest, mierzą amplitudę i prędkość, biorą pochodne od minety, a potem obliczają wskaźnik oglądalności. Na szczęście dla tego świata, są w nim nie tylko klauni, ale i my, lisice. My znamy tajemnicę. Teraz znasz ją i ty. Albo prawie znasz.

- E tam - powiedział Aleksander. - Kto ją zna oprócz lisic?

- Znać ją mogą tylko wybrani.

- I nie boisz się zdradzić jej mnie?

- Nie.

- Dlaczego? Dlatego że też jestem wybrany?

- Dlatego, że znać tę tajemnicę może tylko umysł. A umysł i tak nie ma jej przed kim ukrywać. Jest jeden.

- Jeden?

- Tak - odparłam. - Jeden we wszystkich i wszyscy z jednego.

- Kim wobec tego są ci wybrani?

- Wybrani to ci, którzy rozumieją, że każdy robak, motylek czy nawet trawka na skraju drogi są takimi samymi wybranymi, tylko po prostu na razie o tym nie wiedzą, i że trzeba być bardzo ostrożnym, żeby przypadkiem któregoś z nich nie obrazić.

- Nadal nie rozumiem, czym jest umysł - wyznał Aleksander.

- Tego nikt nie rozumie. Chociaż z drugiej strony, wszyscy to wiedzą. Dlatego że właśnie umysł słyszy teraz moje słowa.

- Aha - mruknął. - Jasne... To znaczy, znowu nie do końca, ale, jak rozumiem, końca tam nie ma...

- No! - zawołałam. - Tylko tak dalej.

- Powiedzmy, że arcywilkołaka już sobie wyjaśniliśmy. A co to jest Tęczowy Strumień?

- Po prostu świat dookoła - powiedziałam. - Widzisz kolory - niebieski, czerwony, zielony? Pojawiają się i znikają w twoim umyśle. To właśnie jest Tęczowy Strumień. Każdy z nas jest arcywilkołakiem w Tęczowym Strumieniu.

- To znaczy, że już weszliśmy do Tęczowego Strumienia?

- I tak, i nie. Z jednej strony, arcywilkołak od samego początku jest w Tęczowym Strumieniu. A z drugiej strony, nigdy nie zdoła do niego wejść, bo Tęczowy Strumień to po prostu iluzja. Sprzeczność jednak jest tu tylko pozorna, albowiem ty i ten świat to jedno i to samo.

- Aha - bąknął. - Ciekawe. No, mów dalej.

- Arcywilkołak jest istotą niebiańską. Istoty niebiańskie nigdy nie tracą więzi z niebem.

- Co to znaczy?

- Na tym świecie nie ma nic prócz pyłu. Ale istota niebiańska pamięta o świetle, które czyni ten pył widzialnym. A bezogoniasta małpa po prostu zasypuje tym pyłem oczy sobie i innym. Dlatego kiedy istota niebiańska umiera, staje się światłem. A kiedy umiera bezogoniasta małpa, staje się pyłem.

- Światło, pył - powtórzył Aleksander. - Znaczy, że jednak coś tam jest! Jest jakaś osobowość. Ty na przykład masz ją na pewno, ruda. W ostatnich czasach wyraźnie to odczułem. Może powiesz, że nie?

- Ta osobowość ze wszystkimi swoimi dziwactwami i wygłupami po prostu tańczy jak kukła w jasnym świetle mojego umysłu. I im głupsze są dziwactwa tej kukły, tym jaśniejsze światło, które poznaję wciąż na nowo.

- Teraz sama mówisz „mój umysł”. A dopiero co twierdziłaś, że nie jest twój.

- Taka jest specyfika języka. Język to korzeń, z którego wyrasta nieskończona ludzka głupota. I my, wilkołaki, też na nią cierpimy, bo ciągle mówimy. Nie sposób otworzyć ust, żeby się nie pomylić. Więc nie należy czepiać się słów.

- Dobrze. Ale osobowość, która tańczy jak kukła, to przecież ty?

- Nie. Nie uważam tej osobowości za siebie, bo ja wcale nie jestem kukłą. Jestem światłem, które czyni ją widzialną. Ale światło i kukła to po prostu porównania i nie należy się ich czepiać.

- Tak, ruda - rzekł Aleksander. - Musiałaś długo studiować te zagadnienia... Słuchaj, to ile ty w końcu masz lat?

- Tyle, ile trzeba - odparłam zaczerwieniona. - A co do psa i lwa, nie obrażaj się, proszę. To klasyczna alegoria, przy czym bardzo stara, słowo daję. Pies patrzy na kij, a lew - na tego, kto go rzucił. A właśnie, kiedy to zrozumiesz, o wiele łatwiej będzie ci się czytało naszą prasę...

- To o psach i lwach zrozumiałem, nie musiałaś powtarzać - odparł sarkastycznie. - A o prasie wiem i bez twojego gadania. Powiedz lepiej, na co patrzą lisice?

Uśmiechnęłam się przepraszająco.

- My, lisice, jednym oczkiem patrzymy na kij, a drugim na tego, kto go rzuca. Dlatego że jesteśmy istotami niezbyt silnymi, a chcemy nie tylko doskonalić duszę, ale i trochę pożyć. To z tego powodu oczy mamy nieco skośne...

- Będę musiał rzucić dwa kije i sprawdzić, na co patrzysz.

- Jaki pan dziś dowcipny.

Aleksander podrapał się po brodzie.

- No, a gdzie główny wniosek? - zapytał.

- Jaki?

- No, jak to wszystko kontrolować? Żeby przynosiło pożytek?

- Kontrolować jest dość trudno - przyznałam.

- Dlaczego?

- Długo musiałbyś szukać kontrolera.

- Tak, na to wygląda - mruknął. - Nie jestem pewien, czy mi się to podoba.

- A co jest nie tak?

- Tęczowy Strumień, arcywilkołak - w porządku. Załóżmy, że sprawę kontroli też się dało załatwić. Ale nie rozumiem najważniejszego. Kto to wszystko stwarza? Bóg?

- My sami - powiedziałam. - Co więcej, stwarzamy także Boga.

- Ale ściemniasz, ruda. - Aleksander uśmiechnął się. - Nic tylko byś chciała wykreślić Boga. Czym stwarzamy? Ogonem?

Zmartwiałam.

Trudno opisać tę sekundę. Wszystkie domysły i przewidywania ostatnich miesięcy, wszystkie moje chaotyczne myśli, wszystkie przeczucia - nagle złożyły się w oślepiająco jasny obraz prawdy. Jeszcze nie rozumiałam wszystkich implikacji swego objawienia, ale już wiedziałam, że tajemnica jest teraz moja. Z przejścia zakręciło mi się w głowie. Z pewnością pobladłam.

- Co ci jest? - zapytał Aleksander. - Słabo ci?

- Nie - odrzekłam, uśmiechając się z wysiłkiem. - Po prostu muszę pobyć sama. Teraz zaraz. Proszę, nie rozpraszaj mnie. To bardzo, bardzo ważne.

Świat jest urządony w sposób zagadkowy i niepojęty. Chcąc ochronić żaby przed okrucieństwem dzieci, dorośli mówią, że żab nie wolno zabijać, bo spadnie deszcz - i w rezultacie przez całe lato padają deszcze, ponieważ dzieci mordują żaby jedną po drugiej. A

zdarza się i tak, że starając się ze wszystkich sił wytłumaczyć komuś drugiemu prawdę, nagle pojmujesz ją sam.

Zresztą to ostatnie stanowi u lisów raczej regułą niż wyjątek. Mówiłam już, że aby coś zrozumieć, my, lisice, musimy komuś to wytłumaczyć. Wiąże się to z cechami szczególnymi naszego umysłu, będącego ze swej natury stymulatorem ludzkich osobowości, przystosowanym do mimikry w każdej kulturze. Mówiąc prościej, nasza natura polega na ciągłym udawaniu. Kiedy coś tłumaczymy innym, udajemy, że same już wszystko zrozumiałyśmy. Jako istoty mądre, zazwyczaj jesteśmy zmuszone zrozumieć rzeczywiście, choćbyśmy się nie wiem jak od tego wykręcały. Podobno srebrne włoski w naszych ogonach pojawiają się właśnie z tego powodu.

Kiedy udaję, wszystko wychodzi mi naturalnie. Dlatego udaję zawsze - tak wygląda o wiele bardziej prawdopodobnie, niż gdybym zaczęła się zachowywać szczerze. Cóż to bowiem znaczy zachowywać się szczerze? To znaczy spontanicznie wyrażać zachowaniem swoją naturę. A skoro moja natura polega na tym, by udawać, to moja jedyna droga do prawdziwej szczerości wiedzie poprzez udawanie. Nie chcę przez to powiedzieć, że nigdy nie zachowuję się spontanicznie. Przeciwnie, odgrywam spontaniczność z całą szczerością, jaka jest w moim sercu. A w ogóle, słowa znów mnie zawodzą - mówię o bardzo prostej rzeczy, a wydaje się, że jestem fałszywą istotą z podwójnym dnem. Ale to nieprawda. Nie mam wcale dna.

Ponieważ lisica może udawać, kogo zechce, pojmuję najwyższą prawdę w momencie, kiedy udaje, że ją pojęła. Najlepiej zaś to robić w rozmowie z istotą mniej rozwiniętą. Ale rozmawiając z Aleksandrem, wcale nie myślałam o sobie. Rzeczywiście ze wszystkich sił starałam się pomóc jemu. Tymczasem to on pomógł mnie. Co za zdumiewający, niepojęty paradoks... Ale właśnie ten paradoks jest głównym prawem życia. Zbliżałam się do prawdy stopniowo:

- 1) obserwując Aleksandra, zrozumiałam, że wilk-wilkołak kieruje hipnotyczny cios we własną świadomość. Wilkołak sugeruje samemu sobie, że zamienia się w wilka, i rzeczywiście się w niego zamienia;

- 2) w czasie polowania na kury spostrzegłam, że mój ogon hipnotyzuje mnie samą. Nie rozumiałam jednak, co sobie wmawiam: może, myślałam, jest to swego rodzaju sprzężenie zwrotne, które czyni mnie lisicą. Byłam już o dwa kroki od prawdy, ale jej nie widziałam;

3) w czasie swego wykładu powiedziałam Aleksandrowi, że on i ten świat to jedno i to samo. Miałam już wszystko, co konieczne do ostatecznego objawienia. Trzeba było jednak, by Aleksander głośno nazwał rzeczy po imieniu. Dopiero wówczas pojęłam prawdę.

Ja i ten świat to jedno i to samo... Co więc sugeruję sobie swoim ogonem? Że jestem lisicą? Nie, zrozumiałam w jednej oślepiającej sekundzie - sugeruję sobie ten świat!

Zostawszy sama, usiadłam w pozycji lotosu i pogrążyłam się w głębokim skupieniu. Nie wiem, ile czasu minęło - może kilka dni. W takim stanie nie ma specjalnej różnicy między dniem i godziną. Teraz, kiedy ujrzałam najważniejsze, stało się jasne, czemu wcześniej nie mogłam dostrzec tego uroborosa (wszak nie bez powodu stale powtarzałam to słowo). Nie widziałam prawdy, bo nie widziałam niczego prócz niej. Całym światem był hipnotyczny impuls, jaki ogon wysyłał do mojej świadomości. A dokładniej, brałam ten impuls za świat.

Zawsze podejrzewałam, że Stephen Hawking nie rozumie słów „promieniowanie reliktowe”, przewijających się w jego książce na co drugiej stronie. Promieniowanie reliktowe to wcale nie sygnał radiowy, który można złapać za pomocą skomplikowanej i kosztownej aparatury. Promieniowanie reliktowe to cały świat, który widzimy dookoła, nieważne, czy jesteśmy wilkołakami, czy ludźmi.

Teraz, kiedy zrozumiałam, jak stwarzam świat, musiałam się nauczyć choć trochę kierować tym zjawiskiem. Ale chociaż maksymalnie skoncentrowałam ducha, nic z tego nie wychodziło. Stosowałam wszystkie znane mi techniki - od szamańskich wizualizacji, praktykowanych przez górskich barbarzyńców Tybetu, do świętego ognia orbity mikrokosmicznej, popularnej wśród wyznawców taoizmu. Wszystko na próżno - przypominało to próbę ruszenia z posad góry siłą własnego ramienia.

I tu przypominałam sobie o kluczu. Rzeczywiście, Żółty Pan mówił o kluczu... Zawsze sądziłam, że to po prostu metafora właściwego rozumienia istoty rzeczy. Skoro jednak wykazałam się taką tępotą w najważniejszej kwestii, mogłam się przecież pomylić i w tej. Czym mógł być ten klucz? Czyżbym jednak niczego nie zrozumiała?

Moja koncentracja została zakłócona, myśli zaczęły błędzić. Przypominałam sobie o Aleksandrze, który cierpliwie czekał w sąsiednim pomieszczeniu - przez cały czas mojej medytacji nie wydał żadnego dźwięku, bojąc się zakłócić mój spokój. Myśl o nim, jak zawsze, wywołała we mnie gorącą falę miłości.

I wtedy wreszcie pojęłam najważniejsze:

1) nie było we mnie nic silniejszego od tej miłości - a skoro stwarzałam ogonem cały świat, to znaczy, że nic silniejszego nie było także na świecie;

2) w tym strumieniu energii, którą roztaczał mój ogon, a umysł brał za świat, miłości nie było wcale - i dlatego świat wydawał mi się nie tym, czym się wydawał;

3) to miłość była kluczem, którego nie mogłam znaleźć.

Jak mogłam tego od razu nie zrozumieć? Miłość była jedyną siłą zdolną wyprzeć z mojej świadomości reliktowe promieniowanie ogona. Znów się skupiłam, zwizualizowałam swoją miłość w postaci płonącego jasno serduszka i zaczęłam je wolno opuszczać w kierunku ogona. Doprowadziłam ogniste serce prawie do jego nasady, gdy nagle...

Gdy nagle stało się coś niewiarygodnego. Wewnątrz mojej głowy, gdzieś między oczami, rozlała się tęczowa poświata. Odbierałam ją nie fizycznie, wzrokiem - przypominało to raczej sen, który udało mi się przemyścić na jawę. Poświata przypominała strumyk w wiosennym słońcu. Mieniły się w niej iskry wszystkich możliwych odcieni, i w to łagodne światło można było wejść. Żeby tęczowa zorza zatopiła wszystko wokół, należało opuścić gorejącą kulę miłości jeszcze niżej, doprowadzając ją poza punkt wielkiej granicy, który u lisic znajduje się o trzy cale od nasady ogona. Mogłam tego dokonać. Poczułam jednak, że potem już nigdy nie zdołam znaleźć wśród potoków tęczowego światła tego maleńkiego miasta, w którym pozostał Aleksander. Powinniśmy odejść stąd razem - bo inaczej cóż warta byłaby nasza miłość? Przecież to on dał mi klucz do nowego wszechświata - sam o tym nie wiedząc...

Postanowiłam natychmiast o wszystkim mu opowiedzieć. Nie mogłam się jednak podnieść - kiedy siedziałam w pozycji lotosu, zdrętwiały mi nogi. Oczekałam, aż powróci krążenie, wstałam z trudem i poszłam do drugiego pokoiku. Było tam ciemno.

- Saszeńka! - zawołałam. - Hej! Sasza! Gdzie jesteś?

Nikt się nie odezwał. Weszłam do środka i zapaliłam światło. W pomieszczeniu nie było nikogo. Na drewnianej skrzynce, która zastępowała nam stół, leżała zapisana kartka papieru. Wzięłam ją i mrużąc oczy w ostrym elektrycznym świetle, przeczytałam:

Adelo!

Nie zwracałem uwagi na to, że ukrywasz swój wiek, chociaż ostatnio zacząłem się domyślać, że masz więcej niż siedemnaście lat - jesteś zbyt mądra. Ale co tam, myślałem, może po prostu dobrze się trzymasz, a w rzeczywistości liczysz sobie już dwadzieścia pięć albo nawet i trzydziestkę i masz z tego powodu kompleksy, jak większość dziewczyn. Byłem

przygotowany nawet na to, że możesz być trochę po trzydziestce. Pewnie pogodziłbym się też z czterdziestką. Ale tysiąc dwieście lat! Lepiej powiem Ci to wprost i otwarcie - nie będę mógł więcej uprawiać z Tobą seksu. Wybacz. A ja Ci wybaczę tego ślepego psa. Może i jestem ślepy w porównaniu z Tobą. Ale taki już jestem.

Od jutra wracam do pracy. Może będę żałował tej decyzji. Albo nawet nie zdążę jej pożałować. Ale jeśli wszystko pójdzie tak, jak zaplanowałem, najpierw rozwiążę pewne problemy, nabrzmiewające w naszym wydziale. A potem zacznę rozwiązywać problemy, jakie nabrzmiały we wszystkich innych miejscach. Cudowną siłę, otrzymaną od Ciebie w darze, spożytkuję w służbie mojemu krajowi. Dziękuję Ci za nią - w imieniu swoim i całej naszej organizacji, do której niesłusznie jesteś uprzedzona. I dziękuję Ci jeszcze za wszystkie te niezwykle rzeczy, które pomogłaś mi zrozumieć - chociaż, oczywiście, nie do końca i nie na długo. Nadal będę Cię kochał jak pokrewną duszę. Żegnaj na zawsze. I dzięki, że do samego końca nazywałaś mnie Szarym.

Sasza Czarny

Moja głowa to ciemna latarnia z wybitymi szybkami... Pamiętam ten moment. Nie byłam zaskoczona. Zawsze wiedziałam, że go nie utrzymam przy sobie i że ta chwila nadejdzie. Ale nie myślałam, że będzie to tak bolesne.

Mój księżycowy chłopcze... No, pobaw się, pobaw, pomyślałam z pokorną czułością. Kiedyś tak czy owak pójdiesz po rozum do głowy. Szkoda tylko, że nie dowiesz się ode mnie o najważniejszej tajemnicy. Chociaż... Może ja też powinnam zostawić ci list? Będzie dłuższy niż twój, i przeczytawszy go do końca, zrozumiesz, czego nie zdążyłam ci powiedzieć przed twoim odejściem. Chyba tylko tym mogę ci się zrewanżować za wolność, którą mi niechcący podarowałeś.

Postanowione, myślałam. Napiszę książkę, która na pewno kiedyś do ciebie dotrze. Dowiesz się z niej, jak się uwolnić od lodowatego mroku, w którym zgrzytają zębami oligarchowie i prokuratorzy, liberałowie i konserwatyści, homo i heteroseksualiści, internetowi komuniści, wilkołaki w mundurach i portfelowi inwestorzy. I może nie tylko tobie, lecz i innym szlachetnym istotom, które mają serce i ogon, ta książka przyniesie jakiś pożytek... A na razie - dziękuję ci za to najważniejsze, co przede mną odkryłeś. Dziękuję ci za miłość...

Dłużej nie mogłam się już powstrzymać - z oczu trysnęły mi łzy i długo, długo płakałam, siedząc na skrzynce i patrząc na biały kwadracik papieru z równymi linijkami jego

słów. Do ostatniego dnia nazywałam go szarym, bojąc się sprawić mu ból. Ale on był silny. Nie potrzebował litości.

A więc tak to było. Spotkały się w dusznej Moskwie dwie samotności. Jedna powiedziała, że liczy sobie dwa tysiące lat, druga wyznała, że ma pazury na przyrodzeniu. Splotły się na krótko ogonami, porozmawiały o najwyższej prawdzie, powyły do księżyca i rozstały się jak statki na morzu...

*Je ne regrette rien*⁴³. Wiem jednak, że nigdy nie będę tak szczęśliwa jak w Hongkongu lat sześćdziesiątych na skraju bitcewskiego lasu, z radosną pustką w sercu i jego czarnym ogonem w ręku.

Kiedy ta książka była już prawie ukończona, spotkałam podczas przejażdżki rowerowej Michałycz. Zmęczona jazdą, usiadłam, żeby odpocząć, na jednej z masywnych bierwionowych ławek, ustawionych na polanie pod lasem bitcewskim. Moją uwagę zwróciły dzieci skaczące z rowerowej trampoliny, i długo się im przyglądałam. Ich rowery miały dziwnie nisko umieszczone siodełka. Pewnie są to specjalne rowery do skoków, myślałam. Chociaż poza tym były to najzwyczajniejsze rowery górskie. Kiedy się odwróciłam od skoczków, Michałycz już stał obok mnie.

Mocno się zmienił przez ten czas, kiedyśmy się nie widzieli. Teraz był modnie ostrzyżony i ubrany nie w retro-bandycki strój, ale w stylowy czarny garnitur z kolekcji „Rebel shareholder”⁴⁴ firmy Diesel. Pod marynarką miał czarny T-shirt z napisem „I fucked Andy Warhol”. Zza koszulki wysuwał się złoty łańcuszek - nie za gruby i nie za cienki, akurat taki jak trzeba. Okrągły zegarek w prostej stalowej kopercie, na nogach czarne nike Air, jak u Micka Jaggera. Jakąż jednak olbrzymią drogę przebyły organy od czasów, kiedy jeździłam na daczę Jeżowa po ostatniego Nabokowa...

- Cześć, Michałycz - powiedziałam.

- Witaj, Adelo.

- Jak mnie znalazłeś?

- Za pomocą przyrzędu.

- Nie masz żadnego przyrzędu, nie ściemniaj. Sasza mi powiedział.

Michałycz usiadł obok mnie na ławce.

- Mam przyrząd, Adelo, mam, dziecino. Tylko że to jest tajne. I towarzysz generał rozmawiał z tobą, jak nakazuje instrukcja. Za to ja, kiedy ci go pokazałem, naruszyłem

⁴³ Niczego nie żałuję (franc.) - słowa znanej piosenki Edith Piaf (przyp. tłum.).

⁴⁴ Zbuntowany udziałowiec (ang.).

instrukcję. I towarzyszył generał mnie potem pouczył, jasne? Teraz zresztą znów naruszam instrukcję. A towarzyszył generał zawsze dokładnie jej się trzyma.

Nie wiedziałam już, który z nich kłamie.

- A ta sprzątaczką z kompleksu sportowego naprawdę u was pracuje?

- Działamy za pomocą wielu różnych metod - odparł wymijająco. - Inaczej się nie da.

Przecież to wielki kraj.

- To prawda.

Przez parę minut milczeliśmy. Michałycz z zainteresowaniem obserwował skaczących z trampoliny.

- A co u Pawła Iwanowicza? - zapytałam nieoczekiwanie dla samej siebie. - Nadal jest konsultantem?

Michałycz przytaknął.

- Był u nas niedawno. Polecał pewną książkę, jaki to był tytuł... - Wyjął z kieszeni marynarki karteczkę i pokazał mi. Było na niej napisane długopisem: „Martin Wolf, *Why Globalization Works*”⁴⁵. - Mówił, że w rzeczywistości wcale nie jest tak źle.

- Tak? - powiedziałam. - To świetnie, bo już się zaczynałam denerwować. Słuchaj, dawno chciałam cię spytać. Czy wszyscy ci faceci, Wolfenson z Banku Światowego, Wolfowitz z Departamentu Obrony - czy oni też?

- Wilki, jak ludzie, bywają różne - odparł Michałycz. - Tylko że teraz nie dorastają nam do pięt. Wydział ma całkiem nowe możliwości. Nagual Rinpoche jest jeden na świecie.

- Kto?

- Tak nazywamy towarzysza generała.

- A właśnie, co tam u niego? - nie wytrzymałam.

- Dobrze.

- Co robi?

- Ma nawał pracy. A po robocie siedzi w archiwum. Studiuje doświadczenia.

- Czyje doświadczenia?

- Towarzysza Szarikowa.

- Ach, tego. Co kierował wydziałem do spraw czystki...

- Jak nie wiesz, to lepiej nie gadaj - powiedział surowo Michałycz. - Krąży o nim mnóstwo kłamstw, oszczerstw, plotek. A prawdy nie zna nikt. Kiedy towarzyszył generał pierwszy raz przyszedł do pracy w nowej formie⁴⁶, starsi pracownicy aż się popłakali. Nie

⁴⁵ Dlaczego globalizacja działa (ang.).

⁴⁶ Nieprzetłumaczalna gra słów: ros. forma znaczy zarówno „kształt, postać”, jak i „mundur, uniform” (przyp. tłum.).

widzieli czegoś takiego od pięćdziesiątego dziewiątego roku. Od czasu, jak towarzysz Szarikow zginął. A już potem wszystko zaczęło się sypać. Trzymało się tylko na nim.

- W jaki sposób zginął?

- Chciał pierwszy polecieć w kosmos. I poleciał, jak tylko zrobiono taką kabinę, żeby mógł się zmieścić pies. Nie dało się go powstrzymać... Ryzyko było olbrzymie - na początku przy co drugim starcie była awaria. A on się mimo to zdecydował. No i...

- Idiota - powiedziałam. - Próżny pętał.

- Próżność nie ma z tym nic wspólnego. Dlaczego towarzysz Szarikow poleciał w kosmos? Bo chciał załatwić pustkę, zanim ona załatwi jego. Ale nie zdążył. Zabrakło trzech sekund kątowych...

- Aleksander wie o Szarikowie? - spytałam.

- Teraz tak. Mówię przecież, że dniami i nocami siedzi w archiwum.

- I co powiedział?

- Towarzysz generał powiedział tak: nawet tytani mają swoje ograniczenia.

- Jasne. A jakie pytania tytani mają do mnie?

- Tak w ogóle to żadnych. Mam polecenie przekazać ci coś ustnie.

- No to przekazuj.

- Podobno puszczasz zajawę, że jesteś arcywilkołakiem...

- No i co z tego?

- A to, że żyjemy w takim kraju, gdzie wszyscy powinni kumać, pod kim chodzą. I ludzie, i wilkołaki.

- A w czym ja przeszkadzam?

- Nie przeszkadzasz. Ale arcywilkołak może być tylko jeden. Inaczej co by z niego był za arcywilkołak?

- Taka prymitywna interpretacja słowa „arcywilkołak” - powiedziałam - załatuje więziennym nietzscheanizmem. Ja...

Michałycz podniósł rękę.

- Posłuchaj. Nie przysłano mnie tu, żeby cię zastraszać, tylko żeby ci to oznajmić.

- Rozumiem - westchnęłam. - I co mam teraz zrobić? Spadać stąd?

- Dlaczego spadać? Po prostu masz uważać na to, co mówisz. I pamiętać, kto tu jest superwilkołakiem. I nigdy się w tej sprawie nie przejęzyczyć. Żeby nie robić w głowach mętliku... Jasne?

- Kto ma w głowie mętlik, to sprawa dyskusyjna - powiedziałam. - Najpierw...

- Dyskutować nie będziemy - znów przerwał mi Michałycz. - Jak mawia Nagual Rinpoche, kiedy spotkasz Buddę, nie musisz go zabijać, ale nie daj się wykołować.

- Cóż, skoro mamy nie dyskutować, to nie. Czy to wszystko?

- Nie, mam jeszcze pytanie. Osobiste.

- Jakie?

- Wyjdiesz za mnie?

To było nieoczekiwane. Zrozumiałam, że Michałycz nie żartuje, i obrzuciłam go uważnym spojrzeniem.

Miałam przed sobą faceta po pięćdziesiątce, jeszcze krzepkiego, mężczyznę, który zebrał się w sobie do ostatniego życiowego zrywu, choć na razie nie rozumiał (na szczęście dla siebie), dokąd zmierza ten zryw. Wielu takich pochowałam. Zawsze widzą we mnie swoją ostatnią szansę. Dorośli mężczyźni, a nie rozumieją, że ich ostatnia szansa tkwi w nich samych. A zresztą przecież nawet nie wiedzą, co to za szansa. Sasza przynajmniej rozumiał co nieco. A ten... Chyba nie.

Michałycz patrzył na mnie z szaleńczą nadzieją. Takie spojrzenie też znałam. Ileż to już czasu spędziłam na tym świecie, pomyślałam ze smutkiem.

- Będziesz żyła jak na własnej wyspie - odezwał się ochryple Michałycz. - A jak chcesz, to nawet bez „jak” - seryjnie na własnej wyspie. Będziesz miała swoje prywatne kokosowe Bounty. Zrobię dla ciebie wszystko.

- A jak się nazywa ta wyspa? - spytałam.

- W jakim sensie?

- Wyspa musi mieć nazwę. Na przykład Ultima Thule. Albo Atlantyda.

- Nazwiemy ją, jak zechcesz. - Michałycz wyszczerzył zęby. - Cóż to za problem?

Był najwyższy czas zakończyć ten temat.

- Wiesz co, Michałycz? - powiedziałam. - To przecież poważna decyzja. Zastanowię się, dobrze? Przez tydzień, dwa.

- Zastanów się - odrzekł. - Ale weź pod uwagę parę rzeczy. Po pierwsze, od ropy naftowej jestem teraz najważniejszy w aparacie. Seryjnie. Wszyscy ci oligarchowie mi obciągają. To znaczy z rurociągu. Tak zresztą też, niech no tylko ruszę brwią. A po drugie, pomyśl jeszcze o czymś. Podobają ci się przecież wilki, prawda? Wiem o tym. No więc ja jestem wilkiem, prawdziwym wilkiem. A towarzysz generał... Oczywiście, on jest na specjalnym stanowisku - arcyodpowiedzialnym. Cały wydział się do niego modli. Ale mówiąc między nami, mój fiut jest lepszy.

- Tylko proszę bez szczegółów.

- Jak bez, to bez. Ale mimo wszystko pomyśl - może z normalnym szczegółem zabawa w te rzeczy będzie fajniejsza? Przecież co do towarzysza generała, to sama wszystko wiesz...

- Wiem - powiedziałam.

- I pamiętaj, że on złożył ślubowanie. Powiedział, że nie będzie się zamieniał w człowieka, dopóki kraj nie uwolni się od zewnętrznych i wewnętrznych wrogów. Jak kiedyś towarzysz Szarikow... Cały wydział płakał. Ale, szczerze mówiąc, myślę, że nie o wrogów tu chodzi. Po prostu nudzi się teraz jako człowiek.

- Rozumiem, Michałycz. Wszystko rozumiem.

- Wiem - odrzekł. - Mądra z ciebie kobitka.

- No, dobra. Teraz już idź. Chcę zostać sama.

- Może byś mnie tego nauczyła - powiedział z rozmarzeniem - tego, no, ogonem...

- O tym też opowiedział?

- Niczego nie opowiadał. Teraz nie mamy do ciebie głowy. Spraw jest tyle, że w pale się nie mieści, powinnaś to rozumieć.

- Co to za sprawy?

- Kraj potrzebuje oczyszczenia. Dopóki nie wyłapiemy wszystkich zagranicznych kocurów, nie ma czasu na pogaduchy.

- Jak chcecie je wyłapać, skoro są zagraniczne?

- Nagual Rinpoche ma nosa. Wyczuwa je przez ścianę. A o ogonach seryjnie nic nie mówił. Słyszałem przez aparaturę. Sprzeczaście się, jak je tego, splatać.

- Słyszałeś przez aparaturę, jasne. No dobra, idź już, świntuchu.

- Czekam na twój telefon. Pamiętaj, nie zrywaj z nami kontaktu. Nie zapominaj, gdzie żyjesz.

- Trudno byłoby zapomnieć.

- No to na razie. Dzwon.

Wstał i ruszył w stronę lasu.

- Ej, Michałycz! - zawołałam, kiedy oddalił się o kilka metrów.

Obejrzał się.

- No?

- Nie noś tej koszulki. Andy Warhol zmarł w osiemdziesiątym siódmym roku. Od razu widać, że nie jesteś młodziutki.

- A ja słyszałem, że ty sama masz z tym problemy - odparł niewzruszenie. - Ale właśnie taka mi się podobaś. Co mnie obchodzi, ile masz lat? Przecież paszportu nie będę pierdolił, prawda? Tym bardziej że jest fałszywy.

Uśmiechnęłam się. A jednak nie można mu było odmówić wdzięku - co wilkołak, to wilkołak.

- Prawda, Michałycz, paszportu nie. Pierdolić będziesz martwego Andy'ego Warhola.
Zaśmiał się.

- Ja właściwie nie mam nic przeciwko temu - ciągnęłam. - Niepokoi mnie tylko trochę to, że chcesz go znaleźć we mnie. Mimo całej sympatii do ciebie jako c z ł o w i e k a.

Rzuciłam mu w twarz najstraszniejszą w naszych kręgach obelgę, ale on tylko zarżał jak ogier. Pewnie nawet do niego nie dotarło. Musiałam powiedzieć to jaśniej.

- Więc nie noś takiej koszulki, Michałycz, naprawdę. Ona cię pozycjonuje jako wirtualnego geja-nekrofila.

- Nie mogłabyś po rosyjsku?

- Mogłabym. Pedryła trupojeba.

Prychnął, wysunął język, obscenicznie poruszył nim w powietrzu i powtórzył:

- Dzwon, będę czekał. Ani się obejrzysz, jak obmyślimy odpowiedź całym wydziałem.

Potem się odwrócił i poszedł w stronę lasu. Patrzyłam na czarny kwadrat jego pleców, póki nie rozpląnął się w zieleni. *Malevich sold here...* A zresztą kogo teraz interesują te podobieństwa pojęć.

Niewiele pozostało mi już do powiedzenia. Długo żyłam w tym kraju i wiem, co znaczą takie spotkania, rozmowy i rady, by nie zrywać kontaktu z organami. Przez kilka dni przeglądałam stare rękopisy i paliłam je. Właściwie całe przeglądanie sprowadzało się do tego, że zerkałam pobieżnie na zapisane stronicie przed wrzuceniem ich w ogień. Szczególnie wiele nagromadziło mi się wierszy:

Nie bądź bezskrzydłą muchą w Dolnej Tule,

Nie bój się nocy, gdzie drapieżców dwóch:

Czai się tam lisica - ja, A Huli,

I pies Piździelec, mój tajemny druh...

Wiersze paliłam ze szczególnym żalem: do dziś nie zdążyłam ich nikomu przeczytać. Ale cóż robić - mój tajemny druh był zbyt zajęty. Teraz pozostała mi do załatwienia tylko jedna sprawa, która już zbliża się do zakończenia (to dlatego moja opowieść przechodzi z czasu przeszłego w teraźniejszy). Ta sama sprawa, o której powiedział mi dwanaście wieków temu Żółty Pan. Powinam wyjawić wszystkim lisicom, jak zyskać wolność. Właściwie

prawie już to zrobiłam - pozostało mi tylko ułożenie na podstawie tego, co zostało powiedziane, przejrzystej i jasnej instrukcji.

Mówiłam już, że lisice same stwarzają sobie iluzję tego świata za pomocą ogona. Symbolicznie wyraża to uroboros, wokół którego moja świadomość kręciła się przez tyle stuleci, wyczuwając ukrytą w nim wielką tajemnicę. Wąż pożera własny ogon...

Niezachwiany związek ogona i świadomości to fundament, na którym spoczywa świat, jaki znamy. Nic nie może wtargnąć w ten przyczynowo-skutkowy krąg i rozerwać go. Prócz jednego. Miłości.

My, wilkołaki, znacznie przewyższamy ludzi pod każdym względem. Ale podobnie jak oni, prawie nie znamy prawdziwej miłości. Dlatego tajemna droga wyjścia z tego świata pozostaje przed nami ukryta. A jest ona tak prosta, że aż trudno uwierzyć: rozerwać łańcuch autohipnozy można jednym drgnięciem umysłu.

Teraz przekażę tę niedościgłą naukę w nadziei, że stanie się przyczyną wyzwolenia tych wszystkich, którzy mają serce i ogon. Ta technika, utracona w zamierzchłych czasach, została na nowo odkryta przeze mnie, lisicę A Huli, dla dobra wszystkich istot w sytuacji opisanej w tej książce. Oto pełny opis tajemnej metody, znanej w starożytności jako „ogon pustki”.

1) Najpierw wilkołak musi pojąć, co to jest miłość. Świat, który siłą inercji stwarzamy dzień po dniu, jest pełen zła. Nie możemy jednak rozerwać feralnego kręgu, bo nie umiemy stwarzać niczego innego. Miłość ma zupełnie odmienną naturę, i właśnie dlatego jest jej w naszym życiu tak mało. A raczej nasze życie jest takie właśnie dlatego, że nie ma w nim miłości. To zaś, co biorą za miłość ludzie - to w większości wypadków pociąg cielesny i instynkt rodzicielski, pomnożone przez socjalną próżność. Wilkołaku, nie upodabniaj się do bezogoniastej małpy! Pamiętaj, kim jesteś!

2) Kiedy wilkołak pojmie, czym jest miłość, może opuścić ten wymiar. Przedtem jednak powinien uregulować swoje rachunki: odwdzińczyć się tym, którzy pomogli mu w drodze, i pomóc tym, którzy potrzebują pomocy. Następnie wilkołak musi przez dziesięć dni pościć, rozmyślając o niepojętej tajemnicy świata i jego nieskończonym pięknie. Poza tym powinien przypomnieć sobie swoje czarne uczynki i pokajać się za nie. Należy sobie przypomnieć przynajmniej dziesięć najczarniejszych uczynków i za każdy się pokajać. Przy tym w oczach wilkołaka co najmniej trzy razy powinny wezbrać prawdziwe łzy. Nie chodzi tu o pusty sentymentalizm - płacz oczyszcza kanały psychiczne, które zostaną uruchomione w trzecim etapie.

3) Po zakończeniu czynności przygotowawczych wilkołak powinien poczekać na następny dzień po pełni. Tego dnia musi wstać wcześniej rano, dokonać ablucji i udać się w ustronne miejsce, gdzie nie zobaczy go nikt z ludzi. Tam musi wypuścić ogon i usiąść w pozycji lotosu. Jeśli ktoś nie może siedzieć w tej pozycji - nic nie szkodzi, może usiąść na krześle albo na pieńku. Ważne, żeby plecy były proste, a ogon spoczywał swobodnie, rozluźniony. Następnie należy zrobić kilka głębokich wdechów i wydechów, wzbudzić w swoim sercu prawdziwą miłość o maksymalnej mocy, i głośno wykrzyknąwszy swoje imię, skierować ją w ogon, najdalej jak można.

Każdy wilkołak od razu zrozumie, co znaczą słowa „skierować miłość w ogon”. Ale dla wilkołaków jest to coś tak dzikiego, nie do pomyślenia i wyłamującego się z ram wszelkich konwencji, że mogą mnie uznać za obłąkaną. Niemniej wszystko wygląda właśnie tak - tędy prowadzi tajemna droga do wolności. Stanie się mniej więcej to, co się dzieje, kiedy pęcherzyk powietrza trafia w prowadzące do serca naczynie krwionośne. To wystarczy, aby zatrzymać perpetuum mobile koszmaru, w którym błądzimy od zarania dziejów.

Jeśli wzbudzona w sercu miłość była prawdziwa, to po wykrzyknięciu imienia ogon na sekundę przestanie stwarzać ten świat. Owa sekunda to właśnie mgnienie wolności, której wystarczy aż nadto, by na zawsze opuścić przestrzeń cierpienia. Kiedy ta sekunda nastąpi, wilkołak bezbłędnie się zorientuje, co ma robić dalej.

Pojęłam także to, jak może uciec z tego świata bezogoniasta małpa. Najpierw zamierzałam pozostawić szczegółową instrukcję również dla niej, ale nie zdążyłam. Dlatego powiem krótko o najważniejszym. Kluczowe punkty są tu takie same jak wyżej. Najpierw bezogoniasta małpa musi wzbudzić w swoim sercu miłość, poczynając od jej najprostszych form i stopniowo zmierzając do miłości prawdziwej, która nie ma ani podmiotu, ani przedmiotu. Potem musi przeanalizować całe swoje życie, zrozumieć marność swoich dążeń i fałszywość swoich dróg. Ponieważ zaś jej skrucha jest zazwyczaj fałszywa i krótkotrwała, musi zapłakać łzami z powodu swych czarnych uczynków co najmniej trzydzieści razy. I wreszcie małpa musi wykonać magiczną czynność, analogiczną do opisanej w punkcie trzecim, tylko z poprawką na to, że nie ma ogona. Dlatego bezogoniasta małpa powinna najpierw sprawdzić, jak stwarza świat i czym sprowadza na siebie pomrocność. Wszystko tu jest bardzo proste, ale nie mam już czasu, żeby się tym zajmować.

Powiem o czymś ważniejszym. Jeśli wilkołak, idąc Drogą, znajdzie nową ścieżkę do Prawdy, nie powinien maskować jej różnymi pokrętnymi symbolami i rytuałami, jak to czynią bezogoniaste małpy. Powinien natychmiast podzielić się swym odkryciem z innymi

wilkołakami w najprostszej i najjaśniejszej formie. Musi jednak pamiętać, że jedyna właściwa odpowiedź na pytanie: „Czym jest Prawda?” - to milczenie, a ten, kto zaczyna mówić, po prostu nie pojął, w czym rzecz.

No, to chyba wszystko. Zaraz skończy grać Nat King Cole i pacan Los Dias pojedzie do Tambowa, o którym marzył tyle długich stuleci. Będzie to wyglądało tak: dokończę stronę, kliknę „zapisz”, wrzucę notebook do plecaka i wsiądę na rower. Wczesnym rankiem przy trampolinie na skraju bitcewskiego lasu nigdy nikogo nie widać. Od dawna chciałam z niej skoczyć, ale miałam wątpliwości, czy zdołam wylądować. A teraz zrozumiałam, jak powinnam to zrobić.

Wyjadę o poranku na środek pustkowia, zbiorę w sercu całą swoją miłość, rozpędzę się i wzlecę na górkę. I kiedy tylko koła roweru oderwą się od ziemi, głośno wykrzyknę swoje imię i przestanę postrzegać ten świat. Nastąpi niezwykła sekunda, niepodobna do żadnej innej. Potem ten świat zniknie. I wtedy wreszcie się dowiem, kim jestem naprawdę.